

PROLOG

GRACE

To jest opowieść o chłopaku, który kiedyś był wilkiem, i o dziewczynie, która niespodziewanie dla chłopaka i siebie zaczęła przemieniać się w wilka.

Zaledwie kilka miesięcy temu to Sam był mitycznym stworzeniem, na którego odmienność nie mogliśmy znaleźć lekarstwa. To jego ciało stanowiło tajemnicę – zbyt dziwną, a zarazem cudowną i przerażającą, żeby można ją było zrozumieć. Pożegnanie z nim okazało się dla mnie najtrudniejszym przeżyciem, jakiego doświadczyłam.

Nadchodzi wiosna. Wkrótce ciepło sprawi, że pozostałe wilki zaczną zrzucać futra i powrócą do ludzkiej formy. Sam będzie Samem, a Cole będzie Cole'em. Tylko ja jedna nie czuję się pewnie we własnej skórze.

Jeszcze zeszłego roku pragnęłam być wilkiem. Miałam mnóstwo powodów, żeby tęsknić za byciem częścią sfory, żyjącej w lesie za moim domem. Ale teraz to nie ja obserwuję te zwierzęta, czekając, aż jedno z nich przyjdzie do mnie.

Teraz to one obserwują mnie. Czekają, aż ja dołączę do nich.

Ich oczy – ludzkie oczy w wilczych czaszkach – przypominają wodę. Odbija się w nich wiosenne niebo; brązowe strugi potoku płynącego wraz z deszczem; zieleń letniego jeziora zabarwionego kwitnącymi glonami; szarość zdławionej śniegiem rzeki. Kiedyś tylko żółtozłote oczy Sama śledziły mnie pomiędzy przesiąkniętych deszczem brzoź. Teraz czuję na sobie ciężar spojrzeń całej sfory. Ciężar tego, co wiem ja i co wiedzą wilki, ale czego nikt nie waży się wypowiedzieć.

Gdy w końcu poznałam sekret sfory, wilkołaki w lasach stały mi się obce. Piękne, urzekające – ale jednak obce. Za każdą parą oczu kryje się nieznana ludzka przeszłość; Sam jest jedynym, którego udało mi się naprawdę poznać, a teraz mam go u swego boku. I tego właśnie pragnę: mojej dłoni w dłoni Sama, jego policzka przytulonego do mojej szyi.

Tylko że moje ciało mnie zdradza. Nagle to ja stanowią niewiadomą.

To jest opowieść o miłości. Nie wiedziałam, że istnieje tyle różnych jej rodzajów ani że może ona sprawić, iż ludzie będą robić tak nieoczekiwane rzeczy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tyle odmiennych sposobów na to, żeby powiedzieć „żegnaj”.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

SAM

Teraz, gdy wiedziałem, że będę człowiekiem do końca życia, miasteczko Mercy Falls w Minnesocie wyglądało zupełnie inaczej. Wcześniej istniało dla mnie tylko latem. Kojarzyło mi się z upałem, betonem chodników, liśćmi skierowanymi ku słońcu oraz ze wszechobecnym zapachem rozgrzanego asfaltu i samochodowych spalin.

Kiedy wiosenne gałęzie pokryły się koronkami delikatnego rózu, które wcześniej rzadko miałem okazje widywać, zrozumiałem, że należę do tego miejsca.

Odkąd definitywnie straciłem swoją wilczą skórę, uczyłem się na nowo, jak być człowiekiem. Odzyskałem starą pracę w „Krzywej Półce”, ponownie zacząłem chłonać słowa i szelest przewracanych stron. Wymieniłem odziedziczony po Becku SUV-a – przesiąkniętego jego zapachem i przywołującego wspomnienia mojego życia z wilkami – na volkswagena golfa, wystarczająco dużego dla mnie, Grace i mojej gitary. Starłem się wzdrygać za każdym razem, gdy czułem zimno wdzierające się do środka przez nagle otworzone drzwi. Próbowiałem pamiętać, że już nie jestem samotny. Wieczorami Grace i ja zakradaliśmy się do jej pokoju, a ja związałem się w kłębek przy jej ciele, dopasowywałem rytm swojego serca do jej i wdychałem zapach swojego nowego życia.

Czasem coś dławiło mnie w gardle, gdy słyszałem senne wycie wilków niesione przez wiatr. W takich chwilach to proste, zwyczajne życie przynosiło mi ukojenie. Mogłem cieszyć się na nadchodzące wakacje i kolejne święta Bożego Narodzenia z tą dziewczyną w moich ramionach. Na przywilej zestarzenia się w tej nieznanej mi nagle skórze. Wiedziałem, że mam wszystko.

*Prezent czasu we mnie tkwi,
Przyszłość ujawniając mi.*

Zacząłem zabierać gitarę do księgarni. Interes kręcił się słabo, niekiedy całymi godzinami siedziałem sam. Wówczas grałem na gitarze, a moich piosenek słuchały tylko książki. Mały notatnik od Grace powoli zapełniał się słowami. Każda nowa data zapisana na górze strony oznaczała zwycięstwo nad ustępującą zimą.

Dzisiejszy poranek niewiele się różnił od innych: na pachnących wilgocią ulicach nie widać było żadnych przechodniów. Nic dziwnego, że zaskoczył mnie odgłos uchylanych drzwi, który rozległ się tuż po otwarciu sklepu. Oparłem gitarę o ścianę i podniosłem wzrok.

To była Isabel.

– Cześć, Sam – powiedziała.

Poczułem się dziwnie – bo rzadko spotykałem ją sam na sam, bez Grace. A jeszcze bardziej zdumiewająca była jej obecność w tej księgarni, w łagodnej rzeczywistości mojej jaskini, wyłożonej tomami w miękkich okładkach.

Śmierć brata Isabel zmieniła ją – jej głos stał się twardszy, a spojrzenie ostrzejsze. Dziewczyna zaszczyciła mnie wzrokiem tak pewnym siebie i obojętnym, że poczułem się jak szczeniak.

– Co słychać? – zapytała, siadając na stołku obok mnie. Długie nogi wyciągnęła przed siebie i skrzyżowała.

Pomyślałem, że Grace wetknęłaby stopy pod stołek.

Isabel wzięła mój kubek z herbatą, pociągnęła łyk, po czym westchnęła głęboko.

Spojrzałem na zbezczeszczony napój.

– Niewiele. Nowa fryzura?

Jej perfekcyjne blond loki zniknęły, zastąpione brutalnie przez krótką czuprynę, mimo to dziewczyna wciąż wyglądała pięknie. Jednak rysy jej idealnej dotąd twarzy się wyostriły, jakby borykała się z czymś, co zżerało ją od środka.

Isabel uniosła brew.

- Nigdy nie uważałam cię za gościa, który nie ma nic ciekawego do powiedzenia, Sam – rzuciła.
- I słusznie – odparłem, popychając w jej stronę swój papierowy kubek. Nie chciałem pić po niej. Picie z jednego naczynia oznacza więź. – Taki gość powiedziałaby: „Hej, czy nie powinnaś być w szkole?”.
- *Touché* – odrzekła Isabel, biorąc moją herbatę, jakby od początku należała do niej.

Z wdziękiem pochyliła się, siedząc na swoim stołku. Ja kulilem się na swoim jak jakiś sęp. Zegar na ścianie odliczał sekundy. Za oknem ciężkie zimowe chmury wisiały nisko. Obserwowałem, jak zamarzające krople deszczu spadają na ziemię i odbijają się od chodnika. Moje myśli błądziły wokół gitary i tomiku poezji Mandelstama, który czekał na mnie na kontuarze.

*Dano mi ciało – cóż ja z nim uczynię,
Takim jedynym – i moim jedynie?*

W końcu włączyłem miniwieżę ukrytą pod ladą. Z głośników zawieszonych pod sufitem popłynęła łagodna muzyka i wypełniła przestrzeń.

- Zauważyłam wilki w pobliżu swojego domu – przerwała milczenie Isabel. Zamieszała płynem w kubeczku. – To smakuje jak skoszona trawa.
- Dobrze ci robi – uciałem. Naprawdę pożałowałem, że mi ją zabrała; gorąca herbata w taka pogodę była dla mnie jak siatka asekuracyjna dla akrobaty. Wiedziałem, że już jej nie potrzebuję, a mimo to nadal czułem się zdecydowanie bezpieczniej, trzymając ciepły napój w dłoni. – Jak blisko domu?

Wzruszyła ramionami.

- Widziałam je z poddasza. Najwyraźniej nie mają instynktu samozachowawczego albo potrafią umiejętnie unikać mojego ojca, który, jak wiadomo, za bardzo ich nie kocha. – Przy tych słowach Isabel zerknęła na poszarpaną Blizne na mojej szyi.
- Pamiętam – mruknąłem. Przecież ona też nie miała powodu, żeby darzyć wilki szczególną sympatią. – Jeśli któryś z nich zabłądzi w twoje strony już jako człowiek, dasz mi znać, prawda? To znaczy, zanim pozwolisz, żeby twój ojciec wypchał swoją kolejną zdobycz i ustawił w foyer? – Żeby złagodzić ciężar wypowiedzi, wymówiłem z francuska: *foi-yay*.

Isabel spojrzała na mnie wzrokiem, który mógłby zamienić zwykłego śmiertelnika w kamień.

- Mówiąc o *foi-yay* – zmieniła temat – czy mieszkasz w tamtym wielkim domu całkiem sam?

Nie mieszkałem. Z jednej strony zdawałem sobie sprawę, że powinienem zastąpić Becka, witać członków sfory wracających po zimie do swojej ludzkiej formy, szukać czterech nowych wilków, które musiały właśnie przygotowywać się do przemiany. Z drugiej jednak strony nie mogłem znieść myśli, że miałbym kręcić się tam pozbawiony nadziei, że jeszcze kiedyś zobaczę Becka.

A zresztą to nie był mój dom. To Grace była domem.

- Tak – odparłem.
- Kłamczuch – skwitowała z krzywym uśmiechem. – Ale Grace kłamie znacznie lepiej niż ty. Powiedz mi, gdzie znajdę książki medyczne. I nie bądź taki zaskoczony; przyszłam tu nie bez powodu.

- Nie wątpiłem w to ani przez chwilę – mruknąłem i wskazałem jej kąt księgarni. – Właśnie czekam, żeby poznać przyczynę wizyty.

Isabel zsunęła się ze stołka i ruszyła między regały zgodnie z moją instrukcją.

- Jestem tutaj, bo czasami Wikipedia nie wystarcza.
- Można by napisać całą książkę o rzeczach, których nie da się znaleźć w Internecie – zauważyłem.

Kiedy wreszcie się oddaliła, znowu mogłem spokojnie oddychać. Zacząłem robić żurawia z duplikatu faktury leżącego na ladzie.

- Coś o tym wiesz – rzuciła Isabel. – W końcu to ty do niedawna byłeś stworzeniem wymyślonym.

Skrzywiłem się i dalej składałem papier. Kod kreskowy faktury pociął jedno ze skrzydeł ptaka czarnymi paskami, przez co to drugie wydawało się większe. Sięgnąłem po flamaster, żeby dorysować takie same wzorki, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie.

- A tak w ogóle to czego szukasz? – nie mamy za dużo literatury medycznej. Głównie poradniki i coś na temat medycyny naturalnej.
- Nie wiem. Będę wiedziała, kiedy to zobaczę! – zawołała Isabel, kucając koło półki. – A jak się nazywa taka książka... No, taka cegła, w której znajdziesz opis wszystkiego, co może być nie tak z człowiekiem?
- „Kandyd” – rzuciłem. Ale w sklepie nie było nikogo, kto załapałby mój dowcip, więc po chwili milczenia zasugerowałem – „The Merck manual”, słynny podręcznik diagnostyki i terapii?
- O, właśnie.
- Nie mamy tego na składzie, ale mogę zamówić – zaproponowałem. Nie musiałem sprawdzać w magazynie, żeby wiedzieć, że mam rację. – Nowy egzemplarz nie będzie tani, ale mogę znaleźć dla ciebie używany, oczywiście aktualny – w końcu wiedza o chorobach ciągle idzie naprzód. – Przewlokłem sznurek przez grzbiet papierowego żurawia i wspiąłem się na ladę, żeby zawiesić go pod sufitem. – Ale ty chyba nie planujesz zostać lekarzem?
- Myślałam o tym – burknęła Isabel.

Dopiero gdy drzwi otworzyły się z cichym „dzyń”, obwieszczającym przybycie kolejnego klienta, dotarło do mnie, że słowa Isabel były właściwie zwierzeniem.

- Proszę się rozejrzeć! – zawołałem, stojąc na palcach, żeby przerzucić sznurek przez pałąk lampy. – Za chwilę skończę!

W ułamku sekundy zdałem sobie sprawę z tego, że Isabel ucichła w sposób, który i mnie kazał zamilknąć. Powoli opuściłem ręce.

- Nie ma sprawy – odezwał się klient profesjonalnym tonem. – Poczekam.

Coś w jego głosie sprawiło, że straciłem ochotę na wygłupy. Spojrzałem w dół i zobaczyłem policjanta, który stał przy kontuarze i uważnie mnie obserwował. Z tej perspektywy dokładnie widziałem jego pas z kaburą. Miał do niego przyczepioną krótkofalówkę, pojemnik z gazem pieprzowym, kajdanki i komórkę.

Kiedy ma się tajemnice, nawet jeśli nie wiążą się one z niczym nielegalnym, to widok policjanta zawsze robi na człowieku piorunujące wrażenie.

Powoli zszedłem z lady i bez przekonania wskazałem swoje dzieło origami.

- To chyba nie był dobry pomysł... Czy szuka pan konkretnej książki? – Zawahałem się, zadając to pytanie, bo przecież wiedziałem, że nie przyszedł tutaj, żeby gawędzić o literaturze. Czułem pulsowanie tętna na szyi, mocne i szybkie. Isabel zniknęła za półkami i księgarnia wyglądała na całkiem opustoszałą.

- Właściwie, jeśli nie jesteś zajęty, chciałbym chwile z tobą porozmawiać – powiedział grzecznie policjant. – Nazywasz się Samuel Roth, zgadza się?

Pokiwałem głową.

- Funkcjonariusz Koenig – przedstawił się. – Pracuję nad sprawą Olivii Marx.

Olivia. Strach ścisnął mi żołądek. Olivia, jedna z najbliższych przyjaciółek Grace, została ugryziona w zeszłym roku wbrew swojej woli i od kilku miesięcy żyła jako wilk w lesie Boundary. Jej rodzina myślała, że dziewczyna uciekła z domu.

Grace powinna być tutaj. Gdyby kłamanie stanowiło dyscyplinę olimpijską, to właśnie ona zostałaby mistrzynią świata. Jak na kogoś, kto nienawidził zajęć z kreatywnego pisania, była zdumiewająco dobra w zmyślaniu historyjek.

- Och – powiedziałem – Olivia.

Byłem zdenerwowany tym, że policjant przyszedł do księgarni i zadaje mi pytania, ale jeszcze bardziej wytrącał mnie z równowagi fakt, że Isabel, która znała prawdę, przysłuchiwała się naszej rozmowie. Wyobrażałem sobie, jak kuca za jednym z regałów i pogardliwie unosi brew, podczas gdy ja nieudolnie próbuje kłamać.

- Znałeś ja, zgadza się? – Funkcjonariusz miał przyjazny wyraz twarzy, ale na ile twoim przyjacielem może być ktoś, kto kończy pytanie zwrotem: „Zgadza się?”
- Trochę – przyznałem. – Spotkałem ją kilka razy. Ale nie chodzę z nią do szkoły.
- A do której szkoły chodzisz? – Głos Koeniga nadal absolutnie miły i swobodny.

Przekonywałem sam siebie, że jego pytanie wydają mi się podejrzane tylko dlatego, że mam coś do ukrycia.

- Edukacja w domu.
- To tak jak moja siostra – westchnął Koenig. – Doprowadzała naszą matkę do szału... Ale, ale... znasz Grace Brisbane, zgadza się?

I znowu to: „Zgadza się?”. Przez moment zastanawiałem się, czy policjant zaczął od pytań, na które i tak już znał odpowiedzi. Byłem dojmująco świadomy obecności Isabel, która nadal przysłuchiwała się nam z ukrycia.

- Tak – potwierdziłem. – To moja dziewczyna.

To była informacja, której policja prawdopodobnie nie posiadała i nie musiała posiadać, ale z jakiegoś powodu chciałem, żeby Isabel to usłyszała.

Z zaskoczeniem zauważyłem, że Koenig się uśmiecha.

- Aha – odparł. Jego uśmiech wydawał się szczery, ale zeszywniałem, bo przyszło mi na myśl, że może zapędma mnie w jakąś pułapkę. – Grace i Olivia były przyjaciółkami – kontynuował gliniarz. – Czy możesz mi powiedzieć, kiedy ostatni raz widziałeś Olivię? Nie potrzebuję konkretnej daty, ale gdybyś przypomniał sobie cokolwiek, naprawdę bardzo byś nam pomógł.

Otworzył mały niebieski notes i zamarł z długopisem nad kartką.

- Hm... - zastanawiałem się. Widziałem Olivię strząsającą śnieg ze swojego futra zaledwie kilka tygodni wcześniej, ale nie sądziłem, żeby to była informacja dla Koeniga. – Widziałem ją w centrum. Tutaj, przed księgarnią. Grace i ja właśnie wychodziliśmy ze sklepu, a Olivia przyszła tu ze swoim bratem. Ale to musiało być dobrych kilka miesięcy temu. W listopadzie? Październiku? Jakoś przed jej zniknięciem.
- Czy myślisz, że Grace spotkała ją później?
- Jestem pewien, że ona też widziała wtedy Olivię po raz ostatni. – Starłem się wytrzymać jego spojrzenie.

- Ktoś, kto uciekł z domu, może sobie nie poradzić sam... - zaczął funkcjonariusz, a ja poczułem, jakby wiedział o mnie wszystko, jakby jego słowa były wypełnione podtekstami skierowanymi tylko do mnie, pozbawionego opieki Becka. – Szczególnie dziewczynie może być naprawdę ciężko. Jest wiele powodów, dla których dzieciaki uciekają z domu, a sądząc po tym, co usłyszałem od nauczycieli Olivii i jej rodziny, tutaj przyczyną mogła być depresja. Często nastolatki robią to tylko dlatego, że czują się osaczone przez rodzinę i po prostu chcą się wydostać. Ale nie umieją sobie radzić same. Więc uciekają do domu obok. Czasami...

Przerwałem mu, zanim zdążył dodać coś jeszcze.

- Proszę posłuchać. Wiem, co próbuje pan powiedzieć, ale Olivia nie ukrywa się u Grace. Grace nie kami jej ani nie pomaga w żaden inny sposób. Chciałbym, ze względu na Olivię, żeby ukryła się w domu Brisbane'ów. Chciałbym móc panu przekazać, że Olivia właśnie tam jest. Ale my, tak samo jak pan, zastanawiamy się, kiedy ona wróci.

Pomyślałem sobie, czy właśnie w ten sposób Grace wypowiadała swoje najbardziej przydatne kłamstwa – zmieniając je w coś, w co sama mogła wierzyć.

- Rozumiesz, że musiałem zapytać? – rzucił policjant.
- Tak.
- Cóż, dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu. I proszę, daj mi znać, jeśli czegoś się dowiesz. – Koenig już kierował się do wyjścia, ale zatrzymał się w ostatniej chwili. – A co myślisz o lasach?

Zamarłem. Byłem jak wilk ukryty między drzewami, zastygły w pół kroku, wyczekujący jedynie tego, żeby nie zostać dostrzeżonym.

- Słucham? – zapytałem cicho.
- Rodzina Olivii wspomniała, że dziewczyna robiła mnóstwo zdjęć wilkom i że Grace też się nimi interesowała. Czy ty również podzielasz ich fascynację?

Byłem w stanie tylko skinąć głową.

- Czy sądzisz, że jest jakaś szansa, że Olivia ukryła się w lesie, zamiast uciekać do innego miasta?

Wyobraziłem sobie, że policja zaczyna przeczesywać bory w poszukiwaniu śladów ludzkiego bytowania. I znajduje szopę należącą do sfory. Wpadłem w panikę, ale starałem się, żeby mój głos zabrzmiał przekonująco.

- Olivia nigdy nie sprawiała wrażenia osoby, która lubi spędzać czas na świeżym powietrzu. Naprawdę wątpię, żeby dała sobie radę w takich warunkach.

Koenig pokiwał głową, jakby do siebie samego.

- Cóż, jeszcze raz dzięki – powiedział.
- Nie ma sprawy. Powodzenia.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym „dzyń”. Gdy tylko radiowóz oddalił się, oparłem łokcie o ladę i ukryłem twarz w dłoniach. Boże.

- Niezła robota, cudowny chłopcze – skomentowała Isabel, wstając spomiędzy regałów z literaturą faktu. – Prawie w ogóle nie brzmiałeś, jakbyś był psychicznie chory.

Nie odpowiedziałem. Wymieniałem w myślach wszystkie rzeczy, o które policjant mógł zapytać, choć tego nie zrobił. To sprawiało, że teraz byłem jeszcze bardziej zdenerwowany, niż wtedy, gdy Koenig stał obok mnie. Mógł przecież zapytać o to, gdzie jest Beck. Albo czy wiem coś o trzech dzieciakach, które zaginęły w Kanadzie. Albo czy wiem cokolwiek na temat śmierci brata Isabel Culpeper.

- No, co jest? – rzuciła Isabel. Położyła stos książek na kontuarze, z kartą kredytową na samej górze. – Świetnie sobie poradziłeś. To były rutynowe pytania. A gliniarz nie był zbyt podejrzliwy. Boże, ręce ci się trzęsą.
- Byłbym fatalnym przestępcą – odpowiedziałem.

Ale to nie dlatego dłonie mi drżały. Gdyby Grace była tutaj, powiedziałbym jej prawdę: że nie gadałem z policją od czasu, gdy moi rodzice trafili do więzienia za podcięcie mi żył. Sam widok munduru przywołał wspomnienie tysięcy rzeczy, o których nie myślałem od lat.

- I dobrze, bo nie popełniasz żadnego przestępstwa – głos Isabel ociekał pogardą. – Przestań panikować i zajmij się robotą. Potrzebuję paragonu.

Wbiłem należność na kasę fiskalną i włożyłem książki do torby, zerkając od czasu do czasu na pustą ulicę. W mojej głowie kotłowały się obrazy policjantów i wilków czających się w lasach oraz głosy, których nie słyszałem od dekady.

Gdy podawałem dziewczynie siatkę z zakupami, stare blizny na moich nadgarstkach pulsowały od dawno pogrzebanych wspomnień.

Przez chwilę Isabel wyglądała tak, jakby miała zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale ostatecznie potrząsnęła tylko głową i rzuciła:

- Niektórzy ludzie naprawdę nie potrafią się odnaleźć w takich sytuacjach. Do zobaczenia, Sam.

ROZDZIAŁ DRUGI

COLE

Myślałem tylko o jednym: pozostać przy życiu.

I to, że każdego dnia towarzyszyła mi wyłącznie ta jedna myśl, było cudowne.

Pędziliśmy pomiędzy rzadko rosnącymi sosnami, nasze łapy lekko dotykały ziemi, jeszcze wilgotnej od wspomnienia śniegu. Biegliśmy tak blisko siebie, że zderzaliśmy się barkami, dla żartów kłapiąc szczękami. Przeskakiwaliśmy nad sobą nawzajem, a czasem dawaliśmy nura pod brzuch sąsiada – jak pstrągi płynące na tarło, tak że czasami trudno było rozpoznać, gdzie jeden wilk się zaczyna, a drugi kończy.

Mech, wytarty do gołej ziemi, i ślady na drzewach prowadziły nas przez las; poczułem narastającą woń gnijącego jeziora, jeszcze zanim usłyszałem plusk wody. Jeden z wilków wysłał szybki obraz: kaczkę bezgłośnie sunącą po gładkiej niebieskiej powierzchni. Od drugiego dostaliśmy informację: samica jelenia z młodym, idącym na drżących nogach do wodopoju.

Nie liczyło się nic poza tym momentem, wymienianymi obrazami i milczącą, potężną więzią.

I wtedy, po raz pierwszy od miesiący, nagle przypomniałem sobie, że kiedyś miałem palce.

Potknąłem się i odłączyłem od sfory. Moje barki zaczęły drżeć i zmieniać kształt. Wilkołaki zatrzymały się gwałtownie, niektóre zawróciły, chciały zachęcić mnie do dalszego biegu, ale nie mogłem za nimi podążyć. Wiłem się na ziemi, lepkie liście przyklejały się do mojej skóry, ciepło łaskotało mi nozdrza.

Palcami orałem świeżą glebę. Czarne grudki zostawały pod paznokciami – nagle zbyt krótkimi, żeby mogły mnie bronić, rozmazywały się na twarzy. Moje oczy znów widziały wszystko w wyraźnych barwach.

Znowu byłem Cole'em. Wiosna nadeszła za wcześnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

ISABEL

Tego dnia, gdy policjant przyszedł do księgarni, po raz pierwszy usłyszałam, jak Grace narzeka na ból głowy. W jej przypadku to było coś wartego odnotowania, bo od kiedy ją poznałam, nigdy nie miała nawet kataru. Poza tym byłam ekspertką od bólu głowy. Stanowił moje hobby.

Po obejrzeniu przedstawienia z Samem i Koenigiem w rolach głównych ruszyłam do szkoły, która na tym etapie mojego życia stała się czymś zdecydowanie złą. Nauczyciele tak naprawdę nie wiedzieli, co ze mną zrobić, bo choć frekwencję miałam straszną, to nadal mogłam się pochwalić znakomitymi ocenami, więc dużo rzeczy uchodziło mi na sucho. Nasze niepisane porozumienie generalnie sprowadzało się do tego: zacznę przychodzić na zajęcia, a w zamian pozwolą mi robić wszystko, na co mam ochotę. Dopóty dopóki nie będzie to miało negatywnego wpływu na innych uczniów.

Więc pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, gdy dotarłam na informatykę, było posłuszne włączenie komputera. Potem mniej grzecznie wyciągnęłam z torby książki, które kupiłam tego ranka. Była wśród nich ilustrowana encyklopedia chorób – pachnące kurzem opaste tomiszczce z 1986 roku. Pewnie jedna z pierwszych pozycji w asortymencie „Krzywej Półki”. Podczas gdy pan Grant wyjaśniał, co mamy robić, ja przerzucałam strony w poszukiwaniu najbardziej makabrycznych obrazków. Było tam zdjęcie osoby cierpiącej na porfirię, pacjenta z tojotokowym zapaleniem skóry czy przedstawiające nicienie w akcji. To ostatnie, ku mojemu zaskoczeniu, sprawiło, że żołądek podszedł mi do gardła.

Przeszłam do litery „z”. Przesuwałam palcem po stronie, aż dotarłam do hasła „zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, bakteryjne”. Poczułam pieczenie u nasady nosa. Przyczyny. Objawy. Rozpoznanie. Leczenie. Rokowania. Wskaźnik umieralności nieleczzonego bakteryjnego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych: 100 procent. Wskaźnik umieralności leczzonego bakteryjnego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych: od 10 do 30 procent.

W sumie nie musiałam tego sprawdzać; już znałam statystyki. Mogłam wyrecytować z pamięci całą stronę. Wiedziałam więcej niż ta encyklopedia z 1986 roku, bo przeczytałam wszystkie dostępne w sieci artykuły medyczne na temat najnowszych sposobów leczenia i nietypowych przypadków tej choroby.

Krześło obok mnie zaskrzypiało, gdy ktoś na nim usiadł; nie musiałam nawet podnosić wzroku znad książki, żeby wiedzieć, że to Grace. Zawsze używała tych samych perfum, a może raczej tego samego szamponu.

- Isabel – powiedziała cicho, podczas gdy inni uczniowie trajkotali w najlepsze. – To naprawdę przesada. Nawet jak na ciebie.
- Odwal się.
- Potrzebujesz terapii. – Słowa poważne, ale lekki ton.
- Właśnie jestem w trakcie. Po prostu próbuję się dowiedzieć, jak przebiega zapalenie opon mózgowych. I nie przesadzam. A ty nie chcesz wiedzieć, jak rozwiązał się mały problem Sama?

Grace wzruszyła ramionami i zaczęła się kręcić na krześle obrotowym. Ciemne blond włosy opadły na jej zarumienione policzki. Wbiła wzrok w ziemię. Wyglądała na skrępowaną.

- Już jest po wszystkim.
- Jasne – mruknęłam.
- Jeśli zamierzasz tak zrędzić, to nie będę obok ciebie siedziała – ostrzegła Grace. – Zresztą i tak nie czuję się za dobrze. Wolałabym być w domu.
- Ja tylko powiedziałam: „Jasne”. To nie jest zrządzenie, Grace. Uwierz mi – zaprotestowałam. – Jeśli chcesz, żebym wyzwoiliła swoją wewnętrzną zrę...

- Moje drogie panie... - Pan Grant pojawił się obok mnie i spojrzał na pusty ekran komputera przede mną oraz na wygaszony monitor Grace. – Zdaje się, że jest to lekcja informatyki, a nie wieczorek zapoznawczy. Czyżbym się mylił?

Grace spojrzała na niego błagalnie.

- Proszę pana, czy mogę pójść do pielęgniarki? Strasznie boli mnie głowa... chyba to zatoki, czy coś takiego.

Pan Grant spojrzał na jej zarumienione policzki oraz na smętny wyraz twarzy i skinął głową.

- Ale chcę usprawiedliwienie od pielęgniarki – powiedział jej po tym, jak podziękowała mu i wstała.

Nie odezwała się do mnie, gdy wychodziła. Postukała tylko paznokciami w oparcie mojego krzesła.

- A ty... - zaczął pan Grant, po czym zerknął na encyklopedie wciąż otwarta na moich kolanach. Nie dokończył zdania. Pokiwał tylko głową, raczej do siebie, i odszedł.

Powróciłam do moich nadprogramowych studiów na temat śmierci i choroby. Gdyż niezależnie od tego, co myślała Grace, ja wiedziałam, że w Mercy Falls nigdy nie będzie po wszystkim.

ROZDZIAŁ CZWARTY

GRACE

Kiedy wieczorem Sam wrócił z księgarni do domu, akurat siedziałam przy kuchennym stole i wymyślałam spóźnione postanowienia noworoczne.

Robiłam to od czasu, gdy miałam dziewięć lat. Każdego roku w święta siadałam przy stole w kuchni, pod przyćmionym żółtym światłem lampy; zgarbiona, ubrana w ciepły golf z uwagi na chłód ciągnący od przeszklonych drzwi, które wiodły na taras, zapisywałam swoje cele na następny rok. W zwykłym czarnym notesie, który kiedyś sobie kupiłam, notowałam także to, co z poprzedniej listy udało mi się osiągnąć w minionych dwunastu miesiącach. I niezmiennie każdego roku obie moje listy wyglądały identycznie.

Tylko ostatniej zimy nie zrobiłam żadnych postanowień. Cały świąteczny miesiąc starałam się nawet nie wyglądać na taras, próbowałam nie myśleć o wilkach, a przede wszystkim o Samie. Planowanie przyszłości byłoby wtedy zwykłym oszustwem.

Ale teraz, gdy znów miałam Sama, czarny notes – ustawiony schludnie na półce obok poradników na temat wyboru kariery zawodowej i książek biograficznych – zaczął mnie prześladować. Nieustannie śniło mi się, że siedzę przy kuchennym stole ubrana w sweter z golfem i próbuję zapisywać noworoczne postanowienia, ale nie udaje mi się zapełnić ani jednej strony.

Wreszcie nie mogłam już dłużej tego znieść. Wiedziałam, że do powrotu Sama mam jeszcze trochę czasu, wzięłam więc notes i ruszyłam do kuchni. Zanim usiadłam, łyknęłam kolejne dwa ibuprofeny. Te, które w szkole dała mi pielęgniarka, dość skutecznie stłumiły ból głowy. Chciałam mieć jednak pewność, że dolegliwość nie pojawi się znowu. Zdążyłam zapalić wiszącą nad stołem lampę z abażurem w kształcie kwiatu, gdy zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę.

- Halo?
- Grace, cześć. – Minęła chwila, nim uświadomiłam sobie, że to dzwoni ojciec. Przez ostatnie tygodnie jakoś odwykłam od brzmienia jego głosu, spłaszczonego i rozmytego przez linie telefoniczne.
- Czy coś się stało? – zapytałam.
- Co? Nie. Nic się nie stało. Dzwonię tylko, żeby dać ci znać, że twoja matka i ja idziemy do Pata i Tyny. Do domu wrócimy koło dziewiątej.
- Okeeej, tato – powiedziałam do słuchawki, zdziwiona, bo przecież znałam już plany rodziców – mama mówiła mi o tym rano przed wyjściem do pracowni, gdy ja śpieszyłam się do szkoły.

Po chwili milczenia ojciec zapytał:

- Jesteś sama?

A więc o to chodziło. Z jakiegoś powodu to pytanie sprawiło, że poczułam dławienie w gardle.

- Nie – rzuciłam. – Elvis jest tutaj. Chciałbyś z nim porozmawiać?

Tata udał, że nie słyszy mojej odpowiedzi.

- Czy Sam jest z tobą?

Miałam ochotę skłamać tylko po to, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

- Nie. Odrabiam lekcje. – To była półprawda; mój głos brzmiał dziwnie, defensywnie.

Chociaż rodzice wiedzieli, że Sam jest moim chłopakiem – nie trzymaliśmy naszego związku w tajemnicy – to nadal nie mieli pojęcia, co tak naprawdę się dzieje. Każdej nocy Sam zostawał u mnie, a oni myśleli, że śpię sama. Nie domyślali się, jakie nadzieje na przyszłość z nim wiążę. Byli przekonani, że jest to zwykły, niewinny związek dwojga nastolatków, który prędzej czy później się skończy. Ich niewiedza miała na razie same plusy.

- W porządku – odparł tata w sposób, który zdradzał spore zadowolenie i aprobatę dla faktu, że jestem sama i zajmuję się nauką. To właśnie powinna robić Grace każdego dnia i Boże broń, żebym miała złamać rutynę. – Planujesz spokojny wieczór?

Usłyszałam, jak drzwi frontowe otwierają się i Sam wchodzi do holu.

- Tak – rzuciłam do słuchawki, a w salonie pojawił się mój chłopak, z futerałem na gitarę w dłoni.
- Dobrze. No cóż, do zobaczenia później – pożegnał się tata. – Miłej nauki.

Rozłączyliśmy się w tym samym momencie. Obserwowałam, jak Sam w milczeniu zdejmuje kurtkę i rusza prosto do gabinetu.

- Cześć, chłopcze – powiedziałam, gdy wrócił; teraz trzymał w dłoni gitarę już bez futerału. Uśmiechnął się do mnie, ale coś w wyrazie jego twarzy mnie zaniepokoiło. – Wydajesz się spięty.

Padł na sofę w salonie i na wpół siedząc, przebiegł palcami po strunach gitary, wydobywając fałszywy akord.

- Isabel przyszła dziś do sklepu – odezwał się.
- Naprawdę? Czego chciała?
- Jakichś książek. I powiedziała mi, że widziała wilki koło swojego domu.

Natychmiast pomyślałam o jej ojcu i polowaniach, które zorganizował zimą. Z zatroskanej miny Sama wywnioskowałam, że myśli o tym samym.

- To niedobrze.
- No właśnie – zgodził się. Jego palce poruszały się niespokojnie po strunach, instynktownie, bez wysiłku wybierając piękne minorowe akordy. – Wizytę złożył mi też policjant – dodał po chwili.

Zaskoczona odłożyłam ołówek i oparłam się o blat stołu, żeby móc obserwować twarz Sama.

- Co?! Czego chciał?

Sam zawahał się.

- Chodziło o Olivię. Pytał, czy moim zdaniem to możliwe, żeby mieszkała w lesie.
- Co?! – powtórzyłam z niedowierzaniem. Przecież to mało prawdopodobne, żeby ktoś tak po prostu na to wpadł. – Niby dlaczego policja tak myśli...?
- Oczywiście, nikt nie podejrzewa, że Olivia jest wilkiem, ale chyba przypuszczają, że ją ukrywamy. Albo że mieszka w pobliżu, a my jej pomagamy, czy coś w tym stylu. Powiedziałem, że nie sprawiła na mnie wrażenia osoby, która da sobie radę w dziczy, a Koenig podziękował mi i poszedł.
- Łał! – Odchyliłam się na krześle, rozważając jego słowa. W sumie dziwiło mnie tylko to, że nie przepytali Sama wcześniej, skoro rozmawiali ze mną niedługo po tym, jak Olivia „uciekła”. Ale zapewne dopiero niedawno zorientowali się, że coś nas łączy. Wzruszyłam ramionami. – Po prostu sprawdzają wszystkie opcje. Nie sądzę, żebyśmy mieli się czym przejmować. Poza tym ona niedługo wróci, prawda? Jak myślisz, kiedy nowe wilki zaczną się z powrotem przemieniać?

Sam nie odpowiedział od razu.

- Początkowo nie pozostają zbyt długo w ludzkiej formie. Będą naprawdę niestabilne. To zależy od pogody, ale też od cech osobniczych. No wiesz, ludzie różnie reagują na tę samą temperaturę; jedni noszą swetry, podczas gdy innym wystarcza T-shirt. Więc jest możliwe, że niektóre wilki już przemieniały się w tym roku.

Przez chwilę wyobraziłam sobie Olivie pędzącą przez las w swoim nowym wilczym ciele, po czym wróciłam myślami do tego, co mówił Sam.

- Naprawdę? Już? Więc ktoś mógł ja widzieć?

Sam pokręcił głową.

- W taką pogodę ona pozostanie w ludzkim ciele przez kilka minut; szczerze wątpię, żeby ktoś zdołał ją zobaczyć. To jest po prostu... to jest jak przemiana próbna.

Uciekł gdzieś wzrokiem, jego myśli błądziły daleko. Może przypominał sobie, jak to odbywało się w jego przypadku, kiedy był nowym wilkiem.

Wzdrygnęłam się mimowolnie; myśl o Samie i jego rodzicach zawsze tak na mnie działała. Poczułam nieprzyjemny chłód w żołądku, który ustąpił dopiero, kiedy Sam powrócił do gry na gitarze. Przez kilka długich minut wędrował palcami po strunach, a gdy w końcu przestał grać, znów spuściłam wzrok na notes.

Tak naprawdę nie byłam w stanie się skupić na swoich postanowieniach; w mojej głowie wciąż pojawiał się obraz małego Sama przemieniającego się w tę i z powrotem, podczas gdy jego rodzice obserwują go z przerażeniem. Nagryzmoliłam prostopadłościan w rogu strony.

Wreszcie Sam się odezwał:

- Co robisz? To wygląda podejrzanie kreatywnie.
- No, co...?

Patrzyłam na niego z uniesioną brwią, dopóki się nie uśmiechnął. Znów zgrabnie przebierając palcami po strunach, zaśpiewał:

*Czy Grace opuściła wszechświat cyfr
I wkroczyła w krainę słów?*

- To się nawet nie rymuje – zaprotestowałam.

*Porzuciła algebry przedziwny szyfr
Z miłości do czasowników?*

Dokończył, a ja się skrzywiłam, mówiąc:

- „Słów” i „czasowników” to niezbyt ambitny rym. Spisuje noworoczne postanowienia.
- Rym to rym – stwierdził stanowczo Sam. Podszedł z gitarą do stołu i usiadł naprzeciwko mnie. Instrument wydał niski dźwięk, gdy delikatnie zahaczył o krawędź blatu. – Pozwolisz, że spojrzę? Ja nigdy nie spisywałem żadnych postanowień. Chcę zobaczyć, jak wygląda proces organizowania sobie życia. – Przyciągnął do siebie leżący na stole otwarty notes i zmarszczył brwi. – Co to jest? – zapytał zdumiony, patrząc na listę z zeszłego roku. – No, to twoje postanowienie numer trzy: „Wybrać college”. Czy już to zrobiłaś?

Przysunęłam notatnik z powrotem do siebie i szybko przewróciłam kartkę, odstawiając pusta stronę.

- Nie. Rozproszył mnie jeden słodki chłopak, który zamienił się w wilka. Po raz pierwszy nie udało mi się zrealizować wszystkich obietnic. I żebyś wiedział, że to twoja wina. Muszę się wziąć za siebie.

Uśmiech Sama odrobinę zbladł. Odsunął krzesło i oparł gitarę o ścianę, a następnie sięgnął po długopis i kartkę, leżące obok telefonu.

- Okej. W takim razie ja też zrobię spis.

Ja napisałam: „Zdobyc pracę”. On: „Dalej kochać swoją pracę”. Ja zanotowałam: „Pozostać szaleńczo zakochaną”. On: „Pozostać człowiekiem”.

- Bo ja zawsze będę szaleńczo zakochany – wyjaśnił, patrząc w papier zamiast na mnie.

Przyglądałam się mu, dopóki nie podniósł wzroku.

- Znowu zamierzasz zapisać punkt: „Wybrać college”? – zapytał.
- A ty? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie, starając się, żeby mój głos nie brzmiał zbyt poważnie.

To był trudny temat. Zmieraliśmy ku pierwszej rozmowie o tym, jak będzie wyglądała nasza przyszłość; teraz, gdy Sam mógł żyć normalnym życiem. Najbliższy college był w Duluth, godzinę drogi stąd, a wszystkie inne szkoły, które ambitnie wytypowałam, zanim poznałam Sama, znajdowały się jeszcze dalej.

- Ja zapytałem pierwszy.
- Jasne – odpowiedziałam gładko, udając beztroskę. Nagryzmołam: „Wybrać college”, pismem, które wyglądało zupełnie inaczej niż reszta punktów na liście. – A ty...? – Serce nieoczekiwanie zaczęło mi bić szybciej, jak w ataku paniki.

Sam nie odpowiedział, podniósł się za to z krzesła i poszedł do kuchni. Obróciłam się i obserwowałam, jak wstawia wodę na herbatę. Wyjął dwa kubki z szafki nad kuchenką, a sposób, w jaki to zrobił, te tak bardzo znajome gesty napełniły mnie rozczuleniem. Zwalczyłam pragnienie, żeby podejść i go objąć.

- Beck chciał, żebym poszedł na studia prawnicze – zaczął Sam, wodząc palcem po krawędzi mojego ulubionego kubka w kolorze jaj drozda. – Nigdy mi tego nie powiedział, ale słyszałem, jak zwierzał się Urlikowi.
- Trudno mi wyobrazić sobie ciebie jako prawnika – przyznałam.

Sam uśmiechnął się ironicznie i pokręcił głową.

- Ja też nie widzę siebie w tej roli. Nie widzę siebie jeszcze w żadnej roli, jeśli mam być szczery. Wiem, że to brzmi... strasznie. Jakbym nie miał żadnych ambicji. – Znowu ściągnął brwi w zamyśleniu. – Ale ta idea przyszłości jest dla mnie naprawdę nowa. Wcześniej w ogóle nie brałem pod uwagę, że mógłbym pójść do college’u. Nie chcę podejmować takiej decyzji w pośpiechu. – Musiałam gapić się na niego, bo szybko dodał: – Ale nie chcę, żebyś ty czekała, Grace. Nie chcę wstrzymywać cię przed pójściem dalej tylko dlatego, że ja jeszcze nie mogę się zdecydować.
- Moglibyśmy pójść gdzieś razem – zauważyłam, zdając sobie sprawę, że moje słowa brzmią dziecinnie.

Czajnik zagwizdał. Sam zdjął go z ognia, mówiąc:

- Jakoś wątpię, żeby ten sam college był idealny dla dobrze zapowiadającego się geniusza matematycznego oraz dla miłośnika mrocznej poezji. Choć przypuszczam, że to możliwe. – Wyrżał przez okno na zamarznęty szary las. – A ja nawet nie wiem, czy naprawdę mogę stąd odejść. Tak całkiem. Bo kto zaopiekuje się sforą?
- A czy nie po to zostały stworzone nowe wilki?

To pytanie wydało się dziwne w moich ustach. Bezwzględne. Tak jakby życie sfory było czymś sztucznym, możliwym do zaplanowania i opanowania. Nikt nie miał pojęcia, jacy są ci nowi. Nikt poza Beckiem, ale on, niestety, nie mógł już podzielić się z nami tą wiedzą.

Sam potarł czoło jak ktoś, kogo przerasta sytuacja; tego dnia, od kiedy wrócił z pracy, robił to często.

- Tak, wiem – powiedział. – Wiem, że właśnie po to są.
- Beck chciałby, żebyś odszedł – szepnęłam. – I uważam, że możemy znaleźć wspólną szkołę.

Sam zerknął na mnie, wciąż dociskając palce do skroni.

- Ja też tego chcę. Ale... chciałbym również... chciałbym poznać te nowe wilki i przekonać się, jakimi są ludźmi. Wtedy poczułbym się lepiej. Może jak się upewnię, że wszystko tutaj jest pod kontrolą, łatwiej mi będzie odejść...

Przekreśliłam punkt: „Wybrać college” falista linią.

- Poczekam na ciebie – oświadczyłam.
- Ale nie będziesz czekać w nieskończoność – zastrzegł Sam.
- Nie. Jeśli okażesz się bezużyteczny, pojedę bez ciebie – zażartowałam, stukając ołówkiem w zęby. – Myślę, że powinniśmy rozejrzeć się za nowymi wilkami już jutro. Zadzwonię do Isabel i zapytam je o te, które widziała koło swojego domu.
- Niezły plan – zgodził się Sam.

Powrócił do swojej listy i dopisał coś do niej. Potem uśmiechnął się do mnie i przekręcił kartkę tak, żebym mogła przeczytać: „Słuchać się Grace”.

SAM

Długo myślałem o rzeczach, które mógłbym dodać do swojego spisu postanowień. O rzeczach, których pragnąłem, jeszcze zanim uświadomiłem sobie, co dla mojej przyszłości oznacza bycie wilkiem. O rzeczach takich jak: „Napisać powieść” i „Założyć zespół”, i „Zrobić dyplom z literatury”, i „Podróżować po świecie”. Rozważanie tego teraz – po tym, gdy tak długo musiałem sobie powtarzać, że to wszystko jest niemożliwe – wydawało mi się dziwaczne i fantastyczne.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak wypełniam formularz aplikacyjny do college’u. Jak piszę streszczenie swojej książki. Jak na tablicy ogłoszeń na poczcie, naprzeciwko skrytki pocztowej Becka, przypinam informację, że poszukuję perkusisty do zespołu.

Słowa tańczyły w mojej głowie, oszałamiające w swej nagłej bliskości.

Chciałem dodać je do swojej listy postanowień, ale po prostu... nie potrafiłem.

Tamtego wieczoru, gdy Grace brała prysznic, wyciągnąłem kartkę i spojrzałem na nią znowu. I dopisałem: „Uwierzyć w to, że zostałem wyleczony”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

COLE

Byłem człowiekiem.

Byłem niewyspany, wykończony, skołowany. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Wiedziałem tylko, że upłynęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz byłem przytomny. I że co najmniej raz musiałem znowu przemienić się w wilka, a potem kolejny raz – w człowieka. Jęcząc, przekręciłem się na plecy. Zaciskałem i rozwierałem pięści, wypróbując swoją siłę.

Wczesnym rankiem w lesie doskwierało mi przeraźliwe zimno; mgła wisała w powietrzu, zabarwiając wszystko delikatnym srebrem. Tuż obok mnie wilgotne pnie sosen wylaniały się z oparów, czarne i surowe. Nieco dalej zamieniały się w pastelowo niebieskie, a potem znikwały całkowicie w mlecznej bieli.

Leżałem w błocie; czułem, że całe plecy mam pokryte warstewką zaschniętej ziemi. Kiedy podniosłem rękę, żeby oczyścić skórę, okazało się, że dłonie też mam uwalane – rozrzedzoną gliną, która wyglądała jak jakaś kupa niemowlaka. Cuchnęły jeziorem. Rzeczywiście, usłyszałem wodę pluskającą bardzo blisko, z mojej lewej strony. Wyciągnąłem rękę w bok i poczułem jeszcze więcej błota, a potem wodę.

Jak się tu znalazłem? Pamiętałem, że biegłem ze sforą, a potem się przemieniłem. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć, żebym dotarł aż do jeziora... Więc prawdopodobnie przeszedłem kolejną transformację.

Logika tego wszystkiego (a raczej jej brak) doprowadzała mnie do szału. Beck powiedział mi, że z czasem te zmiany staną się bardziej kontrolowane. Więc czemu nie wiem nawet tego, ile razy byłem wilkiem...?

Więc leżałem na ziemi. Mięśnie mi drżały, zimno szczypało nagą skórę. Wiedziałem, że wkrótce znowu stanę się zwierzęciem. Boże, byłem taki zmęczony...

Uniosłem trzęsące się ręce, dziwiąc się gładkiej skórze ramion – większość blizn świadcząca o moim dawnym życiu zniknęła. Odradzałem się w pięciominutowych interwałach.

Do moich uszu dobiegł jakiś szmer. Odwróciłem twarz, przytulając policzek do ziemi, żeby zobaczyć, czy coś mi zagraża. Niedaleko stała biała wilczyca. Obserwowała mnie, na wpół schowana za drzewem. Jej futro lśniło złotem i różem w promieniach wschodzącego słońca. Zielone oczy, dziwnie melancholijne, długo wpatrywały się w moje. W sposobie, w jaki na mnie patrzyła, było coś, co wydawało mi się obce. Ludzkie oczy, ale pozbawione zazdrości, litości czy gniewu; spoglądające bez osądzania, jedynie w myślącym namyśle.

Nie wiedziałem, jak powinienem na to zareagować.

– Na co się gapisz? – warknąłem.

Wilczyca bezszelestnie zniknęła we mgle.

Moim ciałem szarpnął spazm; skóra przeistoczyła się w inną formę.

* * *

Nie wiedziałem, ile czasu upłynęło tym razem od ostatniej przemiany. Czy to były minuty? Godziny? Dni? Był późny poranek. Nie czułem się jak człowiek, ale też nie byłem już wilkiem. Zawisłem gdzieś pomiędzy, mój umysł przeskakiwał od wspomnień do chwili obecnej i odwrotnie. Przeszłość i przyszłość były równie namacalne. Myślami przeniosłem się najpierw do dnia moich siedemnastych urodzin, a potem do momentu, gdy moje serce przestało bić w klubie „Josephine”. I tam pozostałem na dłużej, choć nie był to wieczór, który chciałbym przeżyć raz jeszcze.

Oto kim byłem, zanim stałem się zwierzęciem: byłem Cole'em St. Clairem, głównym wokalistą „NARKOTIKI”.

Zapadał zmrok. Mróz ścinał kałuże, pokrywając ulice Toronto cienką warstwą lodu. Zimne powietrze dławilo coraz bardziej. W podziemiach starego magazynu, w którym mieścił się klub „Josephine”, było gorąco jak w samym Hadesie.

Tłum był piekielny. Temperatura rosła.

Byliśmy na fali. Graliśmy naprawdę ważny koncert (jeden z wielu istotnych w naszej karierze), ale ja nie miałem siły, żeby wyjść na scenę. Już dawno wszystkie występy zaczęły mi się zlewać, rozróżniałem je jedynie na podstawie tego, czy byłem w ich trakcie naćpany, czy nie. Pamiętałem też takie, podczas których przez cały czas chciało mi się sikać. Zdawałem sobie sprawę, że powoli tracę wszystko. Przestało mi zależeć na życiu, sławie, popularności i ideach, które wymyśliłem sobie, kiedy miałem szesnaście lat i za którymi wciąż goniłem.

Gdy wnosiliśmy z chłopakami sprzęt do klubu, zaczepiła nas dziewczyna; twierdziła, że nazywa się Jackie. Dała nam prochy, jakich nigdy dotąd nie widziałem.

- Cole – szepnęła mi do ucha, jakby знаła mnie samego, a nie tylko moje imię – Cole, to zabierze cię w miejsce, w którym nigdy wcześniej nie byłeś.
- Kotku – odparłem, balansując futerałem na keyboard tak, żeby nie uderzać nim o ściany szurzego labiryntu ciągnącego się pod klubem – ostatnimi czasy dużo mi potrzeba, żeby osiągnąć taki stan.

Uśmiechnęła się szeroko, jakby znała jakiś sekret. W przyćmionym świetle jej zęby miały żółtawy odcień.

- Spoko, wiem, czego ci trzeba. – Pachniała cytrynami.

Prawie się zaśmiałem, ale zamiast tego obróciłem się i naparłem barkiem na wpół przymknięte drzwi. Spojrzałem ponad głowę dziewczyny na Victora i krzyknąłem:

- Vic, no chodź! – Po czym spuściłem wzrok na jej ozdobione pasemkami włosy. – Też to bierzesz?

Jackie przesunęła palcem po moim ramieniu aż do obcisłego rękawka T-shirtu.

- Gdybym teraz na tym jechała, już byłbyś w raju...

Poklepałem ją po ręce i nadstawiłem dłoń. Gdy zrozumiała, o co mi chodzi, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła plastikową torebkę z jaskrawozielonymi pigułkami. Każda oznaczona była podwójnym „t”. Zastępowały na szóstkę za ładny wygląd, ale co w nich było...?

Poczułem, że wibruje mi telefon. Normalnie pozwoliłbym, żeby dzwoniący nagrał się na pocztę głosową, ale chciałem przerwać rozmowę z Jackie, która stała zdecydowanie zbyt blisko mnie, oddychając moim powietrzem. Wyłowiłem komórkę ze spodni i przytknąłem do ucha.

- Ta.
- Cole, cieszę się, że cie złapałem. – To był Berlin, mój agent. Mówił konkretnie i szybko, jak zawsze. – Posłuchaj tego: „Dziś »NARKOTIKA« szturmem zdobywa pierwsze miejsca na listach przebojów dzięki ostatniemu albumowi »13all«. Błyskotliwy i frenetyczny lider zespołu, Cole St. Clair, zaskoczył fanów i krytyków. Chociaż po jego pierwszym nieudanym albumie, który wydał w wieku szesnastu lat, niewielu na niego stawiało... - Sorry, człowieku, tak napisali – Trzej...”. Słuchasz mnie, Cole?
- Nie – przyznałem.
- Cóż, a powinieneś. To są słowa Elliota Fry’a – podkreślił Berlin. Gdy nie zareagowałem, dodał: - Pamiętasz? Elliot Fry. Ten, który nazwał cię opryskliwym, nadpobudliwym dzieciakiem z keyboardem. A teraz jesteś dla niego bogiem. Totalna zmiana. To twój czas, człowieku!

- Świetnie – rzuciłem i rozłączyłem się, po czym odwróciłem się do Jackie. – Biorę wszystko, co masz. Powiedz Victorowi. On jest moją portmonetką.

Victor zapłacił za prochy. Ale to ja o nie poprosiłem, więc chyba jednak to była moja wina... A może to była wina Jackie, która nie powiedziała nam, co rozprowadza...? Takie właśnie rzeczy działy się w klubie „Josephine”. Można tu było przeżyć odlot, jakiego w życiu się nie doświadczyło. A tykanie prochów nieznanego pochodzenia, nowiutkich i lśniących, w końcu nie było najgorszą rzeczą, do jakiej zmusiłem Victora.

Jeszcze zanim wyszliśmy na scenę, Victor połknął jedną z zielonych pigułek i popił ją piwem. W tym czasie Jeremy – który żył zgodnie z zasadą, że jego ciało to świątynia – obserwował go i sączył zieloną herbatę. Ja wziąłem kilka tabletek, popijając je jakimś napojem gazowanym. Kilka, nie wiem ile. Kiedy wchodziliśmy na scenę, poczułem się nieco rozczarowany zakupem. Towar Jackie zawodził – nie czułem absolutnie nic.

Zaczęliśmy koncert. Tłum szalał, napierał na nas, wyciągał do nas ręce, wykrzykiwał nazwę naszego zespołu.

Siedzący za garami Victor też wrzeszczał. Odleciał kompletnie, jak cholerny latawiec. Cokolwiek Jackie nam sprzedała, na niego podziałało. Ale w sumie jemu nigdy nie trzeba było wiele... Stroboskopy oświetlały fragmenty widowni – szyja tutaj, błysk ust tam, kawałek nagiego uda owiniętego wokół talii innego tańczącego.

W głowie dudniło mi od rytmów, które narzucał Victor, serce waliło mi dwa razy szybciej niż zwykle. Podniosłem rękę, żeby poprawić sobie mikrofon bezprzewodowy, a wtedy poczułem pod palcami gorącą skórę szyi. Dziewczyny krzychały moje imię.

Była taka jedna, którą z jakiegoś powodu ciągle odszukiwałem wzrokiem. Jej blada skóra wydawała się niemal biała w kontraście z czarnym podkoszulkiem. Wprost wyła moje imię, jakby sprawiało jej to fizyczny ból; jej źrenice były tak rozszerzone, że miałem wrażenie, że patrzę w czarne dziury. Przypominała mi siostrę Victora. Było coś w krzywiznie jej nosa, w tym, jak wisały na niej dżinsy, ledwo utrzymywane przez sugestie bioder. Ale to niemożliwe, żeby Angie była w klubie takim jak ten.

Nagle zrozumiałem, że nie chcę dłużej tutaj być. Nie czułem już adrenaliny na dźwięk mojego imienia wyrzaskiwanego przez tłum. Bicie mego serca zagłuszało muzykę, więc przestała mi się wydawać czymś ważnym.

To był moment, w którym powinienem zacząć śpiewać, przerywając rytm wybijany przez Victora, ale nie miałem na to ochoty, a Victor za bardzo odleciał, żeby to zauważyć. Tańczył na siedząco, totalną swobodę ruchu ograniczały mu tylko pałeczki perkusji w dłoniach.

Tuż przede mną, w morzu nagich brzuchów i spoconych ramion wyciągniętych do góry, stał koleś, który w ogóle się nie ruszał, oświetlany sporadycznie przez stroboskopy i lasery. Byłem zafascynowany tym, że stoi zupełnie nieruchomo, mimo napierających na niego ciał. Obserwował mnie, mocno ściągając brwi.

Gdy odwzajemniłem to spojrzenie, przypomniałem sobie zapach domu, tak daleko od Toronto.

Zastanawiałem się, czy ten facet jest prawdziwy. Próbowałem uświadomić sobie, czy cokolwiek w tym cholernym miejscu jest realne.

Skrzyżował ramiona na piersiach, wpatrując się we mnie. A moje serce zaczęło walić jak oszalałe.

Powinienem był skupić się na tym, żeby je uspokoić, ale zanim zdążyłem to zrobić, mój puls przyspieszył jeszcze bardziej. Czułem, że serce wyrывa mi się z piersi w eksplozji gorąca. Uderzyłem twarzą o keyboard – instrument zakwilił przeciągle – i przytrzymałem się kurczowo klawiatury ręką, która już nie należała do mnie.

Leżałem na scenie, a żar mojego policzka podpalał jej deski. Kątem oka zobaczyłem, jak Victor miażdży mnie spojrzeniem, jakby wreszcie zauważył, że zapomniałem swojej kwestii.

Zamknąłem oczy na scenie klubu „Josephine”.

To był koniec „NARKOTIKI”. To był koniec Cole’a St. Claira.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

GRACE

- Wiesz – narzekała Isabel – gdy mówiłam ci, żebyśmy zdzwoniły się w weekend i może razem coś porobiły, nie miałam na myśli włączenia się z tobą po lesie w temperaturze poniżej zera.

Skrzywiła się, patrząc na mnie. Była blada i jakoś dziwnie pasowała do tych zimnych wiosennych lasów, ubrana w białą parkę z kapturem obszytym futrem, który idealnie obramowywał jej szczupłą twarz i podkreślał ostre rysy oraz oczy w kolorze lodu. Przypominała mi trochę zagubioną nordycką księżniczkę.

- Przecież nie ma mrozu – odparłam, strząsając grudę miękkiego śniegu z buta. – Więc chyba nie jest aż tak źle? A ty chciałaś się wyrwać z domu, prawda?

Pogoda naprawdę nie była taka zła. Zrobiło się dość ciepło – śnieg stopniał wszędzie tam, gdzie docierało słońce, i tylko pod drzewami pozostały jeszcze łąty bieli. Co prawda, poranny chłód nadal sprawiał, że nie czułam czubka nosa, a dłonie musiałam chować w rękawiczkach, jednak krajobraz od razu nabrał łagodniejszego wyglądu, przełamując monotonne barwy zimy nowymi kolorami.

- Właściwie sama powinnaś wskazywać drogę – dodałam. – Przecież to ty widziałaś tutaj sforę.

Bór rozciągający się za domem rodziców Isabel był mi zupełnie obcy. Mnóstwo sosen i jakichś prostych drzew o szarej korze, których nazwy nie znałam. Byłam pewna, że Sam potrafiłby je zidentyfikować.

- Jasne, ale czy ja wyglądam na kogoś, kto ugania się za wilkami po lesie? – odpowiedziała Isabel. Wreszcie przyspieszyła kroku, aż zrównała się ze mną. Szłyśmy tuż obok siebie, przestępując zwalone pnie i omijając zarośla. – Po prostu zauważyłam, że zawsze nadchodzą z tej samej strony, i słyszałam, jak wyją w kierunku jeziora.
- Jakiego jeziora? Dwóch Wysp? – zapytałam. – Czy to daleko stąd?
- Dość daleko – zrzędziła nadal Isabel. – Słuchaj, co my właściwie tu robimy? Odstraszamy wilki? A może szukamy Olivii? Gdybym wiedziała, że Sam wszystko ci opowie, piszczał przy tym ze strachu jak mała dziewczynka, nic bym mu nie powiedziała...
- Sam mówi mi o wszystkim – stwierdziłam – ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek piszczał. Jest zaniepokojony. Naprawdę uważasz, że powinien zatrzymać to dla siebie?
- A ty myślisz, że istnieje szansa, że Olivia już się przemieniła? – Isabel nieco zmieniła temat. – Bo jeśli nie, to może skończymy ten oto poranny spacer, wrócimy do samochodu i pojedziemy na kawę?

Odepchnęłam gałąź, która zagroziła mi drogę, i zmrużyłam oczy; wydawało mi się, że widzę błysk wody pomiędzy drzewami.

- Sam jest przekonany, że nowe wilki już mogły zacząć się przemieniać, przynajmniej na chwilę, bo zrobiło się cieplej. Tak jak dzisiaj.
- Okej, ale jak już rozejrzemy się tu trochę, pojedziemy później na kawę – podkreśliła Isabel. – Patrz, jezioro jest tam. Zadowolona?
- Hm... - Zmarszczyłam brwi, zauważając nagle, że drzewa są inne niż wcześniej. Równomiernie rozmieszczone i rosnące rzadziej wśród splątanych i jakby młodszych zarośli.

Stałam jak wryta, gdy poraziła mnie plama koloru kontrastująca z monotonicznie brązową ziemią. Krokus – mały fioletowy kielich z ledwo widocznymi pręcikami żółci. Nieco dalej spostrzegłam więcej jasnozielonych pędów kielkujących przez stare liście, i jeszcze dwa kwiatki. Były to zwiastuny wiosny. Miałam ochotę paść na kolana i dotknąć delikatnych płatków, aby upewnić się, że są prawdziwe, ale powstrzymał mnie wzrok Isabel.

- Co to za miejsce?

Isabel przestąpiła powalony konar i stanęła obok mnie. Przyglądała się dzielnym krokusom.

- Ach, to. W okresie świetności naszego domu, zanim my tu zamieszkaliśmy, właściciele zrobili dróżkę prowadzącą do jeziora i urządzili ogródek nad brzegiem. Bliżej wody są ławeczki i rzeźba.
- Możemy je obejrzeć? – zapytałam, zafascynowana ideą ukrytego wśród lasu ogrodu.
- Jesteśmy na miejscu. Tu jest jedna z ławeczek. – Isabel poprowadziła mnie kilka kroków bliżej jeziora i kopnęła botkiem w betonowe siedzisko. Ławka pokryta była cienką warstwą mchu i złotorostu ściennego; nie zauważyłabym jej bez wskazówki Isabel. Jednak kiedy już wiedziałam, gdzie patrzeć, łatwo było odkryć pierwotny kształt ogrodu – kilka kroków dalej stała kolejna ławka oraz niewielki posąg kobiety z twarzą skierowaną ku jezioru i palcami uniesionymi do ust jakby w zdziwieniu. Z ziemi, wokół cokołu rzeźby oraz dookoła ławeczek, wyrastało więcej jasnozielonych pędów kwiatowych; dalej zobaczyłam jeszcze kilka krokusów wyłaniających się spod łąt śniegu. Isabel stała za moimi plecami, rozgarniając stopą liście, po czym nagle się odezwała.
- Spójrz na to. Tu jest jakaś płyta. To chyba było patio czy coś w tym stylu. Znalazłam to w zeszłym roku.

Zaczęłam odsuwać liście tak jak ona i rzeczywiście dotknęłam czegoś twardego jak skała, wilgotnego i brudnego. Na chwilę zapomnieliśmy, po co tak naprawdę tu przyszliśmy.

- Isabel, to nie jest tylko kamień. Patrz. To jest... to... - Nie wiedziałam, jak nazwać wijący się wzór, który właśnie ukazał się moim oczom.
- Mozaika – dokończyła Isabel, przyglądając się skomplikowanym kręgom u swoich stóp.

Uklęłam i patykiem oczyściłam jej fragment. Układankę tworzyły przeważnie kamienie w naturalnym kolorze, ale znalazło się też parę płytek lśniących czerwienią i błękitem. Odśloniłam większy fragment i zobaczyłam kręty wzór z wizerunkiem uśmiechniętego słońca pośrodku. Widok tej pełnej twarzy ukrytej pod gnijącym listowiem sprawił, że poczułam się dziwnie.

- Sam byłby zachwycony – zauważyłam.
- A tak w ogóle to gdzie on jest? – zapytała Isabel.
- Sprawdza las za domem Becka. Powinien był przyjść tu z nami.

Już sobie wyobrażałam jego zdumienie i fascynację odkrytymi mozaikami i posągiem. Sam uważał, że dla takich rzeczy warto było żyć.

Jakiś przedmiot leżący pod jedną z ławek przykuł moją uwagę. Sprawiał, że natychmiast powróciłam do rzeczywistości. Smukły, matowobiały... kość. Sięgnęłam po nią. Były na niej ślady kłów. Uświadomiłam sobie, że wokół wała się więcej kości, na wpół zagrzebanych pod liśćmi. Zauważyłam też wepchniętą pod ławkę poplamioną i obtłuczoną porcelanową miskę. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, co to oznacza.

Wyprostowałam się i stanęłam twarzą w twarz z Isabel.

- Dokarmiłaś je, prawda?

Isabel spojrzała na mnie gniewnie, nadąsana, i nie odpowiedziała.

Podniosłam miskę i wytrząsnęłam z niej dwa zeschnięte, pomarszczone liście.

- Czym je karmiłaś?
- Niemowlakami – warknęła Isabel.

Spiorunowałam ją wzrokiem.

- No, przecież że mięsem. Grace, nie jestem idiotką! Dawałam im jeść tylko wtedy, kiedy było naprawdę, naprawdę zimno. Równie dobrze zamiast wilków mogły to żreć głupie szopy pracze.

W jej głosie pobrzmiwało wyzwanie, niemal wściekłość. Miałam ochotę podroczyć się z nią w związku z tym nieoczekiwanym przejawem miłosierdzia wobec zwierząt, ale jej surowy ton sprawił, że się powstrzymałam i zamiast tego powiedziałam:

- Albo mięsożerne jelenie pragnące włączyć trochę białka do swojej diety.

Isabel uśmiechnęła się kącikiem ust. Ten jej uśmiech zawsze wyglądał bardziej jak ironiczny grymas.

- Myślałam, że może Wielka Stopa.

Nagle od strony jeziora rozległ się przenikliwy krzyk, przypominający upiorny śmiech, a po nim głośny plusk. Obie podskoczyłyśmy.

- Chryste – szepnęła przerażona Isabel, przyciskając sobie rękę do brzucha.

Ja odetchnęłam głęboko.

- To tylko nur. Musiałyśmy go wystraszyć.
- Dzika przyroda jest przereklamowana. W każdym razie nie sądzę, żeby Olivia była gdzieś w pobliżu, skoro to nam udało się wypłoszyć to ptaszysko. Myślę, że wilk zmieniający się w dziewczynę narobiłby więcej hałasu niż my. – Musiałam przyznać jej rację. Poza tym nie byłam pewna, jak wytłumaczymy wszystkim nagły powrót Olivii do Mercy Falls. Dlatego poczułam ulgę. – Czy teraz możemy wreszcie iść na kawę?
- Taa – odpowiedziałam, ale ruszyłam przez ukryte patio w kierunku jeziora. Kiedy już wiedziałam, że pod stopami mam mozaikę, łatwo rozpoznawałam, jak jej powierzchnia różni się od naturalnego podszycia lasu. Podeszłam do posągu kobiety, w zachwycie unosząc palce do ust. Zorientowałam się, że nieświadomie naśladuję gest kamiennej rzeźby, dopiero gdy objęłam wzrokiem spokojną taflę wody, ścianę nagich drzew wokół jeziora i nura o czarnej głowie, unoszącego się na powierzchni. – Widziałaś...?

Isabel dołączyła do mnie.

- Natura – skwitowała lekceważąco. – Kup sobie pocztówkę. I chodźmy już.

Ale wtedy moje spojrzenie powędrowało w dół. Serce zaczęło mi bić szybciej.

- Isabel – wyszeptałam i zamarłam w bezruchu.

Za posągiem leżał wilk. Jego szare futro było niemal tego samego koloru co zbutwiałe listowie. Widziałam koniuszek jego czarnego nosa i krawędź ucha, wystające spod liści.

- Jest martwy – powiedziała Isabel, nie zwracając sobie głowy szeptaniem. – Przyjrzyj się liściom. Musi tu leżeć od jakiegoś czasu.

Serce nadal waliło mi jak oszalałe, choć powtarzałam sobie, że to nie Olivia, bo ona jest białym wilkiem, a nie szarym. A Sam jest człowiekiem, bezpiecznym w swoim ludzkim ciele. To zwierzę nie mogło być żadnym z nich.

Ale to mógł być Beck. Dla mnie liczyli się tylko Olivia i Sam, ale dla Sama ważny był również Beck. A Beck był szarym wilkiem.

Proszę, nie bądź Beckiem...

Przełykając ślinę, uklęknęłam obok niego, podczas gdy Isabel stała obok i rozgarniała stopa ziemię. Ostrożnie zdjęłam liść, który przykrywał część wilczego pyska. Nawet przez rękawiczkę poczułam, jak szorstkie futro ociera się o moją dłoń. Obserwowałam szaro-czarno-białe włosy, które rozprężyły się, gdy zabrałam rękę. Potem na wpół podniosłam powiekę na wpół zasłaniającą martwe oko. Matowe, szare oko, zupełnie nieprzypominające wilczego. Wpatrywało się w jakieś miejsce daleko poza mną.

To nie było oko Becka.

Z ulgą spojrzałam na Isabel.

W tym samym momencie, gdy ja powiedziałam:

- Ciekawe, kto to był?

Isabel odezwała się:

- Ciekawe, co go zabiło?

Przebiegłam dłońmi po jego ciele – drapieźnik leżał na boku, przednie i tylne łapy miał skrzyżowane, a ogon wyciągnięty. Zagryzłam wargę, a potem zauważyłam:

- Nie widzę żadnej krwi.
- Obróć go – zasugerowała Isabel.

Delikatnie chwyciłam wilka za łapy i przewróciłam go na drugi bok; ciało było tylko odrobinę sztywne – zwierzę leżało martwe od niedawna. Skrzywiłam się, oczekując jakiegoś makabrycznego odkrycia. Jednak nie znalazłam żadnych śladów urazów.

- Może był po prostu stary? – zastanowiłam się.

Moja przyjaciółka Rachel miała kiedyś psa: starego golden retrievera z pyskiem przyprószonym siwizną.

- Ten wilk nie wygląda na starego – upierała się Isabel.
- Sam powiedział, że wilki umierają po około piętnastu latach po zakończeniu przemian – przypomniałam sobie. – Może tak właśnie było w jego przypadku...?

Uniosłam pysk zwierzęcia, żeby sprawdzić, czy są na nim jakieś siwe włosy wskazujące na wiek. Usłyszałam, jak Isabel wydaje odgłos pełen obrzydzenia, jeszcze zanim zobaczyłam, co było tego przyczyną. Zasnęta krew plamiła krew drapieźnika – pomyślałam, że to może być pozostałość po upolowanej przez niego ofierze, ale potem uświadomiłam sobie, że bok szczęki, który wcześniej spoczywał na ziemi, też pokrywa skorupa krwi. To była jego własna krew. Przełknęłam ślinę i poczułam mdłości. Nie chciałam, żeby Isabel pomyślała, że jestem tak przewrażliwiona, więc powiedziałam:

- Potrącony przez samochód i dowlókł się aż tutaj?

Isabel znów prychnęła ze wstrętem lub pogardą.

- Spójrz na nos. To nie wygląda na wypadek...

Z nozdrzy wilka spływały dwie strużki krwi i łączyły w jedną plamę na wilczych wargach.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Gdyby nie było ze mną Isabel, nie wiem, jak długo kucałabym z pyskiem zwierzęcia w dłoniach, wpatrzona w tego wilka... tę osobę... istotę, która zmarła umazana własną krwią.

Ale Isabel tu była. Więc ostrożnie położyłam łeb drapieźnika z powrotem na ziemi. Jednym uzbrojonym w rękawiczkę palcem pogłaskałam gładkie futro z boku jego pyska. Miałam nieodpartą ochotę jeszcze raz obejrzeć tę drugą stronę. Tę zakrwawioną.

- Myślisz, że coś było z nim nie tak? – zapytałam.
- Tak sądzisz? – Isabel wzruszyła ramionami. – To mógł być zwykły krwotok z nosa. Czy wilki miewają krwotoki z nosa? Wiesz, że można się porzygać, jeśli zadrzesz głowę w trakcie takiego krwotoku?

W żołądku aż mnie ścisnęło ze zdenerwowania.

- Grace. Daj spokój. Mógł się walnąć w głowę. Albo zwierzęta go szarpały tuz po tym, jak zdechł. Albo z dziesięć innych obrzydliwych rzeczy, o których możemy pomyśleć przed lunchem. Rzecz w tym, że jest martwy. Koniec, kropka.

Spojrzałam na pozbawiona życia szare oko.

- Może powinniśmy go pochować.
- Może najpierw napijemy się kawy – odparła Isabel.

Wstałam i strzepnęłam ziemię z kolan. Prześladowało mnie uczucie, jakie miewamy, gdy czegoś nie dokończymy. Kłujący niepokój.

Może Sam będzie wiedział więcej...

- Okej. Chodźmy się rozgrzać, a ja zadzwonię do Sama – powiedziałam, próbując zachować beztroski ton. – Może przyjdzie później go obejrzeć.
- Czekaj – rzuciła Isabel, po czym wyciągnęła komórkę, wycelowała ją w wilka i kliknęła zdjęcie.
– Spróbujmy używać mózgow. Witaj w świecie technologii, Grace.

Spojrzałam na ekran jej telefonu. Pysk wilka, w rzeczywistości błyszczący od krwi, na fotografii wyglądał zwyczajnie i zdrowo. Gdybym nie widziała go na własne oczy, nie domyśliłabym się, że coś jest nie tak.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

SAM

Siedziałem w Kenny's od około piętnastu minut i obserwowałem kelnerkę, która obsługiwała klientów w innych boksach niczym pracowita pszczoła oblatująca kwiaty, gdy Grace zastukała w pokrytą smugami szybę tuż obok mojej twarzy. Jej podświetlona od tyłu sylwetka odcinała się na tle błękitnego nieba – ledwo mogłem dostrzec wąski pasek bieli jej zębów odsłoniętych w uśmiechu, gdy posłała mi całusa, po czym razem z Isabel ruszyła w kierunku drzwi do restauracji.

Chwilę później, z nosem i policzkami zaróżowionymi od zimna, wsunęła się do porysowanego czerwonego boksu i usiadła tuż obok mnie. Chciała dotknąć mojej twarzy i mnie pocałować, ale ja się wzdrygnąłem.

– Co? Brzydko pachnę? – zapytała, choć nie wyglądało na to, żeby się tym specjalnie zmartwiła.

Położyła komórkę i kluczyki od samochodu na stole przed sobą i sięgnęła po menu.

Odsuwając się jeszcze bardziej, wskazałem na jej rękę.

– Szczerze mówiąc, to tak. Twoje rękawiczki pachną obcym wilkiem. I to nie wróży nic dobrego.

– Dzięki za wsparcie, wilczy chłopcze – odezwała się Isabel. Gdy Grace podała jej kartę dań, pokręciła tylko stanowczo głową i dodała: - Cały samochód cuchnie mokrym psem.

Nie byłem pewien, czy to trafne określenie. Tak, wyczuwałem na rękawiczkach Grace piżmowy zapach wilka, ale było coś jeszcze – jakaś nieprzyjemna nuta, która dręczyła mój nadal wyczulony zmysł powonienia.

– Jeeezu, no dobrze – westchnęła Grace. – Zaniosę je do auta. Nie musisz patrzeć na mnie tak, jakbyś miał zamiar zwymiotować. Jeśli kelnerka podejdzie, zamów mi kawę i coś, w czym będzie bekon, okej?

Gdy jej nie było, Isabel i ja siedzieliśmy w krępującym milczeniu. Słychać było jedynie piosenkę zespołu „Motown”, lecącą z głośników pod sufitem, i szcęk talerzy w kuchni. Studiowałem dziwny kształt cienia, który rzucała solniczka na pojemnik z torebkami z cukrem. Isabel badała grubość mankiet swojego swetra i jego ułożenie na stole. W końcu zauważyła:

– Zrobiłeś kolejnego żurawia.

Podniosłem papierowego ptaka, którego złożyłem z serwetki, gdy czekałem na dziewczyny. Był wymięty i niedoskonały, pewnie dlatego, że serwetka nie była idealnie kwadratowa.

– Tak.

– Dlaczego?

Potałem nos, starając się pozbyć zapachu wilka.

– Nie wiem. Według pewnej japońskiej legendy, jeśli złożysz tysiąc papierowych żurawi, spełni się jedno twoje życzenie.

Uniesiona prawa brew Isabel sprawiła, że w tym momencie jej uśmiech nieumyślnie stał się okrutny.

– Masz jakieś?

– Nie – odpowiedziałem, gdy Grace siadała z powrotem obok mnie. – Wszystkie moje życzenia zostały już spełnione.

– A o czym marzyłeś? – wtrąciła Grace.

– Żebym mógł cię pocałować – szepnąłem jej.

Pochyliła się ku mnie, nadstawiając szyję, a ja pocałowałem ją za uchem, udając, że nie czuje już obcego migdałowego odoru na jej skórze.

Oczy Isabel zwęziły się, choć jej usta pozostały wygięte w uśmiechu. Zdałem sobie sprawę, że w pewnym stopniu mnie rozgryzła.

Na szczęście pojawiła się kelnerka, żeby przyjąć nasze zamówienie. Grace poprosiła o kawę i kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorami. Ja wziąłem supę dnia i herbatę. Isabel zamówiła tylko kawę, poczekała, aż kelnerka odejdzie, i wyjęła ze swojej torebki opakowanie granoli.

- Alergia pokarmowa? – zapytałem.
- Alergia na prostactwo – odpowiedziała Isabel. – I alergia na tłuszcz. Tam, gdzie kiedyś mieszkałam, mieliśmy prawdziwe kawiarnie. Tutaj, gdy proszę o panini, ludzie mówią: „Na zdrowie”.

Grace zaśmiała się, wzięła mojego serwetkowego żurawia i poruszała nim, tak że zamachał skrzydłami.

- Któregoś dnia wybierzemy się na panini do Duluth, Isabel. A tymczasem bekon dobrze ci zrobi.
- Jeśli mówiąc „dobrze”, masz na myśli cellulit i pryszczki, to masz rację. – Isabel skrzywiła się. – A więc, Sam, o co chodzi z tą padliną? Grace wspominała, że według ciebie wilki dostają piętnaście lat życia po tym, jak przestają się przemieniać.
- Bardzo subtelnie, Isabel – wymamrotała Grace, zerkając na mnie, żeby sprawdzić, jaką minę zrobiłem na słowo „padlina”. Ale ponieważ już wcześniej powiedziała mi przez telefon, że ten wilk nie był Beckiem ani Paulem czy Urlikiem, więc w ogóle nie zareagowałem.

Isabel wcale nie miała zamiaru przeproszać za swoją bezpośredniość – za to otworzyła klapkę telefonu. Popchnęła aparat po stole w moim kierunku.

- Pomoc wizualna numer jeden.

Komórka przesunęła się po okruszkach na blacie. W pierwszej chwili żołądek ścisnął mi się na widok zwierzęcia na ekranie, najwyraźniej martwego, ale mój żal nie był silny. Nigdy nie poznałem tego wilka jako człowieka.

- Myślę, że masz rację – powiedziałem. – bo znałem go tylko jako wilka. To musiała być śmierć ze starości.
- Nie sądzę, żeby to była naturalna śmierć – sprzeciwiła się Grace. – Poza tym na pysku nie miał żadnych siwych włosów.

Wzruszyłem ramionami.

- Wiem tylko to, co powiedział mi Beck. Że dostajemy... dostawaliśmy... - szukałem odpowiedniej formy czasownika, jako że już nie byłem częścią sfory – dziesięć czy piętnaście lat po zakończeniu okresu przemian. To naturalna długość życia wilka.
- Z nosa tego tutaj lała się krew – rzuciła Grace niemal gniewnie, jakby mówienie o tym ją irytowało.

Wciąż przechylałem ekran, powiększałem i zmniejszałem obrazek, mrużąc oczy i wpatrując się w pysk zwierzęcia. Na zamazanym zdjęciu nie widziałem niczego, co sugerowałoby gwałtowną śmierć.

- Nie było jej dużo – dodała Grace w odpowiedzi na moje ściągnięte brwi. – Czy którykolwiek ze zmarłych wilków, którego widziałeś, miał krew na pysku?

Usilnie starałem się przywołać wspomnienia różnych wilkołaków, które odeszły w czasie, kiedy mieszkałem w domu Becka. Pamiętałem wszystko jak przez mgłę – Beck i Paul z brezentem i łopatami, Urlik na całe gardło śpiewający „For he’s a jolly good fellow”...

- Tak naprawdę nie przypominam sobie wyraźnie żadnego z nich. Może ten został uderzony w głowę. – Świadomie nie pozwalałem sobie myśleć o osobie kryjącej się za wilczą skórą.

Grace ucichła, bo kelnerka zaczęła stawiać przed nami napoje i jedzenie. Przez długi czas milczeliśmy. Ja badawczo przyglądałem się swojej herbacie, Isabel robiła to samo z kawą. Grace w zamyśleniu studiowała kanapkę.

W końcu Isabel oświadczyła:

- Jak na prowincjonalną restauracyjkę, mają tu naprawdę dobrą kawę.

Z jednej strony ceniłem odwagę Isabel, która zanim wyraziła swoją opinię, nawet nie sprawdziła, czy kelnerka odeszła już wystarczająco daleko. Obserwowanie talk obcesowego zachowania było w jakiś sposób fascynujące. Z drugiej jednak strony w pełni zgadzałem się z Grace, która rzuciła koleżance spojrzenie pod tytułem: „Czasami nie wiem, czemu się z tobą zadaję”.

- Oho – powiedziałem, zerkając na otwierające się drzwi. – Mamy towarzystwo.

To był John Marx, starszy brat Olivii.

Nie cieszyła mnie perspektywa spotkania z nim i początkowo wyglądało na to, że nie będę musiał z nim rozmawiać, bo John najwyraźniej nas nie zauważył. Skierował się prosto do baru, przyciągnął sobie stół i usiadł, zgarbiony, z łokciami na blacie. Zanim zdążył cokolwiek zmówić, kelnerka przyniosła mu kawę.

- John jest seksowny – zauważyła Isabel takim tonem, jakby to była wada.
- Isabel – syknęła Grace. – Może da odmiany wykazałabyś się odrobina taktu?

Isabel ściągnęła usta.

- No co? Przecież Olivia nie umarła.
- Może zaproszę go do naszego stolika? – zaproponowała Grace.
- Och, nie! Błagam, nie rób tego – poprosiłam. – Będziemy musieli mu kłamać, a ja nie jestem w tym dobry.
- Ale ja jestem – odparła Grace. – Marnie wygląda. Zaraz wrócę.

I rzeczywiście wróciła po chwili z Johnem i znów usiadła przy mnie. Brat Olivii stał przy stoliku i wyglądał na nieco zakłopotanego, jako że Isabel czekała o parę sekund za długo, żeby przesunąć się i zrobić mu miejsce obok siebie.

- Więc jak się trzymasz? – zapytała Grace ze szczerym współczuciem.

Czy to możliwe, że wyobraziłem sobie władczą nutę w jej głosie? Ten specyficzny ton słyszałem już wcześniej, gdy zadawała pytania, na które znała odpowiedź, i podobało jej się to, co wiedziała.

John zerknął na Isabel, która odsunęła się od niego w niezbyt taktowny sposób, opierając przedramię na parapecie. Potem pochylił się w stronę Grace, jakby chciał jej powierzyć sekret.

- Dostałem wiadomość od Olivii.
- E-maila? – dopytała Grace.

Jej głos wyrażał idealną kombinację nadziei, niedowierzania i słabości. Dokładnie tego, czego można było się spodziewać po pogrążonej w żalu dziewczynie, która ma nadzieję, że jej najlepsza przyjaciółka nadal żyje. Tylko że Grace naprawdę wiedziała, że Olivii nic nie jest.

Rzuciłem jej znaczące spojrzenie.

Grace zignorowała mnie, nadal patrząc na Johna niewinnie i z powagą.

- Co w nim było?
- Napisała, że jest w Duluth. Że wkrótce wróci do domu! – John wyrzucił ręce w powietrze. – Nie wiedziałem, czy powinienem ryczeć ze szczęścia czy nawrzeszczeć na komputer. Jak ona mogła to zrobić mamie i tacie?! A teraz sobie po prostu wróci?! Jakby wybrała się z wizytą do znajomych i właśnie postanowiła ją zakończyć. To znaczy, bardzo się cieszę, że żyje. Ale, Grace, jestem na nią wściekły!

Usiadł wygodniej. Wyglądał na nieco zaskoczonego, że wyznał nam tak wiele. Skrzyżowałem ręce i oparłem je na stole, starając się zlekceważyć ukłucie zazdrości, które poczułem niespodziewanie, gdy John wymówił imię Grace z taką poufałością, jakby wiele ich łączyło. To naprawdę dziwne, czego miłość uczy człowieka o jego niedoskonałościach.

– Ale kiedy? – drążyła Grace. – Napisała, kiedy wróci?

John wzruszył ramionami.

– Nie. Tylko że wkrótce.

Oczy Grace zabłyśły.

– Ale nic jej nie jest?

– Tak – potwierdził John i zobaczyłem, że jego oczy też załśniły. – Gliny powiedziały nam, że... wiecie... że nie powinniśmy robić sobie dużych nadziei... To było najgorsze... nie wiedzieć, czy ona żyje czy nie.

– A propos policji – odezwała się Isabel. – Pokazałeś im ten e-mail?

Grace obdarzyła Isabel niezbyt przyjemnym spojrzeniem, ale gdy John odwrócił się do niej, na jej twarzy malowało się już tylko uprzejme zainteresowanie.

– Nie, nie chciałem dowiedzieć się, że list może być nieprawdziwy. – Wyglądał, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia. – Chyba... chyba im powiem. Bo oni mogą ją namierzyć, co nie?

– Tak – zgodziła się Isabel, patrząc na Grace zamiast na Johna. – Słyszałam, że gliny namierzają adresy IP komputerów, czy jak to się tam nazywa. Więc odnajdą teren, z którego wysłano tę wiadomość. Na przykład gdyby wyszła stąd, z Mercy Falls.

Grace rzuciła ostro:

– Ale... jeśli został wysłany z kafejki internetowej w jakimś całkiem dużym mieście, takim jak Duluth czy Minneapolis, to tak naprawdę IP do niczego by im się nie przydało...

– Nie wiem, czy chciałbym, żeby ściągnęli tu Olivie na siłę – wtrącił John. – To znaczy, ona ma już prawie osiemnaście lat i nie jest głupia. Tęsknię za nią, ale musiała mieć powód, żeby odejść.

Wszyscy gapiliśmy się na niego – z różnych powodów, jak sądzę. Ja pomyślałem, że to zdanie świadczy o jego bezinteresowności oraz że musi naprawdę dobrze znać swoją siostrę. Wzrok Isabel mówił raczej coś w stylu: „Czy ty jesteś kompletnym idiotą?”. Za to Grace patrzyła na Johna z podziwem.

– Jesteś całkiem niezłym bratem – stwierdziła.

John wbił wzrok w swoją filiżankę.

– Taa, cóż, no nie wiem. W każdym razie lepiej już pójdę. Śpieszę się na zajęcia.

– Szkoła w sobotę?

– Dodatkowe warsztaty – wyjaśnił. – Dzięki nim mogę się wyrwać z domu. – Wysunął się z boku i wyciągnął z kieszeni kilka dolców, żeby zapłacić za kawę. – Przekażecie to kelnerce?

– Jasne, John – powiedziała Grace. – Do zobaczenia wkrótce?

John pokiwał tylko głową i wyszedł z restauracji. Ledwie zdążył to zrobić, Isabel przesunęła się na środek siedzenia, żeby znaleźć się naprzeciwko Grace.

– Łał, Grace, nigdy mi nie mówiłaś, że urodziłaś bez mózgu! – warknęła. – Bo to chyba jedyna możliwość, jaka przychodzi mi do głowy, gdy zastanawiam się nad tym, że mogłaś zrobić coś tak niewiarygodnie głupiego.

Nie ująłbym tego w taki sposób, ale myślałem dokładnie o tym samym.

Grace machnęła ręką.

– Phi. Wysłałam e-mail ostatnim razem, gdy byłam w Duluth. Chciałam im dać trochę nadziei. I sądziłam, że to mogłoby powstrzymać policję od szerzej zakrojonych poszukiwań. Niech

wierzą, że to klasyczna, prawie legalna ucieczka z domu, a nie porwanie czy morderstwo. Jednak użyłam swojego mózgu.

Isabel wysypała sobie trochę granoli na dłoń.

- Cóż, myślę, że nie powinnaś się wtrącać w nie swoje sprawy. Sam, powiedz jej.

Zrobiło mi się trochę nieswojo, ale zacząłem:

- Grace jest bardzo mądra...
- Grace jest bardzo mądra – powtórzyła moja ukochana, patrząc znacząco na Isabel.
- ...zazwyczaj – dodałem.
- Może powinniśmy mu powiedzieć? – zastanowiła się na głos Grace.

Isabel i ja wytrzeszczyliśmy na nią oczy.

- No co? On jest jej bratem. Kocha ją i chce, żeby była szczęśliwa. Poza tym nie rozumiem całej tej konspiracji, skoro problem jest naukowy. Tak, opinia publiczna mogłaby to zdecydowanie źle przyjąć. Ale członkowie rodziny? Przypuszczam, że lepiej to zniosą, gdy dowiedzą się, że to coś, co można logicznie wytłumaczyć, a nie jakieś okropieństwo.

Brakowało mi słów na wyrażenie tego, jak przerażający wydał mi się ten pomysł. Nie byłem nawet pewien, dlaczego wywołał we mnie aż tak silną reakcję.

- Sam! – przywołała mnie Isabel i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nerwowo pocieram pokryty bliznami nadgarstek.

Isabel spojrzała na Grace.

- Grace, to jest najgłupszy pomysł, o jakim słyszałam. No, chyba że twoim celem jest zapędzenie Olivii do najbliższego laboratorium, gdzie zostanie poddana niezbyt przyjemnym badaniom. Poza tym John jest zbyt zestresowany, żeby od razu poradzić sobie z taką informacją...

To przynajmniej miało dla mnie sens. Pokiwałem głową, przekonany o słuszności słów Isabel.

- Nie sądzę, że powinniśmy mu mówić, Grace.
- Przecież powiedziałaś Isabel!
- Musieliśmy – przypomniałem, zanim Isabel zdążyła się oburzyć. – Ona sama rozgryzła już wiele rzeczy. Uważam, że powinniśmy kierować się zasadą, że każdy dysponuje tylko takimi informacjami, jakie są mu potrzebne do działania. – Na twarzy Grace pojawiła się konsternacja, co oznaczało, że jest wyraźnie zirytowana, więc szybko dodałem: - Ale nadal sądzę, że jesteś bardzo mądra. Zazwyczaj.
- Zazwyczaj – powtórzyła Isabel. – Zmywam się stąd. Czuję, że zaraz przyrosnę do tego siedzenia.
- Isabel – zagadnąłem ją jeszcze; zatrzymała się przy krańcu stolika, obdarzając mnie tak dziwnym spojrzeniem, jakbym nigdy wcześniej nie zwrócił się do niej po imieniu. – Pochowam go. Wilka. Może dzisiaj, jeśli ziemia nie będzie za bardzo zmarznięta.
- Nie ma pośpiechu – odrzekła. – On nigdzie się nie wybiera.

Gdy Grace pochyliła się w moją stronę, po raz kolejny wyczułem zgniłą woń. Żałowałem, że nie przyjrzałem się dokładniej zdjęciu zrobionemu przez Isabel. Nie mogłem darować sobie, że charakter śmierci zwierzęcia nie był dla mnie oczywisty. Miałem dość tajemnic na całe życie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

SAM

Byłem człowiekiem.

Dobę po tym, jak pochowałem znalezione przez Grace i Isabel wilka, znowu zrobiło się zimno. To był marzec w Minnesocie w całej swojej nieprzewidywalnej krasie: raz temperatura gwałtownie wzrastała, żeby potem spaść sporo poniżej zera. Po dwóch bitych miesiącach siarczystego mrozu, kiedy termometr pokazał zero stopni, wydawało się, że jest superciepło. Dziś był jeden z tych pełnych zawziętego mrozu dni, tak dalekich od wiosny, jak to tylko możliwe. A ja pierwszy raz musiałem znosić takie zimno w ludzkiej postaci. Świat pozbawiony był kolorów, z wyjątkiem jaskrawoczerwonych jagód rosnących kiściami na gałęziach pobliskich drzew. Mój oddech zamarzał w powietrzu, oczy wysychały od niskiej temperatury. Wszystko pachniało tak jak wtedy, gdy byłem wilkiem. Ale ja już nim nie byłem.

Ta świadomość wydawała mi się zarówno ekscytująca jak i bolesna.

Przez cały dzień do księgarni zajrzało tylko dwóch klientów. Zastanawiałem się, co będę robił po pracy. Przeważnie, jeśli kończyłem, zanim Grace wyszła ze szkoły, przesiadywałem na piętorku sklepu z książką w dłoni. Nie lubiłem przebywać w pustym domu Brisbane'ów. Gdy nie było tam Grace, zamieniał się tylko w kolejną poczekalnię, potęgując tępy ból, który we mnie tkwił.

Dzisiaj to uczucie towarzyszyło mi w pracy. Zdążyłem już napisać piosenkę – właściwie tylko fragment:

*czy sekret wciąż sekretem jest, gdy nikogo nie obchodzi,
gdy wiedza, którą o mnie masz,
w żaden sposób nie zaszkodzi
temu, jak żyjesz – i czujesz – i jak oddychasz,
gdy to, co we mnie jest, spotykasz...*

To była bardziej nadzieja na nowy utwór, bo nie udało mi się go skończyć. Siedziałem za ladą, czytając poezję Roethke'go. Moja zmiana dobiegała końca, ale Grace miała do późna udzielać korepetycji. Moją uwagę przykuły drobniutkie płatki śniegu, dryfujące w powietrzu na zewnątrz, i już nie mogłem się skupić na słowach wiersza:

*Mrok, mrok jest w moim świetle, a głębsze żądz mroki.
Dusza, jak mucha wściekła od upału, jeszcze
Bzyczy u szyby, trąca szkło. Który ja jestem
Mnq?*

Spojrzałem w dół na moje palce spoczywające na kartkach książki – tak wspaniałe, tak cenne. I poczułem wyrzuty sumienia wywołane przez nieokreślone pragnienie, które mnie prześladowało.

Zegar wybił szóstą. W tym momencie zazwyczaj zamykałem drzwi frontowe, obracałem tabliczkę z napisem: „ZAMKNIĘTE” przodem do szyby i przez zaplecze wychodziłem do swojego volkswagena.

Ale tym razem zrobiłem inaczej. Zamknąłem tylne wejście, wziąłem futerał z gitarą i wyszedłem drzwiami frontowymi, ślizgając się odrobinę na lodzie pokrywającym próg. Naciągnąłem na głowę czapkę, którą Grace kupiła mi w nieudanej próbie sprawienia, żebym jednocześnie wyglądał seksownie i się nie przeziębził. Stałem na środku chodnika i przyglądałem się drobniutkim płatkom opadającym wolno na

wyludniona ulicę. Wokół widziałem zwały starego śniegu i sople szczerzące się w wyszczerbionych rządkach nad witrynami sklepów.

Oczy szczypały mnie od zimna. Wyciągnąłem dłoń i patrzyłem, jak śnieżynki rozpuszczają się błyskawicznie na mojej ciepłej skórze.

To nie było prawdziwe życie. Czuję się, jakbym je obserwował przez okno. Jakbym oglądał je w telewizji. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się przed nim nie ukrywałem.

Było mi zimno, w rękę trzymałem śnieg, a jednak nadal byłem człowiekiem.

Przyszłość rozciągała się przede mną, pełna niepewności i nieskończona, i moja – jak nigdy wcześniej.

Nagle ogarnęła mnie euforia i uśmiechnąłem się szeroko na myśl o tej kosmicznej loterii, którą wreszcie wygrałem. Zaryzykowałem wszystkim i wygrałem wszystko, i oto byłem tutaj, poza światem i w samym jego centrum.

Zaśmiałem się głośno, choć słyszała mnie tylko widownia złożona ze śnieżynek. Zeskoczyłem z chodnika prosto w rosnącą zaspę. Upajałem się realnością swojego ludzkiego ciała.

Czekało mnie całe życie pełne takich zim, czapek, szalików, kołnierzy podniesionych w ochronie przed chłodem, czerwieniejących nosów, niespania do białego rana w sylwestra. Śnieg padał wokół mnie, a ja tańczyłem jak szalony, wymachując futerałem z gitarą i ślizgając się w koleinach na rozjeżdżonym i wymieszanym z błotem śniegu, dopóki jakieś auto nie zatrąbiło na mnie.

Pomachałem kierowcy i wskoczyłem na chodnik po drugiej stronie ulicy, strącając świeży zimny puch z każdego parkometru, który mijałem. Mokre nogawki spodni zamarzły, śnieg dostał się również do butów, palce rąk miałem zgrabiące i czerwone, ale nadal byłem sobą. Cały czas pozostawałem Samem.

Krążyłem po okolicy, dopóki zimno i śnieg przestały być atrakcją. Zawróciłem do samochodu i sprawdziłem, która godzina. Grace nadal prowadziła korepetycje, a ja nie miałem ochoty ryzykować, że na posesji Brisbane'ów natknę się na jej matkę lub ojca. Rozmowy z nimi były w najlepszym wypadku żenujące. Im bardziej mój związek z Grace stawał się dla nich oczywisty, tym mniej mieli mi do powiedzenia. I vice versa. Postanowiłem pojechać do domu Becka. Nie mogłem liczyć na to, że kiedy jest taka pogoda, którykolwiek z wilków się przemieni, ale postanowiłem, że przynajmniej wezmę sobie kilka książek do czytania. Nie byłem fanem kryminałów, które wypełniały półki Grace.

Przemierzałem trasę w szarym świetle zamierającego dnia. Ściany lasu Boundary napierały na pas awaryjny autostrady, aż wreszcie znalazłem się na opuszczonej drodze prowadzącej do celu.

Gdy dotarłem na miejsce, zatrzymałem się na pustym podjeździe, wygramoliłem z samochodu i odetchnąłem głęboko. Tutejszy las pachniał inaczej niż ten za domem Grace. Tu powietrze wypełnione było ostrą wonią wiecznie zielonych roślin, brzoź oraz skomplikowanym aromatem mokrej ziemi w pobliżu jeziora. Potrafiłem też wyczuć zapach sfory, piżmowy i gryzący.

Z przyzwyczajenia ruszyłem do tylnych drzwi. Świeży śnieg lepił się do butów i przywierał do nogawek dzinsów. Przeciągnąłem palcami po warstewce puchu, która zebrała się na krzakach rosnących obok domu, i okrążyłem budynek, podświadomie czekając na falę mdłości zwiastującą przemianę. Ale ta nie nadeszła.

Przy tylnym wejściu przez moment zawahałem się, rozglądając się po podwórzu i lesie. Miałem tysiąc wspomnień związanych z tym kawałkiem ziemi rozciągającym się od budynku do linii drzew.

Odwróciłem się do drzwi i zauważyłem, że są lekko uchylone – domknięte tylko na tyle, żeby się nie otworzyły przy podmuchu wiatru. Na klamce spostrzegłem smugę czerwieni. To musiał być któryś z nowych wilków. Wyłącznie nowy mógł przemienić się w człowieka tak wcześnie, ale przecież nie zachowa tej postaci na dłużej, gdy śnieg zmrożoną powłoką wciąż pokrywa ziemię...

Popchnąłem drzwi i zawołałem:

- Halo?! – Usłyszałem szelest dochodzący z kuchni. Odgłos drapania i szurania po kaflach podłogi sprawił, że poczułem się nieswojo. Zastanawiałem się, co powiedzieć, żeby nie

rozdrażnić wilkołaka, ale żeby też nie zabrzmiało to obłąkańczo dla człowieka. – Kimkolwiek jesteś, ja też jestem stąd! – zawołałem, po czym wszedłem do pogrążonej w mroku kuchni. Gdy poczułem ziemisty fetor wody z jeziora, stanąłem jak wryty. Włączyłem światło. – Kto tam jest? – zapytałem.

Wtedy zobaczyłem stopę – ludzką, bosą i brudną – która wystawała zza szafek. Kiedy drgnęła gwałtownie, ja też podskoczyłem przestraszony. Obszedłem wyspę kuchenną i zobaczyłem chłopaka leżącego na boku, skulonego, trzęsącego się niekontrolowanie. Jego ciemnobrązowe włosy były nastroszone od zaschniętego błota, a na jego ramionach zauważyłem mnóstwo drobnych ran: dowód bolesnej przeprawy przez las w ludzkiej skórze. Cuchnął sforą.

Logicznie rzecz biorąc, wiedziałem, że to musiał być jeden z wilków stworzonych przez Becka w zeszłym roku. Ale przeszły mnie ciarki, gdy pomyślałem o tym, że Beck wybrał go osobiście. I kiedy uświadomiłem sobie, że to był zupełnie nowy członek stada, pierwszy od bardzo dawna, którym z pewnością będę musiał się zająć.

Zwrócił ku mnie głowę i chociaż musiał naprawdę cierpieć – pamiętałem ten ból – wyraz jego twarzy wydawał się dość spokojny. I nie był mi obcy. Coś w wyrazistej linii jego kości policzkowych i w migdałowym kształcie jasnozielonych oczu okazało się irytująco znajome – do tego stopnia, że miałem jego imię na końcu języka. W normalnych okolicznościach natychmiast by je sobie przypomniał, ale teraz zupełnie wypadło mi z głowy.

– Zaraz znowu się zmienię, prawda? – zapytał.

Jego głos kompletnie zbił mnie z tropu. Nie tylko dlatego, że był bardziej zgrzytliwy i poważniejszy, niż się spodziewałem, ale przede wszystkim dlatego, że chłopak zadał mi pytanie tonem całkowicie opanowanym, pomimo drżenia ramion i ciemniejących paznokci.

Ukląknęłam tuż przy jego głowie, starając się znaleźć odpowiednie słowa. Czuję się jak dzieciak próbujący nosić garnitury swojego ojca. Zwykle to Beck wyjaśniał te sprawy nowym wilkom, nie ja.

- Tak, zmienisz się. Nadal jest zimno. Posłuchaj... następnym razem, gdy przemienisz się w człowieka, znajdź szopę w lesie...
- Widziałem ją – jego głos coraz bardziej osuwał się warkot.
- Jest tam grzejnik, trochę jedzenia i ubranie. Spróbuj poszukać pojemnika z napisem „Sam” albo „Urlik”. Coś stamtąd powinno na ciebie pasować. – Szczerze mówiąc wątpiłem, czy znajdzie coś dla siebie. Koleś miał szerokie bary i bicepsy jak gladiator. – Przynajmniej nie będziesz musiał przedzierać się nago przez jeżyny.

Podniósł na mnie swoje lśniące oczy. Jego kpiący wzrok uświadomił mi, że przecież nie miałem żadnych powodów, żeby zakładać, że te rany w jakikolwiek sposób mu przeszkadzały:

– Dziękuję za cynk – uciał, więc się przymknąłem.

Beck wyznał mi, że trzy nowe wilki, które stworzył, zostały zrekrutowane. Że wiedziały, w co się pakują. Wcześniej nie zastanawiałem się, kto mógł świadomie wybrać sobie takie życie. Kto chciałby zatracać samego siebie, z każdym rokiem coraz bardziej, aż do ostatecznej przemiany i końca bycia człowiekiem. Tak naprawdę to było swego rodzaju samobójstwo. Gdy tylko pomyślałem o tym słowie, zacząłem patrzeć na kolesia zupełnie inaczej.

Jego ciało wiło się na podłodze, ale nadal kontrolował swój wyraz twarzy – był on pełen wyczekiwania. Zanim jego skóra zamieniła się w wilczą, zdążyłem zauważyć stare ślady po igłach, które miał na ramionach.

Pośpieszyłem otworzyć drzwi, tak żeby wilk, ciemnobrązowy w przyćmionym świetle popołudnia, mógł szybko uciec na zewnątrz, ze zbyt ludzkiego środowiska kuchni. Jednak on nie rzucił się do wyjścia, tak jak zrobiłby to każdy inny wilkołak. Tak jak ja bym zrobił. Zamiast tego powoli podążył moim śladem, nisko

trzymając łeb. Potem przystanął. Spojrzał mi prosto w oczy, a ja nie odwróciłem wzroku. W końcu wymknął się na podwórze, ale raz jeszcze się zatrzymał, żeby rzucić mi oceniające spojrzenie.

Jego obraz prześladował mnie jeszcze długo po tym, jak zniknął w lesie. Przypomniałem sobie ślady nakłuć w zagięciach jego łokci, arogancję w oczach, coś znajomego w tej charakterystycznej twarzy.

Wróciłem do kuchni, żeby sprzątnąć krew i ziemię z podłogi, i zobaczyłem zapasowy klucz leżący na kafelkach. Od razu odłożyłem go do skrytki przy tylnym wejściu.

Gdy to robiłem, poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Odwróciłem się, myśląc, że zobaczę nowego wilka na skraju lasu. Ale zamiast tego ujrzałem wielkiego szarego basiora z oczami spokojnie utkwionymi we mnie, tak bardzo bliskimi.

- Beck – wyszeptalem. Nie poruszył się, ale jego nozdrza pracowały, wyczuwając to samo, co ja: zapach nowego członka sfory. – Beck, kogo ty do nas sprowadziłeś...? I co z tego wyniknie...?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ISABEL

Po lekcjach zostałam na zebraniu samorządu szkolnego. Spotkanie było nudne jak flaki z olejem i szczerze mówiąc, głównie mnie obchodziły kwestie organizacyjne liceum Mercy Falls, ale dzięki uczestnictwu w obradach opóźniałam powrót do domu. W milczeniu siedziałam z tyłu sali. Ironiczny uśmiech i mocno pomalowane oczy sprawiły, że wydawałam się całkowicie nieprzystępna. Otaczała mnie grupka wielbicieli, z makijażem takim jak mój, wyglądających na równie nieosiągalne. Jednak wyglądać na nieosiągalną, a b y ć nieosiągalną to niezupełnie to samo.

Zdobycie popularności w miasteczku rozmiarów Mercy Falls było śmiesznie łatwe. Wystarczyło tylko uwierzyć, że jest się gorącym towarem, i człowiek się nim stawał. Nie jak w San Diego, gdzie utrzymywanie sławy było niczym praca na pełen etat. Efekty uczestnictwa w zebraniu tutejszego samorządu – czyli godzinna reklama marki „Isabel Culpeper” – trwały przez bity tydzień.

Niestety, w końcu musiałam wrócić do domu i, niestety, samochody moich rodziców stały na podjeździe. Wprost szalałam z radości. Nie wysiadając ze swojego SUV-a, otworzyłam Shakespeare'a, którego powinnam czytać, i podkreślałam muzykę tak głośno, że widziałam jak od basów drży lustro wsteczne. Po około dziesięciu minutach w jednym z okien pojawiła się sylwetka mojej matki. Z przesadną gestykulacją zaczęła nawoływać mnie, żebym weszła do środka.

To był dopiero początek wieczoru.

W ogromnej kuchni ze stali nierdzewnej czekał mnie show Culpeperów w najlepszym wydaniu.

Matka:

- Jestem pewna, że sąsiedzi uwielbiają tę twoją śmieciową muzykę. Dziękuję, że włączasz ją wystarczająco głośno, żeby mogli ją usłyszeć.

Ojciec:

- A tak w ogóle to gdzie byłaś?

Matka:

- Na zebraniu samorządu.

Ojciec:

- Ciebie nie pytałem. Pytam naszą córkę.

Matka:

- Serio, Thomas, czy to ważne, kto odpowie?

Ojciec:

- Chyba musiałbym przystawić jej broń do głowy, żeby zaczęła ze mną rozmawiać.

Ja:

- Zamierzasz to zrobić?

Oboje spiorunowali mnie wzrokiem. Tak naprawdę to wcale nie musiałam dodawać swoich linijek do przedstawienia Culpeperów; to była samonapędzająca się machina, a powtórki programu można było oglądać przez cały wieczór, aż do znudzenia.

- Mówiłem ci, że nie powinniśmy jej posyłać do publicznej szkoły – zarzucił ojciec matce.

Wiedziałam, dokąd zmierza ta dyskusja. Następna kwestia mamy będzie brzmiała: „Mówiłam ci, że nie powinniśmy przyjeżdżać do Mercy Falls”, a potem ojciec zacznie rzucać różnymi przedmiotami i ostatecznie skończą w oddzielnych pokojach, rozkoszując się różnymi gatunkami napojów alkoholowych.

- Mam pracę domową do odrobienia – przerwałam, zanim zdążyli się rozkręcić na dobre. – Idę na górę. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Gdy odwróciłam się na pięcie, ojciec zawołał:

- Isabel, poczekaj!

Zatrzymałam się.

- Jerry powiedział mi, że zadajesz się z córką Lewisa Brisbane’a. Czy to prawda?

Obróciłam się, żeby zobaczyć, jaki wyraz maluje się na jego twarzy. Skrzyżował ręce na piersiach i unióśł brew. Jego koszula i krawat pozbawione były choćby jednej zmarszczki. Ja też uniosłam brew, tak dla towarzystwa.

- I co w związku z tym?
- Nie mów do mnie tym tonem – zagroził ojciec. – Po prostu zadałem ci pytanie.
- W takim razie okej. Tak. Zadaję się z Grace.

Opuścił ręce, a ja zobaczyłam, jak na jednym z jego przedramion wystąpiła żyła, po czym zaczął raz po raz zaciskać pięści.

- Słyszałem, że ona ma sporo do czynienia z wilkami.

Zrobiłam dłonią gest, jakbym chciała zapytać: „O czym ty w ogóle mówisz?”.

- Krążą pogłoski, że ona je karmi. Widywałem je tu ostatnio dość często – ciągnął. – Wyglądają na podejrzenie zadbane. Myślę, że definitywnie nadeszła pora na kolejne polowanie.

Przez moment po prostu mierzyliśmy się wzrokiem. Ja próbowałam wybadać, czy on wie, że od tygodni dokarmiam wilki, i czy właśnie korzysta z tych swoich pasywno-agresywnych sztuczek, żeby skłonić mnie do pokornego przyznania się do tego. Tymczasem on starał się mnie onieśmielić.

- Tak, tato – powiedziałam w końcu. – Powinieneś pójść i postrzelać sobie do zwierzątek. To na pewno wróci Jackowi życie. Świetny pomysł. Może poproszę Grace, żeby zwabiła je bliżej naszego domu?

Matka gapiła się na mnie niczym zastygłe dzieło sztuki: „Portret kobiety z kieliszkiem chardonnay”. Ojciec wyglądał, jakby chciał mnie uderzyć.

- To wszystko? – zapytałam.
- Cóż, finał zbliża się wielkimi krokami – gniewnie warknął mój ojciec.

Odwrócił się i rzucił matce znaczące spojrzenie, którego ta jednak nie zauważyła, bo była zbyt zajęta wypełnianiem oczu łzami.

Uznałam, że moja rola w tym konkretnym odcinku definitywnie dobiegła końca, więc zostawiłam ich w kuchni i poszłam sobie. Usłyszałam jeszcze, jak ojciec grozi:

- Powybijam je do ostatniej sztuki!

A moja matka mówi głosem bliskim płaczu:

- Wszystko mi jedno, Tom.

The end.

Prawdopodobnie będę musiała przestać dokarmiać wilki. Niestety, to robiło się coraz niebezpieczniejsze dla nas wszystkich.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

GRACE

Gdy Sam dotarł do domu, Rachel i ja już od pół godziny próbowaliśmy przygotować kurczaka w parmezanie. Mojej przyjaciółce brakowało cierpliwości, żeby panierować kawałki drobiu, więc kazałam jej pilnować sosu pomidorowego na patelni i sama zaczęłam obtaczać nieskończoną liczbę pasków kurczaka w jajku, a potem w bułce tartej. Udawałam, że mnie to wkurza, ale tak naprawdę powtarzalność tej czynności miała na mnie kojący wpływ i dawała subtelną satysfakcję. Z przyjemnością obserwowałam lepkie wirowanie intensywnie żółtego jajka przywierającego do mięsa i słuchałam miękkich odgłosów okruszków bułki trących o siebie.

Gdyby tylko ciągle nie dokuczał mi uporczywy ból głowy... Na szczęście gotowanie i wizyta Rachel pomagały zapomnieć zarówno o fizycznym cierpieniu, jak i o tym, że na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno, że chłód napierał na okno nad zlewem, i że Sama nadal nie było w domu.

W kółko powtarzałam w myślach jak mantrę: „Nie zmieni się. Jest wyleczony. Już po wszystkim”.

Rachel trąciła mnie biodrem i nagle uświadomiłam sobie, że podkręciła muzykę bardzo głośno. Raz jeszcze zaatakowała mnie biodrem w rytm piosenki, a potem zawirowała na środku kuchni, wymachując rękami nad głową w jakimś obłąkańczym tańcu.

Jej strój: czarna sukienka i legginsy w paski, a także dwa kucyki podskakujące na czubku głowy tylko potęgowały absurdalny efekt.

- Rachel – zawołałam, a ona spojrzała na mnie, nie przerywając płasów – właśnie dlatego nie masz chłopaka!
- Żaden facet sobie z tym nie poradzi – zgodziła się, wskazując podbródkiem samą siebie.

Obróciła się i stanęła twarzą w twarz z Samem, który właśnie pojawił się w progu. Dudniące basy musiały zagłuszyć skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Na jego widok mój żołądek fiknął koziołka w dziwnej kombinacji ulgi, zdenerwowania i wyczekiwania. Miałam wrażenie, że to uczucie już nigdy mnie nie opuści.

Rachel wyciągnęła do przodu palce wskazujące, wykonując dziwny taneczny ruch, który wyglądał, jakby został wymyślony w latach pięćdziesiątych, kiedy ludziom nie było wolno się dotykać na parkiecie.

- Cześć, Chłopaku! – wrzasnęła, przekrzykując muzykę. – Robimy włoskie żarcie! – Z dłońmi ubabranymi kurczakiem i panierką wydałam z siebie głośny jęk protestu, który Rachel postanowiła przetłumaczyć Samowi: - Moja przyjaciółka informuje, że mijam się z prawdą. W rzeczywistości to ona robi włoskie żarcie, a ja jestem tylko obserwatorem!

Sam uśmiechnął się do mnie – w jego wiecznie smutnym uśmiechu było odrobinę więcej napięcia niż zwykle – i coś powiedział... Ściszyłam radio, starając się nie utyłać pokręta bułką tartą.

- Co mówiłeś?
- Zapytałem, co przygotowujecie – powtórzył Sam. – A potem dodałem: „Cześć, Rachel” i „Czy mogę wejść do kuchni, Rachel?”.

Moja przyjaciółka, wykonując teatralny ukłon, usunęła mu się z drogi. Sam podszedł do mnie i oparł się pupą o blat. Jego złotożółte wilcze oczy były przymrużone i wyglądało na to, że najwyraźniej zapomniał o zdjęciu kurtki.

- Kurczaka w parmezanie – powiedziałam.
- Że co...? – Zamrugął.
- To właśnie gotuję. A ty co porabiałeś?

- Ja... byłem w księgarni. Czytałem – wyjąkał Sam. Zerknął na Rachel, po czym kontynuował: - Nie mogę mówić. Wargi mi zdrętwiały od zimna. Kiedy wreszcie przyjdzie ta wiosna?
- Zapomnij o wiosnie – przerwała mu Rachel. – Kiedy wreszcie przyjdzie ten obiad?

Pogroziłam jej kawałkiem surowego kurczaka, a Sam zlustrował blat za swoimi plecami.

- Mogę jakoś pomóc? – zapytał.
- Przede wszystkim muszę skończyć panierowanie tych ośmiu milionów kawałków mięsa – westchnęłam. W głowie pulsował mi ból i miałam już serdecznie dość widoku surowego drobiu. – Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile kotlecików może wyjść z kilograma mięsa, gdy rozbije się je na płasko.

Sam sięgnął do zlewu, żeby umyć ręce. Gdy za moimi plecami wycierał dłonie w ściereczkę, przycisnął swój policzek do mojego.

- Obtoczę resztę, a ty zacznij smażyć. Może być?
- A ja zagotuję wodę na makaron – zaproponowała Rachel. – To akurat znakomicie mi wychodzi.
- Duży garnek jest w spiżarni – powiedziałam.

Gdy zniknęła w małym pomieszczeniu i zaczęła buszować wśród naczyń, Sam pochylił się ku mnie i przycisnął wargi do mojego ucha.

- Widziałem dziś jednego z nowych wilków Becka – wyszeptał. – Przemienionego.

Chwile to trwało, zanim pojąłam znaczenie jego słów. „Nowe wilki” – czy to znaczy, że Olivia była już człowiekiem? Czy Sam musi odnaleźć pozostałe zwierzęta? Co się teraz stanie?

Odwróciłam się gwałtownie do niego. Wciąż stał blisko mnie, więc w efekcie zetknęliśmy się nosami – jego nadal był zmarznięty. W oczach miał niepokój.

- Hej, tylko bez takich, kiedy ja tu jestem! – zawołała Rachel. – Lubię Chłopaka, i w ogóle, ale nie mam ochoty gapić się, jak się całujecie. Całowanie się przy istocie pozbawionej miłości to akt okrucieństwa. Czy nie powinnaś czegoś smażyć?

Dokończyliśmy więc robienie obiadu. Teraz, gdy wiedziałam, że Sam ma mi coś do powiedzenia i nie może tego zrobić przy Rachel, trwało to nieznośnie długo. Poza tym męczyło mnie poczucie winy. Ona też przyjaźniła się z Olivią. Gdyby wiedziała, że Olivia wkrótce wróci, oszalałaby ze szczęścia. I zaczęłaby zadawać mnóstwo pytań. Starłam się unikać zerkania na zegarek; macocha miała odebrać Rachel o ósmej.

- O, cześć, Rachel! Mniem, jedzonko! – Moja matka wparowała do kuchni, rzucając płaszcz na jedno z krzeseł stojących pod ścianą.
- Mamo! – zawołałam, nawet nie starając się ukryć zaskoczenia w głosie. – Co robisz w domu tak wcześnie?
- Starczy dla mnie? Jadłam w galerii, ale to nie było nic sycącego – poinformowała. Niewątpliwie. Bezustanny ruch sprawiał, że mama błyskawicznie spalała kalorie. Odwróciła się i zobaczyła Sama, a ton jej głosu natychmiast zmienił się na niezbyt przyjemny. – Och, cześć, Sam. Znowu tutaj? – Jego policzki spłonęły rumieńcem. – Praktycznie już z nami mieszkasz.

Spojrzała na mnie. Najwyraźniej miała zamiar zawstydzić mnie, ale ja nie przejęłam się jej słowami. Sam odwrócił wzrok, jakby odczytał jej intencje.

Kiedyś mama naprawdę lubiła Sama. Nawet flirtowała z nim na ten swój maminy sposób. Poprosiła go, żeby jej śpiewał i pozował do portretu. Ale to było wtedy, gdy był po prostu chłopakiem, z którym się spotykałam. Kiedy stało się jasne, że Sam zostanie w moim życiu na dobre, życzliwość matki wyparowała i komunikowałyśmy się językiem milczenia: długość pauz pomiędzy zdaniem zawierała więcej informacji niż słowa.

Zacisnęłam szczęki.

- Zjedz trochę makaronu, mamo. Czy będziesz dziś jeszcze pracować?

- Chcesz, żebym zeszła wam z drogi? Mogę pójść na górę. – Postukała mnie widelcem po głowie. – Nie musisz mnie piorunować wzrokiem, Grace. Rozumiem. Do zobaczenia, Rachel.
- Nie piorunowałam jej wzrokiem – zaprotestowałam, kiedy już wyszła.

Odruchowo wstałam, żeby odwiesić jej płaszcz na miejsce. Po całej tej wymianie zdań czułam niesmak. Coś mnie niepokoiło.

- Nie – poparł mnie Sam. W jego głosie pobrzmiwał smutek. – To ona ma nieczyste sumienie.

Wyraz twarzy miał zamyślony, ramiona zgarbione jakby pod ciężarem nowych problemów. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek zwątpił w słuszność swojej decyzji. Czy naprawdę uważał, że to wszystko warte było ryzyka. Chciałam, żeby wiedział, że ja tak uważam. Chciałam, żeby wiedział, że wykrzyczałabym to z dachu. W tym momencie zdecydowałam, że muszę zwierzyć się Rachel.

- Lepiej idź przestawić swój samochód – powiedziałam Samowi.

Rzucił zaniepokojone spojrzenie w kierunku sufitu, jakby mama potrafiła odczytać jego myśli przez podłogę domowego atelier. Potem popatrzył na Rachel. A następnie na mnie. Niezadane pytanie wyraźnie malowało się na jego twarzy: „Naprawdę zamierzasz jej to wyznać?”.

Wzruszyłam ramionami.

Zdziwiona Rachel patrzyła na mnie pytająco. Gestem pokazałam jej, żeby dała mi chwilę. Sam podszedł do schodów i zawołał:

- Do zobaczenia, pani Brisbane!

Po paru długich sekundach mama w niezbyt miły sposób odrzyknęła:

- Cześć!

Sam wrócił do kuchni. Nie powiedział, że czuje się winny, ale i nie musiał. Miał to wypisane na twarzy. Odezwał się z wahaniem:

- Jeśli nie wrócę przed twoim wyjściem, Rach, to do zobaczenia.
- „Jeśli nie wrócę”...? – powtórzyła Rachel zaskoczona, gdy Sam zamknął za sobą drzwi, pobrzękując kluczykami od samochodu. – Co on miał na myśli? I co on robi ze swoim autem? Czekaj! Czy dobrze rozumiem? Czy Chłopak u ciebie nocuje?!
- Cicho! – uciszyłam ją, gorączkowo zerkając w kierunku korytarza. Wzięłam ją za łokieć, zaprowadziłam do najdalszego kąta kuchni i szybko zwolniłam uścisk. – Ojej, Rachel, ale masz lodowatą skórę!
- Nie, to ty jesteś rozpalona – poprawiła mnie. – No więc, co się tutaj dzieje? Wyjaśnij mi? Czy wy... to znaczy... sypiacie ze sobą?

Policzki poczerwieniały mi wbrew mojej woli.

- To nie tak. My po prostu...

Rachel nie czekała na to, aż uda mi się sformułować odpowiedź.

- Ja cię kręcę... No, no, zatkało mnie! Grace, więc po prostu co robicie?! Nie, czekaj! Nie mów!
- Cicho – powtórzyłam, choć w zasadzie nie mówiła głośno. – Po prostu śpimy razem. To wszystko. Tak, wiem, że to brzmi dziwnie, ale... ja tylko...

Brakowało mi słów, żeby wszystko jej wyjaśnić. Nie chodziło tylko o to, że prawie straciłam Sama i teraz chciałam, żeby zawsze był blisko. Nie chodziło też wyłącznie o pożądanie. Raczej o to, że nie potrafiłabym już zasnąć, nie czując, jak Sam przytula się do moich pleców, jak jego serce wyrównuje swój rytm z moim.

Chodziło o dorastanie i uświadamianie sobie, że leżenie w jego objęciach, jego zapach, gdy śpi, odgłos jego oddechu – to wszystko oznacza dla mnie d o m. I jest wszystkim, czego ostatecznie pragnę. To nie było to samo, co spędzanie z nim czasu w środku dnia. Ale nie wiedziałam, jak przekazać to Rachel. Zastanawiałam się, dlaczego w ogóle chciałam jej o tym powiedzieć.

- Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć. Spanie wydaje się inne, gdy on tu jest.
- No, nie wątpię – rzuciła Rachel, wytrzeszczając oczy.
- Rachel – upomniałam ją.
- Oj, przepraszam, przepraszam. Staram się zachowywać rozsądnie, ale moja najlepsza przyjaciółka właśnie powiedziała mi, że spędza każdą noc ze swoim chłopakiem, a jej rodzice o niczym nie wiedzą. Więc on zakrada się tu nocą?! Zdeprawowałaś Chłopaka!
- Myślisz, że to coś złego? – zapytałam, krzywiąc się odrobinę.

Nagle pomyślałam, że może rzeczywiście sprowadziłam Sama na złą drogę.

Rachel zastanowiła się:

- Nie. Myślę, że to jest strasznie romantyczne.

Roześmiałam się trochę niepewnie, z ulgą i ekscytacją.

- Rachel, ja tak bardzo go kocham. – Ale gdy wypowiedziałam to, moja deklaracja nie zabrzmiała autentycznie. Raczej kliwie, jak reklama ulubionego masła. Nie potrafiłam wyrazić słowami prawdy i głębi swoich uczuć. – Przysięgasz, że nikomu nie powiesz?
- Twój sekret jest u mnie bezpieczny. Nie zamierzam rozdzielać młodych kochanków. Boże! Nie mogę uwierzyć, że naprawdę jesteście kochankami!

Serce waliło mi jak szalone. W końcu wyjawiałam jej swój sekret. Ale czułam się dobrze – jedna tajemnica mniej przed Rachel. Gdy jej macocha przyjechała kilka minut później, obie byłyśmy podekscytowane jak małe dziewczynki.

Może nadszedł czas, żeby wyznać jej również kilka innych sekretów?

SAM

Na dworze było prawie minus osiem stopni. Błady dysk księżycy, skryty częściowo za plątaniną bezlistnych gałęzi, zalewał taras jasną poświatą. Objąłem się ciasno ramionami i gapilem na swoje skarpetki, czekając, aż matka Grace wreszcie opuści kuchnię. Przeklinałem lodowaty wiosenny sezon w Minnesocie, ale moje słowa wirowały w obłoczkach bieli i szybko znikwały w ciemnościach. To było bardzo dziwne – stać na takim zimnie, trząść się od niego, mieć zdrętwiałe palce u rąk i stóp, czuć pieczenia w oczach, a jednak ani odrobinę nie zbliżyć się do bycia wilkiem.

Ledwie słyszałem głos Grace przez przeszklone drzwi. Rozmawiały o mnie. Jej matka zastanawiała się, czy jutro wieczorem także ich odwiedzę. Grace zadumała się nieco, po czym odpowiedziała, że prawdopodobnie tak, jako że jestem jej chłopakiem. Jej mama rzuciła w przestrzeń, że niektórzy ludzie mogliby pomyśleć, że za bardzo się śpieszą z niektórymi rzeczami. Grace zapytała ją, czy chce jeszcze trochę kurczaka z parmezanem, zanim schowa resztę do lodówki. Słyszałem zniecierpliwienie w jej głosie, ale matka najwyraźniej nie zdawała sobie z niego sprawy i swoją obecnością w kuchni skutecznie trzymała mnie jako zakładnika na tarasie. Stojąc na lodowatych drewnianych deskach w samych tylko dżinsach i cienkim T-shircie z Beatlesami, zacząłem rozważać, czy nie lepiej byłoby poślubić Grace i wieść życie młodych hippisów na tylnym siedzeniu mojego volkswagena. Bez rodzicielskich ograniczeń. Jeszcze nigdy ta perspektywa nie wydawała mi się tak kusząca jak teraz, gdy zęby zaczynały mi szczękać, a palce u nóg i uszy drętwiały mi z zimna.

Usłyszałem, jak Grace mówi:

- Pokażesz mi, nad czym teraz pracujesz?
- Okeeej... - zgodziła się jej mama nieco podejrzliwie.
- To ja tylko wezmę sweter – powiedziała Grace. Podeszła do drzwi prowadzących na taras otwierając je cicho, drugą ręką zgarniając z kuchennego stołu swój sweter. Zobaczyłem, jak bezgłośnie mówi do mnie: „Przepraszam”, a normalnie w stronę matki: - Zimno tutaj.

Po tym, jak opuściły kuchnię, policzyłem do dwudziestu i wślizgnąłem się do środka. Dygotałem, cały przemarznięty, ale nadal pozostałem Samem.

Miałem wszelkie dowody, żeby uwierzyć, że naprawdę zostałem uleczony. Wciąż jednak czekałem na puentę.

GRACE

Gdy wróciłam do swojego pokoju, Sam trząsł się z zimna tak strasznie, że kompletnie zapomniałam o dokuczającym mi bólu głowy. Nie zapalając światła, ruszyłam w stronę łóżka. Kierowałam się oddechem Sama.

- M-m-może powinniśmy przemyśleć ponownie nasz styl życia – wyszeptał do mnie, szczękając zębami, gdy położyłam się obok i go przytuliłam.

Palcami gładziłam gęsią skórę pokrywającą jego ramiona; czułam ją nawet przez materiał koszulki. Naciągnęłam koc, żeby przykryć nas aż po czubki głów, i docisnęłam twarz do jego szyi.

- Nie chcę spać bez ciebie – powiedziałam, choć wyrażenie tej myśli na głos wydało mi się egoistyczne.

Zwinął się w kłębek – jego stopy nawet przez skarpetki były lodowate w zetknięciu z moimi gołymi nogami – i wymamrotał:

- Ja też nie. A-ale mamy przed sobą... - Jego słowa zlały się w jeden niezrozumiały ciąg. Musiał przerwać i potrzebować usta, żeby je rozgrzać, zanim zaczął mówić dalej. – Mamy przed sobą całe życie. Żeby być razem.
- To życie zaczyna się teraz – podkreśliłam.

Za drzwiami sypialni usłyszałam głos ojca. Musiał dotrzeć do domu tuż po tym, jak weszłam do pokoju. Nasłuchiwałam rodziców, gdy wspinali się po schodach, hałasując i żartobliwie przepychając się łokciami. Przez krótką chwilę zazdrościłam im wolności i tego, że mogą przychodzić i odchodzić wedle uznania, bez szkoły, bez rodziców, bez ograniczeń.

- To znaczy, nie musisz tutaj zostawać, jeśli czujesz się przez to zakłopotany. Jeśli nie chcesz... - przerwałam. – Nie chciałam, żebyś pomyślał, że się do ciebie kleję.

Sam przekręcił się na bok, twarzą do mnie. Widziałam tylko jego oczy, lśniące w ciemnościach.

- Nigdy nie będę mieć ciebie dość. Po prostu nie chcę, żebyś wpakowała się w kłopoty. Nie chcę sytuacji, w której będziesz musiała mnie prosić o to, żebym sobie poszedł, jeśli to wszystko zrobi się za trudne.

Przyłożyłam dłoń do jego zimnego policzka; to było bardzo miłe uczucie.

- Jak na bystrego kolesia, potrafisz być czasami naprawdę głupiutki.

Poczułam jego uśmiech pod palcami. Przysunął się jeszcze bliżej mnie.

- Albo to ty jesteś rozpalona – powiedział – albo to ja jestem naprawdę przemarznięty.
- No, przecież jestem rozpalona – wyszeptałam. – Taaaka rozpalona.

Sam zaśmiał się bezgłośnie, odrobinę niepewnie, na wydechu. Mocno ścisnęłam go za palce; trzymaliśmy je tak splecione pomiędzy naszymi ciałami, aż jego ręce trochę się rozgrzały.

- Opowiedz mi o tym nowym wilku – poprosiłam.
- Z nim jest coś nie tak. Nie bał się mnie.
- To dziwne.
- Zacząłem się zastanawiać, kto wybrałby bycie wilkiem. Oni wszyscy muszą być szaleni. Te nowe wilki Becka. Kto normalny chciałby czegoś takiego?

Teraz to ja zastygłam w bezruchu. Czy Sam pamiętał, jak w zeszłym roku wyznałam mu, że żałuję, że również się nie przemieniłam, żeby móc odejść z nim? Nie, właściwie to nie tylko po to, żeby być z nim. Ale

i po to, żeby poczuć, jak to jest być jednym z wilków, stworzeniem tak prostym, wolnym i magicznym. Pomyślałam o Olivii – białym drapieźniku przemykającym między drzewami z resztą sfory – i poczułam wewnętrzny ból.

- A może oni zwyczajnie kochają wilki – zasugerowałam w końcu. – A ich życie nie było takie wspaniałe.

Sam leżał tuż obok mnie, ale myślami był gdzieś daleko. Jego ręka tkwiła bezwładnie w mojej dłoni; zamknął oczy. Wreszcie przerwał milczenie:

- Nie ufam mu, Grace. Czuję, że z tych nowych wilków nie będzie nic dobrego. Ja po prostu... żałuję, że Beck to zrobił. Żałuję, że nie poczekał.
- Idź spać – rzuciłam, choć byłam pewna, że nie zaśnie. – Nie przejmuj się tym, co mogłoby się wydarzyć.

Ale wiedziałam, że będzie się martwił.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

GRACE

– To znowu ty Grace? – Pielęgniarka podniosła wzrok, gdy weszłam do gabinetu.

Trzy krzesła stojące po drugiej stronie jej biurka były zajęte. Jeden z uczniów spał, a jego głowa była odchylona w tak żenujący sposób, że z pewnością nie udawał. Pozostała dwójka czytała książki.

Pani Sanders słynęła z tego, że pozwalała dzieciakom przytłoczonym życiem szkolnym ukrywać się w swoim gabinecie. Co w sumie przecież było okej – do momentu, gdy przychodził ktoś z naprawdę wściekłym bólem głowy i po prostu chciał na chwilę usiąść w ciszy, a tu wszystkie krzesła zajęte...

Podeszłam do biurka ze zbolaną miną. Miałam ochotę zacząć jęczeć w rytm dudnienia w mojej głowie. Potarłam czoło – ten gest gwałtownie przypomniał mi o Samie – i powiedziałam:

- Przepraszam, że znowu zawracam pani głowę. Ale ten ból mnie wykończy...
- Rzeczywiście wyglądasz marnie – zgodziła się pani Sanders. Wstała i wskazała mi swoje krzesło na kółkach. – Usiądź na chwilę, a ja poszukam termometru. Masz wypieki jak od gorączki.
- Dziękuję. – Z wdzięcznością zajęłam jej miejsce, podczas gdy ona ruszyła do przyległego pomieszczenia.

Dziwnie się tutaj czułam. Nie chodziło tylko o to, że siedziałam za jej biurkiem, przed komputerem z wciąż otwartym pasjansem na ekranie, pod obstrzałem spojrzeń jej dzieci szczerzących się bez troski z oprawionych w ramki zdjęć. Po prostu pobyt w gabinecie pielęgniarki wydawał mi się nieprawdopodobny. Odkąd trafiłam do szkoły, byłam tu dopiero drugi raz, ale za to od mojej ostatniej wizyty minęło ledwie kilka dni. Wprawdzie parę razy czekałam pod drzwiami pani Sanders na Olivię, ale nigdy wcześniej nie trafiłam tu jako pacjentka. Nie musiałam mrużyć oczu od fluorescencyjnego światła lamp, zastanawiając się, czy jestem chora.

W oczekiwaniu na pomoc ścisnęłam dwoma palcami nasadę nosa, starając się dotrzeć do centrum bólu. Wiedziałam, że sama nie dam sobie z nim rady, promieniował tępo, spływając wzdłuż kości policzkowych, jakby niósł groźbę prawdziwej choroby. Czekałam więc, aż dostanę kataru, kaszlu czy czegoś w tym stylu.

Pani Sanders wróciła z termometrem.

- Otwórz buzię, kochaniutka – poinstruowała mnie, co w każdej innej sytuacji odebrałabym jako zabawne, bo ona nie wyglądała na kogoś, kto używa infantylnych określeń. – Coś czuję, że dopada cię jakieś paskudztwo...

Wsunęłam termometr pod język; poczułam szorstkie krawędzie plastikowej obudowy, która zaczęła się lepić od mojej śliny. Chciałam powiedzieć, że rzadko choruję, ale nie mogłam otworzyć ust. Tymczasem pani Sanders gawędziła o lekcjach z dwoma uczniami. Dziesięć minut mierzenia gorączki ciągnęło się w nieskończoność. W końcu wyjęła mi termometr z buzi.

- Myślałam, że robią już trochę szybsze termometry – zauważyłam.
- Tak, do mierzenia temperatury maluchom. Rada szkoły uznała, że wy, licealne diabły wcielone, będziecie mieć wystarczająco dużo cierpliwości, żeby używać tańszych. – Pani Sanders zerknęła na odczyt. – Masz gorączkę. Niewielką. To pewnie jakiś wirus. Przy takich wahaniach temperatury mnóstwo świństwa lata w powietrzu. Mam zadzwonić po kogoś, żeby cię odebrał?

Przez chwilę pomyślałam: „Jak dobrze byłoby wyrwać się ze szkoły i spędzić resztę popołudnia w objęciach Sama”. Ale on był w pracy, a ja miałam test z chemii, więc westchnęłam i uznałam, że tak naprawdę nie jestem wystarczająco chora, żeby się zwalniać.

- Nie zostało mi już dużo lekcji. I mam test.
- Postawa godna pochwały. No cóż, dobrze. Tak naprawdę nie powinnam tego robić bez kontaktowania się z twoimi rodzicami, ale... - Otworzyła jedną z szuflad biurka. Leżało tam trochę drobnych, kluczyki od samochodu i buteleczka z paracetamolem. Wytrząsnęła dla mnie dwie tabletki i powiedziała: - To zbije temperaturę i pomoże na ból głowy.
- Dziękuję – wstałam, zwalniając jej krzesło. – Bez urazy, ale mam nadzieję, że nie będę już musiała wracać tu w tym tygodniu.
- Jak to? Dlaczego? Przecież ten gabinet to najpopularniejsze miejsce na towarzysko-kulturalnej mapie miasta! – zawołała pani Sanders, udając zdumienie. – Dbaj o siebie, Grace.

Połknęłam paracetamol i popiłam go wodą z automatu; potem ruszyłam na zajęcia. Wkrótce lek zaczął działać, a pod koniec ostatniej lekcji nawet ból głowy zelżał. Pielęgniarka pewnie miała rację, to musiał być zwykły wirus. Odsunęłam od siebie dręczące przecucie, że dolega mi coś więcej.

Próbowałam sobie wmówić, że to tylko przeziębienie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

COLE

Raczej nie powinienem być teraz człowiekiem.

Śnieg z deszczem zacinął, biczując moją naga skórę – tak zimny, że aż parzył. Opuszki palców miałem zdrętwiałe, w ogóle bez czucia. Nie wiedziałem, ja długo leżałem na zamrożonej ziemi, ale wystarczająco długo, żeby w zagłębieniu pod plecami zebrała się mała kałuża stopionego śniegu.

Dygotałem tak bardzo, że nie mogłem utrzymać się na nogach. Cały czas próbowałem zrozumieć, dlaczego znowu zmieniłem się w człowieka. Wcześniej powracałem do ludzkiej formy tylko w wyraźnie cieplejsze dni, a i to na krótko. Teraz był zimny wieczór – może szósta lub siódma, słońce już się schowało za horyzontem, ale na gwiazdy było jeszcze za wcześnie.

Nie miałem czasu na zastanawianie się nad niestabilnością swojego stanu. Drżałem z zimna, ale nie czułem ani trochę mdłości czy napięcia skóry, które zwiastowałyby rychłą przemianę. Z przygnębiającą pewnością uświadomiłem sobie, że póki co utknąłem w tym ciele, przynajmniej na razie. Ale to wiązało się z tym, że muszę znaleźć schronienie – byłem kompletnie goły i nie zamierzałem czekać na to, aż dostanę odmrożeń. Zbyt wielu części ciała wolałbym nie stracić.

Obejmując się ramionami, zlustrowałem okolicę. Za mną było jezioro, którego powierzchnia skrzyła się tysiącami plamek światła. Zmrużyłem oczy, wpatrując się w ciemny las przede mną; zauważyłem rzeźbę stojącą nad brzegiem wody, a za nią betonowe ławki. To oznaczało, że jestem niedaleko tej ogromnej rezydencji, która widziałem wcześniej.

Już wiedziałem, gdzie się ukryję. Miejmy tylko nadzieję, że nikogo nie będzie w domu.

Nie zauważyłem żadnych samochodów na podjeździe, więc póki co szczęście mi sprzyjało.

- Cholera, cholera, cholera – mamrotałem pod nosem, pokonując wysypaną żwirem ścieżkę prowadzącą do tylnego wejścia. Mimo odrętwienia czułem, jak zimne ostre kamyczki przecinają lodowatą skórę stóp. Moje rany leczyły się teraz szybciej niż kiedykolwiek, co nie zmieniało faktu, że ukłucia kamieni bolały.

Nacisnąłem klamkę – otwarte. Koleś na górze musiał być dla mnie łaskawy. Zanotowałem w pamięci, żeby wysłać mu kartkę z podziękowaniami. Wszedłem do zagraconego przedsionka, w którym pachniało węglem drzewnym i sosem barbecue. Przez chwilę po prostu stałem tam, dygocząc, przelotnie sparaliżowany wspomnieniem grillowanego mięsa. Zaburczało mi w brzuchu, który zrobił się bardziej płaski i twardszy od ostatniego razu, gdy byłem człowiekiem. Przez chwile miałem ochotę odnaleźć najpierw kuchnię i podwędzić trochę jedzenia.

Świadomość tego, że już dawno nie pragnąłem czegoś tak bardzo, sprawiła, że moje usta wygięły się w uśmiechu. Ale potem ból zziębniętych stóp przypomniał mi, dlaczego tu jestem. Najpierw ubranie. Potem jedzenie. Ruszyłem pogrążonym w mroku korytarzem.

Wewnątrz dom był równie gigantyczny, jak wydawał się z zewnątrz. Wyglądał jak zdjęcie z rozkładówki magazynu „Dom i Ogród”. Wszystko wisiało na ścianach w idealnych trójkach lub piątkach, perfekcyjnie wyrównane bądź celowo asymetryczne. Na podłodze korytarza leżał nieskazitelnie czysty dywan w kolorze, który prawdopodobnie nosił jakąś wyszukaną nazwę. Zerknąłem za siebie, sprawdzając, czy teren nadal jest czysty, i ledwo uniknąłem przewrócenia wazy wyglądającej na bardzo kosztowną, w której stał bukiet artystycznie zaaranżowanych martwych gałęzi. Zastanawiałem się, czy w ogóle żyją tu prawdziwi ludzie.

A co więcej, czy mieszka tu ktoś, kto nosi ten sam rozmiar co ja.

Po lewej stronie zaczynał się kolejny mroczny korytarz. Po prawej – masywne ciemne schody, które przypominały miejsce zbrodni z gotyckiego horroru. Przez chwilę biłem się z myślami, aż zdecydowałem się pójść na górę. Gdybym był bogatym facetem mieszkającym w Minnesocie, urządziłbym sypialnię na piętrze. Bo ciepło wędruje do góry, więc łatwiej byłoby je ogrzać.

Schody doprowadziły mnie do następnego korytarza. Palce u stóp płonęły mi w zetknięciu z miękkim dywanem; powoli wracało w nich czucie. Ból był dobry. Oznaczał, że do stóp nadal dociera krew.

– Nie ruszaj się!

Kobięcy głos zatrzymał mnie w pół kroku. Nie było w nim słychać strachu, więc pomyślałem, że jego właścicielka musi celować do mnie ze strzelby. Obcy, a do tego goły facet stał pośrodku jej domu – nic dziwnego. Nie przejąłem się tym, moje serce biło zupełnie normalnym rytmem. Boże, jak brakowało mi adrenaliny!

Odwróciłem się.

To była dziewczyna. Generalnie zabójczo piękna, klasyczna pozeraczka męskich serc, z ogromnymi błękitnymi oczami, częściowo ukrytymi za postrzępioną blond grzywką. Coś w jej postawie mówiło, że jest świadoma swojej atrakcyjności. Kiedy otaksowała mnie wzrokiem od góry do dołu, poczułem, jakbym został osądzony i uznany za niewystarczająco dobrego.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Cześć. Przepraszam. Jestem nagi.

– Miło mi cię poznać. Jestem Isabel – odpowiedziała. – Co robisz w moim domu?

Na to pytanie nie miałem tak naprawdę żadnej dobrej odpowiedzi.

Na parterze rozległ się łomot zatraskiwanych drzwi. Oboje drgnęliśmy i rzuciliśmy się do poręczy, żeby poznać przyczynę hałasu. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe i z zaskoczeniem stwierdziłem, że czuję strach – a więc jednak odczuwam cokolwiek po długim czasie emocjonalnego odrętwienia. Nie mogłem się ruszyć.

– O mój Boże! – U dołu schodów pojawiła się kobieta. Patrzyła na mnie z ostupieniem przez pręty balustrady. Przeniosła wzrok na Isabel. – O mój Boże. Co, do...

Miałem zginać z rąk dwóch pięknych dam. I na dodatek kompletnie goły.

– Mamo! – warknęła Isabel. – Mogłabyś się tak nie gapić? To chore!

Zarówno jej matka jak i ja zamrugaliśmy z kompletnego zdumienia.

Nagle Isabel przysunęła się do mnie i przechyliła przez barierkę.

– Czy w tym domu można mieć choć trochę prywatności?! – zawołała.

Jej matka w końcu otrząsnęła się z szoku. Jeszcze wyższym głosem niż córka zarządała:

– Droga Isabel Rosemary Culpeper, czy ty w ogóle zamierzasz mi wyjaśnić, co robi ten nagi chłopak pod moim dachem?

– A jak myślisz? – odparowała Isabel. – Jak sądzisz, co ja tu robię z gołym facetem? Czy doktor Carrotnose nie ostrzegał cię, że mogę zacząć wyrażać swoją frustrację, jeśli nadal będziesz mnie ignorować? Cóż, proszę bardzo, mam! Oto ja i moja frustracja! Tak jest, gap się dalej! Mam nadzieję, że ci się podoba! Nie wiem, dlaczego zmuszasz mnie i ojca do udziału w terapii, jeśli nie zamierzasz nawet słuchać tego, co lekarz ma do powiedzenia. No już, ukarż mnie za swoje błędy!

– Ależ, dziecko... - odezwała się jej matka znacznie cichszym tonem. – Ale to jest...

– Przynajmniej nie stoję na jakimś rogu i nie oddaję się za pieniądze! – wrzasnęła Isabel. Zwróciła się do mnie, a jej twarz błyskawicznie złagodniała. Głosem milion razy słodszy powiedziała: - Kotku, nie chcę, żebyś był świadkiem takich scen. Może wrócisz do sypialni?

A myślałem, że to tylko ja jestem aktorem w swoim własnym życiu.

Jej matka potarła czoło dłonią, starając się nie patrzeć w moim kierunku.

- Proszę cię, córeczko, po prostu mu powiedz, żeby włożył coś na siebie, zanim twój ojciec wróci do domu. Tymczasem ja pójdę zrobić sobie drinka. Nie chcę go już więcej widzieć. Nie zniosę tego.

Gdy jej matka się odwróciła, Isabel złapała mnie za ramię – jej dotyk był jak porażenie prądem – i zaciągnęła mnie korytarzem do jednego z pomieszczeń. Okazało się, że to łazienka, cała w czarno-białych kafelkach, z gigantyczną wanną na rzeźbionych nóżkach, zajmującą większość przestrzeni.

Isabel wepchnęła mnie tam z taką siłą, że omal nie wpadłem do wanny, a potem zamknęła za nami drzwi.

- Co ty, do diabła, robisz w ludzkiej postaci tak wcześnie? – zażądała odpowiedzi.
- Wiesz, kim jestem? – zapytałem.

To było głupie pytanie.

- Błagam – powiedziała głosem ociekającym pogardą, co wydało mi się cholernie podniecające, bo wcześniej nikt – ale to nikt – nie mówił do mnie w taki sposób. – Albo jesteś nowym podopiecznym Sama, albo przypadkowym zboczeńcem, który cuchnie jak pies.
- Sam...? Ale Beck... - zacząłem.
- Już nie Beck. Od dziś Sam – poprawiła mnie Isabel. – Zresztą to nie ma znaczenia. Jedyne, co się liczy, to to, że jesteś goły, w moim domu, a tak naprawdę jeszcze powinienes być wilkiem. Dlaczego, do cholery, nie jesteś już wilkiem? Jak się nazywasz?

Przez jedną szalona chwilę miałem ochotę powiedzieć jej prawdę.

ISABEL

Przez moment wyglądał tak, jakby umknął myślami gdzieś indziej, w jakieś zapomniane miejsce. To był pierwszy przejaw emocji, jaki zauważyłam na jego twarzy. A potem na jego usta powrócił ten sam ironiczny grymas.

- Cole – przedstawił się.

Jakby obdarzał mnie jakimś prezentem.

Nie miałam zamiaru go przyjąć.

- No więc dlaczego nie jesteś teraz wilkiem, Cole?
- Bo inaczej nie mógłbym cię poznać?
- Pięknie – skwitowałam ostro, ale jednocześnie poczułam jak wargi same wyginają mi się w niechcianym uśmiechu.

Wiedziałam wystarczająco dużo na temat flirtowania z przyzwyczajenia, żeby rozpoznać, jak ktoś to robi. A on był pewnym siebie draniem – w ogóle nie wstydząc się swej nagości, chwycił reling nad wanną i stał sobie tak, wyprężony apetycznie, ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Dlaczego okłamałaś swoją mamę? – zapytał. – Czy postąpiłabyś tak gdybym był brzuchatym agentem nieruchomości zamienionym w wilkołaka?
- Wątpię. Z natury wredna ze mnie istotka. – A w myślach dodałam: „Za to od urodzenia jestem zagorzałą fanka takich mięśni, jakie napinają się właśnie na twoich barkach i klatce piersiowej”. Starłam się utrzymywać oczy na linii jego ust o aroganckim wyrazie. – Skoro już to ustaliliśmy, powinniśmy znaleźć dla ciebie jakieś ubranie.
- Serio?
- Taa, czas zasłonić cały ten gabinet osobliwości. – Uśmiechnęłam się do niego paskudnie.

Jego usta przybrały taki kształt, jakby chciał głośno jęknąć: „Uuu”.

- Brutalne.

Wzruszyłam ramionami.

- Zostań tutaj i nie zrób sobie krzywdy. Zaraz wrócę.

Ruszyłam do dawnej sypialni swojego brata. Wahałam się przed drzwiami tylko przez moment, a potem je otworzyłam i weszłam do środka.

Od śmierci Jacka minęło tyle czasu, że przebywanie bez zaproszenia w jego pokoju przestało mi się wydawać wścibstwem. Poza tym to miejsce nie wyglądało już, jakby należało do niego. Moja matka, podążając za radą poprzedniego terapeuty, spakowała większość rzeczy do pudeł, a potem – zgodnie z poradą obecnego lekarza – zostawiła cały ten towar w pokoju Jacka. Wszystkie jego sportowe graty zostały schowane, tak samo wielki domowej roboty zestaw głośników. Kiedy już nie było tu tych rzeczy, nic nie świadczyło o obecności Jacka.

Wchodząc do ciemnego pomieszczenia, potknęłam się o róg jednego z terapeutycznych pudeł. Au! Przekląłam cicho, włączyłam światło i po raz pierwszy zastanowiłam się nad tym, co ja w ogóle wyprawiam: grzebię w rzeczach zmarłego brata, żeby znaleźć ubranie dla totalnie oszałamiającego, ale jednocześnie będącego totalnym palantem wilkołaka, czekającego w mojej łazience, po tym jak oświadczyłam swojej matce, że z nim sypiam.

Może ona miała rację i rzeczywiście rozpaczliwie potrzebowałam terapii...?

Klucząc między pudłami, dotarłam do szafy i otworzyłam ją. Zalała mnie fala zapachu Jacka – dość obrzydliwa, szczerze mówiąc – upranych swetrów, męskiego szamponu i starych butów. Ale na sekundę, tylko na sekundę, zamarłam w bezruchu, wpatrując się w ciemne kształty wiszących na wieszakach ubrań. Potem usłyszałam, jak matka upuszcza coś na dole, i przypomniałam sobie, że muszę pozbyć się Cole'a, zanim ojciec wróci do domu. Ona nic mu nie powie. Tak będzie jej wygodniej. Tak samo jak ja nie lubiła patrzeć, jak po domu latają talerze.

Znalazłam podniszczoną bluzę, T-shirt i przyzwoita parę dżinsów. Odwróciłam się usatysfakcjonowana i wpadłam prosto na Cole'a.

Stłumiłam kolejne przekleństwo. Serce mi waliło. Musiałam odchylić głowę, żeby móc spojrzeć na niego – był wysoki. Przyćmione światło rzucało cień na jego twarz, rzeźbiąc subtelne rysy. Wyglądał jak postacie portretów Rembrandta.

- Długo cię nie było, Isabel – wyjaśnił, cofając się o krok. – Przyszedłem sprawdzić, czy czasem nie poszłaś szukać broni.

Cisnęłam w niego ubraniami.

- Będziesz się musiał obejść bez bielizny.
- Nigdy jej nie noszę. – Położył koszulkę i bluzę na łóżko i odwrócił się częściowo, żeby naciągnąć dżinsy. Były tylko odrobinę za luźne; obserwowałam cień na jego kościach biodrowych, miękką linię bioder przechodzącą w talię.

Gdy znów się obrócił, uciekłam wzrokiem, ale i tak zauważył, że go obserwuję. Miałam ochotę zdrapać mu ten bezczelny uśmiech z twarzy. Sięgnął po T-shirt i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że to była ulubiona koszulka mojego brata, ta z Wikingami z Minnesoty. Dół z prawej strony był umazany farbą, po tym jak Jack malował garaż w zeszłym roku. Potrafił nosić ją całymi dniami bez prania, aż wreszcie nawet on musiał przyznać, że śmierdzi. Nienawidziłam jej.

Cole zaczął ją naciągać, a ja pomyślałam, że nie zniosę widoku kogokolwiek innego w tym T-shircie. Bez zastanowienia chwyciłam za materiał, a Cole zamarł, zaskoczony, a może odrobinę zaintrygowany. Pociągnęłam ubranie do siebie, a on nie zaprotestował, tylko przyglądał mi się z nieco zaciekawionym wyrazem twarzy.

Gdy wreszcie odzyskałam tę cholerną koszulkę, wcale nie miałam ochoty wyjaśniać Cole'owi, dlaczego mu ją zabrałam; zamiast się tłumaczyć, wolałam go pocałować. Łatwiej było docisnąć go do ściany

i przywrzeć ustami do jego ust, smakując kształt tego ironicznego uśmiešku, niż wytłumaczyć, dlaczego widok T-shirtu Jacka w rękach kogoś innego sprawił, że poczułam się tak kompletnie bezbronna.

A Cole świetnie całował.

Czułam jego płaski brzuch, biodra ocierające się o moje. Z bliska pachniał wilczym piżmem i żywicą sosnową. Ta woń przypominała mi Sama. Nawet mnie nie objął, ale przyciskał usta do moich tak wygłodniałe i namiętne, że pomyślałam, iż w tym pocałunku jest więcej prawdy niż we wszystkich jego słowach.

Gdy wreszcie oderwałam się od niego, Cole nadal stał nieruchomo, oparty o ścianę, z dłońmi w kieszeniach wciąż niezapiętych džinsów, z przechyloną głową, znów badawczo mi się przyglądając.

Serce waliło mi w piersi, cała drżałam od powstrzymanego pragnienia, żeby znów go pocałować. Ale na nim ten pocałunek chyba nie wywarł takiego wrażenia jak na mnie. Skórę na brzuchu wciąż miał chłodną i bladą, a puls spokojny, podczas gdy ja cała się trzęsłam.

Nie był podniecony jak ja, co doprowadzało mnie do furii. Cofnęłam się o krok i rzuciłam w niego koszulkę Jacka. Wyciągnął rękę, żeby ją złapać w sekundę po tym, jak odbiła się od jego piersi.

– Było aż tak kiepsko? – zapytał.

– Tak – rzuciłam, krzyżując ręce, żeby nie zauważył, jak mi się trzęsą. – Próbowales jeść jabłko?

Unióś brwi, jakby wiedział, że kłamię.

– Rewanż?

– Nie sądzę – ucięłam. – Myślę, że powinieneś już iść.

Bałam się, że zapyta dokąd, ale on po prostu naciągnął bluzę i zapiął dzinsy w atmosferze nieodwołalności.

– Prawdopodobnie masz rację.

Wiedziałam, że podeszwy stóp musi mieć poranione, ale nie poprosił o buty, a ja mu ich nie zaoferowałam. Słowa więzły mi w gardle na myśl o tym, że nie potrafiłam wyjaśnić mu, o co mi chodziło. Dlatego po prostu sprowadziłam go na dół, z powrotem do wyjścia.

Zobaczyłam, jak się waha – tylko przez chwilę – gdy mijaliśmy drzwi do kuchni. Przypomniałam sobie dotyk jego skóry pod palcami. Wiedziałam, że powinnam zaproponować mu coś do jedzenia, ale przede wszystkim chciałam, żeby zniknął tak szybko, jak to tylko możliwe. Dlaczego o tyle łatwiej było dokarmiać wilki na zewnątrz?

Może dlatego, że one nie uśmiechały się arogancko.

Zatrzymałam się dopiero przy drzwiach i znowu skrzyżowałam ręce na piersiach.

– Mój ojciec bardzo lubi strzelać do wilków – ostrzegłam go. – To tak na marginesie. Więc może lepiej trzymaj się z dala od lasu za domem.

– Będę o tym pamiętać, kiedy powrócę do ciała prostego zwierzęcia – powiedziała Cole. – Dzięki.

– Żyję, żeby dogadzać innym – warknęłam, z impetem otwierając drzwi.

Deszcz ze śniegiem, zacinający z ukosa w ciemnościach nocy, zostawiał mokre ślady na moim ramieniu.

Spodziewałam się miny winowajcy albo cierpiętника, ale Cole tylko ostatni raz spojrział na mnie z dziwnym uśmiechem, świadczącym o uporze. Potem wkroczył prosto w noc, zatraskując za sobą drzwi.

A ja stałam tam jeszcze długą chwilę, przeklinając pod nosem. Nie rozumiałam, dlaczego w ogóle się tym wszystkim przejmuję. Potem poszłam do kuchni i złapałam pierwszą rzecz, jaka wpadła mi w ręce – zawinięty w folię bochenek chleba. Wróciłam do wyjścia, układając sobie w głowie, co mu powiem. Może coś w stylu: „Nie spodziewaj się niczego więcej”. Jednak kiedy otworzyłam drzwi, już go nie było. Zapaliłam lampę nad tylnym wejściem. Przyćmione żółte światło rozlało się w dziwnych refleksach po pokrytym

śniegową breją podwórzu. W odległości około trzech metrów od drzwi zobaczyłam porzucone dżinsy i skotłowana bluza.

Uszy i nos piekły mnie od zimna, a rozmokły śnieg chrzęścił pod stopami. Powoli zbliżyłam się do ubrań. Zatrzymałam się, studiując ich kształt. Jeden z rękawów bluzy był odrzucony, tak jakby wskazywał na odległy sosnowy las. Uniosłam wzrok. Szarobrzązowy wilk stał zaledwie kilka metrów ode mnie. I wpatrywał się we mnie zielonymi oczami Cole'a.

- Mój brat nie żyje – powiedziałam, a zwierzę nawet nie zastrzygło uszami; deszcz ze śniegiem przywierał do jego futra. – Nie jestem zbyt miłą osobą – dodałam.

Nadal stało w bezruchu. Trudno było pogodzić się z widokiem tych oczu w wilczym ciele.

Rozerwałam folię i wyłożyłam chleb na ziemię obok swoich stóp.

Wilk nawet nie drgnął – tylko wpatrywał się we mnie bez mrugnięcia. Ludzkie oczy w zwierzęcym obliczu.

- Nie powinnam była ci mówić, że kiepsko całujesz – przyznałam; zaczęłam trząść się z zimna.

Nie byłam pewna, co jeszcze mogłabym powiedzieć o tym pocałunku, więc się przymknęłam.

Zawróciłam do drzwi. Zanim weszłam ośrodek, zwinęłam ubranie, położyłam je przy wejściu i przykryłam pustą doniczką, żeby nie przemokło.

Potem zostawiłam Cole'a samego, w mroku nocy.

Wciąż pamiętałam jego ludzkie oczy w wilczym pysku. Wyglądały na puste. A ja właśnie tak się czułam.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

SAM

Tęskniłem za swoją matką.

Nie potrafiłbym wyjaśnić tego Grace, bo wiedziałem, że gdy ona myślała o moich rodzicach, widziała tylko brutalne blizny, które pozostawili na moich nadgarstkach. We mnie samym pamięć o tym, jak starali się zabić małego potwora, którym się stałem, tkwiła tak mocno, że czasami zdawała się rozsadzać mi czaszkę. Rany psychiczne były na tyle głębokie, że wręcz czułem dotyk żyłek, ich ostrza na skórze za każdym razem, gdy znalazłem się w pobliżu wanny.

Ale miałem też inne wspomnienia związane z matką. Pojawiały się zawsze wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewałem. Jak na przykład teraz, kiedy siedziałem skulony za ladą w „Krzywej półce”, z książką leżącą nieopodal pustych dłoni, i obserwowałem skradanie się wieczoru za oknem. Ostatnie słowa, jakie przeczytałem, błędziły na moich ustach. Mandelsztam pisał o mnie, choć nie miał możliwości mnie znać:

Bo nie jestem ja wilkiem i krew mam niewilczą.

Na dworze ostatnie promienie słońca oblewały krawędzie zaparkowanych samochodów oślepiającym bursztynem i wypełniały kałuże na ziemi płynnym złotem. Wnętrze księgarni znajdowało się już poza zasięgiem zamierającego dnia. Ciemnawe, puste, na wpół uśpione.

Do zamknięcia brakowało dwudziestu minut.

Dziś miałem urodziny.

Pamiętałem, że w tym dniu matka zawsze piekła dla mnie babeczki. Nigdy tort, jako że była nas zaledwie trójka; ja jadłem tyle co nic, a w dodatku często wybrzydzałem. Tort z pewnością zepsułby się, zanim byśmy go zjedli do końca.

Mama przygotowywała więc babeczki. Wciąż miałem w pamięci zapach lukru waniliowego, w pośpiechu nakładanego na wierzch ciasteczek nożem do masła.

Moja babeczka była specjalna, ze świeczka wciśniętą w lukier. Malutki płomyk, kropelki stopionego wosku drgające tuż pod nim; ciastko zamieniało się w coś jasnego, pięknego i wyjątkowego.

Ciągle jeszcze pamiętałem ostrą woń zapałki pocierającej o draskę, widziałem odbicie ognika w oczach matki, czułem miękkość poduszki wyściełającej kuchenne krzesło, na którym siedziałem z podwiniętymi nogami. Słyszałem, jak matka mówi mi, żebym położył grzecznie ręce na kolanach, i obserwowałem, jak stawia przede mną, ciastko – nie pozwoliła mi trzymać talerza na kolanach ze strachu, że strącę świeczkę i się poparzę.

Moi rodzice zawsze obchodzili się ze mną ostrożnie, Az do dnia, gdy zdecydowali, że muszę umrzeć.

Oparłem czoło na dłoniach i spuściłem wzrok na podniszczony róg książki leżącej pomiędzy moimi łokciami. Wiedziałem, że okładka nie składa się z pojedynczej warstwy papieru. Że w rzeczywistości jest to zadrukowany gruby karton pokryty folią ochronną, która złuszcza się, jakby chciała pozwolić mu poplamić się, wystrzępić, podrzeć i pożółknąć.

Zastanawiałem się, czy naprawdę pamiętam, jak matka piecze dla mnie babeczki, czy też mój mózg zaczerpnął ten obraz z jednej z wielu książek, które przeczytałem. Czy to była klisza przedstawiająca scenę z udziałem jakiejś innej kobiety, która przeniosłem na własne doświadczenia, żeby wypełnić pustkę?

Otworzyłem oczy, nie podnosząc głowy. Blizny na nadgarstkach znalazły się bezpośrednio na wysokości mojego wzroku. W przyćmionym świetle widziałem żyły pod półprzezroczystą skórą; ich jasnoniebieskie rozgałęzienia znikwały pod nierówną tkanką bliznowatą.

Mama...

We wspomnieniach sięgałem po babeczkę rękoma gładkimi i niepoznaczone bliznami, jeszcze nieskazitelnymi i tak kochanymi przez moich rodziców. Matka uśmiechnęła się do mnie.

„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”.

Zamknąłem oczy.

Nie wiedziałem, jak długo tak siedziałem. Gdy usłyszałem „dzyń” otwieranych drzwi, aż podskoczyłem. Gdyby to był zwykły klient, powiedziałbym mu, że już nieczynne, ale to była Grace. W jednej ręce ścisła tackę z napojami, w drugiej papierową torbę z Subway’a. Obecność dziewczyny rozjaśniła wnętrze księgarni, jakby ktoś zapalił dodatkowe światło.

Byłem zbyt zaskoczony jej widokiem, żeby się ruszyć i jej pomóc, a kiedy to do mnie dotarło, ona zdążyła położyć prowiant na ladzie. obeszła kontuar, objęła mnie i wyszeptła do ucha:

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Wysunąłem się z jej ramion i położyłem dłonie na jej talii. A potem przytuliłem ją mocno, przyciskając twarz do jej szyi, żeby ukryć zaskoczenie.

– Skąd wiedziałaś?

– Beck powiedział mi, zanim się przemienił – wyznała Grace. – Ale to ty powinieneś być mi o tym wspomnieć! – Odsunęła się odrobinę, żeby na mnie spojrzeć. – O czy myślałeś? Gdy weszłam?

– O byciu Samem – przyznałem.

– Co za miły temat do rozważań – skomentowała. A potem uśmiechnęła się, jeszcze szerzej i szerzej, aż w końcu poczułem, że robię to samo. Staliśmy tak i stykaliśmy się nosami, w końcu Grace zrobiła krok do tyłu i wskazała na pakunek leżący na ladzie. – Powinnam cię zabrać na elegancką kolację, ale po pierwsze w Mercy Falls nie ma romantycznych miejsc, a po drugie jestem nieco splukana. To co, jemy?

Prześlizgnąłem się obok niej i podszedłem do drzwi. Zamknąłem je i odwróciłem kartkę z napisem „ZAMKNIĘTE” przodem do szyby.

– I tak już miałem kończyć pracę. Chcesz iść z tym do domu? Czy jemy na górze?

Grace zerknęła na schody wyłożone ciemnoczerwoną wykładziną, które wiodły na antresolę; wiedziałem, że już podjęła decyzję.

– Ty wykorzystaj swoje bicepsy do niesienia napojów – zażartowała. – A ja wezmę kanapki, bo ich nie da się łatwo zepsuć.

Wyłączyłem światła na dole i ruszyłem za nią po schodach, z tekturową tacką w dłoni. Nasze stopy szurały po grubym dywanie, gdy wspinaliśmy się na skąpane w półmroku poddasze ze skośnym sufitem. Z każdym krokiem czułem się tak, jakbym wznosił się wyżej i wyżej, ponad tamte zapamiętane urodziny, do czegoś nieskończenie bardziej realnego.

– Co mi kupiłaś? – zapytałem.

– No przecież urodzinową kanapkę – odpowiedziała Grace – a cóż by innego?

Zapaliłem lampę w kształcie bukietu kwiatów, stojącą na niskim regale; osiem małych żarówek zalało pomieszczenie różowym blaskiem. Dołączyłem do Grace na wysłużonej kanapie. Na naszych twarzach tańczyły cienie.

Moje urodzinowe kanapki wypełnione były pieczoną wołowina i majonezem. Rozłożyliśmy papierki, tak żeby ich krawędzie zachodziły na siebie, i Grace zanuciła: „Sto lat”, straszliwie fałszując.

– I jeszcze dłużej – dodała w zupełnie nowej tonacji.

– Cóż, dzięki – szepnąłem, po czym dotknąłem jej policzka, a ona uśmiechnęła się do mnie.

Po tym jak skończyliśmy jeść – to znaczy ja niemal skończyłem, a Grace wyjadła tylko chleb ze swojej porcji – skinęła na papierki po kanapkach i rozkazała:

- Wyrzuć je. A ja wyjmę twój prawdziwy prezent.

Złapała plecak z podłogi i wciągnęła go na kolana.

- Nie powinnaś była niczego mi kupować. Głupio mi, że mam coś od ciebie dostać.
- Ale chciałam – ucięła. – Więc nie psuj tego nadmierną wstydlivością. Poza tym miałeś się pozbyć tych opakowań! – Posłusznie pochylilem głowę i zacząłem sprzątać. – Ty i te twoje żurawie! – zaśmiała się głośno, gdy zauważyła, że wziąłem czystszy papier i zacząłem składać wielkiego oklapłego ptaka ozdobionego logiem „Subway”. – Czemu ciągle je robisz?
- Kiedyś składałem je zawsze w dobrych chwilach. Żeby o nich pamiętać. – Machnąłem w jej kierunku żurawiem; pięknie zatrzepotał pomarszczonymi skrzydłami. – Wiesz, że nigdy nie zapomnisz, skąd się wziął właśnie ten ptak?

Grace przyglądała mu się badawczo.

- Myślę, że to jest dość bezpieczne przypuszczenie.
- Zadanie wykonane – powiedziałem cicho i położyłem żurawia na podłodze obok kanapy. Wiedziałem, że opóźniam moment otrzymania prezentu. Myśl o tym, że Grace coś mi kupiła, sprawiała, że żołądek mi się ścisnął. Ale jej nie dało się łatwo zniechęcić.
- A teraz zamknij oczy – poprosiła; w jej głosie słychać było cień oczekiwania i nadziei.

W myślach zmówiłem modlitwę: „Boże, proszę, pozwól, by spodobało mi się, cokolwiek otrzymam”. Starłem się wyobrazić sobie własną twarz, na której maluje się mina pod tytułem: „Idealna radość”, tak żebym mógł ją przybrać niezależnie od tego, jaki prezent dostanę.

Usłyszałem, jak Grace zamyka plecak, i poczułem, jak wstaje na chwilę, a potem, że poduszki uginają się pod jej ciężarem, gdy sadowiła się z powrotem na kanapie.

- Pamiętasz pierwszy raz, gdy tu przyszliśmy? – zapytała, gdy siedziałem tak, na wpół osamotniony, w ciemnościach opuszczonych powiek. To nie było pytanie, które wymagało odpowiedzi, więc tylko się uśmiechnąłem. – Pamiętasz, jak kazałeś mi zamknąć oczy i czytałeś mi wiersz Rilkego? – głos Grace był wyraźniejszy, poczułem, jak jej noga dotyka mojej. – Kochałam cię tak bardzo w tamtym momencie, Samie Roth.

Przeszedł mnie dreszcz; z trudem przełknąłem ślinę. Wiedziałem przecież, że Grace mnie kocha, ale ona prawie nigdy tego nie mówiła. Już samo to wyznanie mogło być podarunkiem dla mnie. Moje dłonie leżały na kolanach; nagle poczułem, jak ona obraca je wnętrzem do góry i coś na nich kładzie.

Kartka papieru.

- Nie sądziłam, że potrafię być tak romantyczna jak ty – stwierdziła. – Wiesz, że nie jestem w tym dobra. Ale... cóż. – Zaśmiała się cicho pod nosem, tak uroczo, że niemal się zapomniałem i prawie otworzyłem oczy, żeby zobaczyć wyraz jej twarzy, gdy to robiła. – No dobra, już nie mogę się doczekać. Zobacz.

Uniosłem powieki. W dłoniach trzymałem złożony kawałek jakiegoś wydruku z komputera. Widziałem cienie liter przebijających na drugą stronę, ale nie potrafiłem ich rozczytać.

Grace ledwie mogła spokojnie usiedzieć. Trudno było mi znieść jej wyczekujące spojrzenie, bo wciąż nie wiedziałem, czy będę umiał odpowiednio zareagować.

- Otwórz.

Starłem się pamiętać o przywołaniu radości na twarz. Uniesienie brwi, szeroki uśmiech, błyszczące oczy.

Rozłożyłem kartkę.

I kompletnie zapomniałem o tym, jaką minę powinienem zrobić. Po prostu siedziałem tam, gapiąc się na papier i tak naprawdę nie wierząc w to, co widzę. To był kosztowny prezent, jednak przede wszystkim strasznie trudny do zorganizowania. Najwspanialsze było to, że Grace umożliwiła mi wypełnienie

postanowienia noworocznego, którego nawet nie miałem odwagi zapisać. Ten podarunek świadczył o tym, że mnie z n a ł a. Stanowił dowód na to, że jej wyznanie miłości było prawdziwe.

To była faktura. Za pięć godzin w studiu nagraniowym.

Podniosłem wzrok na Grace i zobaczyłem, że niecierpliwe wyczekiwanie zniknęło zastąpione przez coś zupełnie innego. Zadowolenie z siebie. Totalną satysfakcję. Moja mina – cokolwiek wyrażała, musiała zdradzać moje uczucia.

– Grace – zacząłem głosem cichszym, niż planowałem.

Jej radosna buzia wyglądała na jeszcze szczęśliwszą. Euforia powiększała się z minuty na minutę.

– Podoba ci się? – spytała niepotrzebnie.

– Ja...

Oszczędziła mi trudu kończenia zdania.

– Studio jest w Duluth. Zaplanowałam to na jeden z naszych wspólnych wolnych dni. Pomyślałam, że mógłbyś zagrać trochę swoich piosenek i... no nie wiem. Zrobić z nimi cokolwiek.

– Moje własne demo – szepnąłem.

Ten prezent znaczył więcej, niż sądziła – a może właśnie wiedziała, co się z nim wiązało. Stanowił znacznie więcej niż tylko bodziec, żebym zrobił coś ze swoją muzyką. Był potwierdzeniem, że mogę ruszyć do przodu. Że będzie następny tydzień i następny miesiąc, i następny rok. Nagranie w studiu dawało możliwość robienia planów na zupełnie nową przyszłość. Uzmysłowiło mi, że jeśli dam komuś moje demo, a on powie: „Odezwiemy się do ciebie w ciągu miesiąca” – to ja nadal będę człowiekiem, kiedy telefon wreszcie zadzwoni.

– Boże, kocham cię, Grace – westchnąłem.

Wciąż ściskając dokument, objąłem ją za szyję i przytuliłem mocno. Docisnąłem usta do jej skroni i raz jeszcze mocno przygarnąłem ją do siebie. Odłożyłem fakturę obok kanapkowego żurawia.

– Z niej też zamierzasz zrobić origami? – zapytała, a potem zamknęła oczy, żebym mógł ją znowu pocałować.

Ale nie zrobiłem tego. Po prostu gładziłem jej włosy, odsuwając je z twarzy, chciałem na nią patrzeć. Przywodziła na myśl te anioły wieńczące nagrobki, z zamkniętymi oczami, uniesionymi głowami, złożonymi dłońmi.

– Znowu jesteś rozpalona – zauważyłem zaniepokojony. – Dobrze się czujesz?

Grace nie podniosła powiek, pozwalając, żebym dalej wodził palcami po jej twarzy. Moje ręce wydawały się zimne w zetknięciu z jej gorącą skórą.

– Uhm – wymruczała.

Więc dalej pieściłem jej czoło, policzki. Chciałem jej powiedzieć, że jest piękna albo że jest moim aniołem, lecz dla Grace takie słowa znaczyły mniej niż dla mnie. Dla niej to były banały, którymi cieszyła się przez chwilę; potem zniknęły, zbyt cliwe, żeby mogły być prawdziwe. Dla Grace liczyły się moje dłonie na jej policzkach, moje usta na jej wargach. Przelotne dotknięcia, które świadczyły o tym, że ją kocham.

Gdy pochyliłem się, żeby ją pocałować, znowu wyczułem leciutką nutę tego słodkiego migdałowo-wilczego zapachu. Tak słabą, że możliwe, iż ją sobie wyobraziłem. Ale to wystarczyło, żeby popsuć mi nastrój.

– Chodźmy do domu – poprosiłem.

– To jest twój dom – zaprotestowała Grace z przekornym uśmiechem. – Mnie nie oszukasz.

Ale ja wstałem, pociągając ją za sobą.

– Chcę zdążyć przed twoimi rodzicami – oświadczyłem. – Ostatnio wracają naprawdę wcześniej.

- Ucieknijmy i się pobierzmy – zaproponowała nieśmiało Grace, schylając się, żeby posprzątać z podłogi pozostałości naszej kolacji.

Przytrzymałem torbę tak, żeby mogła wrzucić resztki do środka, i obserwowałem, jak zabiera ze sobą Subway'owego żurawia. Potem ruszyliśmy na dół.

Trzymając się za rękę, przeszliśmy przez ciemny sklep do wyjścia. Gdy usiadła za kierownicą swojej mazdy, uniosłem wewnątrz swojej dłoni do nosa, starając się wyłapać ten obcy zapach. Już go nie czułem, ale wilk we mnie nie potrafił zignorować jego wspomnienia w tamtym pocałunku.

To było jak cichy głos szepczący coś w obcym języku – sekret, którego nie potrafiłem zrozumieć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

SAM

Coś mnie obudziło.

Otoczał mnie znajomy matowy mrok sypialni Grace, ale nie mogłem rozpoznać, co wyrwało mnie ze snu. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki, a reszta domu pogrążona była w nocnej ciszy. Grace spała, odsuwając się ode mnie. Objąłem ją i przycisnąłem nos do jej pachnącego mydłem karku. Miękkie blond włoski załaskotały mnie w nozdrza. Cofnąłem twarz; Grace westchnęła przez sen, zwinęła się w kłębek i mocniej wtuliła we mnie. Ja też powinienem spać – rano miałem inwentaryzację w księgarni - ale coś w mojej podświadomości brzęczało niespokojnie, zmuszając do czujności. Leżeliśmy z Grace jak dwie tyżeczki w szufladzie, aż jej skóra stała się tak gorąca, że trudno to było wytrzymać.

Odsunąłem się trochę, nadal jednak trzymałem dłoń na jej boku. Zazwyczaj te miękkie wgłębienia i wypukłości żeber pod moimi palcami usypiały mnie, gdy nic innego nie mogło. Ale nie tej nocy.

Nie potrafiłem przestać zastanawiać się nad tym, co czułem, gdy zbliżała się przemiana. Zimno pełzające po ciele, pozostawiające gęsią skórę. Żołądek podchodzący do gardła i przejmujące, dotkliwe fale mdłości. Ognisty wybuch bólu wzdłuż kręgosłupa, który rozciągał się zgodnie ze wspomnieniem innego kształtu. Moje myśli oddalające się ode mnie, miażdżone i na nowo kształtowane, żeby zmieścić się w wilczej czaszce.

Sen umykał mi, był tuż, ale poza zasięgiem. Mój instynkt nieubłaganie zmuszał mnie do zachowania czujności. Ciemność napierała mi na oczy, podczas gdy wilk we mnie ostrzegał: „Coś jest nie tak”.

W lesie zaczęły wyć wilki.

GRACE

Było mi za gorąco. Prześcieradła przyklejały się do moich spoconych tydek; wyczułam słona wilgoć w kąciku ust. Wilki zawodziły, a ja czułam palące mrowienie na skórze, tysiące igiełek kłuszące twarz i ręce. Wszystko potęgowało cierpienie: krępujący ciężar koca, zimna ręka Sama na moim biodrze, zawodzące, wysokie jęki drapieżników w lesie, wspomnienie palców Sama dociśniętych do jego skroni.

Spałam. Śniłam. A może jednak byłam przytomna? Czy właśnie się obudziłam...? Nie mogłam zdecydować.

Przed oczami przesuwaly mi się sceny przemian, których byłam świadkiem: transformacja Sama – pełna smutku i udręczenia; Becka – mocna i kontrolowana; Jacka – dzika i bolesna; Olivii – błyskawiczna i taka łatwa.

Wilki obserwowały mnie – outsiderkę, jedyną, która się nie przeistoczyła.

Język przykleił mi się do podniebienia, suchego jak papier. Chciałam oderwać twarz od wilgotnej poduszki, ale to wymagałoby siły. Chciałam spać, ale oczy bolały mnie za bardzo, żebym mogła je zamknąć.

Jak wyglądałaby moja przemiana...? Gdybym nie została uleczona... Jakim wilkiem bym była? Patrzyłam na swoje ręce i wyobrażałam sobie, że to łapy – ciemnoszare, pręgowane czernią i bielą. Wyobraziłam sobie ciężar futra na ramionach, atakowała mnie fala mdłości.

Przez jeden cudowny moment nie czułam nic poza chłodem powietrza na skórze; nie słyszałam nic oprócz oddechu Sama. Ale potem wilki znowu zaczęły wyć, a moje ciało zatrzęśło się pod wpływem uczucia, które było nowe, a jednocześnie jakoś znajome.

Zaraz się przemienię. Nadchodziła transformacja.

Rosnący we mnie wilk zaczął mnie dławić, atakując wewnątrz mojego brzucha, przebijając pazurami moją skórę, starając się zniszczyć ludzką formę.

Chciałam tego, lecz moje mięśnie paliły i jęczały.
Ból mnie rozdzierał.
Straciłam głos. Płonęłam.
Wyskoczyłam z łóżka, zrzucając ludzką skórę.

SAM

Krzyk Grace wyrwał mnie z niespokojnego snu. Była straszliwie rozpalona. Czujęm żar bijący od jej ciała, choć odsunęła się ode mnie możliwie daleko.

– Grace – wyszeptałem. – Nie śpisz?

Ściągnęła ze mnie prześcieradła, rzucając się z boku na bok i znowu krzycząc. W mroku widziałem tylko jej ramię; wyciągnąłem rękę, żeby go dotknąć. Moje palce były mokre od jej potu; dziewczęce ciało drżało pod moją dłonią – dziwny nieznaną dygot.

– Grace, obudź się! Dobrze się czujesz? – Serce waliło mi tak głośno, że nawet nie usłyszałbym jej odpowiedzi.

Miotła się chwilę, a potem wyprostowała jak struna, dziko przewracając oczami. Kiedy się trzęsła, wydawała się taka obca. Nie rozpoznawałem jej.

– Grace, mów do mnie – mój szept wydawał się bezsensowny wobec jej wcześniejszego krzyku.

Tymczasem ona ze zdumieniem wpatrywała się w swoje ręce. Przytknąłem dłoń do jej czoła – była strasznie rozpalona, nawet nie wiedziałem, że człowiek może mieć tak wysoką temperaturę. Objąłem ją za szyję, a ona wzdrygnęła się, jakby dotknęła lodu.

– Chyba jesteś chora – powiedziałem; żołądek mi się ścisnął. – Masz gorączkę.

Rozwarła palce szeroko i badawczo przyglądała się drżącym dłoniom.

– Śniłam... śniło mi się, że się przemieniłam. Że...

Nagle potwornie jęknęła i skuliła się w kłębek, odsuwając ode mnie.

Nie wiedziałem, co robić.

– Co się dzieje? – zapytałem, ale nie liczyłem, że uzyskam odpowiedź. I faktycznie nie otrzymałem jej. – Przynieść ci panadol, czy coś? Jest w łazience?

Tylko zaskomlała. To było przerażające.

Pochyliłem się, żeby spojrzeć na jej buzię, i wtedy nagle to poczułem.

Cuchnęła wilkiem.

Wilkiem, wilkiem, w i l k i e m.

Woń wilka.

Pochodząca od Grace.

To niemożliwe. To musiałem być ja. Modliłem się, żeby to był mój zapach.

Zbliżyłem twarz do własnego ramienia i wciągnąłem powietrze. Uniosłem dłoń do nosa, tę, która właśnie dotknęła jej czoła.

Wilk.

Serce mi zamarło.

A potem drzwi się otworzyły i blask z korytarza wlał się do pokoju.

– Grace? – głos jej ojca. Światło w sypialni rozbłysło, a on zobaczył, że siedzę obok niej. – Sam?!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

GRACE

Nawet nie zauważyłam, jak tata wchodzi do pokoju. Uświadomiłam sobie, że jest w mojej sypialni, dopiero wtedy, gdy usłyszałam jego głos, odległy, jakby stłumiony przez wodę.

– Co się tutaj dzieje?

Miałam wrażenie, że dobiegające dźwięki tworzą muzykę towarzyszącą bólowi, który wypalał mnie od środka. Ścisnęłam poduszkę i gapiłam się na ścianę. Widziałam rozmyty cień sylwetki Sama i ostrzejszy – mojego ojca, który stał bliżej źródła światła w korytarzu. Obserwowałam, jak oba nieregularne kształty poruszają się w przód i w tył, zlewają w jedno, a potem znowu rozdzielają.

– Grace. – Mój ojciec mówił coraz głośniejsze. – Nie udawaj, że mnie tu nie ma.

– Panie Brisbane – zaczął Sam.

– Nie. Nie waż się do mnie odzywać – warknął tata. – Nie mogę uwierzyć, że masz czelność patrzeć mi w twarz, podczas gdy za naszymi plecami...

Nie chciałam się podnosić, bo każdy ruch sprawiał, że ogień we mnie płonął bardziej. Nie mogłam jednak mu pozwolić, żeby tak się odzywał do Sama. Odwróciłam się w ich stronę, krzywiąc z bólu.

– Tato. Nie. Nie mów tak do Sama. Ty nie wiesz...

– Nie myśl, że na ciebie nie jestem wściekły! – krzyknął tata. – Całkowicie zawiodłaś nasze zaufanie!

– Proszę – powiedział Sam; teraz dopiero zobaczyłam, że stał przy łóżku w spodniach od dresu i T-shircie, zaciskając palce tak mocno, że aż mu pobieleły knykcie. – Zdaję sobie sprawę, że jest pan na mnie wściekły i wcale się panu nie dziwię, ale... z Grace jest coś nie tak.

– Co się tutaj dzieje? – usłyszałam głos mamy. Potem pełnym rozczarowania tonem wyrzuciła z siebie: - Sam? Nie mogę w to uwierzyć.

Wiedziałam, że to dobije Sama.

– Proszę pani – błagał Sam, choć mama już dawno mu powiedziała, żeby zwracał się do niej po imieniu, i zazwyczaj to robił. – Grace ma straszną gorączkę. Ona...

– Po prostu odsuń się od łóżka. Gdzie jest twój samochód? – wtrącił ojciec.

Wpatrywałam się w wentylator zawieszony pod sufitem, wyobrażając sobie, że włącza się i osusza pot ściekający po moich skroniach.

Zobaczyłam nad sobą twarz matki i poczułam, jak kładzie mi rękę na czole.

– Kochanie, chyba rzeczywiście masz temperaturę. Słyszeliśmy, jak krzyczysz.

– Mój brzuch – wymamrotałam.

Starałam się nie otwierać ust zbyt szeroko, na wypadek gdyby to, co tkwiło we mnie, chciało wypełznąć.

– Poszukam termometru. – Zniknęła mi z pola widzenia, ale nadal słyszałam głos taty i Sama. Nie miałam pojęcia, o czym mogliby rozmawiać. Mama pojawiła się znowu. – Spróbuj usiąść, Grace.

Krzyknęłam, gdy to robiłam. Pazury drapały moją skórę od wewnątrz.

Matka podała mi szklankę wody, badawczo przyglądając się termometrowi.

Sam stojący przy drzwiach sypialni podskoczył, gdy naczynie wysunęło się z mojej bezwładnej dłoni i wylądowało na dywanie z głuchym odgłosem. Mama spojrzała na nie, a potem na mnie. Palce wciąż miałam wygięte, jakbym cały czas coś w nich trzymała.

– Mamo... myślę, że naprawdę... jestem chora – z trudem wyszeptalam.

- Dość tego – warknął tata. – Sam, natychmiast bierz swoją kurtkę. Odprowadzę cię do twojego samochodu. Amy, zmierz jej temperaturę. Wróć za kilka minut. Wezmę ze sobą telefon.

Zwróciłam oczy w kierunku Sama; wyraz jego twarzy sprawił, że cierpiałam jeszcze bardziej.

- Błagam, niech mnie pan nie prosi, żebym zostawił ją w takim stanie – odezwał się w końcu.

Zaczęłam oddychać szybciej.

- Ja nie proszę – wyjaśnił mój ojciec. – Ja ci każę. I jeśli jeszcze kiedykolwiek chcesz zobaczyć moją córkę, to natychmiast wynoś się z mojego domu. I to już!

Sam przecesał palcami włosy, a potem złączył ręce za głową, zamykając oczy. Na chwilę wszyscy wstrzymaliśmy oddech w oczekiwaniu na jego reakcję. Całe jego ciało wyrażało napięcie i wewnętrzną walkę. Eksplozja wydawała się nieunikniona.

Sam podniósł powieki, a gdy przemówił, niemal nie rozpoznałam jego głosu.

- Proszę tak nie mówić. Nie grozić mi. Pójdę. Ale nigdy... - Nie mógł wydusić nic więcej.

Zobaczyłam, jak przełyka ślinę. Chyba wymówiłam jego imię, ale on był już na korytarzu. A za nim szedł mój ojciec.

Chwilę później wydało mi się, że słyszę, jak silnik auta taty budzi się do życia na podjeździe, ale to był samochód mamy, a ja w nim siedziałam. Gorączka trawiła mnie żywcem. Za oknem gwiazdy wirowały na zimnym nocnym niebie, a ja poczułam się taka mała i samotna, i tak bardzo zmęczona bólem.

- Sam... Sam... Sam, gdzie jesteś...?

- Skarbie – odezwała się matka zza kierownicy. – Sama tutaj nie ma.

Przełknęłam łzy i obserwowałam gwiazdy znikające z mojego pola widzenia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

SAM

Tamtej nocy, gdy Grace trafiła do szpitala, wreszcie musiałem skupić całą swoją uwagę na wilkach.

W tym czasie wydarzyło się wiele małych zbiegów okoliczności, które ostatecznie zderzyły się i połączyły w coś większego. Gdyby Grace nie zachorowała; gdyby jej rodzice byli jak zwykle poza domem; gdyby nas nie nakryli; gdybym nie wrócił do domu Becka; gdyby Isabel nie usłyszała Cole'a i nie przyprowadziła go do mnie; gdyby Cole nie był w równych częściach ćpunem, dupkiem i geniuszem – jak potoczyłoby się moje życie...?

Rilke powiedział kiedyś: *Verweilung, auch am Verstrautesten nicht, ist uns gegeben. [Pozostawanie nawet przy najbliższych rzeczach nie jest nam dozwolone].**

Moja dłoń już tęskniła za ciężarem dłoni Grace.

Poo tamtej nocy wszystko w moim życiu się zmieniło. Wszystko.

Ojciec Grace zawiózł mnie pod księgarnię, gdzie w wąskiej uliczce stał zaparkowany mój volkswagen. Jechał ostrożnie, żeby nie zawadzić którymś z lusterek o kubły na śmieci, stojące po obu stronach. Zatrzymał się tuż za moim samochodem. Mrugająca latarnia uliczna zawieszona na wysokości drugiego piętra oświetlała jego zaciśnięte usta.

Ja też się nie odzywałem. Wargi miałem sklezione toksyczną mieszanką gniewu i poczucia winy. Siedzieliśmy tak w ciszy, gdy nagle wycieraczka przejechała po przedniej szybie. Obaj się wzdrygnęliśmy. Pan Brisbane musiał ją uruchomić przez przypadek razem z kierunkowskazem. Pozwolił jej raz jeszcze zmieść i tak czystą szybę, zanim uświadomił sobie, że powinien ją wyłączyć.

W końcu odezwał się, nie patrząc na mnie:

- Grace zawsze była idealna. Przez siedemnaście lat nigdy nie wpakowała się w kłopoty w szkole. Nigdy nie brała narkotyków i nie piła alkoholu. Jest świetną uczennicą. Zawsze była absolutnie idealna.

Nie skomentowałem tego, a on ciągnął dalej.

- Aż do teraz. Nie potrzebujemy kogoś, kto przyjdzie i sprowadzi ją na złą drogę. Nie znam cię, Samuelu, ale znam swoją córkę. I wiem, że to wszystko musi być wyłącznie twoją winą. Nie próbuję ci grozić, ale też nie pozwolę ci zdemoralizować Grace. Myślę, że powinieneś poważnie przemyśleć sobie wszystko, zanim znowu ją zobaczysz.

Przez chwilę wypróbowywałem w myślach różne odpowiedzi, ale te, które przychodziły mi do głowy, były zbyt aroganckie albo za bardzo szczere, żeby wypowiedzieć je na głos. Wysiadłem prosto w lodowatą noc. Wszystko we mnie było milczeniem.

Tymczasem ojciec Grace poczekał, aż mój samochód odpali, i dopiero wtedy odjechał. Jego auto już dawno zniknęło w wąskiej uliczce, a ja wciąż siedziałem w swoim volkswagenie i gapiałem się na tylne drzwi księgarni. Miałem wrażenie, że już wiele dni minęło od momentu, gdy Grace i ja przeszliśmy przez nie – ja wciąż podekscytowany myślą o fakturze ze studia nagraniowego, a ona ciągle rozemocjonowana moją reakcją i tym, że wiedziała dokładnie, co mi kupić. Teraz jednak nie potrafiłem sobie przypomnieć wyrazu zadowolenia na jej twarzy. Jedyne obrazy, jakie pojawiały się w mojej głowie, to Grace wijąca się z bólu na prześcieradłach, z rozpalonym czołem i wypiekami na policzkach, cuchnąca wilkiem.

To tylko gorączka.

* Rainer M. Rilke, „Poezje”, przeł. M. Jastrun, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 339.

Właśnie to sobie powtarzałem, gdy jechałem w kierunku domu Becka. Snopy światła bijące z przednich reflektorów wozu rozjaśniały czarną jak smoła noc, załamując się i drżąc, gdy natrafiały na ciemne pnie drzew po obu stronach drogi.

Mówiłem to sobie raz za razem, mimo że instynkt podpowiadał mi, że wcale tak nie jest, a ręce zaciśnięte na kierownicy bolały od powstrzymywanej w ten sposób chęci zawrócenia do domu Brisbane'ów. W połowie drogi do Becka wyciągnąłem komórkę i zadzwoniłem pod numer Grace. Wiedziałem, że to kiepski pomysł, ale po prostu nie mogłem inaczej. W słuchawce usłyszałem głos jej ojca.

- Odebrałem tylko po to, żeby ci powiedzieć: nie dzwoń więcej – poinformował mnie. – Serio, Samuelu, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, dasz sobie spokój. Nie chcę z tobą rozmawiać. Nie życzę sobie, żeby Grace z tobą rozmawiała. Po prostu...
- Ja tylko chciałbym wiedzieć, jak ona się czuje!

Chyba powinienem dodać „proszę”, ale nie potrafiłem się do tego zmusić.

Ucichł na chwilę, jakby słuchał kogoś innego, a potem znowu się odezwał:

- To zwykła gorączka. Nie dzwoń więcej. Naprawdę bardzo się staram, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będę później żałował.

W tle usłyszałem czyjś głos – Grace albo jej matki – a potem telefon zamilkł.

Byłem papierową łódeczką dryfującą po ogromnym oceanie nocy. Nie chciałem wracać do domu Becka, ale dokąd indziej miałbym się udać? Byłem człowiekiem i bez Grace u swego boku nie miałem niczego poza pracą, samochodem i budynkiem pełnym pustych pokoi.

Pojechałem więc do Becka – musiałem wreszcie przestać myśleć o tym miejscu jako o należącym do niego – i zaparkowałem na pustym podjeździe.

Dawno temu w każde wakacje pracowałem w księgarni – kiedy Beck jeszcze przemieniał się w człowieka, a ja nadal traciłem swoje zimy w skórze wilka. Po robocie parkowałem tu na długo przed zapadnięciem zmroku; wysiadałem z auta Becka przy wtórze ludzkiego śmiechu i zapachu grilla dochodzącego z podwórza.

Teraz stałem tutaj w środku nocy, zimno szczypało, a ja wiedziałem, że wszystkie głosy z przeszłości są uwięzione w lesie. Wszystkie, poza moim...

Grace.

Wszedłem do domu i zapaliłem światło w kuchni. Zobaczyłem zdjęcia przyklejone gdzie popadnie na szafkach. Potem włączyłem światło w korytarzu. W myślach usłyszałem, jak Beck pyta mnie – dziewięciolatka: „Dlaczego musimy zapalać wszystkie światła w domu? Wysyłasz sygnały kosmitom?”.

Obszedłem cały budynek i włączyłem światło w każdym pomieszczeniu, zalewając blaskiem kolejne wspomnienia. W salonie Paul i ja grywaliśmy na gitarach – jego zdezelowany stary fender nadal stał oparty o kominek. W pokoju gościnnym Derek pomieszkiwał z dziewczyną z miasta, zanim nie oberwało mu się za to od Becka. Zapaliłem też światło nad schodami do piwnicy i w bibliotece na dole, a potem wróciłem na parter i włączyłem lampy w gabinecie Becka, który wcześniej pominąłem. W salonie zatrzymałem się na dłużej, żeby uruchomić kosztowny system stereo. Kupił go Urlik, gdy miałem dziesięć lat, żeby móc „usłyszeć «Jethro Tull» w sposób, w jaki powinno się go słuchać”.

Na piętrze zapaliłem lampę w pokoju Becka, gdzie ten niemal nigdy nie sypiał, bo wolał magazynować książki i papiery na łóżku, a sam drzemał w fotelu w bibliotece, z książką na piersiach. Pokój Shelby ożył pod przyćmionym żółtawym światłem płynącym z sufitu, nieskazitelnie czysty i od dawna niezamieszany. Nie było tam żadnych jej prywatnych rzeczy poza starym komputerem. Przez chwilę kusilo mnie, żeby rozbić jej monitor tylko dlatego, że miałem ochotę w coś walnąć – a jeśli ktokolwiek zasługiwał na demolkę, to właśnie ona – ale potem zrozumiałem, że zniszczenie go nie dałoby mi żadnej satysfakcji, skoro Shelby nie mogła tego wiedzieć. Pokój Urlika wyglądał jak zastygły w czasie. Jedna z jego kurtek nadal była rzucona na

łóżko, tuż obok zwiniętej pary dżinsów, a na stoliku nocnym stał pusty kubek. Pokój Paula był następny. Na komodzie wciąż tkwił słoik po przetworach ze szczelną pokrywką, z dwoma zębami w środku – jeden należał do Paula, a drugi do martwego białego psa.

Własną sypialnię zostawiłem sobie na koniec. Wspomnienia unosiły się tam na sznurkach zawieszonych pod sufitem. Na regałach i na podłodze znajdowały się książki. Pokój pachniał tak jak rzadko używane pomieszczenia; chłopiec, który w nim dorastał, nie mieszkał tu długo.

Ale teraz zostanę właśnie tu. Będę jedyną osobą wałęsającą się po ogromnym domu, w nadziei na ponowne pojawienie się reszty rodziny.

Jednak zanim zdążyłem sięgnąć do włącznika na ścianie, usłyszałem odgłos silnika na podjeździe. Już nie byłem sam.

* * *

- Przygotowujesz lądowisko dla samolotów? – zapytała Isabel. Wyglądała wręcz nierealnie – na środku salonu, w jedwabnych spodniach od piżamy i białej pikowanej kurtce z futrzanym kołnierzem. Jeszcze nigdy nie wiedziałem jej bez makijażu; wydała mi się znacznie młodsza niż zazwyczaj. – Dom świeci na kilometr. Chyba włączyłeś wszystkie lampy.

Nie odpowiedziałem. Nadal starałem się zrozumieć, jak to się stało, że wylądowała tutaj o czwartej nad ranem w dodatku z chłopakiem, którego spotkałem ostatnio w swojej kuchni, gdy przemieniał się wilka.

Koleś miał na sobie bluzę i dżinsy, które wisały na nim, jakby należały do kogoś innego. Jego nagie stopy pokryte były sinymi plamami odmrożeń, ale on stał wyluzowany, z kciukami zatkniętymi za kieszenie spodni, jakby straszliwie spuchnięte i odbarwione palce go nie obchodziły. Sposób, w jaki patrzył na Isabel, i to, że ona robiła wszystko, żeby nie patrzeć na niego, dowodziły – choć wydawało się to niemożliwe – że coś ich łączy.

- Masz odmrożenia – zwróciłem się do chłopaka, bo to było coś, czego nie musiałem analizować. – Musisz rozgrzać palce albo będziesz bardzo nieszczęśliwy. Isabel, czemu nic z tym nie zrobiłaś? Przecież to wiesz.
- No, właśnie nie jestem idiotką – przytaknęła złośliwie. – Jednak gdyby moi rodzice przytąpali go w naszym domu, toby go zabili, a wtedy stałby się nieszczęśliwszy. Wolałam zaryzykować, że zorientują się, iż mój samochód zniknął w środku nocy. – Jeśli nawet Isabel dostrzegła, z jakim trudem przełykam ślinę, nic nie powiedziała. – A tak na marginesie, to jest Sam. Ten Sam.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że zwróciła się do zarozumiałego kolesia-mroźonki.

„Ten Sam”. Zastanawiałem się, co mu o mnie mówiła. Spojrzałem na niego. Znów uderzyło mnie coś znajomego w jego twarzy. Raczej nie znałem go osobiście, ale czułem się tak, jakbym spotkał kogoś, kto wygląda jak aktor, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

- Więc to ty teraz dowodzisz? – odezwał się z uśmiechem, który wydał mi się cyniczny. – Jestem Cole.

Ja tu teraz dowodzę. Chyba faktycznie tak było, nie?

- Czy widziałeś, żeby którykolwiek z pozostałych wilków już się przemienił? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- Myślałem, że nawet dla mnie jest za zimno.

Jego przebarwione palce martwiły mnie na tyle, że poszedłem do kuchni po buteleczkę z ibuprofenem. Gdy wróciłem, rzuciłem ją Isabel. Ku memu zaskoczeniu złapała ją bez problemu.

- To dlatego, że dopiero co zostałeś ugryziony. To znaczy – zaledwie zeszłej jesieni. Temperatura nie ma jeszcze zbyt wiele wspólnego z twoją transformacją. To po prostu będzie... nieprzewidywalne.
- Nieprzewidywalne – powtórzył Cole.

„Sam, nie, proszę, nie znowu, czekaj!”. Zamrugalem, a głos mojej matki zniknął, powracając do przeszłości, do której należał.

- A to na co? Dla niego? – Isabel potrząsnęła opakowaniem tabletek i kiwnęła głową w kierunku Cole’a.

Znowu wyłapałem ten przebłysk c z e g o ś, jakąś energię między tą parą.

- Tak. Bo gdy już rozgrzeje palce, zacznie go boleć jak diabli – powiedziałem. – To pomoże mu się pozbierać. Łazienka jest tam.

ISABEL

Cole wziął ode mnie ibuprofen, ale byłem pewna, że nie ma zamiaru go użyć. Nie wiedziałam, czy to dlatego, że zgrywał macho, czy może ze względów religijnych czy jakichś innych. W każdym razie kiedy wszedł do łazienki, usłyszałam, jak włącza światło i odstawia buteleczkę z lekiem bez otwierania jej. Potem usłyszałam odgłos wody napełnianej do wanny. Sam odwrócił się z mało przyjemnym, wręcz zniesmaczonym wyrazem twarzy; pomyślałam, że nie polubił Cole’a.

- A więc, Romulusie – zaczęłam, a Sam spojrzał na mnie. Jego złotożółte oczy były szeroko otwarte. – Dlaczego tu jesteś, całkiem sam? Myślałam, że Grace trzeba od twojego boku usuwać chirurgicznie.

Po spędzeniu ostatniej godziny z Cole’em, ujawniającym tylko te emocje, które chciał, żebym widziała, dziwnie było obserwować nieskrywany ból na twarzy Sama. Nawet w zwykłym ściągnięciu brwi było cierpienie. Przyszło mi do głowy, że mógł pokłócić się z Grace.

- Jej starzy mnie wykopali – wyznał i uśmiechnął się tylko na sekundę, jak to robią ludzie, kiedy coś tak naprawdę nie jest zabawne i oni nie chcą o tym opowiadać, ale nie wiedzą, co innego zrobić. – Grace, yyy... zachorowała, a oni, eee... nakryli nas razem i wyrzucili mnie.
- Dziś w nocy?!

Pokiwał głową z rozbijającą szczerością, kompletnie załamany.

Nie mogłam na niego patrzeć.

- Ta. Dotarłem tutaj chwilę przed wami.

Ostry blask światła palących się w całym domu nagle nabrał nowego znaczenia. Nie byłem pewna, czy podziwiam go za to, że odczuwa wszystko tak mocno i gwałtownie, czy też czuję do niego pogardę w związku z tym, że kotłuje się w nim tyle emocji, które musi wylewać przez każde okno. Pogubiłam się.

- Ale, hm... - zaczął; rozpoznałam w jego głosie, że próbuje wziąć się w garść. – No, nieważne. Lepiej powiedz mi o Cole’u. jak to się stało, że jesteś z nim?

Spojrzałam na niego dość ostro, zanim uświadomiłam sobie, co miał na myśli: jak to się stało, że jesteś z nim t u t a j?

- To długa historia, wilczy chłopcze – westchnęłam i padłam na sofę. – Nie mogłam usnąć i usłyszałam go na zewnątrz. zorientowałam się, kim jest; wyglądało na to, że już nie przemieni się w wilka. Gdyby moi rodzice go zobaczyli, toby im odbiło, więc... to tyle.
- Fajnie się zachowałaś – zauważył Sam.
- Każdemu może się zdarzyć – uśmiechnęłam się nieznacznie.
- Czyżby? Myślę, że większość ludzi zostawiłaby obcego nagiego faceta na dworze.

- Nie chciałam nadepnąć na stos jego odmrożonych palców rano w drodze do samochodu – zażartowałam. Czułam, że Sam próbuje mnie skłonić, żebym powiedziała coś więcej. Jakby w jakiś magiczny sposób odgadł, że spotkałam Cole’a nie po raz pierwszy. I że ten pierwszy raz wiązał się z obecnością mojego języka w jego ustach i vice versa. Zmieniłam tok rozmowy. – A skoro o tym mowa, zastanawiam się, jak on sobie tam radzi. – Spojrzałam w głąb korytarza prowadzącego do łazienki.

Sam zawahał się. Z jakiegoś powodu przypominałam sobie, że kiedy przyjechaliśmy tu, jedynie w łazience nie paliło się światło. W końcu powiedział:

- Może ty zapukasz do niego i się dowiesz? Ja przygotuję mu pokój. Potrzebuję... trochę czasu, żeby pomyśleć.
- Okej, wszystko jedno. – Wzruszyłam ramionami.

Pokiwał głową, a gdy odwracał się, żeby pójść na górę, zauważyłam na jego twarzy przebłysk jakiejś emocji, który kazał mi uznać, że Sam nie jest taką otwartą księgą, jak sądziłam. Poczułam chęć, żeby go zatrzymać i poprosić, żeby uzupełnił luki w naszej rozmowie – wyjaśnił, jak Grace zachorowała, dlaczego nie włączył światła w łazience, co ma zamiar teraz zrobić – jednak na to było już zdecydowanie za późno. W końcu nie ja byłam jego dziewczyną.

COLE

Najgorszy ból już minął, więc mogłem po prostu wylegiwać się w wannie, pozwalając dłoniom unosić się na powierzchni wody. Wyobrażałem sobie, że zasypiam, gdy usłyszałem pukanie do drzwi łazienki. Potem rozległ się głos Isabel, a niedomknięte drzwi uchyliły się odrobinę.

- Utopiłeś się?
- Tak.
- Nie masz ni przeciwko temu, żebym weszła? – Nie czekając na odpowiedź, wślizgnęła się do środka i usiadła na sedesie obok wanny. Obszuty puszystym futerkiem kaptur kurtki sprawiał, że wyglądała, jakby miała garba. Jej postrzępione włosy opadały na policzki. Przypominała mi reklamę czegoś. Nie wiem czego. Toalet? Kurtek? Antydepresantów? Cokolwiek by to było, kupiłbym to. Spojrzała na mnie z góry.
- Jestem goły – ostrzegłem.
- Ja też – odpowiedziała Isabel. – Pod ubraniem.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. Trzeba wyrażać uznanie, kiedy się należy.

- Czy odpadną ci stopy? – zapytała.

Wanna była tak mała, że aby spojrzeć na nie, musiałem unieść nogę i wyprostować ją. Palce były odrobinę czerwone, ale mogłem nimi poruszać i czułem wszystkie – poza małym, który wciąż był odrętwiały.

- Nie dzisiaj, jak sądzę.
- Zamierzasz zostać w wannie na zawsze?
- Prawdopodobnie tak. – Zanurzyłem się głębiej, żeby pokazać moje przywiązanie do tego planu. Zerknąłem na nią. – Masz ochotę się przyłączyć?
- Trochę mało miejsca. – Znacząco uniosła brew.

Zamknąłem oczy z kolejnym uśmiechem. Poczułem się lekki i niewidzialny. Powinni wymyślić narkotyk, który wywoływałby taki stan.

- Tęsknię za moim fordem mustangiem – wyznałem, głównie dlatego, że było to tego rodzaju stwierdzenie, które musiało skłonić ją do jakiejś reakcji.
- Leżenie nago w wannie sprawiło, że myślisz o aucie?

- Miało odlotowe ogrzewanie. Można było się w nim ugotować – wyjaśniłem. Znacznie łatwiej było mi z nią gawędzić, gdy miałem zamknięte oczy. Rozmowa traciła charakter głupiego przerzucania się słowami. – Żałowałem dziś w nocy, że go nie mam.
- A gdzie jest?
- W domu.

Usłyszałem, jak zdejmuje kurtkę. Materiał zaszeleścił, a sedes zatrzeszczał, gdy znów na nim usiadła.

- A gdzie jest ten twój dom?
- Nowy Jork.
- Miasto?
- Stan. – Pomyślałem o mustangu. Czarnym, lśniącym i podrasowanym, stojącym beczynnym w garażu moich rodziców. To była pierwsza rzecz, którą kupiłem, gdy dostałem pierwszy pokaźny czek, ale, o ironio, byłem w trasie tak często, że nawet nie miałem okazji nim pojeździć.
- Myślałam, że jesteś z Kanady.
- Byłem w... - zamilkłem, zanim zdążyłem powiedzieć: „trasie”. Za bardzo lubiłem swoją anonimowość - ...na wakacjach.

Otworzyłem oczy. Ostry wyraz jej twarzy świadczył o tym, że zauważyła kłamstwo. Zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, że niewiele rzeczy jej umykało.

- Nieźle wakacje – skwitowała. – Musiałeś mieć beznadziejne życie, skoro to wybrałeś. – Teraz patrzyła na ślady po igłach na moich ramionach, ale nie w sposób, jakiego bym się spodziewał. Nie osądzała mnie. Bardziej zazdrościła. A ponieważ pod kurtką miała na sobie tylko top, ciężko mi było się skupić.
- Taa... - potwierdziłem. – A ty? Skąd wiesz o wilkach?

Błysk w oczach Isabel zdradził coś, ale tylko przez ułamek sekundy, więc nawet nie byłem w stanie stwierdzić, co to było. To oraz jej pozbawiona makijażu twarz, młodsza i łagodniejsza niż zwykle, sprawiły, że mocno pożałowałem pytania.

Potem zastanowiłem się, dlaczego właściwie przejmuję się tak bardzo dziewczyną, której prawie nie znam.

- Przyjaźnię się z dziewczyną Sama – wyjaśniła Isabel.

Postugiwałem się kłamstwami albo półprawdami wystarczająco często, żeby natychmiast je rozpoznać. Ponieważ ona nie wytknęła mi moich małych oszustw, ja też postanowiłem oddać jej przysługę.

- Jasne. Sama – powtórzyłem. – Opowiedz mi o nim coś więcej.
- Już ci mówiłam, że on jest tak jakby synem Becka i że generalnie przejął po nim stery. Co więcej chcesz wiedzieć? W końcu nie jestem jego dziewczyną...

W jej głosie pobrzmiwał szczery podziw; najwyraźniej go lubiła. Ja jeszcze nie byłem pewny, co o nim myśleć. Poruszyłem więc temat, który męczył mnie, od kiedy go poznałem.

- Jest zimno. A on jest człowiekiem.
- Tak. I co z tego?
- Cóż, Beck sugerował, że jest to cholernie ciężka rzecz do osiągnięcia. Jeśli nie niemożliwa.

Isabel zdawała się coś rozważać – w jej oczach toczyła się jakaś walka – ale w końcu wzruszyła ramionami.

- Został uleczony – rzuciła. – Wywołał u siebie wysoką gorączkę i to zadziało.

Oto wskazówka prowadząca do rozwikłania sekretu Isabel. Jej głos brzmiał niepokojąco, ale jeszcze nie wiedziałem, o czym to świadczy.

- Myślałem, że Beck chciał, żebyśmy my, nowi, zaopiekowali się sforą, bo nie ma już wilków, które na wystarczająco długo zamieniają się w ludzi i brajle kogoś, kto mógłby to robić – zauważyłem. Poczułem ulgę. Nie chciałem tej całej odpowiedzialności; pragnąłem osuwać się w mrok wilczej skóry na tak długo, jak to możliwe. – Dlaczego po prostu nie uleczył wszystkich?
- Nie miał pojęcia, że Samowi się udało. Gdyby wiedział, nigdy nie stworzyłby kolejnych wilków. A lekarstwo nie działa na każdego. – Teraz głos Isabel był już całkowicie surowy; poczułem, że niczego więcej się od niej na pewno nie dowiem.
- Dobrze, że ja nie chcę zostać uleczony – rzuciłem jakby od niechcienia.

Spojrzała na mnie i powiedziała z pogardą:

- Bardzo dobrze.

Nagle poczułem się tak, jakby mnie zdemaskowała. Jakby mogła poznać całą prawdę o mnie, niezależnie od tego, co mówiłem. Jakby była w stanie zrozumieć, że wraz ze zniknięciem z mojego życia „NARKOTIKI”, stałem się zwykłym Cole’em St. Clairem, który wewnątrz miał absolutną pustkę.

Poczułem znajomy głód pustoszący mnie od środka. Jakby moja dusza gniła.

Potrzebowałem wspomagacza. Chciałem igły, którą mógłbym wsunąć pod skórę, albo tabletki, która szybko rozpuściłaby się pod moim językiem. Nie. Tak naprawdę potrzebowałem ponownej przemiany w wilka.

- Nie boisz się? – zapytała nagle Isabel.

Otworzyłem oczy. Nawet się nie zorientowałem, że zacisnąłem powieki.

Jej spojrzenie było przenikliwe.

- Czego?
- Utraty siebie.
- Na to właśnie liczę – powiedziałem jej prawdę.

ISABEL

Na bezpośrednie wyznanie Cole’a nie miałam odpowiedzi. Nie spodziewałam się, że się otworzy. Nie wiedziałam, jak dalej powinna się potoczyć ta rozmowa, bo nie byłam gotowa na to, żeby zrewanżować się szczerością.

Uniósł ociekającą wodą dłoń. Opuszki miał odrobiną pomarszczone.

- Chcesz sprawdzić, czy z moimi palcami jest wszystko okej? – zapytał.

Gdy ujęłam jego mokrą rękę i przejechałam palcami po jej wnętrzu, żołądek mi się ścisnął. Cole miał cały czas przymknięte powieki. Kiedy dotarłam do koniuszków jego palców, zabrał dłoń i usiadł prosto, rozbrzgując wodę. Oparł łokcie na krawędzi wanny. Jego twarz znalazła się na wysokości mojej. Wiedziałam, że zaraz znowu się pocałujemy i że to nie ma sensu, bo on już tkwił na niej, a ja byłam na dobrej drodze, żeby się tam znaleźć. Ale nie potrafiłam się powstrzymać. Pragnęłam go. Umierałam z głodu za nim.

Jego usta smakowały wilkiem i solą. Gdy położył dłoń na mojej szyi, żeby przyciągnąć mnie bliżej, letnia woda spłynęła mi po obojczyku, a potem cienką stróżką pociekła między piersiami.

- Au! – jęknął, nie odrywając warg od moich.

Odsunęłam się, a Cole spojrzał na swoje ramię, które rozorałam mu paznokciami do krwi. Nie wydawał się tym jakoś szczególnie zmartwiony.

Ten pocałunek sprawił mi niemal fizyczny ból i przynajmniej tym razem wyglądało na to, że Cole czuł to samo, bo kiedy przeciągnął wciąż lekko wilgotną dłońią po mojej skórze, od szyi aż do mostka, i zatrzymał się na kieszulce, w drzeniu jego palców było pragnienie.

- Co teraz zrobimy? – zapytałam.
- Poszukamy łóżka – wymruczał.
- Nie zamierzam się z tobą przespać.

Ekscytacja wywołana całowaniem się zaczynała słabnąć; ponownie poczułam się tak jak za pierwszym razem, gdy go spotkałam.

Dlaczego pozwalałam mu zbliżyć się do siebie? Co było ze mną nie tak?

Wstałam, zabrałam kurtkę z blatu i naciągnęłam ją na siebie. Nagle przeraziła mnie myśl, że Sam dowie się, co tu robiliśmy.

- I znowu utwierdzasz mnie w przekonaniu, że fatalnie całuję – zauważył Cole.
- Muszę wracać – odparłam. – Mam jutro... hmm... dzisiaj szkołę. Powinnam być w domu, zanim ojciec wstanie do pracy i zorientuje się, że mnie nie ma...
- Oj, widać naprawdę kiepsko to robię.
- Lepiej podziękuj ładnie za uratowanie palców. – Położyłam dłoń na klamce. – I tyle.

Powinien patrzeć na mnie jak na wariatkę, ale on po prostu... przyglądał mi się. Jakby nie pojmował, że to było odrzucenie.

- Dziękuję za uratowanie palców – powtórzył za mną.

Zamknęłam za sobą drzwi od łazienki i wyszłam, nie szukając Sama. Dopiero w połowie drogi do domu przypomniałam sobie, jak Cole powiedział mi, że ma nadzieję, iż utraci siebie. Poczułam się lepiej, myśląc, że jest tak samo popapranym jak ja.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

COLE

Obudziłem się jako człowiek, chociaż wymięte prześcieradła potwornie cuchnęły wilkiem.

Po tym, jak Isabel sobie poszła, Sam poprowadził mnie korytarzem, obok stosu starej pościeli, która najwyraźniej właśnie została ściągnięta z łóżka, i zainstalował w sypialni na parterze. Pokój był tak żółty, jakby słońce zwymiotowało na ściany, a następnie otarło sobie usta komodą i zastonami. Ale pośrodku stało świeżo zaścielone łóżko i tylko to się liczyło.

– Dobranoc – powiedział Sam głosem chłodnym, ale nie wrogim.

Nie zareagowałem. Już leżałem pod kołdrą i spałem jak zabity, śniąc o niczym.

Teraz, mrużąc oczy w późno porannym słońcu, zostawiłem swoje postanie i pocztapaniem do salonu, który w świetle dnia wyglądał zupełnie inaczej. Wszystkie te czerwienie i szkockie kraty zdawały się jaskrawsze dzięki blaskowi wlewającemu się przez wysokie okna. Ten dom wyglądał... przytulnie. Całkowicie odmiennie od surowego i nieprzyjemnego zamczyska Isabel.

Szafki w kuchni pokryte były fotografiami tworzącymi płataninę taśmy klejącej, pinezek i uśmiechniętych twarzy. Na wielu fotkach natychmiast odnalazłem Becka. Zobaczyłem też Sama – jak w animacji poklatkowej – starzejącego się ze zdjęcia na zdjęcie. Isabel tu nie było.

Miny tych ludzi najczęściej były radosne. Szczyrzyli zęby w uśmiechu, wyluzowani, jakby czerpali pełnymi garściami z tego pokręconego życia. Grillowali, pływali kajakami, grali na gitarze. Szybko zorientowałem się, że robią to wszystko albo w tym domu, albo w bezpośrednim sąsiedztwie Mercy Falls. Ozdobione fotografiami meble przekazywały dwie ważne informacje: „Jesteśmy rodziną” oraz „Jestem tu więźniem”.

Sam to wybrałeś, przypomniałem sobie. Prawda była taka, że nie przywiązywałem zbyt dużej wagi do okresów spędzanych jako człowiek. W ogóle o tym nie myślałem.

– Jak się mają twoje palce?

Odruchowo napiąłem mięśnie, zanim uświadomiłem sobie, że to głos Sama. Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi przy wejściu do kuchni, z kubkiem herbaty w dłoni. Światło padające zza jego pleców, tworzyło aureole wokół jego ramion. Oczy miał ponure i podkrążone, co było w równych częściach efektem niewyspania i wątpliwości co do mojej osoby.

To było zaskakująco wyzwalające doświadczenie – spotkać kogoś, kto nie od razu pada przede mną na twarz w pełnym uwielbieniu.

W odpowiedzi na jego pytanie podniosłem dłonie na wysokość twarzy i zamachałem nimi nonszalancko, jakbym chciał powiedzieć: „Palce działają” – choć właściwie nie chciałem, żeby tak to wyszło.

Sam obserwował mnie tymi swoimi irytująco żółtymi oczami – jeszcze nie zdążyłem się do nich przyzwyczaić – i widać było, że toczy się w nim jakaś wewnętrzna walka. W końcu bez emocji powiedział:

– Mamy płatki, jajka i mleko. – Zgarbił ramiona i zaczął się wycofywać powoli z kuchni, ale ostatecznie wyraz mojej twarzy go powstrzymał. Widać było, że się zastanawia. – Okej, załatwmy to – powiedział w końcu, po czym odstawił kubek i skrzyżował ramiona na piersiach.
– No więc, dlaczego tutaj jesteś?

Wojowniczy ton jego głosu sprawił, że polubiłem go odrobinę bardziej. Rekompensował te jego głupie, oklapnięte włosy i smutne, jakby sztuczne oczy. Umiał być stanowczy, a to dobrze o nim świadczyło.

– Żeby być wilkiem – odpowiedziałem impertynencko. – Co, nawiasem mówiąc, najwyraźniej nie jest powodem, dla którego ty tutaj jesteś. Jeśli wierzyć plotkom.

Sam zerknął na zdjęcia za moimi plecami, a potem przeniósł wzrok na mnie.

- Dlaczego ja tutaj jestem, nie ma najmniejszego znaczenia. To jest mój dom.
- Zauważyłem. – Uznałem, że ułatwianie mu tej rozmowy nie ma sensu.

Autentycznie widziałem, jak Sam w myślach decyduje, ile wysiłku chce włożyć w naszą konwersację.

- Posłuchaj, Cole. Normalnie nie jestem takim dupkiem. Jednak naprawdę trudno mi zrozumieć, że ktoś chciałby dobrowolnie wybrać takie życie. Gdybyś mógł mi to wyjaśnić, to podejrzewam, że zdecydowanie łatwiej byłoby nam się dogadać.

Wyciągnąłem dłonie. Gdy robiłem tak podczas występów, publiczność szalała, bo to oznaczało, że zaśpiewam coś nowego. Victor załapałby aluzję i się roześmiał. Ale Sam nie znał mojej historii, więc tylko patrzył tępo, dopóki nie powiedziałem:

- Żeby zacząć wszystko od początku, Ringo – z tego samego powodu, co twój kumpel Beck.

Na twarzy Sama odmalowało się zaskoczenie.

- Ale ty to wybrałeś. Specjalnie.

Najwyraźniej Beck przedstawił mi zupełnie inną historię swojego życia niż mnie; zastanawiałem się, która jest prawdziwa. Jednak nie chciałem wdawać się z Samem w dyskusję, bo patrzył na mnie tak, jakbym właśnie powiedział mu, że Mikołaj nie istnieje.

- Tak, wybrałem to. Myśl sobie, co chcesz. A czy teraz mógłbym dostać śniadanie?

Sam pokręcił głową. W tym geście nie było gniewu. Wyglądał raczej tak, jakby odganiał muchy. Zerknął na zegarek.

- Taa. Nieważne. Muszę jechać do pracy. – Wyszedł, unikając mojego wzroku, ale potem opanował się, wrócił do kuchni i zanotował coś na karteczce, a potem przykleił ją do drzwi lodówki. – To numer mojej komórki i telefon do pracy. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebował.

Bycie dla mnie miłym ewidentnie go dobijało, ale mimo to zachowywał się uprzejmie. Wyuczona grzeczność? Obowiązek? Co to było? Tak naprawdę nie byłem fanem sympatycznych ludzi.

Sam znowu ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się raz jeszcze, pobrzękując kluczykami od samochodu.

- Prawdopodobnie wkrótce znowu się przemienisz. Kiedy zajdzie słońce albo jeśli będziesz na zewnątrz zbyt długo. Więc staraj się pozostać w pobliżu, okej? Żeby nikt nie zobaczył, jak się przeistaczasz...

Uśmiechnąłem się nieznacznie.

- Taa, jasne.

Sam wyglądał, jakby miał zamiar dodać coś jeszcze, ale tylko docisnął dwa palce do skroni i skrzywił się. Ten gest mówił mi wszystko, czego Sam nie wyraził słowami: miał mnóstwo problemów, a ja z pewnością byłem kolejnym z nich.

Rozkoszowałem się brakiem sławy bardziej, niż się spodziewałem.

ISABEL

Kiedy w poniedziałek Grace nie pojawiła się w szkole, natychmiast dałam nura do łazienki i stamtąd zadzwoniłam do niej. Odebrała jej matka. A przynajmniej tak mi się wydawało.

- Halo? – Głos najwyraźniej nie należał do Grace.
- Yyy, halo? – starałam się brzmieć w miarę uprzejmie, w razie gdyby to rzeczywiście była jej mama. – Chciałabym rozmawiać z Grace. – Okej, nie potrafiłam być tak naprawdę miła... Ale osoba po tamtej stronie wydawała się przyjazna. – Z kim mam przyjemność?
- A z kim ja mam przyjemność?

W końcu usłyszałam w tle Grace.

- Mamo! Dawaj to! – Rozległo się jakieś szuranie, a potem Grace powiedziała: – Przepraszam. Mam szlaban i najwyraźniej rodzicom się wydaje, że mogą monitorować moje rozmowy.

Ale czad! Święta Grace ma szlaban!

- Słyszałam, że trochę się u was działo w nocy. Jakieś szczegóły?

Usłyszałam, jak zatrzaskuje za sobą drzwi. Nie było to może prawdziwe trzaśnięcie, ale brzmiało zdecydowanie bezczelniej, niż mogłabym się tego po niej spodziewać.

- Przyłapali mnie w łóżku z Samem – powiedziała.

Na odbiciu mojej twarzy w łazienkowy lustrze pojawiło się zaskoczenie. Brwi poszybowały do góry, a czarny eye-liner sprawił, że oczy wyglądały na jeszcze większe i bardziej wytrzeszczone niż w rzeczywistości.

- Czekam na pikantne szczegóły! Uprawialiście seks?
- Nie, nie. On tylko spał w moim łóżku. Rodzice totalnie przesadzają.
- Oczywiście, że tak – przyznałam jej rację z sarkazmem. – Rodzice większości dziewczyn nie mają nic przeciwko temu, że znajdują córkę dzielącą łożo z facetem. Moi na przykład byliby wręcz zachwyceni. I co? Za karę nie pozwalają ci chodzić do szkoły? To trochę...
- Nie. To dlatego, że byłam w szpitalu – wyjaśniła Grace. – Dostałam gorączki, a rodzice znowu przesadzili i zabrali mnie do szpitala, zamiast dać mi coś na zabicie temperatury. Myślę, że po prostu potrzebowali dobrego powodu, żeby móc trzymać mnie z daleka od Sama. W każdym razie to wszystko trwało wieczność, jak to zwykle w szpitalu, i wróciłam do domu strasznie późno. Właściwie to dopiero się obudziłam.

Nie wiem dlaczego, ale natychmiast przypomniała mi się tamta lekcja, gdy Grace musiała wyjść do pielęgniarki z powodu bólu głowy.

- Grace, co się z tobą dzieje? Co mówią lekarze?
- Wirus, czy coś w tym stylu. Zwykła gorączka – zapewniła mnie tak szybko, że zaczęłam podejrzewać, że sama w to nie wierzyła.

Drzwi łazienki uchyliły się i usłyszałam:

- Isabel, wiem, że tu jesteś. – To była Pani Mckay, nauczycielka angielskiego. – Jeśli nadal będziesz unikać jedzenia lunchu, będę musiała poinformować o tym twoich rodziców. Ostrzegam. Masz jeszcze dziesięć minut.

Drzwi ponownie się zamknęły.

- Znowu nic nie jesz? – zapytała Grace.
- Czy nie powinnaś zająć Se własnymi problemami? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

COLE

Gdy Sam wyszedł do pracy – cokolwiek tą „pracą” było – nalałem sobie szklankę mleka i powędrowałem do salonu, żeby przejrzeć szuflady. Z doświadczenia wiedziałem, że ich zawartość, (a także plecaków), pozwala doskonale poznać daną osobę.

W niskich stolikach przy kanapie znalazłem tylko pady i kilka gier na PlayStation, więc ruszyłem do gabinetu, który zauważyłem wcześniej, wychodząc z sypialni.

Od razu lepiej. Biurko było wypchane dokumentami, a komputera nie chroniło żadne hasło. Pokój był stworzony do plądrowania, usytuowany w rogu domu, z oknami na dwóch ścianach, z których jedno wychodziło na ulicę – więc gdyby Sam niespodziewanie wrócił, zdążyłbym się ulotnić. Postawiłem szklankę z mlekiem obok myszki od komputera (podkładkę koś zagryzmolił rysunkami, między innymi był tam szkic cypatej dziewczyny, ubranej w szkolny mundurek) i usadowiłem się w fotelu. Gabinet przypominał resztę domu. Był przytulny, męski i wygodnie urządzone.

Na blacie biurka leżały jakieś rachunki: wszystkie zaadresowane na Becka i najwyraźniej regulowane za pomocą polecenia zapłaty. Ale kwitki mnie nie interesowały. Obok klawiatury leżał brązowy skórzany terminarz. Też mnie nie zaciekał. Zamiast tego wysunąłem szufladę. Kilka programów komputerowych i gier. Nuda. Przeszedłem do dolnej szuflady i moja cierpliwość została nagrodzona kłębami kurzu, które zazwyczaj przykrywają największe sekrety każdego człowieka. Zauważyłem kopertę z napisem „SAM”. Wreszcie coś konkretnego. Wyciągnąłem pierwszy arkusz. Dokumenty adopcyjne.

Bingo.

Wytrząsnąłem zawartość koperty na biurko, w tym kilka mniejszych kartek. Akt urodzenia: Samuel Kerr Roth. Był mniej więcej o rok młodszy ode mnie. Zdjęcie Sama, chuderlawego i małego, ale z tą samą szopą czarnych włosów i na wpół przymkniętymi oczami. Miał skomplikowany wyraz twarzy. Poprzedniej nocy jego cudacznie złotożółte wilcze oczy przykuły moją uwagę; ale gdy wnikliwiej przyjrzałem się fotografii, zobaczyłem, że w dzieciństwie miał tęczęwki w tym samym kolorze – więc to nie był efekt soczewek kontaktowych. Poczułem do niego więcej sympatii. Odłożyłem fotkę. Pod spodem znajdował się plik pożółkłych wycinków z gazet. Przebiegłem wzrokiem teksty artykułów.

W miniony poniedziałek Gregory i Annette R., mieszkańcy Duluth, zostali postawieni w stan oskarżenia w związku z próbą zamordowania swojego siedmioletniego syna. Dziecko (niewymienione z imienia i nazwiska w celu ochrony tożsamości) pozostaje obecnie pod opieka władz. Decyzja o jego dalszym losie zapadnie po zakończeniu procesu rodziców. Małżonkowie rzekomo przytrzymywali syna w wannie i podcięli mu nadgarstki żyłką. Świadkowie twierdzą, że Annette R. wyznała, iż jej syn bardzo długo nie chciał umrzeć. Małżonkowie zeznali, że dziecko zostało opętane przez diabła.

Nagle poczułem, że coś dławi mnie w gardle. Przełknąłem ślinę, ale uczucie pozostało. Od razu pomyślałem o młodszym bracie Victora, który teraz miał osiem lat. Wróciłem do zdjęcia i raz jeszcze spojrzałem na tego dzieciaka z ciężkimi powiekami, wpatrującego się w przestrzeń pustym wzrokiem. Jego mała ręka, tkwiąca w dłoni Becka, obrócona była do obiektywu w taki sposób, że wyraźnie było widać nadgarstek ze świeżą czerwono-brązową raną przecinającą skórę.

Nagle w mojej głowie pojawiła się następująca myśl: „A ty się użalasz nad sobą...”

Wrzuciłem wycinki oraz fotografie z powrotem do koperty i przejrzałem plik pozostałych dokumentów. Dotyczyły zarządu powierniczego. Według zapisu Sam był spadkobiercą domu i oraz środków na rachunku bieżącym i koncie oszczędnościowym, które dzielił wraz z Beckiem.

Mocna rzecz. Zastanawiałem się, czy Sam w ogóle wie, że generalnie jest właścicielem tego miejsca. Pod papierami leżał kolejny, tym razem czarny terminarz. Kartkując go, zauważyłem, że to pamiętnik pisany oszczędnym pochyłym pismem mańkuta. Wróciłem do pierwszej strony: „Jeśli to czytasz, to znaczy, że albo jestem już wilkiem na dobre, albo jesteś Urlikiem, a w takim razie, do cholery, przesta grzebać w moich rzeczach!”

Podskoczyłem na dźwięk telefonu.

Obserwowałem, jak dzwoni dwa razy, aż w końcu go odebrałem.

- Tak? – rzuciłem do słuchawki.
- To ty, Cole?

Nastrój od razu mi się poprawił.

- To zależy. Czy to moja matka?

Głos Isabel brzmiał surowo.

- Nie wiedziałam, że jakąś masz. Czy Sam wie, że teraz to ty odbierasz telefony?
- A dzwoniłaś do niego?

Milczenie.

- Wyświetlił się twój numer...
- No – parsknęła Isabel. – Ale nie dzwoń do mnie, okej? Co robisz? Nadal jesteś sobą?
- No, i grzebię w rzeczach Becka – wyznałem, wrzucając kopertę z napisem „SAM” do szuflady.
- Chyba żartujesz? – zapytała Isabel, po czym sama sobie odpowiedziała: - Nie, ty nie żartujesz.
– Kolejna pauza. – I co znalazłeś?
- Przyjdź sama i zobacz.
- Jestem w szkole.
- I gadasz przez telefon?

Isabel zastanowiła się przez chwilę.

- Schowałam się w łazience i staram się wykrzesać odrobinę entuzjazmu, żeby przetrwać następne zajęcia. Powiedz mi, co wyszukałeś. Jakaś podstępnie zdobyta wiedza z pewnością poprawi mi humor.
- Dokumenty adopcyjne Sama. I jakieś wycinki z gazety, z których wynika, że jego rodzice próbowali go zabić. Poza tym trafiłem też na naprawdę niegrzeczny szkic kobiety przebranej w strój uczennicy. Zdecydowanie wart obejrzenia.
- Cole, dlaczego ze mną rozmawiasz?
- Bodo mnie zadzwoniłaś? – Domyślałem się, o co jej chodzi, ale postanowiłem udawać głupiego.
- Czy dlatego, że chcesz się ze mną przespać? Bo ja nie zamierzam iść z tobą do łóżka. Nie bierz tego do siebie. Po prostu nie, i już. Chcę zachować dziewictwo do ślubu i tak dalej. Więc jeśli to jest przyczyna, dla której ze mną rozmawiasz, to możesz od razu się rozłączyć.

Nie rozłączyłem się. Nie byłem pewien, czy to dla niej wystarczająca odpowiedź.

- Jesteś tam jeszcze?
- Jestem.
- Zamierzasz odpowiedzieć na moje pytanie?

Przesuwałem pustą szklankę po mleku w przód i w tył po blacie.

- Po prostu chcę z kimś pogadać – wyznałem w końcu. – Poza tym lubię z tobą rozmawiać. Nie mam innej, lepszej odpowiedzi.
- Nie tylko konwersacją zajmowaliśmy się podczas naszych spotkań – zauważyła.
- Rozmawialiśmy – upierałem się. – opowiedziałem ci o moim mustangu. To była głęboka, osobista pogawędka na temat czegoś bardzo bliskiego memu sercu.
- Na temat twojego samochodu... - Najwyraźniej jej nie przekonałem. Zamilkła na chwilę, a w końcu stwierdziła: - Chcesz rozmawiać? W porządku. Mów. Powiedz mi coś, czego jeszcze nigdy nikomu nie mówiłeś.

Zastanowiłem się przez moment.

- Żółwie mają drugie co do wielkości mózgi spośród wszystkich zwierząt na planecie.

Przetrawienie tego zajęło Isabel tylko sekundę.

- Nieprawda.
- Wiem. Właśnie dlatego jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

Po drugiej stronie linii rozległ się dźwięk świadczący o tym, że albo próbowała się nie roześmiać, albo dostała ataku astmy.

- Powiedz mi coś o sobie, czego jeszcze nigdy nikomu nie mówiłeś.
- Jeśli to zrobię, czy ty zrobisz to samo?

- Tak – potwierdziła sceptycznie.

Wodziłem palcem po konturze dziewczyny narysowanej na podkładce i zastanawiałem się. Gadanie przez telefon było jak rozmowa z zamkniętymi oczami. Sprawiało, że człowiek robił się odważniejszy i bardziej szczery, bo wydawało się, że mówi tylko do siebie. Dlatego zawsze śpiewałem nowe piosenki z opuszczonymi powiekami. Nie chciałem widzieć, co publiczność o nich myśli, dopóki nie skończę. Wreszcie zebrałem się w sobie i powiedziałem:

- Przez całe życie starałem się nie być taki jak mój ojciec. Nie dlatego, że jest jakiś straszny. Wręcz przeciwnie. Wszystko, co robi, okazuje się takie wspaniałe, że nic... ale to nic, co ja mógłbym uczynić, nie równałoby się z jego wielkimi dokonaniem.

Isabel milczała. Może czekała, aż dodam coś więcej. W końcu spytała:

- Czym zajmuje się twój ojciec?
- Dziewczyno, teraz ja chcę usłyszeć coś, czego nigdy nikomu wcześniej nie powiedziałaś.
- Nie. Najpierw ty. To ty chciałaś rozmawiać. A to oznacza, że ty coś mówisz, ja reaguję, a potem ty znowu odpowiadasz. To jedno z najznamienitszych osiągnięć ludzkiej rasy. Nazywa się: sztuka konwersacji.

Zacząłem żałować, że zacząłem tę pogawędkę.

- Jest naukowcem.
- Rakietowym?
- Szalonym naukowcem – zażartowałem. – Bardzo dobrym. Ale serio, na razie nie chcę ciągnąć tego tematu. Może później. Na przykład po mojej śmierci... Czy teraz możesz podzielić się swoją historią?

Isabel nabrała powietrza na tyle głośno, żebym zrozumiał, ile wysiłku kosztuje ją to wyznanie.

- Mój brat nie żyje.

W tych słowach było coś znajomego. Jakbym już je słyszał, wypowiedziane jej głosem, choć nie potrafiłem sobie uzmysłwić kiedy i gdzie.

- Na pewno już wcześniej komuś o tym mówiłaś – zauważyłem.
- Ale nigdy nikomu nie powiedziałam, że to moja wina. Bo kiedy naprawdę umierał, wszyscy myśleli, że on już od dawna nie żyje – dodała Isabel.
- To nie ma sensu.
- Nic już nie ma sensu. Na przykład to, że z tobą rozmawiam. Dlaczego mówię ci to wszystko, chociaż nic cię to nie obchodzi?
- Właśnie dlatego. – Na to pytanie znałem odpowiedź.

Wiedziałem, że to prawda. Gdybyśmy mieli okazję, żeby zwierzyć się komuś, kto rzeczywiście byłby zainteresowany naszymi wynurzeniami, żadne z nas nie otworzyłoby ust. Dzielenie się rewelacjami jest łatwiejsze, kiedy nie ma to znaczenia dla drugiej osoby.

Zamilkła. W tle usłyszałem głosy innych dziewczyn zlewające w jeden niezrozumiały strumień. Potem nastąpił syk puszczanej wody i znowu cisza.

- Dobrze – powiedziała.
- Co dobrze? – zapytałem.
- Zgadza się, żebyś do mnie zadzwonił. Kiedyś. Masz mój numer.

Nawet nie zdążyłem się z nią pożegnać, bo natychmiast się rozłączyła.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

SAM

Nie wiedziałem, gdzie jest moja dziewczyna, padła mi bateria w komórce, mieszkałem w jednym domu z nowym, prawdopodobnie niepoczytalnym wilkołakiem, którego podejrzewałem o mordercze lub samobójcze skłonności. I tkwiłem w księgarni, licząc grzbiety książek. Gdzieś tam mój świat powoli wypadał z orbity, a ja siedziałem tutaj, w kompletnie zwyczajnym blasku słońca, zapisując: „Sekretne życie pszczół” (3 egz./miękką oprawa), w żółtej tabeli w katalogu: „Inwentaryzacja”.

- Powinniśmy dostać dzisiaj coś sensownego – usłyszałem głos Karyn, właścicielki księgarni, jeszcze zanim wyszła z zaplecza. – Przyjedzie kurier. Proszę.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że wyciąga w moją stronę styropianowy kubek.

- A to za co? – zapytałem.
- Za dobre zachowanie. Zielona, zgadza się?

Pokiwałem głową z wdzięcznością. Polubiłem Karyn od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem. Była tuż po pięćdziesiątce, miała krótkie lekko wzburzone włosy, które już całkowicie osiwały, ale jej twarz – a zwłaszcza oczy – były młode pod wciąż ciemnymi brwiami. Ukrywała nieugięty charakter za przyjemnym, oszczędnym uśmiechem, a na obliczu miała wypisane wszystkie swoje najlepsze cechy. Lubiałem myśleć, że zatrudniła mnie, ponieważ byłem taki sam jak ona.

- Dzięki – powiedziałem i wziąłem łyżeczek.

Poczułem, jak gorący płyn wędruje przez moje gardło aż do żołądka, i przypomniałem sobie, że jeszcze nic dziś nie jadłem. Za bardzo przyzwyczyłem się do porannych płatków z Grace. Odwróciłem laptop w stronę Karyn, żeby zobaczyła, jakie robię postępy.

- Nieźle. Znalazłeś coś ciekawego?

Wskazałem na stos poprzekładanych przez klientów książek, które udało mi się odszukać na półkach.

- To świetnie. – Zdjęła pokrywkę ze swojego kubka z kawą, skrzywiła się i podmuchała na parującą powierzchnie płynu. Przyjrzała mi się badawczo. – Cieszysz się na niedzielę?

Byłem kompletnie zaskoczony; moja twarz z pewnością to odzwierciedlała. Począłem, aż mózg podsunie mi odpowiedź, a gdy tego nie zrobił, powtórzyłem za nią:

- Na niedzielę...?
- Studio nagraniowe? – dodała. – Z Grace?
- Wiesz o tym?

Nie odstawiając kawy, Karyn niezgrabnie zebrała ze stosu na podłodze połowę odnalezionych książek i zaczęła wyjaśniać:

- Grace zadzwoniła do mnie, żeby się upewnić, czy tego dnia nie pracujesz.

Oczywiście, że to zrobiła. Grace nie zaplanowałyby tak ważnej rzeczy, nie upewniając się najpierw, czy żadne terminy ze sobą nie kolidują. Poczułem ułtucie w żołądku. Ścisnęło mnie z tęsknoty za mną.

- Nie wiem, czy to wypali – zawahałem się, gdy Karyn uniosła brew, czekając, aż powiem więcej. Więc opowiedziałem jej ze szczegółami to, czego nie wyznałem Isabel minionej nocy – bo Karyn to obchodziło, a Isabel nie. – Rodzice Grace znaleźli mnie w jej pokoju po godzinie policyjnej. – Poczułem, że się rumienię. – Była chora i krzyczała przez sen. Przyszli sprawdzić, co się z nią dzieje, i wyrzucili mnie... nawet nie wiem, jak ona się czuje. Ani czy pozwolą mi ją jeszcze kiedyś zobaczyć.

Karyn nie odpowiedziała od razu. Była to jedna z rzeczy, które w niej lubiłem. Nie rzucała: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze”, dopóki nie była pewna, że ta rada jest na miejscu. – Sam, czemu mi nie powiedziałeś, że nie możesz dzisiaj przyjść do pracy? Dałabym ci wolne.

- Inwentaryzacja – zauważyłem bezradnie.
- Inwentaryzacja może poczekać. Robimy ją, bo mamy marzec i jest lodowato, i nikt do nas nie przychodzi – wyjaśniła Karyn. Rozważała coś jeszcze przez kilka minut, sącząc kawę i marszcząc nos. – Przede wszystkim pozwolą ci się z nią zobaczyć. Jesteście już praktycznie dorośli, a poza tym muszą wiedzieć, że Grace nie mogłaby trafić na lepszego chłopaka niż ty. Po drugie, z pewnością to tylko grypa, prawda?
- Miała gorączkę – potwierdziłem, zaskoczony tym, jak cichy był mój głos.

Karyn przyjrzała mi się uważnie.

- Wiem, że się martwisz, ale mnóstwo ludzi miewa podwyższoną temperaturę.
- Chorowałem na zapalenie opon mózgowych. Bakteryjne – wyznałem.

Nigdy wcześniej nie powiedziałem tego na głos i było to niemal oczyszczające uczucie. Przyznanie się do strachu o Grace sprawiło, że lęk stał się jakby łatwiejszy do zniesienia i udźwignięcia.

- Jak dawno temu?
- W okolicach Bożego Narodzenia.
- Och, to już raczej nikogo nie zarazisz – zapewniła. – Wydaje mi się, że zapalenie opon mózgowych nie należy do tych chorób, które atakują po kilku miesiącach. A jak ona się dzisiaj czuje?
- Od rana w jej telefonie odzywa się poczta głosowa – odpowiedziałem, starając się nie użalać za bardzo nad sobą. – Zeszłej nocy byli naprawdę wściekli. Pewnie zabrali jej telefon.

Karyn się skrzywiła.

- Przejdzie im. Choć to trudne, spróbuj na to spojrzeć z ich punktu widzenia.

Zaczęła przekładać książki, więc odstawiłem swoją herbatę, żeby jej pomóc.

- Patrzą na to z ich perspektywy. W tym właśnie problem. – Podeszedłem do działu z literaturą faktu, żeby odłożyć na półkę zawieruszoną biografię księżnej Diany. – Na ich miejscu byłbym wściekły. Oni myślą, że jestem jakimś draniem, któremu udało się dobrać do majtek ich córki, i że wkrótce zniknę z jej życia.

Roześmiała się.

- Przepraszam, Sam. Wiem, że dla ciebie to nie jest śmieszne.
- Ale będzie – mruknąłem chyba bardziej ponuro, niż zamierzałem. – Będzie zabawne. Pewnego dnia. Gdy już się z nią ożenię i będziemy musieli widywać rodziców tylko w święta.
- Większość facetów nie jest taka jak ty – zauważyła Karyn. Przejęła ode mnie spis książek i przeniosła się za ladę. – Wiesz, jak skłoniłam Drew, żeby mi się oświadczył? Trochę alkoholu, siła perswazji i... paralizator. – Patrzyła na mnie, dopóki się nie uśmiechnąłem. – Co Geoffrey myśli o tym wszystkim?

Długo to trwało, nim uzmysłowiłem sobie, że mówi o Becku; nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszałem jego oficjalne imię. Świadomość, że będę musiał kłamać, dotarła do mnie chwile potem.

- Jeszcze nie wie. Jest poza miastem – łgałem.

Za łatwo mi to przyszło, a to znaczyło, że nie brzmiałem wiarygodnie, więc się odwróciłem, żeby przynajmniej nie mogła zobaczyć wyrazu mojej twarzy.

- Ano tak. Zapomniała o jego klientach z Florydy! – zawołała Karyn, a ja zamrugałem zaskoczony przebiegłością Becka. – Sam, na czas zimy zamierzam otworzyć księgarnię na Florydzie. Myślę, że Geoffrey miał rację. Minnesota w marcu to nie jest dobry pomysł.

Nie miałem pojęcia, jaką historyjkę Beck opowiedział Karyn, żeby przekonać ją, że zimą wyjeżdża na Florydę, ale byłem pod wrażeniem, bo Karyn nigdy nie sprawiała wrażenia łatwowiernej osoby. Ale oczywiście musiał jej coś wcisnąć. Zaglądał tu często po książki. Gdy ja zacząłem pracować w księgarni, bawił się w szofera, podwożąc mnie do pracy i przywożąc mnie do domu, zanim zdobyłem prawo jazdy. Karyn musiała zauważyć jego nieobecność podczas zimowych miesięcy. Uderzyło mnie też to, z jaką łatwością wymawiała jego imię. Znała go wystarczająco dobrze, żeby „Geoffrey” padało z jej ust naturalnie, ale jednocześnie za mało, żeby wiedzieć, że wszyscy, którzy go kochali, wołali go po nazwisku.

Uświadomiłem sobie, że milczę od dłuższej chwili, a ona nadal mnie obserwuje.

– Czy przychodził tutaj często? – zapytałem w końcu.

Pokiwała głową zza lady.

– No, dość często. Kupował mnóstwo biografii – przerwała, zastanawiając się nad czymś.

Kiedyś powiedziała mi, że można przeprowadzić kompletną psychoanalizę danej osoby tylko na podstawie gatunków książek, jakie czyta. Zastanawiałem się, jak świadczyła o Becku jego miłość do biografii, których dziesiątki zgromadził w naszym domu. A Karyn ciągnęła:

– Ale pamiętam też ostatnią kupioną przez niego rzecz, bo to nie była biografia. Byłam zaskoczona jego wyborem. Geoffrey sprawił sobie terminarz.

Zmarszczyłem brwi. Nie pamiętałem, żeby widział u Becka kalendarz.

– Wiesz, jeden z tych z miejscami na komentarze i wpisy dotyczące każdego dnia... Powiedział, że chce zapisywać swoje myśli na przyszłość, kiedy już nie będzie ich pamiętał.

Odwróciłem się znowu do regału z książkami, żeby ukryć łzy, które nagle zakłuły mnie pod powiekami. Starłem się skupić wzrok na tytułach, żeby opanować emocje i nie wybuchnąć płaczem. Dotknąłem palcem grzbietu jednego z tomów, podczas gdy litery zamazywały się i ponownie odzyskiwały ostrość.

– Czy coś jest z nim nie tak, Sam? – zapytała Karyn.

Wbiłem wzrok w podłogę. Patrzyłem na stare deski, które wyrzuszały się odrobinę w miejscu, gdzie stykały się z podstawą regału. Poczułem, jak tracę kontrolę nad samym sobą, a słowa wzbierają, gotowe popłynąć strumieniem. Zaciśnąłem mocniej usta. Nie myślałem o pustych, rozbrzmiewających echem pokojach w domu Becka. Nie myślałem o tym, że teraz to ja musiałem kupować mleko i jedzenie w puszkach, żeby uzupełnić zapasy w szopie. Nie myślałem o Becku, uwięzionym w wilczym ciele, obserwującym mnie spomiędzy drzew, już niepamiętającym, już niemyślącym ludzkimi kategoriami. Nie myślałem o tym, że tego lata już nie będę miał na co – na kogo – czekać.

Wpatrywałem w malutki czarny sęk pod moją stopą. Był jak samotny ciemny kształt pośrodku złotego lasu.

Potrzebowałem Grace.

– Przepraszam – odezwała się Karyn. – Nie chciałam... nie chcę być wścibska.

Zrobiło mi się przykro, że przeze mnie poczuła się niezręcznie.

– Wiem, że nie. I nie jesteś. Chodzi po prostu o to... - Przycisnąłem palce do czoła, do epicentrum nadchodzącego bólu głowy. – On jest chory. Śmiertelnie. – Słowa wyszły powoli z moich ust. Dotkliwa kombinacja prawdy i kłamstwa.

– Och, Sam, tak mi przykro. Czy jest teraz w domu?

Nie odwracając się, pokręciłem przecząco głową.

– To dlatego gorączka Grace tak bardzo cię martwi – odgadła Karyn.

Zamknąłem oczy; w ciemnościach poczułem się skołowany, jakbym nie wiedział, gdzie jest niebo, a gdzie ziemia. Byłem rozdarty pomiędzy chęcią szczerą rozmowy a pragnieniem, żeby strzec swoich lęków i utrzymać je w tajemnicy. Wyrzuciłem to z siebie.

- Nie mogę stracić ich obojga. Wiem... wiem, że jestem silny, ale... ale nie aż tak.

Karyn westchnęła.

- Odwróć się, Sam.

Zrobiłem to niechętnie; zobaczyłem, że unosi laptop z listą inwentaryzacyjną. Najechała kursorem na litery „SR” zapisane na samym dole tabelki.

- Widzisz swoje inicjały tutaj? To oznacza, że na dzisiaj skończyłeś już pracę. A ja każę ci iść do domu. Albo gdziekolwiek. Idź oczyścić głowę.
- Dziękuję ci – powiedziałem cicho.

Zmierwiła mi włosy, gdy zabierałem swoją gitarę i herbatę z lady.

- Sam – odezwała się, gdy ją mijałem – myślę, że jesteś silniejszy, niż ci się wydaje.

Zmusiłem się do uśmiechu, który zniknął, jeszcze zanim dotarłem do tylnego wyjścia.

Otworzyłem drzwi i wpadłem prosto na Rachel. Tylko dzięki łutowi szczęścia albo wyjątkowej zręczności udało mi się nie wylać herbaty na jej pasiasty szalik. Ona sama unik zrobiła na długo po tym, jak realne niebezpieczeństwo zalania gorącym płynem minęło, i posłała mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Chłopak powinien uważać, jak chodzi – zauważyła.
- Rachel nie powinna wystawać w drzwiach – odpowiedziałem.
- Aha, ale to Grace kazała mi tu przyjść – zaprotestowała Rachel, a widząc moje zdezorientowane spojrzenie, wyjaśniła: - moje wrodzone zdolności nie obejmują parkowania równoległego, więc powiedziała, że jeśli wjadę w uliczkę za sklepem, to mogę zatrzymać się gdziekolwiek. I że nikomu nie będzie przeszkadzało, jeśli wejdę tylnym wejściem. Najwyraźniej się myliła, bo ty, jak tego doświadczyłam, od razu próbowałeś odstraszyć mnie kadzią płonącego oleju i...
- Rachel – przerwałem jej słowotok – kiedy rozmawiałaś z Grace?
- Ostatni raz? No, jakieś dwie sekundy temu. – Dziewczyna zrobiła krok do tyłu, żebym mógł wyjść z księgarni i mógł zamknąć za sobą drzwi.

Zalała mnie fala ulgi i prawie się roześmiałem. Znowu mogłem normalnie oddychać, choć powietrze było zimne i zabarwione spalinami. Na nowo zacząłem dostrzegać drobiazgi, takie jak zielona farba na Kublach na śmieci, i odczuwać lodowaty wiatr, który wsadzał badawczy paluch za kołnierzyk mojej koszuli.

Nie spodziewałem się, że znowu ją zobaczę.

Pomyślałem, że teraz – gdy już wiedziałem, że Grace czuła się na tyle dobrze, żeby rozmawiać z Rachel – to zdanie brzmi naprawdę melodramatycznie. Nie byłem pewien, dlaczego wyciągnąłem takie pochopne wnioski wczorajszej nocy; co nie zmienia faktu, że moje obawy były prawdziwe.

- Jest strasznie zimno – stwierdziłem i wskazałem na volkswagena. – Nie masz nic przeciwko?
- Och, nie, skąd! – zawołała Rachel i poczekała, aż otworzę drzwi, żebyśmy mogli wsiąść.

Włączyłem silnik, podkręciłem ogrzewanie i przycisnąłem palce do wlotów powietrza, aż poczułem spokój – przecież mróz nie mógł już zrobić mi krzywdy. Rachel zdołała wypełnić samochód jakimś bardzo słodkim i wyjątkowo sztucznym zapachem, który prawdopodobnie miał być truskawką. Musiała skrzyżować nogi na siedzeniu, żeby zrobić miejsce dla swojego ogromnego, zapakowanego po brzegi plecaka.

- Okej. Mów – poprosiłem. – Powiedz mi o Grace. Czy nic jej się nie stało?
- Nie. Była w szpitalu, ale jest już z powrotem w domu. Nawet nie zostawili jej na noc na obserwację. Miała gorączkę, więc naszpikowali ja panadolem i temperatura spadła. Powiedziała, że czuje się dobrze. – Wzruszyła ramionami. – Zaniósłam jej pracę domową. W związku z tym – kopnęła swój wypchany plecak – mam dać ci to. – Wyciągnęła różowy telefon ozdobiony naklejką z uśmiechniętą buźką cyklopa z tyłu.
- To twoja komórka? – zapytałem.

– Tak. Grace powiedziała, że połączenia z twojego numeru idą prosto na pocztę głosową. Tym razem zaśmiałem się z ulgą, bezdźwięcznie.

– Nie mogę uwierzyć, że daliście się przytapać. – Rachel nie wytrzymała. – Co wy sobie myśleliście! Ja chyba umarłabym z upokorzenia!

Nie odezwałem się, tylko obdarzyłem ją spojrzeniem wskazującym, że bardzo cierpię. Teraz, gdy już wiedziałem, że Grace jest cała i zdrowa, mogłem sobie pozwolić na trochę smęcenia.

– Biedny Chłopak – skwitowała Rachel, klepiąc mnie po ramieniu. – Nie martw się. Nie będą na ciebie wściekli w nieskończoność. Daj im parę dni, a wrócą do stanu, w którym zapominali, że mają córkę. Masz. Telefon. Już wolno jej odbierać rozmowy.

Z wdzięcznością przyjąłem komórkę.

– Pod dwójką, na szybkim wybieraniu – dodała Rachel.

Chwilę później usłyszałem:

– Cześć, Rach.

– To ja – szepnąłem.

GRACE

Nie potrafiłam nazwać uczucia, które zawładnęło mną, gdy usłyszałam w telefonie głos Sama zamiast Rachel. Wiedziałam tylko, że było tak silne, że mój oddech zmienił się w jedno długie westchnienie:

– Sam...

On też wzdychał; nagle rozpaczliwe zapragnęłam ujrzeć jego twarz.

– Sam, czy Rachel ci powiedziała? – zapytałam. – Już wszystko w porządku. To była tylko gorączka. Już jestem w domu.

– Czy mogę przyjść? – głos Sama brzmiał dziwnie.

Nacisnęłam kołdrę na kolana, szarpiąc ją, bo nie ułożyła się w sposób, w jaki chciałam. Starłam się nie przywoływać ponownie gniewu, który dopadł mnie podczas rozmowy z tatą.

– Mam szlaban. Nie wolno mi pojechać do studia nagraniowego w niedzielę. – Po drugiej stronie linii zapadła martwa cisza; wyobraziłam sobie minę mojego chłopaka i zabolowało mnie to, sparaliżowało. Tak chyba muszą się czuć ludzie pogrążeni w smutku, którzy już nie mogą tego znieść. – Jesteś tam jeszcze...?

– Mogę przełożyć nagranie – odezwał się dzielnie. To było jeszcze gorsze niż milczenie.

– O, nie – powiedziałam stanowczo. I nagle wybuchnęłam złością. – Pojadę do studia w niedzielę, nie obchodzi mnie, czy będę musiała ich błagać, nie ma znaczenia, czy będę musiała im zwać! Sam, jestem tak wściekła! Nie wiem, co robić. Mam ochotę uciec. Natychmiast. Nie chcę być z nimi w jednym domu. Serio, sprowadź mnie na ziemię. Powiedz, że nie mogę z tobą zamieszkać. Powiedz, że nie chcesz mnie u siebie.

– Wiesz, że nigdy nie powiedziałbym czegoś takiego – wyszeptał miękko. – Że bym cię nie powstrzymał.

Spiorunowałam wzrokiem zamknięte drzwi sypialni. Moja matka – mój strażnik więzienny – była gdzieś tam, po drugiej stronie. Wciąż czułam mdłości wywołane gorączką; nie chciałam tutaj być.

– Więc dlaczego tego nie zrobię?! – krzyczałam.

Sam milczał długo, a w końcu powiedział cicho:

– Bo nie chcesz tak kończyć tego etapu swojego życia. Chciałbym mieć cię u swego boku i tak będzie, pewnego dnia. Ale to nie powinno się odbyć w ten sposób.

Jego słowa sprawiły, że łzy zapiekły mnie pod powiekami. Zaskoczona, starłam je pięścią. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przywykłam do tego, że to ja byłam praktyczna, a Sam kierował się emocjami. Czułam się osamotniona w swojej wściekłości.

– Martwiłem się o ciebie – dodał miękko Sam.

„Ja też się o siebie martwiłam” – pomyślałam, ale zamiast tego uspokoiłam go:

– Wszystko w porządku. Naprawdę chcę pojechać z tobą do Duluth. Już nie mogę się doczekać niedzieli.

SAM

To było dziwne słyszeć te słowa z ust Grace. To było dziwne, siedzieć tutaj z jej najlepszą przyjaciółką, podczas gdy Grace znajdowała się w domu i akurat tym razem naprawdę mnie potrzebowała.

Chciałem powiedzieć jej, że nie musimy jechać do studia, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Ale nie potrafiłem, fizycznie nie potrafiłem... Ona tęskniła równie mocno jak ja. Przez to stała się kimś zupełnie innym. Czułem, że niebezpieczna, ale przyjemna przyszłość zaczyna szeptać mi swe sekrety do ucha.

– Marzę, żeby już była niedziela – przyznałem.

– Nie chcę być sama dziś wieczorem – wyznała Grace.

Coś ścisnęło mnie za serce. Na moment zamknąłem oczy. Pomyślałem, że mógłbym się do niej zakraść; że mógłbym poprosić ją, żeby wymknęła się do mnie. Wyobraziłem sobie, że leżę w swojej sypialni, pod papierowymi żurawiami, z Grace wtuloną we mnie, nie martwiąc się tym, że rano będę musiał się ukrywać przed jej rodzicami. Zwykłe bycie razem na naszych warunkach.

Pragnąłem jej coraz bardziej.

– Ja też za tobą tęsknię – powiedziałem w końcu.

– Twoja ładowarka została u mnie – przypomniała sobie Grace. – Zadzwoń do mnie od Becka dziś wieczorem, okej?

– Okej – przytaknąłem.

Rozłączyła się, więc oddałem telefon Rachel. Nie byłem pewien, co jest ze mną nie tak. Przecież niedługo ją zobaczę. Nasza rozłąka była zaledwie kroplą w morzu czasu, jakim miało być nasze wspólne życie.

Mieliśmy dla siebie wieczność. Musiałem wreszcie zacząć w to wierzyć.

– Sam? – odezwała się Rachel. – Czy wiesz, że chyba jeszcze nikt nigdy nie miał tak smutnego wyrazu twarzy?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

SAM

Pożegnałem się z Rachel i ruszyłem do domu. Dzień stał się słoneczny; może niezbyt ciepły, ale niósł ze sobą obietnicę wyższej temperatury – był jak lato w toku produkcji. Ledwie pamiętałem taką pogodę. Przez tyle lat podobna prawie-wiosna trzymała mnie uwięzionego w wilczej skórze. Ciężko mi było przekonać samego siebie, że nie muszę się ukrywać w ogrzanym wnętrzu samochodu.

Nie będę się bał. U w i e r z ę w swoje wyleczenie.

Wysiadłem z volkswagena, ale nie wszedłem do domu; nie byłem gotów na kolejną rozmowę z Cole'em, jeśli nadal był w środku. Zamiast tego udałem się do lasu – przez podwórze przykryte ohydną martwą zeszłoroczną trawą. Pomyślałem, że powinienem sprawdzić szopę i przekonać się, czy natrafię na jakieś wilki.

Budynek stojący kilkaset metrów w głębi boru za domem Becka stanowił raj dla nowych wilków zmieniających się w tę i z powrotem. Był zaopatrzony w ubrania, jedzenie w puszkach i latarki. A nawet w mały telewizorek z wbudowanym odtwarzaczem wideo oraz grzejnik. Urządzenia mogły działać dzięki akumulatorowi do łodzi. Znajdowało się tam wszystko, czego niestabilny młody wilk mógłby potrzebować, żeby wygodnie zaczekać na to, aż na dobre zdomowi się w ludzkiej formie.

Mogło się jednak zdarzyć i tak, że nowy członek sfory zmieni się z człowieka w wilka, zanim zdąży dopaść drzwi i umknąć na zewnątrz. A wtedy będzie tylko dzikim zwierzęciem, niewolnikiem instynktu, uwięzionym w ścianach cuchnących ludźmi, przemianami i niepewnością.

Pamiętałem jedną wiosnę, gdy miałem dziewięć lat i nadal czułem się dość niepewnie w wilczej skórze. Ciepły dzień odarł mnie z futra i pozostawił na ziemi w lesie – nagiego i przerażonego, skulonego jak nowy błady pęd wyrastający z gleby. Upewniłem się, że jestem sam, i ruszyłem do szopy – tak jak kazał mi Beck.

Gdy żołądek ścisnął mi wściekły skurcz – zwykła rzecz między przemianami – zgiąłem się w pół. Byłem taki chudy; kuciałem, a wystające żebra wbijały mi się w uda. Gryzłem palce, dopóki ból nie minął i nie pozwolił mi się wyprostować, żebym mógł otworzyć drzwi szopy. A kiedy już przez nie przeszedłem, spłoszyłem się jak żrebak, bo zaatakował mnie dźwięk, którego się nie spodziewałem. Po minucie serce uspokoiło mi się na tyle, żebym uświadomił sobie, że to nic nadzwyczajnego, jakaś piosenka – ktoś, kto przebywał tu ostatnio, zostawił włączony odtwarzacz. Elvis pytał, czy jestem samotny dziś wieczorem, podczas gdy ja przekopywałem się przez pojemnik oznaczony napisem „Sam”. Wciągnąłem dzinsy, ale nie zwracałem sobie głowy szukaniem T-shirtu, tylko od razu rzuciłem się do pakunków z jedzeniem. Rozerwałem paczkę chipsów. W brzuchu burczało mi straszliwie, ale wiedziałem, że zaraz go napełnię. Siedziałem na jednym z pudeł, podciągając kościste kolana pod brodę i słuchając zawrota Elvisa, i myślałem o tym, że słowa piosenek to po prostu inny rodzaj poezji. Poprzedniego lata Urlik zmuszał mnie do uczenia się na pamięć słynnych wierszy (wciąż pamiętałem pierwszą połowę „Przystając pod lasem w śnieżny wieczór”^{*}). Próbowałem przypomnieć sobie drugą, jednocześnie pochłaniając kukurydziane chrupki w nadziei, że pozbędę się bólu brzucha.

Zanim zorientowałem się, że trzęsie mi się ręka, którą trzymałem torebkę, potworny ścisk żołądka rozpoczął straszliwą męczarnię przemiany. Nie zdążyłem dotrzeć do wyjścia – moje dłonie zmieniły się w bezużyteczne łapy, a paznokcie – w pazury – nieudolne w starciu z drewnem. Moją ostatnią ludzką myślą było wspomnienie: rodzice zatraskujący drzwi do sypialni, szcęk zamka, wilk wydobywający się ze mnie.

^{*} Wiersz Roberta Frosta z tomu „New Hampshire” [przyp. Tłum.].

Wilcze wspomnienia były trudne do odtworzenia, ale pamiętałem, że dopiero po wielu godzinach zrezygnowałem z prób wydostania się na zewnątrz.

To Urlik mnie znalazł.

- Ach, *Junge* – powiedział smutnym głosem, rozglądając się i przesuając dłonią po ogolonej głowie. Mrugałem, patrząc na niego pustym wzrokiem, zaskoczony, że nie jest ani moją matką, ani ojcem. – Od jak dawna tu tkwisz?

Leżałem zwinięty w kłębek w kącie szopy, gapiąc się na swoje zakrwawione palce. Mój mózg powoli odrywał się od wilczych myśli i dryfował w kierunku ludzkich. Pojemniki i pokrywy były porzucane po całym pomieszczeniu. Odtwarzacz leżał pod ścianą z wyrwanym kablem. Podłoga upačkana była zaschniętą krwią, poznaczona odciskami zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych kończyn. Wióry i kawałki drewna z podrapanych drzwi razem z podartymi torebkami chrupek, chipsów i precelków, których zmiażdżona zawartość wałała się wszędzie, tworzyły upiorne konfetti.

Buty Urlika chrzęściły na drobnym piasku z ziemniaczanych chipsów – on sam zatrzymał się dopiero na środku pomieszczenia, gdy się wzdrygnąłem i cofnąłem. Przed oczami tańczyły mi różne obrazy, na zmianę widziałem zdemolowaną szopę i swoją stara sypialnię, wypełnioną pościelą i podartymi w strzępy książkami.

Urlik wyciągnął do mnie rękę.

- Chodź, Sam. Zabiorę cię do domu.

Ale ja nie mogłem się ruszyć. Znowu spojrzałem na swoje stępione paznokcie, zakrwawione od powbijanych pod nie drzazg. Zagubiłem się w niewielkim świetle opuszek i linii papilarnych, podkreślonych karmazynem. Dostrzegłem jeden pręgowany wilczy włos zaschnięty w swojej krwi. Spuściłem wzrok na nierówne blizny na nadgarstkach, nakrapiane czerwienią.

- Sam...? – szepnął Urlik.

Nie podniosłem głowy. Zużyłem wszystkie słowa i siły, próbując się stąd wydostać, a teraz nie potrafiłem się zmusić do tego, żeby wstać.

- Nie jestem Beckiem – powiedział bezsilnie. – Nie wiem, co on robi, żeby pomóc ci wziąć się w garść, okej? Nie umiem mówić twoim językiem, *Junge*. O czym myślisz? Po prostu spójrz na mnie.

Miał rację. Tylko Beck wiedział, jak przywrócić mi rzeczywistości po przemianie, ale jego tutaj nie było. W końcu Urlik podniósł mnie – moje ciało w jego ramionach było bezwładne jak zwłoki – i zaniósł do domu. Nie odzywałem się, nie jadłem, nawet nie ruszałem, dopóki Beck się nie przemienił i nie wrócił do domu. Nawet teraz wciąż nie pamiętam, czy to trwało kilka godzin, czy kilka dni. Beck nie przyszedł do mnie od razu. Najpierw udał się prosto do kuchni i zaczął szczerkać naczyniami. Kiedy pojawił się w salonie, gdzie kuliłem się w kącie sofy, miał ze sobą talerz z jajkami.

- Zrobiłem ci coś do jedzenia – zwrócił się do mnie.

Jajka były przyrządzone dokładnie w taki sposób, jak lubiłem. Spojrzałem na nie zamiast na twarz Becka i wyszeptałem:

- Przepraszam.
- Nie ma za co przepraszać – uciął Beck. – Nie byłeś świadom tego, co robisz. A Urlik jako jedyny uwielbiał te cholerne chipsy. Wyświadczyłeś nam wszystkim ogromną przysługę.

Postawił jedzenie na kanapie obok mnie i poszedł do swojego gabinetu. Po chwili wziętem talerz i po cichu podążyłem za nim. Usiadłem na podłodze i jadłem, słuchając delikatnego bębnienia palców Becka o klawiaturę.

Działo się to wtedy, kiedy nadal byłem kompletnie rozbity. I wtedy, gdy myślałem, że mam Becka na zawsze.

- Cześć, Ringo.

Głos Cole'a sprawił, że znów znalazłem się tu i teraz. Nie byłem już dziewięcioletkiem prowadzonym przez życie przez życzliwych opiekunów.

- Widzę, że wciąż jesteś człowiekiem – zauważyłem, bardziej zaskoczony, niż dałem po sobie poznać. – Co tutaj robisz?
- Staram się przemienić w wilka.

Na dźwięk tych słów wstrząsnął mkną nieprzyjemny dreszcz, bo ja zawsze robiłem wszystko, żeby zwalczyć tkwiące we mnie zwierzę. Przypomniałem sobie ból skręcających się przed przemianą wnętrzności i mdłości w momencie, gdy traciłem siebie. Nie odpowiedziałem. Zamiast tego otworzyłem drzwi, po omacku szukając włącznika światła.

Miejsce cuchnęło stęchlizną. Wspomnienia i drobinki kurzu unosiły się w nieruchomym powietrzu. Za plecami wciąż słyszałem piszcząco-skrzypiący dźwięk wydawany przez kardynała ukrytego gdzieś pośród gałęzi, ale poza tym wokół panowała cisza.

- To okazja równie dobra jak każda inna, żebyś zaznajomił się z tym miejscem – rzuciłem w stronę Cole'a. wszedłem do szopy, szorując butami po wysłużonej podłodze i wzbijając tumany kurzu. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku – koce poskładane schludnie obok uśpionego telewizora, automat z chłodną wodą wypełniony aż po brzegi i kubki posłusznie stojące przy nim w kolejce. Wszystko czekało na wilkołaki, na ich wycieńczone ludzkie formy.

Cole wszedł do środka za mną, ale obserwował półki i pojemniki z zaopatrzeniem z nikłym zainteresowaniem. Biła od niego pogarda, a jednocześnie niespokojna energia. Miałem ochotę rzucić mu: „Co Beck w tobie widział?”, ale spytałem o coś innego:

- Czy właśnie tego się spodziewałeś?

Cole uchylił wieko jednego z pudeł i zajrzał do środka.

- Po czym?
- Po byciu wilkiem.
- Spodziewałem się, że będzie gorzej – przyznał i spojrzał na mnie z cwany uśmiechem, jakby wiedział, przez co ja przeszedłem, żeby przestać być zwierzęciem. – Beck powiedział mi, że ból jest nie do zniesienia.

Podniosłem zwiędły liść, który zawędrował za nami aż do szopy.

- Tak, cóż... to nie jest najtrudniejsza część.
- Czyżby? – rzucił Cole. Miałem wrażenie, że chce, żebym go nienawidził. – A zatem co należy do najgorszych rzeczy?

Odwróciłem się do niego plecami. Naprawdę nie chciałem odpowiadać. Bo nie sądziłem, żeby go to cokolwiek obchodziło.

Beck go wybrał. Nie będę go nienawidził. Nie będę. Beck musiał coś w nim dostrzec.

W końcu zacząłem:

- Któregoś roku eden z wilków, Urlik, stwierdził, że będzie super, jeśli zacznie hodować włoskie zioła. Urlik zawsze miał tego typu zwariowane pomysły.

Pamiętałem, jak wrzucał nasiona do doniczek. Malutkie, wyglądające na martwe ziarenka znikwały w czarnej glebie. „Lepiej, żeby się udało, do cholery” – rzucił do mnie uprzejmie. Stałem u jego boku przez cały czas, obserwując proces sadzenia i nieustannie wchodząc mu w drogę. Przesuwałem się tylko wtedy, kiedy jego łokieć przypadkowo mnie dźgnął. „Może dałbyś radę stanąć jeszcze bliżej, Sam?” – pytał z sarkazmem. Teraz, opowiadając Cole'owi o Urliku, dodałem:

- Beck uważał, że Urlikowi całkowicie odbiło. Powiedział mu, że przecież bazylia w sklepie kosztuje grosze.

Wyraz twarzy Cole'a wyraźnie wskazywał na to, że traktuje mnie z pobłażaniem. Zignorowałem tę minę i wyjaśniałem dalej:

- Obserwowałem ten eksperyment codziennie przez wiele tygodni; czekałem, aż z ziemi wyrosnie coś zielonego. Cokolwiek, co powie mi, że tam naprawdę rozwija się życie. I to jest właśnie to. To jest najtrudniejsza część. Stoję tutaj, w tej szopie, i czekam, żeby przekonać się, czy moje ziarna wyrosną. I nie wiem, czy jest za wcześnie na to, żeby szukać śladów życia, czy jednak tym razem zima po prostu zabrała mi rodzinę na zawsze.

Cole gapił się na mnie. Pogarda zniknęła z jego twarzy, ale nic nie powiedział. Najwyraźniej był zaskoczony. Nie wiedziałem jednak, jak na to zareagować, więc też się nie odezwałem.

Nie było sensu zostawać tu dłużej. Sprawdziłem pojemniki z prowiantem, upewniłem się, że nie zalęgło się w nich żadne robactwo. Cole trzymał się na uboczu. Nagle zamarłem z palcami na wieku pudła; nastuchiwałem. Nie mogłem pojąć, co mnie aż tak zaintrygowało – na zewnątrz była cisza i jeszcze więcej ciszy. Nawet kardynał zamilkł.

Udając, że Cole'a tu nie ma, nadstawiłem uszu, tak jak to robiłem, gdy byłem wilkiem. Starłem się zlokalizować wszystkie stworzenia w okolicy i zarejestrować dźwięki, jakie wydawały. Ale nic nie słyszałem.

Gdzieś w tych lasach znajdowały się wilki, ale dla mnie były one niewidzialne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

COLE

Traciłem kontakt ze swoim ludzkim ciałem i byłem z tego zadowolony.

Sam wprowadził mnie w zakłopotanie. Miałem w zanadrzu kilka różnych masek, dzięki którym generalnie byłem w stanie dogadać się z każdym, ale żadna z nich nie wydawała się odpowiednia w rozmowie z Samem. Był irytująco szczery. Jak miałem na to zareagować?

Poczułem ulgę, gdy wróciliśmy do domu, a on powiedział, że wybiera się na przejażdżkę.

- Zapytałbym, czy chcesz się ze mną przejechać – zaznaczył na odchodnym – ale wkrótce się przemienisz.

Nie zdradził, na jakiej podstawie doszedł do tego wniosku, ale jego nozdrza drgały odrobinę, jakby sprawdzał mój zapach. Kilka chwil później dieslowski silnik zamruczał hałaśliwie; samochód ruszył z podjazdu. Zostałem sam w tym miejscu, które zmieniało nastroje w zależności od pory dnia. Popołudnie zrobiło się pochmurne i zimne; nagle dom przemienił się z przytulnego gniazda w złowieszczy labirynt ponurych pomieszczeń jak z sennego koszmaru. Tak samo ja – nie byłem już całkiem człowiekiem, ale też jeszcze nie wilkiem. Znajdowałem się gdzieś pomiędzy – z ludzkim ciałem i wilczym mózgiem, oglądając człowiecze wspomnienia oczami zwierzęcia. Początkowo krążyłem po korytarzach; ściany napierały na mnie coraz bardziej. Nie do końca wierzyłem w ocenę sytuacji Sama. Gdy wreszcie poczułem skradający się cień przemiany, otworzyłem tylne wyjście i czekałem, aż zimno targnie mną i stanę się wilkiem. Jednak najwyraźniej jeszcze nie byłem na tym etapie. Zamknąłem więc drzwi i położyłem się na swoim pożyczonym łóżku, znosząc dręczące mnie mdłości i chłód pełzający po skórze.

Już myślałem, że się więcej nie przeistoczę. Ten żałosny stan zawieszenia naprawdę mnie męczył.

Wstałem; znowu podszedłem do tylnego wyjścia i wystawiłem się na lodowaty wiatr. Podałem się po jakichś dziesięciu minutach i wróciłem na kanapę, zwijając się w kłębek i w ten sposób próbując uciszyć chaos szalejący w żołądku. Umysł szybował przez zacienione korytarze, choć ciało leżało w bezruchu. W myślach szedłem przez nieznanym pomieszczenia w kolorach czerni i bieli; poczułem ciepło ciała Isabel i mikrofon w zaciśniętej pięści; obserwowałem, jak moja skóra traci naturalny kolor, gdy staję się wilkiem; usłyszałem głos ojca i zobaczyłem, jak patrzy na mnie ponad stołem w jadalni.

Nie. Wszystko, tylko nie dom. Pozwoliłbym moim wspomnieniom zabrać mnie wszędzie, tylko nie tam.

Teraz byłem na sesji fotograficznej z „NARKOTIKĄ”. To była nasza pierwsza rozkładówka dla wielkiego czasopisma. Cóż, tak naprawdę nie nasza, a moja. Temat brzmiał: „Sukces nieletnich gwiazd”, a moje życie świetnie ilustrowało tę ideę. Reszta zespołu była tam tylko po to, żeby mnie wspierać.

Nie robili nam zdjęć w studio; zamiast tego fotograf i jego asystentka zabrali nas na klatkę schodową jakiegoś starego budynku i starali się uchwycić nastrój granej przez nas muzyki, każąc nam ustawiać się przy poręczach i przybierać różne pozy. Miejsce to cuchnęło jak czyjś lunch – kawałkami sztucznego bekonu i sosu sałatkowego, którego normalny człowiek nigdy by nie zamówił. I jakąś tajemniczą przyprawą, która waliła jak stara skarpeta. Zaczynał mi się odjazd. Nie pierwszy w życiu, ale cholernie przypominał tamto doświadczenie. Zupełnie nowe dragi wprowadzały mnie w taką euforię, że po wszystkim czułem się trochę winny. Właśnie napisałem jedną ze swoich najlepszych piosenek – „Break my face (and sell the pieces)”, która miała się stać bestsellerowym singlem. Byłem w świetnym nastroju, a byłbym w jeszcze lepszym, gdybym nie musiał tkwić tutaj. Bo chciałem spacerować na zewnątrz i wdychać powietrze, gęste od spalin, zapachów z restauracji i innych ekscytujących aromatów miasta, które mówią mi, że jestem kimś.

- Cole. Cole! Hej, przystojniaku! Mógłbyś na chwilę stanąć nieruchomo? Ustaw się obok Jeremy'ego i spójrz w obiektyw. Jeremy, popatrz na niego – władczo rozstawiał nas fotograf.

Był brzuchatym facetem w średnim wieku, z nierówno przyciętą kozią bródką, której widok miał mnie prześladować przez cały dzień. Jego ruda asystentka, w wieku dwudziestu kilku lat, już zdążyła wyznać, że mnie kocha, w związku z czym stała się kompletnie nieinteresująca. Jako siedemnastoletni młodzieniec i idol nastolatek właśnie odkryłem, że cyniczny uśmiech może skłaniać dziewczyny do zdejmowania bluzek.

- Przecież cały czas się na niego gapię – zauważył Jeremy trochę sennym głosem. Zawsze brzmiał tak, jakby częściowo spał.

Victor stojący po drugiej stronie Jeremy'ego uśmiechał się, spoglądając w ziemię, tak jak kazał mu fotograf.

Nie czułem całej tej sesji. Niby jak te zdjęcia, przypominające pozowanie do jakiejś cholernej okładki albumu Beatlesów, pasowały do brzmienia „NARKOTIKI”? pokręciłem głową i splunąłem z półpiętra. Flesz rozbłysł, po czym koleś i jego asystentka zaczęli z irytacją gapić się w obiektyw. Kolejny błysk. Kolejne gniewne spojrzenie. Fotograf wszedł na półpiętro, stanął sześć stopni pod nami i zaczął przymilnym głosem:

- Okej, Cole, a może włożysz w to odrobinę życia, co? No, wiesz, pokaż radość na twarzy. Przywołaj na myśl najlepsze wspomnienia. Uśmiechnij się do mnie tak jak do swojej mamy.

Uniosłem brew, zastanawiając się, czy mówi serio.

Facet najwyraźniej doznał artystycznego objawienia, bo aż podniósł głos:

- Wyobraź sobie, że jesteś na scenie...
- Chcesz życia? – zapytałem. – Bo to nie jest życie. Życie jest nieprzewidywalne. W życiu chodzi o ryzyko. Taka jest właśnie „NARKOTIKA”. To nie jest jakieś cholerne rodzinne zdjęcie z udziałem harcerzy. To jest...

I skoczyłem na niego. Zleciałem ze schodów z rozpostartymi ramionami i zobaczyłem panikę na jego twarzy, podczas gdy jego asystentka poderwała aparat do góry; błysk flesza oślepił mnie.

Wylądowałem na jednej nodze i zatoczyłem się na ceglana ścianę klatki schodowej, zrywając boki ze śmiechu. Nikt nie zapytał, czy nic mi się nie stało. Jeremy ziewał, Victor pokazywał mi wała, a facet i ta babka wykrzykiwali coś nad obiektywem.

- No to macie trochę inspiracji – rzuciłem w ich kierunku. – Proszę bardzo.

Nawet nie czułem bólu.

Po tym wydarzeniu pozwolili mi robić, co chciałem. Nucąc i śpiewając swoją nową piosenkę, prowadziłem ich w górę i w dół schodami, dociskając palce do murów, jakbym chciał je przewrócić; udałem się do holu, gdzie stanąłem w wielkiej donicze, a w końcu wyszedłem na ulicę i wskoczyłem na dach auta, które przywiozło nas tu z hotelu. Pozostawiłem wgniecenia na karoserii, żeby samochód też mnie zapamiętał.

Kiedy fotograf skończył pracę, jego asystentka podeszła do mnie i poprosiła, żebym podał jej dłoń. Wyciągnąłem ją w jej kierunku, odwróconą wnętrzem do góry, a ona obróciła ją i zapisała swoje imię i numer telefonu. Victor obserwował to wszystko, stojąc tuż za nią.

Gdy tylko dziewczyna wróciła do środka, zniecka walnęła mnie w plecy.

- A co z Angie? – zapytał z uśmiechem, jakby spodziewał się, że moja odpowiedź będzie mu się podobać.
- Co z nią? – udałem głupiego.

Uśmiech zniknął, a on chwycił mnie za rękę z nabazgranym numerem telefonu.

- Nie sądzę, żeby była z tego zadowolona.
- Vic. Bracie. To nie twój interes.
- To moja siostra. To j e s t mój interes.

Ta rozmowa zdecydowanie popsuła mój dobry nastrój.

- Cóż, między mną a Angie wszystko skończone. Od tak dawna, że już uczą o tym na lekcjach historii. I to nadal nie powinno cię obchodzić.
- Ty draniu! – wściekł się Victor. – Zostawisz ją tak? Zniszczysz jej życie i po prostu odejdziesz?

To naprawdę mnie wkurzyło. Zacząłem czuć, że pora na igłę albo piwo, albo żyletkę.

- Hej, zapytałem ją. Powiedziała, że woli być sama.
- I ty jej uwierzyłeś? Wiesz co, myślisz, że jesteś taki dobry?! Pieprzony geniusz! Liczysz na to, że będziesz żył wiecznie? Gdy stuknie ci dwudziestka, nikt nie będzie pamiętał twojej gęby ani ciebie!

Ale już tracił pewność siebie. Prawie. I gdybym powiedział wtedy, że mi przykro, albo po prostu się zamknął, prawdopodobnie odwróciłby się i pojechał do hotelu.

Odczekałem chwilę, a potem rzuciłem:

- Przynajmniej dziewczyny wołają mnie po imieniu, człowieku. – Obserwowałem jego minę ze złośliwym uśmieszkiem. – Przynajmniej nie będę zawsze tylko perkusistą „NARKOTIKI”.

Victor uderzył mnie. To był niezły cios, ale koleś nie dał z siebie wszystkiego. W każdym razie wciąż stałem, choć chyba rozciął mi wargę; ale czułem swoją twarz i pamiętałem, o czym rozmawialiśmy.

Jeremy pojawił się u boku Victora, prawdopodobnie przyciągnięty łoskotem jego pięści miażdżącej mi usta, bo to nie była jedna z naszych zwykłych kłótni.

- Nie stój tak! – krzyknął Victor i walnął mnie znowu, prosto w szczękę. Tym razem zatoczyłem się i ledwo utrzymałem równowagę. – Przyłóż mi, ty kupo gówna! No, dalej!
- Chłopczy – powiedział Jeremy, ale się nie poruszył.

Victor naparł barkiem na moją pierś – osiemdziesiąt kilo gniewu – i tym razem padłem na ziemię, czując jak wybrzuszenie na asfalcie wbija mi się w plecy.

- Jesteś totalnym śmieciem! Przez całe życie puszysz się jak paw, sukinsynu!

Kopał mnie, a Jeremy obserwował nas z rękami założonymi na piersiach.

- Wystarczy – stwierdził w końcu.
- Zetrę... uśmieszek... z twojej... gęby – cedził Victor pomiędzy kopniakami.

Wreszcie zabrakło mu tchu i w końcu zachwiał się, i upadł ciężko na ziemię tuż obok mnie.

Gapiałem się na prostokąt szarobiałego nieba nad naszymi głowami, otoczony ramą ciemnych budynków, i czułem, jak krew leci mi z nosa. Pomyślałem o Angie, tam w domu, i o tym, jak wyglądała, gdy powiedziała mi, że woli być sama. Żałowałem, że nie widziałam tego widowiska, jak Victor skopał mi tyłek.

Jeremy wyciągnął telefon i zrobił fotkę nam obu, leżącym na ulicy w jakimś mieście, którego nazwa zupełnie nie ma znaczenia.

Trzy tygodnie później zdjęcie przedstawiające mnie zeskakującego ze schodów, z Jeremym i Victorem w tle, znalazło się na pierwszej stronie najśłynniejszego magazynu muzycznego, w każdym kiosku w kraju.

Moja twarz była wszędzie. Ja byłem wszędzie. Nie zanosilo się na to, żeby w najbliższym czasie ktokolwiek miał o mnie zapomnieć.

* * *

Później, po południu, padłem na podłogę w domu Becka w przecuciu nadchodzącej przemiany. Zrozumiałem wtedy, że moje wcześniejsze mdłości były niczym wobec tych prawdziwych, które gryzły, szarpały i rozdzierały moje wnętrza. Resztką sił dotarłem do drzwi i otworzyłem je. Stałem i patrzyłem na trawę.

Na zewnątrz było zaskakująco ciepło, chmury zniknęły, choć pojedyncze podmuchy mocnego wiatru przypominały, że nadal jest marzec. Zimny powiew przeniknął wskroś moje ludzkie ciało i dotarł do ukrytego wilka. Dostałem gęsiej skórki. Zawahałem się. Zastanawiałem się, czy powinienem pobiec do

szopy i zostawić tam ubranie, żeby później łatwiej było mi je odzyskać. Ale następny gwałtowny podmuch przyprawił mnie o jeszcze silniejsze dreszcze.

Nie zdążę.

Mój brzuch jęczał z bólu. Przykucnąłem i czekałem.

Ale przemiana nie nadeszła szybko. W skórze człowieka przetrwałem niemal cały dzień; moje ciało stało się już pewniejsze swojej ludzkiej formy. Wyglądało na to, że łatwo się nie podda.

„No dalej, przemień się” – myślałem, podczas gdy wiatr wyrwał ze mnie kolejny przejmujący dreszcz. Czułem mdłości. Starąłem się pamiętać, że to jest tylko reakcja na proces transformacji, że tak naprawdę nie muszę wymiotować. Jeśli tylko oprę się impulsowi, będzie dobrze.

Wsparłem palce o zimną ścianę, pragnąc, żeby chłód wepchnął mnie wreszcie w skórę wilka. Ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie numer do Angie i poczułem irracjonalne pragnienie, żeby wrócić do środka i zadzwonić, tylko po to, żeby usłyszeć, jak mówi „halo”. Zastanawiałem się, co teraz myśli sobie Victor, po tym wszystkim.

Poczułem ból w piersiach.

„Zabierz mnie z tego ciała. Zabierz mnie od Cole’a” – zacząłem błagać.

Ale to była tylko jeszcze jedna rzecz, nad którą nie miałem żadnej kontroli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

GRACE

Czy pierwsza noc bez Sama różniła się od pozostałych? Poślanie pozostawało wciąż to samo. Łóżko bez niego nie wydawało się wcale większe. Bez jego miarowego oddechu, kiedy w ciemnościach nie mogłam zauważyć braku jego kwadratowego barku obok mnie, nie byłam mniej zmęczona. Poduszka ciągle pachniała Samem, jakby tylko wstał po książkę i zapomniał wrócić.

Jednak jego nieobecność wszystko zmieniała.

Brzuch nadal mnie bolał, choć było to tylko echo męki z zeszłej nocy. Docisnęłam twarz do poduszki Sama i starałam się nie wspominać tamtych nocy, gdy sądziłam, że straciłam go na zawsze. Wyobrażałam go sobie teraz w domu Becka; przekreśliłam się i sięgnęłam po komórkę. Ale nie wybrałam jego numeru. Zdawałam sobie sprawę, że to głupie, lecz w tej chwili myślałam jedynie o tym – o jego słowach wypowiedzianych, kiedy leżeliśmy razem, a on trząśnięty z zimna: „Może powinniśmy przemyśleć nasz wybór stylu życia”. Potem zastanawiałam się nad jego sugestią, że powinnam raczej zostać, zamiast zamieszkać z nim.

Może był zadowolony, że tam jest, że ma wymówkę, żeby być samemu. A może nie. Nie wiedziałam. Czułam się chora, chora, chora – w jakiś nowy i straszny sposób, którego nie potrafiłam opisać. Chciało mi się płakać i było mi z tego powodu głupio.

Odłożyłam telefon na stolik nocny, przetoczyłam się na jego poduszkę i w końcu zasnęłam.

SAM

Byłem otwarta raną.

Niespokojnie błąkałem się po korytarzach, chcąc do niej zadzwonić, ale obawiałem się, że wpakuję ją w kłopoty; bałem się czegoś nienazwanego i ogromnego. Krążyłem tak, aż poczułem się zbyt zmęczony, żeby dłużej utrzymać się na nogach, i ruszyłem na górę do swojego pokoju. Nie zapalając światła, położyli się na łóżku i rozrzuciłem ramiona na boki. Ręka mnie bolała, bo nie czułem pod nią kształtu ciała Grace. Coś jątrzyło się wewnątrz mnie. Nie mogłem spać. Dryfowałem z dala od rzeczywistości pustego łóżka; mój umysł zamieniał myśli w słowa piosenki. Moje palce wyobrażały sobie progi gitary, które musiałyby docisnąć, żeby odnaleźć melodię.

*Jestem równaniem, które tylko ona
potrafi rozwiązać, jestem niewiadomą.
Próbuję dzielenia, lecz wynik wciąż błędny,
i mnożę dni bez niej, samotny, tak zbędny.*

Podczas gdy niekończąca się noc pełza powoli, a niezliczone minuty tłoczyły się jedna obok drugiej, nie prowadząc donikąd, usłyszałem wycie wilków. W Glowie poczułem dudnienie. Jeden z tępych, przewlekłych bólów, które pozostawiło mi w spadku zapalenie opon mózgowych. Leżałem w pustym domu. Docierało do mnie powolne zawroty głowy, które przekształcało się w krzyki, opadające wraz z ciśnieniem wewnątrz mojej czaszki.

Zaryzykowałem wszystko i nic z tego nie miałem, poza otwartą dłońią – pustą, skierowaną wnętrzem do sufitu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

GRACE

- Idę się przejść – poinformowałam mamę.

Jeszcze żaden dzień w życiu nie mijał mi tak wolno jak ta sobota. Kiedyś, parę lat temu, byłabym podekscytowana perspektywą spędzenia całego dnia z mamą. Teraz czułam niepokój, jakbym miała w domu gościa. Tak naprawdę nie powstrzymywała mnie od robienia czegoś, ale też zupełnie nie miałam ochoty zaczynać cegokolwiek, dopóki była w pobliżu.

Siedziała skulona w kącie kanapy, czytając jedną z książek, które zostawił tu Sam. Kiedy usłyszała mój głos, podniosła głowę; całe jej ciało zeszywniało.

- Co powiedziałaś?
- Że idę się przejść – powtórzyłam. Kusiło mnie, żeby wyjąć książkę Sama z jej rąk. – Nudzę się niemiłosiernie i myślę tylko o tym, żeby porozmawiać z Samem, a skoro mi na to nie pozwalacie, to muszę zrobić coś innego albo zacznę rzucać przedmiotami po pokoju jak wściekły szympans.

Prawda była taka, że tak w ogóle jeśli nie siedziałam w szkole lub nie byłam z Samem, odczuwałam nieodpartą potrzebę przebywania na zewnątrz. Właśnie to robiłam w każde wakacje, zanim go poznałam – z lekturą w dłoni uciekałam na huśtawkę z opony na podwórku. Potrzebowałam odgłosów lasu, żeby zapełnić tę pustą, niespokojną przestrzeń wewnątrz mnie.

- Jeśli zmienisz się w małpę, nie zamierzam sprzątać twojego pokoju – ostrzegła mama. – I nie możesz wyjść na dwór. Dopiero co byłeś w szpitalu.
- Trafiłam tam z powodu gorączki, która już dawno minęła – zauważyłam.

Tuż za mamą widziałam niebo, głęboko niebieskie, a niżej gałęzie drzew sięgające w ten intensywny błękit. Chyba było ciepło. Wszystko we mnie wrywało się do natury; salon wydawał się szary i zgaszony w porównaniu z nadchodząca wiosną.

- Poza tym witamina D jest wskazana. Niedługo wrócę. No, to pa!

Nie odpowiedziała, a ja włożyłam buty. Milczenie zawisło między nami, co dobitnie świadczyło o tym, że problem stanowi to, co się wydarzyło tamtej nocy, a nie te kilka zdań, które wymieniłyśmy.

Mama wyglądała na wyjątkowo zażenowaną.

- Grace, myślę, że powinnyśmy porozmawiać. O... - przerwała. – O tobie i Samie.
- Och, nie. Nie róbmy tego.

Ton mojego głosu dokładnie odzwierciedlał poziom mojego entuzjazmu dla tej sugestii.

- Ja też nie mam na to ochoty – przyznała, zamykając książkę bez sprawdzania numeru strony.

To przypomniało mi o Samie, który zawsze zaznaczał, w którym miejscu przerwał lekturę, albo na moment przymykał książkę, z palcem wsuniętym między kartki, zanim podniósł wzrok, żeby odpowiedzieć.

Mama kontynuowała:

- Ale ja muszę o tym z tobą p[omówić, a jeśli ty wykazesz trochę chęci, wtedy powiem twojemu ojcu, że to załatwiłyśmy i nie będziesz musiała rozmawiać z nim.

Nie rozumiałam, dlaczego miałabym gadać z którymkolwiek z nich. Aż do teraz nie obchodziło ich, co robię ani gdzie jestem, gdy ich nie ma; w przyszłym roku szkolnym zacznę naukę w college'u, więc przynajmniej nie będę już mieszkać pod ich dachem. Miałam ochotę uciec, ale zamiast tego skrzyżowałam ręce na piersiach; postanowiłam stawić jej czoła.

- Zabezpieczacie się? – Mama nie owijała w bawełnę.
- Mamo! – Policzki mi zapłonęły.

- No więc? – Nie zamierzała odpuścić.
- Tak. Ale to nie tak, jak myślisz.
- Och, czyżby? A jak w takim razie? – Uniosła brew.
- Chodziło mi o to, że to nie jest dla nas najważniejsze. To... - Staralam się znaleźć odpowiednie słowa, żeby wyjaśnić jej, dlaczego tak negatywnie reaguję na jej pytania i ton jej głosu. – Chcę powiedzieć, że to nie jest jakiś tam chłopak, mamó. My jesteśmy...

Ale nie wiedziałam, jak dokończyć myśl, gdy tak patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Zastanawiałam się, jak miałabym jej wytłumaczyć rzeczy takie jak „miłość” czy „na zawsze”. I wtedy dotarło do mnie, że nie mam na to najmniejszej ochoty. Na szczerłość trzeba sobie zasłużyć.

- Jesteście co? Zakochani? – Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że zabrzmiało to tanio. – Masz siedemnaście lat, Grace. A on ile ma? Osiemnaście? Jak długo go znasz? Parę miesięcy. Postuchaj... nigdy wcześniej nie miałaś chłopaka. Jeśli już, to działacie pod wpływem pożądania. Sypianie ze sobą nie oznacza, że jesteście zakochani. To tylko zwykły pociąg fizyczny.
- Ty sypiasz z tatą. Nie jesteście w sobie zakochani?
- My jesteśmy po ślubie. – Mama przewróciła oczami.

Po co ja w ogóle próbowałam się z nią porozumieć?

- Ten cały twój wywód okaże się strasznie głupi, gdy Sam i ja będziemy was odwiedzać w domu spokojnej starości – powiedziałam chłodno.
- Cóż, mam szczerą nadzieję, że tak będzie – odrzekła mama. A potem uśmiechnęła się lekko, jakby nasza rozmowa była tylko zwykłą pogawędką. Jakbyśmy właśnie umawiały się na zakupy. – Ale wątpię, żebyśmy w ogóle go pamiętały. Sam prawdopodobnie nie będzie niczym więcej niż chłopakiem ze zdjęcia ze studniówki. Pamiętam, co ja robiłam, gdy miałam siedemnaście lat, i wierz mi, to nie miłość wisiała w powietrzu. Na szczęście miałam trochę zdrowego rozsądku. Inaczej mogłabyś mieć rodzeństwo. Kiecy byłam w twoim wieku...
- Mamó! – wybuchłam. Cała twarz mi płonęła. – Ja nie jestem tobą. W niczym nie przypominam ciebie. Nie masz pojęcia, co się dzieje w mojej głowie, jak działa mój mózg, czy jestem naprawdę zakochana w Samie, a on we mnie. Więc nie próbuj nawet rozmawiać ze mną w taki sposób! Nawet nie... Ech! Wiesz co? Mam tego dość!

Porwałam swój zakazany telefon z kuchennego blatu, złapałam kurtkę i wymaszerowałam. Z hukiem zamknęłam drzwi tarasowe i pobiegłam w stronę lasu, nie oglądając się za siebie. Kłótnia z mamą powinna wywołać wyrzuty sumienia, ale w ogóle nie czułam skruchy.

Tęskniłam za Samem tak bardzo, że aż bolało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

SAM

Gdy już uwinąłem się ze wszystkim w księgarni, dzień zdążył się zrobić bardzo ciepły, jeszcze bardziej pogodny od poprzedniego. Słońce grzało mnie w policzki, gdy wysiadałem z auta pod domem Becka. Wyciągnąłem się i zamknąłem oczy, dopóki nie poczułem, jakbym spadał. Pomijając sporadyczne powiewy wiatru, powietrze wokół zdawało się mieć tę samą temperaturę co moje ciało. Odniosłem wrażenie, jakbym w ogóle nie miał skóry, zawieszony w przestrzeni niczym duch. Ptaki kryjące się w krzewach z ekscytacją wyśpiewywały do siebie miłosne pieśni w przekonaniu, że kapryśna wiosna wreszcie powróciła na dobre. Piosenka dojrzewała również we mnie. Zacząłem bezgłośnie wymawiać słowa.

*Wędruję przez lato i zimę, i wiosnę,
a ptaki śpiewają wciąż trele miłosne.
Tym sójkom, skowronkom tak bardzo zazdrozczę,
choć mam cię przy sobie, lęk w sercu wciąż rośnie.*

Przypomniałem sobie słoneczne wiosenne dni, które kiedyś przywracały mi ludzką postać. Czas, gdy byłem szczęśliwy, że odzyskałem palce.

Naprawdę źle się czułem, spędzając takie chwile w samotności.

Postanowiłem, że znowu sprawdzę szopę. Jeszcze nie widziałem dzisiaj Cole'a, ale wiedziałem, że kiedy jest taka pogoda, pozostawał człowiekiem. Było wystarczająco ciepło, żeby inne wilki też zaczęły się przemieniać. Dzięki temu mogłem zrobić coś pożytecznego, zamiast apatycznie snuć się po domu, czekając na jutro i zastanawiając się, czy naprawdę pojedę do studia nagraniowego i czy Grace pojedzie ze mną.

Poza tym Grace chciałyby, żebym miał oko na Olivię.

Gdy tylko znalazłem się w odległości kilku metrów od budynku, zorientowałem się, że ktoś znajduje się w środku; drzwi były uchylone, a z wnętrza dochodziły dźwięki. Mój zmysł powonienia nie był nawet w przybliżeniu tak dobry jak wtedy, gdy byłem wilkiem, ale wciąż podpowiadał mi, że osobnik w szopie z pewnością należał do sfory. Woń ludzkiego potu tylko częściowo tłumiała pizmowy zapach. Jako wilk potrafiłbym dokładnie określić, o którego członka stada chodzi. Jako człowiek czułem się jak ślepiec.

Podszedłem do drzwi, ale zamiast od razu wejść do środka, zapukałem w nie trzykrotnie.

- Cole? Nie robisz tam nic nieprzyzwoitego? – zapytałem ściszym głosem.
- Sam? – w głosie Cole'a brzmiała... ulga?

To wydawało się dziwne jak na niego. Usłyszałem skrobanie pazurów, a potem jęk. Poczułem, jak jeżą mi się włosy na głowie.

- Wszystko w porządku? – Ostrożnie otworzyłem drzwi, bo nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać.

Wewnątrz cuchnęło wilkiem, jakby ściany krwawiły tym odorem.

Najpierw zobaczyłem Cole'a – ubranego, stojącego przy pojemnikach. Dociskał pięść do ust w geście niepewności. Podążyłem za jego spojrzeniem i w kącie szopy dostrzegłem chłopaka zgiętego w pół, częściowo przykrytego polarowym jasnoniebieskim kocem.

- Kto to jest? – wyszeptałem.

Cole odsunął rękę od ust i odwrócił wzrok zarówno ode mnie, jak i od postaci leżącej w rogu.

- Victor – powiedział bezbarwnym głosem.

Na dźwięk swojego imienia chłopak obrócił głowę, żeby na nas spojrzeć. Jasnobrzęde kręcone włosy okalały jego twarz.

Natychmiast przypomniałem sobie, kiedy ostatnio go widziałem. Siedział w bagażniku samochodu Becka, ze związanymi nadgarstkami. Patrzył na mnie, a jego usta bezgłośnie formułowały słowo: „Pomocy”. Teraz, gdy mogłem mu się dobrze przyjrzeć, stwierdziłem, że jest jednak sporo starszy, niż wtedy sądziłem.

– Znacie się? – zapytałem.

Victor zamknął oczy, ramiona mu zadrgały, a potem wyjęczał:

– Ja... czekaj...

Ledwie zdążyłem mrugnąć, a on już otrząsnął się ze swojej ludzkiej skóry i zmienił w bladoszarego wilka z ciemniejszym ubarwieniem na pysku. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś przemieniał się tak szybko, tak naturalnie, niczym wąż zrzucający skórę albo cykada opuszczająca swą kruchą formę. Bez krztuszenia się. Bez bólu. Bez męczarni związanych z niemal każdą transformacją, której doświadczyłem lub byłem świadkiem.

Zwierzę otrząsnęło się i najeżyło, nienawistnie patrząc na mnie brązowymi oczami Victora. Zacząłem odsuwać się od drzwi, żeby ułatwić mu opuszczenie szopy, ale Cole powiedział dziwnym głosem:

– Nie fatyguj się...

A wtedy, jak na zawołanie, wilk z impetem usiadł na zadzie. Uszy mu zadrżały, ziewnął, skomląc odrobie, a potem zatrząsł się gwałtownie. Cole i ja odwróciliśmy twarze w tym samym momencie, gdy Victor sapnął głośno, powracając do ludzkiej formy. Tak po prostu. W tę i z powrotem. Nie potrafiłem tego pojąć. Chłopak naciągnął na siebie koc. Podejrzewałem, że bardziej ze względu na ciepło niż potrzebę prywatności.

– Jasna cholera – szepnął Victor cicho.

Spojrzałem na Cole’a, który wyglądał na kompletnie zaskoczonego. W jego przypadku, jak zdążyłem zauważyć, taka mina towarzyszyła wszystkiemu, co miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

– Victor? – zacząłem. – Jestem Sam. Pamiętasz mnie?

Siedział w kucki na podłodze, kiwając się w przód i w tył na piętach, jakby nie był pewien, czy powinien siedzieć, czy klęczeć. To oraz grymas jego ust powiedziały mi, że cierpi.

– Czy cię pamiętam...? – powtórzył za mną tępo. – Nie sądzę... Może... - Rzucił bezradne spojrzenie Cole’owi, który zmarszczył czoło.

– Jestem synem Becka – wyjaśniłem. Było to wystarczająco bliskie prawy. – Pomogę ci, jeśli będę potrafił.

COLE

Sam radził sobie z Victorem dużo lepiej niż ja. Ja tylko gapiłem się, stojąc beczynn timer i czekając, żeby go wypuścić, gdyby udało mu się pozostać w wilczej skórze.

– To było... Jak to możliwe, że przemieniasz się tak szybko? – zapytał go Sam.

Victor skrzywił się, popatrując to na Sama, to na mnie. Opanowanie w głosie kosztowało go wiele wysiłku.

– Jest gorzej, gdy zmieniam się w siebie. Przemiana w wilka jest łatwa. Zbyt prosta, człowieku. Wciąż się przeistaczam, choć jest już ciepło. Bo ciepło to wywołuje, nie?

– To najgorętszy dzień, jaki dotąd mieliśmy – zdecydowanie potwierdził Sam. – Reszta tygodnia nie powinna być tak przyjemna.

– Boże – westchnął Victor – nie sądziłem, że to będzie tak wyglądać.

Sam spojrzał na mnie, jakbym miał z tym coś wspólnego. Wyminął mnie, wziął składane krzesło, po czym usiadł naprzeciwko Victora. Przypomniał mi Becka. Wszystko w nim mówiło o zainteresowaniu, trosce

i szczeroci, poczawszy od nachylenia ramion, a skonczywszy na brwiach sciagnitych w skupieniu nad oczami o opadajacych powiekach. Nie potrafilem odnalezc w pamieci obrazu mojego pierwszego spotkania z Samem, tego co mu powiedzialem. Zastanawialem sie, czy wobec mnie takze wykazal tyle pozytywnych uczuc.

– Czy to jest pierwszy raz, kiedy sie przemieniles po zimie? – zapytal Victora.

Victor pokiwal glowa.

– A w kazdym razie pierwszy, ktory pamietam.

Potem spojrzal na mnie; nagle stalem sie bardzo swiadomy swojego ludzkiego ciała. Tego, ze po prostu sobie stoję, nie odczuwajac bolu, nie jako wilk.

Tymczasem Sam ciagnal dalej, jakby cala ta sytuacja byla absolutnie normalna:

– Jesteś głodny?

– Ja... - zaczal Victor. – Czekaj. Ja umier...

I znowu wskoczył w postac zwierzecia.

Sadzac po wyrazie twarzy Sama i po sposobie, w jaki potarl czoło, to, co sie tu dzialo, nie bylo normalne. W związku z tym, ze sam uvažalem to wszystko za kompletnie porabane, poczułem sie odrobinę lepiej. Victor-wilk stal tam, obserwujac wyjscie, mnie i Sama. Strzygl uszami; ciało miał napięte.

Gapilem sie na Victora, wspominajac scenę w pokoju hotelowym, kiedy po zawarciu znajomosci z Beckiem spytalem mojego przyjaciela: „Jesteś gotowy na kolejną wielką rzecz, Vic?”.

– Cole – odezwal sie Sam, nie odrywajac wzroku od wilka. – Ile razy? Od jak dawna tu jesteś?

Wzruszyłem ramionami, starajac sie zachowac pozory beztroski.

– Pół godziny. Zmienia sie w te i z powrotem przez cały czas. Czy to jest normalne?

– Nie – stwierdzil Sam dobitnie, wciaz patrzac na drapieznika, ktory czail sie przy podlodze, odwzajemniajac jego spojrzenie. – Nie, to nie jest normalne. Jeśli jest na tyle ciepło, ze przemienil sie w czlowieka, to powinien pozostac w ludzkiej formie na dluzej. Nie tak... to znaczy... - zamilkł, kiedy wilkołak znowu sie podniostl.

Sam przesunął sie, na wypadek gdyby Victor chcial rzucic sie do ucieczki. Uszy zwierzecia jednak nagle opadly i znowu zaczal sie trzasc. Obaj odwróciliśmy twarze, gdy przechodzil transformacje i ponownie naciagnal na siebie koc.

Jęknal lekko i przycisnal rękę do czoła.

– Czy to boli? – spytal Sam.

– Ee... Nie za bardzo... - przerwal. – Boze, to trwa juz cały dzien. Po prostu chce wiedziec, kiedy to sie skonczy! Błagam, powiedzcie mi.

Nie spogladal na mnie; jego szczerosc byla zarezerwowana dla Sama.

– Chcialbym moc ci odpowiedziec, Victor – wyznal Sam. – Ale cos powstrzymuje cię od pozostania w jednej formie, a ja nie wiem, co to jest.

– Czy tak juz bedzie zawsze? – zapytal Vic. – To znaczy, jestem uziemiony, tak? Oto jak sie konczy sluchanie ciebie, Cole. Powinienem juz dawno sie zorientowac, ze twoje pomysly zawsze koncza sie tragicznie.

Ale wciaz nie patrzyl na mnie.

Przypomnialem sobie ten dzien w hotelu. Victor miał wyjątkowo ciężki zjazd po ostatnim ćpaniu. Na nowe dragi reagoval tak koszmarnie, ze nawet ja, mimo wystudiowanego braku zainteresowania, wiedzialem, ze pewnego dnia nie bedzie w stanie sie z nich wygrzebac. Kiedy przekonywalem go, zeby razem ze mną stal sie wilkiem, chcialem mu pomoc. To nie bylo całkowicie samolubne. Nie chodzilo mi tylko o to, ze bałem sie próbowac tego sam. Powiedzialbym to Victorowi, gdyby Sama nie bylo w poblizu.

Tymczasem Sam pocieszajaco, po przyjacielsku szturchnal Victora łokciem.

- Hej. Gdy jesteś nowy, przemiana wygląda inaczej. Na początku trudno nad nią zapanować, potem jest coraz lepiej. Wiem, teraz to jest gówniane uczucie, ale radzisz sobie świetnie. Kiedy zrobi się naprawdę ciepło, powinno wszystko minąć.

Victor spojrzał posępnie na Sama. Była to mina, którą widziałem miliony razy wcześniej, bo to ja ją stworzyłem. W końcu przeniósł wzrok na mnie.

- To powinieneś być ty, draniu! – rzucił, a potem znowu przemienił się wilka.

Sam rozłożył ręce jakby w błagalnym geście i kompletnie sfrustrowany zaczął powtarzać:

- Jak... jak, do cholery...?

Uświadomiłem sobie, jak silnie dotąd kontrolowałem wyraz swojej twarzy i głos. Doznałem szoku, niemal tak wielkiego jak na widok przemiany Vica. Gdy zobaczyłem, jak anielski spokój Sama zmienia się w kompletny chaos, pojąłem, że mógł przez cały czas traktować mnie z fałszywą życzliwością, że był do tego zdolny. Jednak świadomie tego nie zrobił. To diametralnie zmieniło mój sposób myślenia o nim. I może właśnie to sprawiło, że przemówiłem.

- Coś tu jest ważniejszego od temperatury. Myślę, że to o to chodzi. Ciepło sprawia, że przeistacza się w człowieka, ale coś innego mówi jego ciału, żeby przyjęło postać wilka.

Sam gapił się na mnie, jakby nie do końca rozumiał moje słowa.

- A co innego mogłoby to powodować? – zapytał.

Spojrzałem na Victora, gardząc nim za to, że tak wszystko komplikuje. Jak trudne mogło być przemienienie się w zwierzę, a potem powrót do ludzkiej postaci? W końcu ja dawałem radę, nie? Żałowałem, że w ogóle przyszedłem do tej cholernej szopy.

- Coś w chemii jego mózgu? – rozważałem. – Victor ma problemy z przysadką. Może spowodowane tym zaburzenia kolidują z całym procesem przemian.

Sam obdarzył mnie dziwnym spojrzeniem, ale zanim zdążył coś powiedzieć, łapa wilka zaczęła się trząść. Odwróciłem się, a Victor znowu stał się człowiekiem, ot tak, po prostu.

SAM

Czułem się tak, jakbym obserwował przemianę dwóch ludzi: Victora w wilka i Cole'a w zupełnie inną osobę.

Tylko ja wciąż byłem taki sam.

Nie potrafiłem się przymusić do tego, żeby porzucić Victora w takim stanie, więc zostałem, i Cole też został. Minuty zamieniały się w godziny, gdy czekaliśmy, aż ten biedak się ustabilizuje.

- Nie ma sposobu, żeby to odwrócić? – zapytał bezbarwnym głosem, gdy dzień zaczął się chylić ku końcowi.

Niemal zeszywniałem, wędrując myślami do minionej zimy, do momentu, zanim powróciłem do Grace. Leżałem wtedy na ziemi, orząc palcami w glebę, a ból rozszczępiał mi czaszkę. Stałem po kostki w śniegu, wymiotując, dopóki nie zabrakło mi sił. Trząłem się w konwulsjach wywołanych gorączką i modliłem się o śmierć, z zamkniętymi oczami, bo światło sprawiało, że cierpiałem katusze.

- Nie – powiedziałem.

Cole spojrzał na mnie ostro, słysząc to kłamstwo. Chciałem go zapytać: „Skoro to jest twój przyjaciel, to dlaczego ja z nim gadam zamiast ciebie?”

Czekaliśmy na następną transformację Victora, a tymczasem chłodniejsze powietrze i gasnące światło słońca zakradały się do środka przez uchylone drzwi. Temperatura spadała wraz z zachodem.

- Victor, nie wiem, jak sprawić, żebyś pozostał człowiekiem – przyznałem. – Ale myślę, że jest wystarczająco zimno, żebyś przeistoczył się w wilka. Musiałbyś tylko wyjść na zewnątrz. chcesz tego? Chcesz przerwy od przemian, nawet jeśli nie we własnym ciele?

- O mój Boże, tak – jęknął Victor tak przejmująco, że to aż zabołało.
- Kto wie – dodałem – może kiedy już się bardziej ustabilizujesz, będziesz...

Ale nie było sensu kończyć tego zdania, bo Victor znowu był zwierzęciem. Poderwał się z podłogi i zaczął ode mnie odsuwać.

- Cole! – zawołałem.

Cole podskoczył i otworzył szerzej drzwi. Podmuch zimnego powietrza sprawił, że się skrzywiłem. Wilk wystrzelił prosto w las, ogon trzymał nisko, a uszy płasko.

Dołączyłem do Cole'a; obaj patrzyliśmy, jak Victor pędzi między drzewami niczym strzała, a następnie zatrzymuje się w bezpiecznej odległości, żeby na nas spojrzeć. Nagie gałęzie nad jego głową drżały spazmatycznie na wietrze, dotykając czubków jego uszu, ale nie odwrócił wzroku. Obserwowaliśmy się nawzajem przez kilka długich minut.

Pozostał wilkiem. Dla niego to była ulga, ale ja czułem, jak coś ściska mnie za gardło. Już myślałem o kolejnym ciepłym dniu i o tym, co się może wtedy wydarzyć.

Uświadomiłem sobie, że Cole wciąż stoi obok mnie, z głową przechyloną na bok, ani na moment nie spuszczając oczu z Victora.

Bez zastanowienia powiedziałem:

- Jeśli tak traktujesz przyjaciół, kiedy cię potrzebują, to nie chcę wiedzieć, jak obchodzisz się z resztą ludzi.

Kącki jego ust napięły się leciutko w niejasnym uśmiechu zawieszonym gdzieś pomiędzy pogardą a brakiem zainteresowania. Nie odwrócił wzroku od wilka, ale w jego oczach nie było współczucia.

Zwalczyłem pragnienie, żeby powiedzieć coś jeszcze. Cokolwiek, byle skłonić go do reakcji. Chciałem, żeby cierpiał z powodu Victora.

- On miał rację – odezwał się w końcu Cole, nadal patrząc na drapieżnika. – To powinienem być ja.

Nie potrafiłem do końca uwierzyć w to, co słyszę. Nie doceniałem go.

- Bo to ja chcę się wynieść z tego cholernego ciała – dodał.

On nieustannie mnie zdumiewał.

Przyjrzałem mu się i stwierdziłem chłodno:

- I pomyśleć, że przez całe dwie sekundy sądziłem, że Victor cię obchodzi. Ale wszystko kręci się wokół twoich problemów i twoich przemian. Po prostu nie możesz się doczekać, aż wydostaniesz się z własnej głowy, prawda?
- Gdybyś w niej był, pewnie też byś tego chciał – zauważył Cole i teraz rzeczywiście się uśmiechnął, krzywo i okrutnie, zaledwie połową twarzy. – Nie wierzę, żebym tylko ja na całym świecie pragnął być wilkiem.

Nie był jedyny. Shelby też tego chciała. Pogrążona w problemach Shelby, która miała tak niewiele ludzkich odruchów, nawet gdy nosiła oblicze dziewczyny.

- Obawiam się, że tak właśnie jest – skłamałem.

Cole wybuchnął cichym śmiechem.

- Jesteś taki naiwny, Ringo. Jak dobrze znałeś Becka?

Spojrzałem na jego protekcyjny wyraz twarzy i zapragnąłem, żeby zniknął. Żałowałem, że Beck go sprowadził. Powinien był zostawić Cole'a i Victora w Kanadzie czy gdziekolwiek.

- Wystarczająco, żeby wiedzieć, że był znacznie lepszym gościem, niż ty kiedykolwiek będziesz – rzuciłem.

Mina Cole'a się nie zmieniła, zupełnie jakby niemiłe słowa nie trafiały do jego uszu. Zacisnąłem i rozluźniłem szczękę, wściekły, że pozwoliłem się zdenerwować.

- Pragnienie bycia wilkiem nie robi z ciebie automatycznie złej osoby – dodał Cole łagodnym głosem. – A pragnienie bycia człowiekiem nie czyni z ciebie dobrego człowieka.

Znowu miałem piętnaście lat i siedziałem w swoim pokoju w domu Becka, obejmując kolana rękami i ukrywając się przed wilkiem, który tkwił wewnątrz mnie. Tydzień wcześniej zima ukradła mi Becka, a Urlik też wkrótce miał odejść. Potem ja. Moje książki i gitara będą leżały nietknięte aż do wiosny, tak jak już porzucone rzeczy Becka. Zapomniane dla wilczych umysłów.

Nie chciałem powadzić tej rozmowy z Cole’em.

- Zamierzasz przemienić się wkrótce? – zapytałem.
- Nie ma szans.
- Więc, proszę, wracaj do domu. Ja muszę tu posprzątać – zasugerowałem. A potem, chyba po to, żeby przekonać zarówno jego jak i siebie, dodałem: - I to nie pragnienie bycia wilkiem czyni z cienie złego człowieka, ale to, co zrobiłeś Victorowi.

Cole spojrział na mnie z zaskoczeniem, a potem ruszył w kierunku domu. Odwróciłem się do niego plecami i wszedłem do szopy.

Tak jak robił to Beck przede mną, złożyłem koc, który zostawił po sobie Victor, i zmiotłem podłogę z kurzu i sierści, a potem sprawdziłem automat do chłodzenia wody, przejrzałem pojemniki z jedzeniem i zanotowałem, co trzeba dokupić. Poszedłem po notes, który trzymaliśmy obok akumulatora do łodzi. Znajdowała się w nim nagryziona lista imion, czasami z datą obok lub z godziną, o której się przemieniliśmy. To był sposób Becka na sprawdzanie, kto i kiedy uległ przeistoczeniu.

Otwarta strona wciąż zawierała imiona z ostatniej jesieni. Spis kończył się na Becku i był znacznie krótszy, niż ten z poprzedniego roku. A tamten z kolei był jeszcze mniejszych rozmiarów od tych z wcześniejszych lat.

Przełknąłem ślinę i przerzuciłem kartkę, odsłaniając czysty papier. Na górze wpisałem rok i imię Victora oraz datę obok. Imię Cole’a też powinno tam być, ale wątpiłem, żeby Beck wyjaśnił mi, jak się rejestrowaliśmy. Nie chciałem sam go dodawać. To oznaczałoby, że oficjalnie przyznaję, iż stał się częścią sfory, mojej rodziny. A na to nie miałam najmniejszej ochoty.

Przez długi czas stałem tam i patrzyłem na niezapełniona jeszcze stronę, a potem pod imieniem Victora dodałem swoje własne.

Wiedziałem, że tak naprawdę już tam nie pasowało, ale to była lista mówiąca, kto jest człowiekiem, prawda?

A kto był człowiekiem bardziej niż ja?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

GRACE

Zagłębiłam się w las.

Wciąż był uśpiony i bezlistny, ale cieplejsze powietrze wyzwoliło już feerie wilgotnych wiosennych zapachów, które wcześniej były zamaskowane przez zimno. Ptaki nawoływały się nad moją głową, przelatując z krzaków na drzewa i wprawiając gałęzie w drżenie.

Byłam w domu.

Zaledwie kilka metrów w głębi boru usłyszałam hałas. Serce zaczęło mi walić; zatrzymałam się, żeby uciszyć chlupot i trzask, powodowane przez moje stopy. Znowu dotarł do moich uszu jakiś odgłos. Nie bliżej, ale i nie dalej. Nie odwróciłam się, ale wiedziałam, że to musi być wilk. Nie czułam strachu. Tylko więź.

Towarzyszył mi delikatny szelest liści, gdy wilk podążał za mną. Nadal trzymał się na dystans, obserwował mnie z bezpiecznej odległości. Chciałam się przekonać, który to wilk, ale byłam też zbyt podekscytowana jego obecnością, żeby ryzykować, że go spłoszę. Więc po prostu szliśmy tak razem, ja powoli i miarowo, a on skokami, żeby dotrzymać mi kroku.

Słońce, które przeświecało przez nagie gałęzie, ogrzewało mi ramiona. Nie przerywając marszu, wyciągnęłam ręce na boki i chłonełam ciepło, starając się wymazać wspomnienie gorączki z poprzedniej nocy. Miałam jednak wrażenie, że im bardziej się oddalam od źródła mojego gniewu, tym wyraźniej czuję, że coś wewnątrz mnie jest nie tak.

Krocząc przez zarośla, przypominałam sobie, jak Sam zabrał mnie na złotą polanę. Żałowałam, że nie ma go tu teraz ze mną. Nasłuchiwałam nieznanego, jakby szybkiego bicia swego serca.

Nie chodziło o to, że spędzaliśmy cały nasz czas wolny razem albo że nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, gdy go nie było – on miał przecież pracę w księgarni, a ja szkołę i udzielanie korepetycji. Ale w tym momencie czułam się nieswojo. Tak, wysoka temperatura zniknęła, ale czemu miałam przeświadczenie, że nie odeszła na dobre? Jakbym wciąż słyszała jej niespokojny śpiew w mojej krwi. Jakby czekała, aż będzie mogła powrócić, gdy tylko wilki wezwą mnie do siebie.

Szłam dalej. W głębi lasu sosny rosły rzadziej, ich potężne pnie onieśmiały młode drzewka. Woń jeziora stała się wyrazistsza; zobaczyłam odcisk wilczej łapy w miękkiej glebie. Objęłam się rękami, obserwując spłowiałą zieleń. Promienie słońca tu nie docierały, zrobiło mi się zimno. Po lewej stronie dostrzegłam ruch: brązowoszare futro, tego samego koloru co kora drzewa. Był to wilk, który towarzyszył mi od samego początku. Zatrzymał się na wystarczająco długo, żebym mogła mu się dobrze przyjrzeć. Nie wzdygnął się, gdy utkwiał wzrok w jego jasnozielonych ludzkich oczach. Z zaciekawieniem przekrzywił łeb. W oddali pomiędzy sosnami skrzyła się błyszcząca tafla jeziora.

„Czy jesteś jednym z nowych wilków?” – zastanawiałam się; bałam się wypowiedzieć te słowa na głos, bo nie chciałam go wystraszyć.

Wyciągnął łeb w moim kierunku; zobaczyłam, jak jego nozdrza poruszają się miarowo. Wyczułam, o co prosi. Powoli uniosłam wewnątrz dłoni w jego stronę. Drgnął, choć raczej od zapachu niż na skutek gwałtownego ruchu mojej ręki. Odskoczył w tył, ale nadal mnie obwąchiwał.

Nie musiałam podnosić dłoni do własnego nosa, żeby wiedzieć, co wyczuł, bo sama wciąż byłam świadoma tej woni. To był słodki zapach migdałów, uwięziony pomiędzy moimi palcami i pod paznokciami. Wydawał się bardziej złowieszczy niż gorączka. Zdawał się mówić: „To coś więcej niż tylko wysoka temperatura”.

Serce waliło mi w piersi, ale nie ze strachu przed wilkiem. Przykucnęłam i objęłam kolana rękami – zaczęłam się trząść na sama myśl o gorączce.

Ustyszałam eksplozje dźwięków, kiedy kilka ptaków wystrzeliło z zarośli; zarówno brązowy wilk jak i ja się wzdrygnęliśmy. Pojawił się kolejny wilk, szary. To on wypłoszył ptaki. Przemknął bliżej. Był większy niż ten brązowy, ale nie tak odważny; w jego oczach widać było zainteresowanie, ale układ uszu i ogona świadczył o ostrożności, gdy skradał się w swoją stronę. Jego nozdrza też drgały, kiedy wąchał powietrze wokół mnie.

W bezruchu obserwowałam, jak czarny wilk – rozpoznałam go jako Paula – pojawił się w ślad za szarym. A potem dołączył jeszcze jeden, którego nie znałam. Poruszali się jak ławica ryb, nieustannie dotykając się, przepychając, komunikując bez słów. Wkrótce było ich sześć. Wszystkie trzymały się na dystans, wszystkie mi się przyglądały, wszystkie węszyły.

Wewnątrz mnie coś zamruczało. Cos bezimiennego, co zesłało na mnie gorączkę i naznaczyło moja skórę tym zapachem. Nie odczuwałam bólu, ale wiedziałam, że nie wszystko jest w porządku. I nagle zrozumiałam, dlaczego tak bardzo potrzebuję teraz Sama.

Bałam się.

Wilki otoczyły mnie, nieufne wobec mojej ludzkiej skóry, ale zainteresowane jej wonią. Może czekały, aż się przemienię? Ale ja nie mogłam. To było moje ciało na dobre i złe, niezależnie od tego, jak mocno istota we mnie jęczała i paliła, i błagała o wyzwolenie.

Ostatnim razem, gdy znajdowałam się w tym lesie obstąpiona przez wilki, byłam ofiarą. Bezradna, przyspilona do ziemi przez ciężar własnej krwi wpatrywałam się w zimowe niebo. One były zwierzętami, a ja – człowiekiem. Dziś tych dwóch światów nie dzieliła tak wyraźna granica. Nie groził mi atak. Tylko ciekawość.

Poruszyłam się ostrożnie, bo zdrętwiały mi ramiona; jeden z wilków zaskomlił, głośno i niespokojnie, jak suka na szczeniaka.

Poczułam, że gorączka budzi się wewnątrz mnie.

Isabel powiedziała mi kiedyś, że jej matka, lekarka, wspominała o tym, że śmiertelnie chorzy pacjenci często mają upiorne przeczucia co do swojego stanu, nim zostanie on zdiagnozowany. Wtedy z tego drwiłam, ale teraz już wiedziałam, co miała na myśli – bo właśnie tak się czułam. Coś naprawdę było ze mną nie tak. Nie sądziłam, żeby doktorzy mogli mi pomóc. Tylko te zwierzęta umiały to zrobić.

Przycupnęłam pod drzewami i obserwowałam przyglądające mi się drapieżniki. Po kilku długich chwilach duży szary wilk, nie odrywając ode mnie wzroku, przysiadł na zadzie, powoli, jakby w każdym momencie mógł zmienić zdanie. To było całkiem nienaturalne. I zupełnie niepodobne do zwyczajów tych zwierząt.

Wstrzymałam oddech.

Czarny wilk zerknął na szarego i znów na mnie, po czym się położył, układając łeb na łapach. Przymknął powieki, ale uszy wciąż miał czujnie postawione. Jeden po drugim, wszystkie drapieżniki położyły się, formując luźny krąg wokół mnie. Las pozostawał nieruchomy tak jak i one, opiekuńczy i cierpliwy. Chciał ode mnie czegoś, czego nie potrafiłam nazwać.

W oddali rozległ się krzyk nura, przeciągły i upiorny. Dźwięki wydawane przez te ptaki zawsze przywoływały mi namysł lament. Jakby nawoływały kogoś, nie spodziewając się, że odpowie.

Czarny wilk – Paul – wysunął w moim kierunku pysk, lekko poruszając nozdrzami, po czym zaskomlił. Było to ciche, lekko chropawe echo jęku nura, pełen niepokoju i niepewności.

Nagle poczułam jak coś się napina i rozciąga pod moja skórą. Moje ciało stanowiło pole walki w niewidzialnej wojnie.

Siedziałam na ziemi w środku lasu, otoczona przez wilki, podczas gdy słońce zachodziło, a cienie sosen wydłużały się coraz bardziej. I zastanawiałam się, ile jeszcze czasu mi zostało.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

GRACE

W końcu wilki odeszły.

Siedziałam w samotności, starając się poczuć każdą komórkę swojego ciała.

Próbowałam zrozumieć, co dzieje się wewnątrz mnie. Wtedy zadzwonił telefon. Isabel.

Odebrałam. Musiałam powrócić do realnego świata, nawet jeśli nie był tak rzeczywisty, jakbym chciała.

- Rachel z ogromną przyjemnością wytknęła mi, że to ja, a nie mnie poprosiłaś o przynoszenie ci pracy domowej i kserówek z notatkami – poinformowała mnie tuż po tym, jak powiedziałam „halo”.
- Ona chodzi ze mną na więcej tych samych zaj...
- Daruj sobie. Nie obchodzi mnie to. Nie marzę o dodatkowej robocie. Bardziej rozbawiła mnie myśl, że ona uważa, iż to ma znaczenie – w głosie Isabel faktycznie było słychać rozbawienie. Zrobiło mi się trochę żal Rachel. – W każdym razie dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak bardzo zarazasz.

Jak miałam wyjaśnić swój stan? I to jej? Nie potrafiłam.

- Nie sądzę, żeby to było zakaźne – wybrałam okrojoną wersję opisu swego stanu. – A co?
- Mam ochotę gdzieś się z tobą wybrać, ale nie chcę złapać przy okazji dżumy.
- Matka raczej nigdzie mnie nie puści. Ale możemy posiedzieć u mnie, zjeść coś, odrobić lekcje... spotkamy się na moim podwórku. Jestem w lesie.
- W lesie. Oczywiście. Powinam się była domyślić. W końcu to właśnie tam przesiadują chorzy. Osobiście wolałabym terapię w postaci zakupów, ale przypuszczam, że tereny leśne stanowią dającą satysfakcję i akceptowalną społecznie alternatywę. Wszystkie dzieciaki teraz to robią. Czy powinnam przynieść ze sobą prowiant? Namiot? – głos Isabel wyrażał w równym stopniu obrzydzenie, co niedowierzenie.
- Tylko siebie – ucięłam.
- Czy chcę wiedzieć, co tam robisz? – zapytała.
- Wyszłam na spacer.

Po części była to prawda. Nie wiedziałam, jak powiedzieć jej całą resztę.

* * *

Isabel musiała poczekać kilka minut na podwórku, zanim w końcu wynurzyłam się z ciemniejszego lasu, ale nie czułam się winna z tego powodu – wciąż byłam zbyt zagubiona w rozważaniach na temat tego, co zrozumiałam podczas spotkania ze sforą.

- Czy ty nie powinnaś umierać, albo coś w tym stylu?! – zażartowała Isabel, gdy tylko mnie zobaczyła.

Pokazałam matce, co o tym wszystkim myślę, ale w końcu musiałam wrócić do domu. Uznałam więc, że jeśli pojawię się w towarzystwie gościa, przynajmniej nie będzie próbowała zaczynać kolejnej poważnej rozmowy.

Isabel stała koło karmnika dla ptaków, z rękami schowanymi w kieszeniach. Wykończony futrem kaptur leżał na jej ramionach. Spojrzała na białawą plamę ptasich odchodów znaczącą krawędź karmnika. Ten widok najwyraźniej ją mierzył. Była jak zwykle wystylizowana – z brutalnie przyciętą fryzurką pięknie okalającą twarz i z oczami podmalowanymi czarnym tuszem dla spotęgowania dramatycznego efektu. Na

serio planowała gdzieś ze mną pójść; poczułam ukłucie wyrzutów sumienia, jakbym odmówiła jej z błahej przyczyny.

- Który lekarz zaleca marsze po lesie, kiedy na zewnątrz są tylko trzy stopnie ciepła? – zapytała głosem chłodniejszym od powietrza.

Rzeczywiście zrobiło się dość zimno; opuszki palców miałam mocno zaróżowione.

- Tylko trzy stopnie? Było naprawdę dużo cieplej, gdy wychodziłam.
- Ale już nie jest – zauważyła Isabel. – Widziałam cię z twoją mamą, gdy tu dotarłam, i starałam się przekonać ją, żeby pozwoliła ci jechać ze mną do Duluth na panini dziś wieczorem, ale się nie zgodziła. Próbuję nie brać tego do siebie. – Zmarszczyła nos, gdy podeszłam bliżej.

Razem ruszyliśmy w kierunku domu.

- Tak, staram się panować nad wściekłością, którą czuję na myśl o niej – przyznałam.

Isabel poczekała, aż otworzę drzwi tarasowe. Nie skomentowała mojego gniewu, a ja nie spodziewałam się, że to zrobi; ona zawsze była wściekła na swoich rodziców, więc wątpiłam, żeby jej radar w ogóle zarejestrował to jako coś niezwykłego.

- Mogę spróbować zrobić panini dla ciebie, choć nie mam do tego odpowiedniego chleba. – Tak naprawdę to wcale nie miałam na to ochoty.
- Wolę poczekać na prawdziwe – rzuciła Isabel. – Zamówmy pizzę.

Zamawianie pizzy w Mercy Falls oznaczało telefon do lokalnej pizzerii „Mario’s” i sześć dolarów za dostawę. Po opłaceniu studia nagraniowego dla Sama nie było mnie na to stać.

- Jestem splukana – wyznałam z żalem.
- Ale ja nie – skwitowała Isabel.

Powiedziała to dokładnie w momencie, gdy wchodziliśmy do środka. Mama, która nadal koczowała na kanapie z książką Sama, gwałtownie podniosła wzrok. Dobrze jej tak. Miałam szczerą nadzieję, że pomyślała, iż rozmawiamy o niej.

Spojrzałam na Isabel.

- Może pójdziemy do mnie? Zadzwonimy...

Ale Isabel machnęła ręką, żeby mnie uciszyć. Właśnie zamawiał przez komórkę dużą pizzę z serem i pieczarkami. Zrzuciła buty na obcasach na wycieraczkę przy drzwiach i ruszyła za mną do mojego pokoju, w międzyczasie bez wysiłku flirtując z tym, kto znajdował się po drugiej stronie linii.

W całym domu było ohydnie ciepło w porównaniu z temperatura na dworze. Zaczęłam gwałtownie zdejmować sweter, gdy Isabel zatrzasnęła klapkę telefonu i padła na łóżko.

- Dostaniemy darmowe dodatki – poinformowała mnie. – Mogę się założyć, że nam je dadzą.
- Nie musisz się zakładać, Isabel – zaśmiałam się. – To brzmiało niemal jak seks przez telefon na ekstracienkim cieście.
- Taka już jestem – wyjaśniła Isabel. – Więc słuchaj, nie przyniosłam pracy domowej, bo w sumie to odrobiłam ją podczas lekcji...

Zmierzyłam ją wzrokiem.

- Jeśli teraz wylecisz ze szkoły, nie dostaniesz się do dobrego college’u i utkniesz tutaj, w Mercy Falls, na wieki.

W przeciwieństwie do Rachel i Isabel mnie ta idea nie przerażała. Ale wiedziałam, że żadna z nich nie potrafiłaby wyobrazić sobie gorszego losu.

Isabel skrzywiła się.

- Dzięki, mamusiu. Będę o tym pamiętać.

Wzruszyłam ramionami i wyciągnęłam książkę, którą wcześniej przyniosła mi Rachel.

- Cóż, ja mam pracę domowa do zrobienia i chcę się dostać do college'u, więc muszę się przygotować na jutro przynajmniej z historii. Nie masz ni przeciwko?

W odpowiedzi na moje pytanie Isabel przytuliła policzek do mojej kofty i przymknęła oczy.

- Nie musisz zabawiać mnie rozmową. Wystarczy, że wyrwałam się z domu.

Usiadłam w głowach łóżka, trącając Isabel, ale ona nie uniosła powiek. Gdyby Sam był tutaj, z nami, na pewno zapytałby ją, czy sprawy mają się aż tak źle i jak sobie z tym wszystkim radzi. Zanim go poznałam, zadawanie takich pytań w ogóle nie przychodziło mi do głowy. Ale słyszałam go w akcji wystarczająco często, żeby wiedzieć, jak się to robi, rzuciłam więc:

- A co u ciebie?

Dziwnie to zabrzmiało – jakby trochę mniej szczerze niż w ustach Sama.

Isabel jęknęła głośno, ze znużeniem, i otworzyła oczy.

- Właśnie tak zwraca się terapeuta do mojej mamy. – Przeciągnęła się w sposób, który idealnie ilustrował słowo „leniwie”, i zmieniła temat. – Napiłabym się czegoś. Masz coś z bąbelkami?

Trochę mi ulżyło, że tak łatwo zbyła moje pytanie. Zastanawiałam się, czy powinnam naciskać. Sam by tak zrobił. Ale ja nie byłam nim.

- Powinno być coś jeszcze w lodówce – powiedziałam.
- Chcesz coś? – Isabel zsunęła się z łóżka.

Jedna z moich zakładek do książek spadła przy tym na podłogę i przykleiła się do jej gołej stopy. Uniosła nogę, żeby ją oderwać.

Zastanowiłam się. Żołądek miałam odrobinę ściśnięty.

- Piwo imbirowe, jeśli jeszcze jakieś zostało.

Isabel wymaszerowała z pokoju. Po chwili wróciła z puszką zwykłego napoju i piwa imbirowego dla mnie. Włączyła radio, które stało na stoliku nocnym; z głośników popłynęły dźwięki ulubionej stacji Sama, odrobinę niewyraźne, gdyż radiostacja nadawała gdzieś z okolic Duluth. Westchnęłam. Nie przepadałam za tą muzyką, ale przypominała mi go, nawet bardziej niż jego książka leżąca na stoliku albo plecak porzucony na podłodze obok regału. Teraz, gdy słońce już prawie zachodziło, tęskniłam za nim jeszcze mocniej.

- Czuję się, jakbym była na amatorskim wieczorku artystycznym – skomentowała Isabel i pe złączyła na stacje z popem. Wyciągnęła się obok mnie, w miejscu, gdzie normalnie leżałby Sam, i otworzyła puszkę. – Na co się gapisz? Wkuwaj. Ja się tylko relaksuję.

Wyglądało na to, że naprawdę nie ma nic przeciwko, więc otworzyłam podręcznik do historii. Ale tak naprawdę nie miałam ochoty na naukę. Chciałam jedynie położyć się, objąć rękoma i tęsknić za Samem.

ISABEL

Początkowo miło było po prostu leżeć na łóżku i nic nie robić. Bez użerania się z rodzicami. Bez rozpamiętywania. Radio grało cicho tuż obok. Grace siedziała nad swoją książką, kartkując ją, a od czasu do czasu zastygając nad jakimś fragmentem. Jej matka hałasowała gdzieś za drzwiami; z kuchni doleciał zapach przypalonego tosta.

Obserwowanie życia kogoś innego niosło pocieszenie. I miło było przebywać z kimś, ale nie musieć nic mówić.

Niemal udało mi się zignorować chorobę Grace.

Na stoliku nocnym, obok radia znajdowała się mocno podniszczona książka. Zastanawiałam się, jak często ktoś musiał ją czytać, żeby doprowadzić papier do takiego stanu. Wyglądała tak, jakby najpierw wpadła do wanny, a potem przejechał po niej szkolny autobus. Okładka informowała, że były to poezje Rainera Marii Rilkego w wersji oryginalnej i z tłumaczeniami z niemieckiego. Nie brzmiało to intrygująco, a

ja generalnie uważałam wiersze za atrybut jednego z niższych kręgów piekła. Ponieważ jednak nie miałam nic innego do roboty, sięgnęłam po nią i otworzyłam na chybił trafił.

Zobaczyłam stronę z zagiętym rogiem, poznaczoną niebieskimi zapiskami na marginesach. Kilka linijek było podkreślonych:

*Ach, któż mógłby nam być
użyteczny? Nie aniołowie, nie ludzie,
a przemyślnie zwierzęta już są na tropie,
że nie jesteśmy bezpiecznie zadomowieni w świecie,
który chcemy zrozumieć*.*

Obok było nagryzmołone niewyraźnym charakterem pisma, którego nie rozpoznawałam: *findigen = przemyślnie, gedeuteten = zrozumieć?*, oraz inne zapiski i słowa po niemiecku. Przysunęłam tomik bliżej oczu, żeby przeczytać małą notatkę w rogu strony, i uświadomiłam sobie, że egzemplarz musiał należeć do Sama, bo pachniał jak dom Becka. Na tę woń zalała mnie fala wspomnień: Jack leżący na łóżku; Jack zmieniający się w wilka na moich oczach; przyglądanie się temu, jak umiera.

Z powrotem spuściłam wzrok na stronę.

*O, i noc, noc, gdy wichur pełen przestworów
niszczy nam twarz*.*

Twórczość pana Rilkego raczej nie przekonała mnie do polubienia poezji. Odłożyłam książkę na stolik i przytuliłam policzek do narzuty. Po tej stronie łóżka musiał spać Sam, gdy się tu zakradał, bo rozpoznałam jego zapach. Facet miał jaja, żeby przychodzić tu noc w noc, tylko po to, żeby być z Grace. Wyobraziłam sobie, jak leży obok niej. Widziałam już wcześniej, jak się całowali – jak głąskał jej plecy, gdy myślał, że nikt nie patrzy; jej twarz łagodniała, gdy to robił. Łatwo było wyobrazić sobie ich tutaj, splecionych w uścisku, dzielących jeden oddech. Jego usta niecierpliwie napierające na jej szyję i ramiona...

Nagle poczułam niesamowite pragnienie. Tęsknotę za czymś, czego nie miałam i nie potrafiłam nazwać. To sprawiło, że pomyślałam o dłoni Cole'a na moich plecach o jego oddechu, tak gorącym na moich wargach. Wiedziałam, że jutro zadzwonię do niego i spotkam się z nim, jeśli tylko będzie człowiekiem.

Wsparałam się na łokciach, próbując odepchnąć wspomnienie pieśczęt Cole'a i woni Sama na postaniu.

– Ciekawe, co robi Sam? – rzuciłam.

Grace zamarła z kartką między dwoma palcami, nieznacznie ściągnęła brwi – moje słowa zmasały spokój z jej twarzy, zastąpiła go niepewność. Pożałowałam, że powiedziałam na głos to, o czym myślałam.

Delikatnie wygładziła stronę w podręczniku. Potem potarła zarumieniony policzek – gest bezradnego człowieka. W końcu odezwała się:

– Powiedział, że spróbuje zadzwonić do mnie jeszcze dziś wieczorem.

Wciąż patrzyła na mnie z lekkim zagubieniem, więc szybko dodałam:

– Po prostu zastanawiałam się, czy więcej nowych wilków już się przemieniło. Spotkałam jednego z nich.

Było to stwierdzenie na tyle bliskie prawdy, że nawet nie poczułam wyrzutów sumienia.

* Rainer M. Rilke, „Poezje”. przeł. M. Jastrun, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 185.

* Ibid.

Twarz Grace pojaśniała.

- Wiem. Sam mówił mi o nim. Naprawdę go poznałaś?
- Przyprowadziłam go do Becka tamtej nocy, gdy wylądowałaś w szpitalu.

Jej oczy rozszerzyły się, ale nie zdążyła zapytać o nic więcej, bo rozległ się dzwonek do drzwi: głośna, irytująca melodyjka.

- Pizza! – krzyknęła jej mama głosem zdecydowanie zbyt pogodnym, kończąc naszą rozmowę, zanim mogła się na serio zacząć.

GRACE

Isabel poczęstowała kawałkiem pizzy moją matkę, czego sama bym nie zrobiła. Mam wyniosła się do atelier, więc mogliśmy zająć salon. Niebo, widoczne za szklanymi drzwiami wiodącymi na taras, zrobiło się już całkowicie czarne, tak że nie można było powiedzieć, czy była dopiero siódma wieczorem, czy już północ. Siedziałam na jednym końcu kanapy z talerzem na kolanach i wpatrywałam się w samotny kawałek pizzy, który zdawał się odwzajemniać moje spojrzenie. Isabel przycupnęła na drugim końcu ze swoją porcją. Ostrożnie, żeby nie naruszyć pieczarek, osuszyła nadmiar tłuszczu papierowym ręcznikiem. W tle leciało właśnie „Pretty Woman” i bohaterka, grana przez Julię Roberts, robiła zakupy w sklepach, w których Isabel czułaby się jak u siebie w domu. Pizza leżała w pudełku na stoliku kawowym pomiędzy nami a telewizorem. Obok ustawiliśmy całą górę rozmaitych dodatków.

- Jedz, Grace – rozkazała mi Isabel i zaoferowała mi rolkę papierowych ręczników.

Popatrzyłam na pizzę, ale w ogóle nie wyglądała zachęcająco. To zadziwiające, że jednemu trójkątowi ciasta z grzybami i ociekającymi tłuszczem płatami mozzarelli ciągnącymi się we wszystkich kierunkach udało się spowodować to, czego nie wywołały nawet spacer i chłód – na sam jego widok zrobiło mi się niedobrze. Mój żołądek szalał, ale to było coś więcej niż mdłości. To było to, co trawiło mnie wcześniej: gorączka, która nie przebiegała jak zwykła gorączka. Choroba, która oznaczała coś więcej niż tylko ból głowy, coś więcej niż tylko ból brzucha. Choroba, która w jakiś sposób była mną.

Isabel mi się przyglądała; wiedziałam, że zaraz zada mi to pytanie. Ale naprawdę nie chciałam otwierać ust. Niejasna świadomość nadchodzącej śmierci, którą czułam w lesie, właśnie trawiła moje wnętrze. Bałam się tego, co mogłabym powiedzieć, gdybym przemówiła.

Pizza leżała przede mną. Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła przełknąć choć kęs.

Czułam się tu bardziej bezbronna niż w borze, w otoczeniu wilków. Nie chciałam, żeby Isabel była przy mnie. Ani mama. Chciałam do Sama.

ISABEL

Grace wyglądała blado. Wpatrywała się w swój kawałek pizzy, jakby miała ją ugryźć.

- Zaraz wrócę – odezwała się w końcu, trzymając rękę na brzuchu.

Nieco ociężale zwlokła się z kanapy i szybkim krokiem ruszyła do kuchni.

- Znowu źle się czujesz, Grace? – zapytałam, gdy wróciła, trzymając w dłoni kolejne piwo imbirowe i całą garść tabletek.

Ściszyłam głos w telewizorze, chociaż to był mój ulubiony fragment filmu.

Grace wrzuciła sobie wszystkie pigułki do ust i połknęła je, popijając łykiem piwa.

- Trochę. Wieczorami człowiek chyba zawsze czuje się gorzej, prawda? Tak gdzieś czytałam.

Spojrzałam na nią. Pomyślałam, że ona prawdopodobnie wie. Pomyślałam, że pewnie myśli właśnie o tym samym co ja, ale nie chciałam tego mówić. Za to zapytałam:

- Co ci powiedzieli w szpitalu?
- Że to tylko gorączka. Zwykła grypa – odparła.

Czułam, że przypomina sobie, jak została kiedyś ugryziona. Wtedy też myślała, że ma grypę. Obie zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że to nie była jedynie grypa.

Więc w końcu wydusiłam z siebie to, co dręczyło mnie przez całe popołudnie.

- Grace, ty śmierdzisz. Jak ten wilk, którego znalazłyśmy. Wiesz, że to ma coś wspólnego z wilkami.

Mechanicznie pocierała palcem wzorek na brzegu talerza, zupełnie jakby chciała się go pozbyć.

- Tak.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Obie wiedziałyśmy, kto dzwoni. Grace spojrzała na mnie. Jej palce zamaryły w absolutnym bezruchu.

- Nie mów Samowi – poprosiła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

SAM

Nie mogłem zasnąć, więc postanowiłem upiec chleb.

Bezsensowność wywołana była głównie myślami o Grace. Perspektywa samotnego leżenia w łóżku w oczekiwaniu na sen stała się dla mnie całkiem nie do zniesienia. Inny powód, dla którego nie mogłem usnąć, to obecność Cole'a. przepętniała go jakaś nerwowa energia – chodził w kółko, wypróbował sprzęt grający, siadał na kanapie, oglądał telewizję, potem się zrywał – i w końcu ja zacząłem czuć się tak samo, jakbym przebywał w bezpośredniej bliskości aktywnego wulkanu.

Dlatego zabrałem się za pieczenie chleba. Nauczyłem się tego od Urlika, który był strasznym snobem, jeśli chodzi o pieczywo. Nie godził się na jedzenie chleba kupowanego w sklepie, a to w połączeniu z faktem, że ja w wieku dziesięciu lat odmawiałem spożywania czegokolwiek poza chlebem sprawiło, że tamtego roku dużo piekliśmy. Beck uważał, że obaj jesteśmy niemożliwi, i nie chciał mieć absolutnie nic wspólnego z naszą obsesją. A to oznaczało, że mnóstwo poranków spędzałem w towarzystwie Urlika. Ja na podłodze, oparty o szafki kuchenne, z gitarą, którą kiedyś podarował mi Paul. Urlik zagniatający ciasto i przeklinający łagodnie w związku z tym, że ciągle się o mnie potykał.

Któregoś wiosennego ranka Urlik zwiłkł mnie z łóżka, żebym wreszcie nauczył się sam przygotowywać ciasto na chleb. Również tego samego dnia Beck dowiedział się o wizycie Urlika u lekarza. Wspominałem tamte wydarzenia od momentu, gdy zobaczyłem Victora walczącego o pozostanie w ludzkiej formie. Beck wpadł do kuchni, najwyraźniej wściekły, a za nim wszedł Paul. Wahał się, ale nie wyglądał na zaniepokojonego, raczej liczył na niezwykle interesujące starcie.

- Powiedz mi, że Paul kłamie – poprosił Beck, a Urlik podał mi torebkę suszonych drożdży. – Że nie byłeś u żadnego lekarza.

Paul sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz wybuchnąć śmiechem. Urlik wyglądał podobnie. Beck uniósł rękę, jakby chciał udusić Urlika.

- Zrobiłeś to. Naprawdę to zrobiłeś. Ty szalony sukiny! Ostrzegałem cię, że to na nic się nie zda!

Paul nie wytrzymał i nagle parsknął śmiechem, a Urlik razem z nim.

- Powiedz mu, co ci dał! Powiedz mu, co ci przepisał! – podjudał Paul Urlika, ale ten najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że Beck nie doceni żartu, więc tylko wskazał lodówkę i rzucił:
- Mleko, Sam.
- Haloperidol! – nie wytrzymał Paul. – On przychodzi w sprawie wilkołactwa, a koleś przepisuje mu lekarstwo na schizofrenię!
- Uważasz, że to jest zabawne?! – mocno zdenerwował się Beck.

Urlik w końcu spojrzał na Becka i machnął ręką.

- Daj spokój, Beck. On myślał, że jestem szalony. Opowiedziałem mu o wszystkim. Że zamieniam się w wilka każdej zimy i o tych... tych... Jak to się mówi...? Młodościach? Młodościach. I podałem datę, w której przemieniłem się w człowieka w tym roku. Wszystkie symptomy. Wyznałem mu wszystko jak na spowiedzi, a on słuchał i kiwał głową, a potem wypisał mi tę receptę na lek dla wariatów.
- Do którego szpitala poszedłeś? – zapytał Beck.
- W St. Paul – odparł Urlik drwiąco. – A co, myślałeś, że wmaszerowałem do „Mercy Falls General” i powiedziałem im, że jestem wilkołakiem?

Beckowi najwyraźniej wciąż nie było do śmiechu.

- Więc... ten lekarz...? Co, nie uwierzył ci...? Nie pobrał krwi? Ani nic...?

Urlik parsknął i zaczął dodawać mąki do ciasta, zapominając, że to ja miałem się tym zająć.

- Nie mógł się doczekać, aż się mnie pozbędzie. Jakby szaleństwo było zaraźliwe.
- Szkoda, że mnie tam nie było – chichotał Paul.

Beck kręcił głową.

- Obaj jesteście idiotami – oznajmił, przepychając się obok Paula i wychodząc z kuchni; w jego głosie nie było już gniewu. – Ile razy mam wam powtarzać: jeśli chcecie, żeby doktor wam uwierzył, musicie go ugryźć.
- Czy on mówi poważnie? – zapytał Paul.
- Nie sędzę – odpowiedział Urlik.

Wkrótce rozmowa zeszła na coś innego, a Urlik skończył zagniatać ciasto i odstawił je do wyrośnięcia, ale nigdy nie zapomniałem lekcji, jaką dostałem tamtego dnia: lekarze nie pomogą nam w naszej walce.

Znowu pomyślałem o Victorze. Wciąż miałem przed oczami jego widok, jak bez wysiłku przemienia się z wilka w człowieka i odwrotnie.

Najwyraźniej Cole też nie mógł o tym zapomnieć, bo gdy wszedł do kuchni, na jego twarzy malowała się irytacja. Przysiadł na blacie kuchennej wyspy i zmarszczył nos, gdy doleciał go ciężki zapach drożdży unoszący się w pomieszczeniu.

- Powinienem być zaskoczony tym, że coś pieczesz, ale nie jestem – zaczął. – Nadal dobija mnie niesprawiedliwość tego, że Victor nie może zostać człowiekiem, a ja nie mogę zostać wilkiem. Powinno być inaczej.

Z całych sił starałem się powstrzymać gniew w głosie, gdy odpowiedziałem:

- Tak. Rozumiem. Pragniesz być wilkiem. Nie chcesz być Cole'em. Wyraziłeś się wystarczająco jasno. Cóż, nie znam żadnego zaklęcia, które pomogłoby ci pozostać w wilczej skórze. Przykro mi. – Zauważyłem, że na blacie pojawiła się butelka whiskey. – Skąd to się tu wzięło?
- Z szafki – odrzekł Cole uprzejmym głosem. – Dlaczego tak bardzo ci to przeszkadza?
- Nie zachwyca mnie perspektywa twojego upicia się.
- A mnie nie zachwyca perspektywa pozostania trzeźwym – zripostował Cole. – Właściwie to nigdy tak naprawdę mi nie wyjaśniłeś, dlaczego tak bardzo boli cię to, że chcę być wilkiem.

Odwrociłem się do zlewu, żeby zmyć mąkę z dłoni; w zetknięciu z wodą zamieniła się w kleista papkę. Zastanawiałem się, co mu powiedzieć, powoli szorując ręce.

- Zadałem sobie strasznie dużo trudu, żeby pozostać człowiekiem. Znam kogoś, kto umarł, próbując tego samego. Dałbym wszystko za to, żeby odzyskać swoją rodzinę. Ale oni muszą spędzać zimę w tych lasach, nawet nie pamiętając, kim są. Bycie człowiekiem jest... - Miałem zamiar powiedzieć: „nadzwyczajnym przywilejem”, ale pomyślałem, że to zabrzmiałoby zbyt pompatycznie. – Kiedy jesteś wilkiem, życie traci wielki sens. Jeśli nie masz wspomnień, to jest tak, jakbyś nigdy nie istniał... Sam nie wiem, jak mam jeszcze bronić człowieczeństwa. Przecież tylko to się liczy. Dlaczego ktoś w ogóle chciałby z tego zrezygnować?

Nie wspominałem o Shelby, jedynej osobie, jaką znałem, która pragnęła być wilkiem. Rozumiałem, dlaczego porzuciła ludzkie życie, ale to nie znaczy, że się z nią zgadzałem. Miałem nadzieję, że jej życzenie się spełniło i jest już wilkiem na dobre.

Cole pociągnął potężnego łyka whiskey, po czym się skrzywił.

- Właśnie odpowiedziałeś sobie na pytanie. Chodzi o zapominanie. Unikanie życia to wspaniąta terapia.

Przyjrzałem mu się. Zupełnie nie pasował do tej kuchni. Większość ludzi cechuje nabyty rodzaj piękna – im dłużej ich znasz, tym atrakcyjniejsi ci się wydają i tym bardziej ich kochasz. Ale Cole pominął ten etap, niesprawiedliwie docierając do mety przed wszystkimi – zabójczo przystojny, jak gwiazdor z Hollywood, nie potrzebował żadnej miłości, żeby tak wyglądać.

- Nie sądzę... Nie uważam, żeby to był dobry pomysł.
- Czyżby? – zaciekał się Cole, a ja byłem zaskoczony tym, że zamiast złości na jego twarzy odmalowało się zainteresowanie. – Więc dlaczego sikasz tylko w łazience na górze?

Spojrzałem na niego w milczeniu.

- Co, nie sądziłeś, że to zauważę? Tak. Zawsze się idziesz się odlać na górę. Rozumiałbym jeszcze, gdyby łazienka na dole była obskurna, czy coś, ale prezentuje się przyzwoicie. – Cole zsunął się z blatu i lekko zachwiał przy lądowaniu. – Więc wydaje mi się, że to raczej wanny unikasz. Mam rację?

Nie rozumiałem, skąd mógłby znać moją przeszłość, ale najwyraźniej nie stanowiła już dla niego sekretu. Może to Beck mu powiedział, choć poczułem się trochę nieswojo na myśl o tym, że mógłby zrobić coś takiego.

- To drobnostka – odparłem. – Wzbranianie się przed wanną, bo twoi rodzice chcieli cie w takiej zabić, to nie jest to samo, co ucieczka od całego swojego życia i ukrywanie się w wilczej skórce.

Cole uśmiechnął się do mnie szeroko. Alkohol zmienił go w wyjątkowo jowialną osobę.

- Zawrzyjmy układ, Ringo. Ty przestaniesz wystrzegać się wanny, a ja – swojego życia.
- Ta, jasne.

Jedyny raz, kiedy znalazłem się w wannie od czasu tamtego wydarzenia, był wtedy, gdy Grace wepchnęła mnie do gorącej wody, żebym nie przemienił się wilka. Ale wtedy już w Polowie stałem się zwierzęciem i ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. No i to była Grace, której ufałem. A nie Cole.

- Nie, serio. Jestem osobą zorientowaną na realizację celów – ciągnął dalej Cole. – W końcu poczucie szczęścia bierze się z ich osiągnięcia, prawda? Boże, naprawdę dobra ta whiskey. – Odstawił butelkę na blat. – Jest mi błogo i rozkosznie. Więc co ty na to? Ty wskoczysz do wanny, a ja zrobię wszystko, żeby utrzymać siebie i Victora w ludzkiej formie? Skoro to dla ciebie taki drobiazg...

Uśmiechnąłem się ponuro. Od początku wiedział, że nie zbliży się do żadnej wanny.

- *Touché* – powiedziałem i przypomniałem sobie, kiedy ostatni raz słyszałem to wyrażenie. Padło z ust Isabel, wtedy w księgarni, gdy piła moją zieloną herbatę. Zdawało mi się, jakby to było wieki temu.

COLE

Uśmiechnąłem się do niego szeroko. Po moim ciele powoli rozlewało się przyjemne ciepło, które mogło zostać wywołane tylko przez konsumpcję mocnego alkoholu.

- Widzisz, obaj jesteśmy strasznie popaprani, Ringo. Mamy takie problemy, że hej! – powiedziałem mu.

Tylko na mnie popatrzył. Tak naprawdę to nie wyglądał jak Ringo, a bardziej jak senny John w żółtych lennonkach. Ale samo „John” nie brzmiało jak dobra ksywka. Poczułem nagły przypływ współczucia dla tego gościa. Biedak nie mógł się nawet normalnie odlać, bo rodzice próbowali go zabić. Serio, przykra sprawa.

- Masz ochotę na mały eksperyment? – zapytałem. – Myślę, że dzisiejszy wieczór to dobry moment na małą psychoanalizę, człowieku.
- Dzięki, ale sam uporam się ze swoimi kłopotami – uciął stanowczo.
- No, daj spokój. – Zaoferowałem mu butelkę, ale pokręcił głową. – To pomoże ci się zrelaksować – zapewniłem. – Parę łyków, a powiosłujesz ta wanną do Chin.
- Nie tym razem – głos Sama stał się odrobinę mniej przyjazny.
- Koleś – tłumaczyłem uparcie – ja tutaj staram się nawiązać z tobą bliższe relacje. Chcę ci pomóc. Chcę także pomóc sobie.

Złapałem go pod ramię. Próbował mi się wyrwać, ale bez przekonania. Pociągnąłem go w kierunku drzwi.

- Cole! – zawołał Sam. – Cholera, jesteś nawalony jak messerschmitt! Puszczaj!
- Mówię ci, to wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyś ty też się nawalił. Może jednak się skusisz?

Byliśmy teraz w korytarzu. Sam znowu usiłował uwolnić się z moich objęć.

- Nie. Cole, daj sobie spokój! Ale już! – Szarpnął się znacznie mocniej.

Byliśmy teraz o metr czy dwa od wejścia do łazienki. Sam wierzgał; musiałem użyć obu rąk, żeby go popchnąć. Jak na taką chudzinę był zaskakująco silny.

- Ja pomogę tobie, ty pomożesz mnie. Tylko pomyśl, o ile lepiej się poczujesz, gdy stawisz czoła swoim demonom – zapewniłem go.

Nie byłem przekonany, czy to prawda, ale brzmiało dobrze. Musiałem też przyznać, że byłem ciekaw jak cholera, jak zachowa się Sam na widok wszechmogącej wanny. Przepchnąłem nas obu przez drzwi, uderzając łokciem we włącznik światła.

- Cole – głos Sama nagle stał się cichszy.

To była tylko wanna. Najzwyklejsza pusta wanna, obudowana płytkami w kolorze kości słoniowej. Biała zasłonka prysznicowa była zsunięta na bok, a koło odpływu leżał martwy pająk. Na widok wanny Sam zaczął mi się wyrwać na tyle mocno, że musiałem użyć całej siły, żeby go przytrzymać. Poczułem, jak jego mięśnie napinają się pod moimi palcami.

- Proszę – wyszeptał.
- To tylko wanna, Sam – powiedziałem, ciaśniej oplatając go rękoma.

Ale już nie musiałem się starać, bo kompletnie zwiotczał w moich objęciach.

SAM

Przez jedną krótką chwilę widziałem łazienkę taką, jaka była w rzeczywistości. W taki sposób musiałem postrzegać łazienki przez pierwsze siedem lat życia – zwykłe, praktyczne pomieszczenia. Ale potem odnalazłem wzrokiem wannę i nie wytrzymałem.

Ja... siedziałem przy stole w jadalni. Ojciec – obok mnie, lecz matka już od tygodni unikała zbliżania się do mnie. W końcu powiedziała: „Nie sądzę, żebym mogła go jeszcze kochać. To nie jest mój syn Sam. To jest coś, co czasami wygląda jak on”.

Na moim talerzu był groszek. Nie lubiłem tego warzywa. Byłem zaskoczony jego widokiem, bo moja matka o tym wiedziała. Nie mogłem oderwać wzroku od talerza. Tymczasem ojciec stwierdził: „Wiem...”.

Cole potrząsnął mną.

- Nie umierasz – zapewniał. – Tak ci się tylko wydaje.

Rodzice zaprowadzili mnie do wanny, chociaż nie nastał jeszcze wieczór, a ja nie byłem rozebrany. Poprosili, żebym wszedł do wody, ale ja nie chciałem. Myślę, że byli z tego zadowoleni, bo moja odmowa ułatwiła im wszystko bardziej, niż gdybym uległ i z ufnością wykonywał ich polecenia. Ojciec wsadził mnie do wanny...

– Sam! – zawołał Cole.

Siedziałem w wannie w ubraniu. Mokra dzinsy ściemniały. Czułem, jak wilgoć przesącza się przez mój ulubiony niebieski T-shirt z białym paskiem, a materiał przylepia mi się do skóry. I przez minutę, przez jedną miłosierną chwilę myślałem, że to jest tylko zabawa...

– Sam! – powtórzył Cole.

Ale w końcu rozumiałem.

Nie wtedy, gdy moja matka nie chciała na mnie spojrzeć, tylko wpatrywała się w krawędź wanny i raz za razem przetykała ślinę. Ani wtedy, gdy mój ojciec sięgnął po coś za plecami i wymówił jej imię, żeby skłonić ją do działania. Ani nawet nie wtedy, gdy wyjęła jedną z żyłek z jego dłoni, ostrożnie, jakby brała kruchy krakers z talerza pełnego smakołyków. To stało się wtedy, gdy w końcu na mnie spojrzała.

W moje oczy.

Moje wilcze oczy.

Zobaczyłem, jak podejmuje decyzję. Zrozumiałem, że rezygnuje ze mnie.

I właśnie wtedy musieli mnie przytrzymać.

COLE

Sam znajdował się gdzieś indziej. Tylko tak można było to określić. Jego oczy stały się po prostu... puste. Zaciągnąłem go do salonu i potrząsnąłem nim.

– Sam, weź się w garść! Już po wszystkim! Rozejrzyj się, już po wszystkim!

Gdy puściłem jego ramiona, osunął się na podłogę, trąc plecami o ścianę, i ukrył twarz w dłoniach. Nagle zmienił się w pozbawione oblicza kłębowisko włosów, łokci i kolan.

Nie wiedziałem, jak powinienem się czuć ze świadomością, że to ja do tego doprowadziłem, cokolwiek to było. Wezbrała we mnie nienawiść.

– Sam?! – zawołałem.

– Po prostu zostaw mnie – odezwał się po dłuższej chwili dziwnym, ciekim głosem, nie unosząc głowy. – Daj mi spokój! Co ja ci takiego zrobiłem?!

Oddychał nierówno; słyszałem, jak powietrze więźnie mu w gardle. To nie był szloch. Brzmiało to bardziej tak, jakby się dis ul.

Spojrzałem na niego i znowu zawrzał we mnie gniew. Nie powinien był zareagować tak gwałtownie. To tylko cholerna łazienka. Przecież nie zrobiłem mu nic strasznego, tylko pokazałem mu tę pieprzoną wannę. Nie byłem taki, jak myślał.

– Beck też wybrał bycie wilkiem – obwieściłem mu, bo teraz nie był w stanie mi zaprzeczyć. – Właśnie to mi wyznał. Że osiągnął w życiu wszystko, czego chciał, ale nadal nie był szczęśliwy. Powiedział, że miał zamiar popełnić samobójstwo, ale koleś imieniem Paul przekonał go, że jest jeszcze inna droga.

Sam milczał. Słysząc było tylko jego urywany oddech.

– To samo zaproponował mi – kontynuowałem. – Tylko że ja nie mogę się utrzymać w ciele wilka. I nie mów mi, że mam zamilknąć. Jesteś równie popaprany jak ja. Tylko popatrz na siebie.

Nie poruszył się. Podszedłem do tylnych drzwi i otworzyłem je. Noc była surowa i zimna. Zostałem nagrodzony bolesnym szarpnięciem wnętrzości.

Uciekłem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

SAM

Mechanicznie zagniotłem ciasto, uformowałem bochenek i wstawiłem chleb do piekarnika. W głowie szumiało mi od słów zbyt szorstkich i abstrakcyjnych, żebym mógł z nich ułożyć piosenkę.

Był środek nocy, a ja stałem w tej samej starej dobrej kuchni Becka i zupełnie straciłem poczucie czasu. W połowie byłem tu, a w połowie – gdzieś indziej.

Twarze widoczne na zdjęciach przyczepionych do szafek odwzajemniały mój uśmiech. Tysiące różnych kombinacji przedstawiających mnie i Becka, Becka i Urlika, Paula i Dereka, Urlika i mnie. Twarze czekające na to, aż ktoś ponownie w nich zamieszka. Fotografie wyglądały na stare i wyblakłe w świetle kuchennym. Przypominałem sobie, jak Beck przyklejał je tutaj, gdy były nowiuteńkie i stanowiły namacalny dowód naszej więzi.

Pomyślałem o tym, jak łatwo moi rodzice podjęli decyzję, że nie będą mnie już dłużej kochać, tylko dlatego, że nie potrafiłem utrzymać się w ludzkiej skórze. I o tym, jak odepchnąłem od siebie Becka, gdy pomyślałem, że stworzył trzy nowe wilki wbrew ich woli. Niemal poczułem niedoskonałą miłość rodziców płynącą w moich żyłach. Wszyscy pochopnie wydawaliśmy sądy o innych.

Gdy w końcu zauważyłem, że Cole zniknął, otworzyłem tylne drzwi i zabrałem jego ubranie z podwórka. Stałem tam, trzymając zimny tobołek, i pozwalałem, żeby nocne powietrze mnie przenikało. Pokonywało kolejne warstwy, które tworzył Sam-człowiek, i docierało do wilka, który – jak sobie wyobrażałem – nadal czaił się wewnątrz mnie.

Odtworzyłem w myślach rozmowę z Cole'em.

Czy on naprawdę prosił mnie o pomoc?

Podskoczyłem na dźwięk telefonu. Słuchawki nie było w kuchni, więc poszedłem do salonu. Odszukałem ja i odebrałem, siadając na oparciu sofy. „Grace – modliłem się żarliwie. – Niech to będzie Grace”.

- Cześć. – Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że gdyby Grace dzwoniła o tak późnej porze, to oznaczałoby, że stało się coś złego.

Ale po drugiej stronie linii odezwał się głos nieznanym kobiecie.

- Kto mówi?
- Słucham? – powiedziałem zaskoczony.
- Ktoś dzwonił na moja komórkę z tego numeru. Aż dwukrotnie.
- A kto mówi? – zapytałem.
- Angie Baranova.
- A kiedy ten ktoś dzwonił?
- Wczoraj. Bardzo wczesnie. Nie zostawił wiadomości.

Cole. To musiał być on. Ckliwy drań.

- To musiała być pomyłka – skłamałem.
- Tak. Na pewno – zauważyła. – Zwłaszcza że ten numer znają może ze cztery osoby na świecie.

Skorygowałem swoją opinię o Cole'u. Głupi drań.

- To musiała być pomyłka – upierałem się.
- Albo Cole – rzuciła Angie.
- Słucham?

Zaśmiała się brzydko, bez humoru.

- Kimkolwiek jesteś, wiem, że nie powiedziałabyś mi niczego, nawet gdyby on stał obok. Bo Cole jest rzeczywiście niezły w te klocki, prawda? Zmusza cię, żebyś robił dokładnie to, czego on chce. Cóż, jeśli on tam jest i to on do mnie dzwonił, to przekaż mu, że zmieniłam numer. Na 917-wynoś-się-z-mojego-życia. Dzięki.

I rozłączyła się.

Odłożyłem słuchawkę na stolik obok sofy i spojrzałem na leżącą na nim stertę książek Becka. Obok stało oprawione w ramkę zdjęcie, które zrobił mu Urlik tuż po tym, jak Paul opryskał go musztardą w trakcie grillowania burgerów. Beck patrzył na mnie, mrużąc oczy, a smugi obrzydliwej żółci przecinały jego brwi i ściekały z rzęs.

- Wygląda na to, że naprawdę dokonałeś znakomitego wyboru – wyznałem mu.

GRACE

Tamtej nocy leżałam na łóżku i starałam się zapomnieć o tym, jak patrzyły na mnie wilki. Usiłowałam udawać, że Sam jest ze mną. Zamrugałam w ciemnościach i przytuliłam się mocniej do jego poduszki, ale nie było już na niej ani śladu jego zapachu; znowu stała się tylko jego rzecz. Odrzuciłam ją i podniosłam dłoń do nosa, sprawdzając, czy nadal cuchnę wilkiem. Przypomniałam sobie, jak wyglądała Isabel, gdy mówiła: „Wiesz, że to ma coś wspólnego z wilkami”, i starałam się zinterpretować wyraz jej twarzy. Obrzydzenie? Jakby bała się, że mogę ją zarazić... A może jednak litość...?

Gdyby Sam był tutaj, wyszeptałabym: „Czy myślisz, że umierający ludzie wiedzą, że odchodzą?”.

Skrzywiłam się w mroku nocy. Wiedziałam, że melodramatyzuję.

Chciałam wierzyć, że tylko przesadzam.

Położyłam rękę na brzuchu i pomyślałam o dręczącym mnie bólu, który zadomowił się kilka centymetrów pod moimi palcami. W tej chwili wydawał się tępy, uśpiony.

Wiem, że tam jesteś.

To wydawało mi się takie żałosne. Leżałam bezsennie w łóżku, rozważając w samotności kwestię swojej śmiertelności, podczas gdy Sam znajdował się tak blisko – zaledwie kilkanaście minut jazdy samochodem. Rzuciłam daremne spojrzenie na sufit, w stronę sypialni moich rodziców, poirytowana tym, że pozbawili mnie jego obecności wtedy, gdy najbardziej go potrzebowałam.

Jeśli teraz umrę, nigdy nie pójdę do college’u. Nigdy nie zamieszkać sama. Nigdy nie kupię ekspresu do kawy (chciałam mieć czerwony). Nigdy nie wyjdę za Sama. Nigdy nie stanę się taką Grace, jaką miałam być.

Przez całe życie byłam taka ostrożna.

Zaczęłam wyobrażać sobie własny pogrzeb. Nie ma mowy, żeby mamie starczyło zdrowego rozsądku, żeby zaplanować coś takiego. Pewnie zrobiłby to tata, pomiędzy telefonami do inwestorów i członków zarządu. Albo babcia. Ona z pewnością stanęłaby na wysokości zadania, gdyby się zorientowała, jak główniana pracę odwalił jej syn, wychowując córkę. Rachel by przyszła, i prawdopodobnie kilku moich nauczycieli. Na pewno pani Erskine, która chciała, żebym została architektem. Isabel też, choć pewnie by nie płakała. Przypominałam sobie pogrzeb jej brata – pojawiło się na nim całe miasto, bo Jack zginął w tak młodym wieku. Więc może mnie też przyszedłby pożegnać tłum, nawet jeśli nie byłam legendą Mercy Falls. Bo umarłam zbyt wcześnie, żeby tak naprawdę zacząć żyć. Czy ludzie przynoszą na pogrzeby prezenty, tak jak na śluby albo przyjęcia z okazji narodzin dziecka?

Usłyszałam skrzypnięcie. Trzask deski pod stopą. A potem drzwi do mojego pokoju cichutko się uchyliły.

Przez sekundę myślałam, że może to Sam jakimś cudem zakradł się do środka. Ale zobaczyłam zarys ramion i głowy mojego ojca. Udałam, że śpię, ale wciąż miałam lekko uchylone powieki. Tato zrobił kilka pełnych wahaniami kroków; z zaskoczeniem pomyślałam: „On sprawdza, czy wszystko ze mną w porządku”.

Ale potem delikatnie uniósł podbródek i spojrzał na miejsce tuż za mną, a ja uświadomiłam sobie, że nie zjawiał się tutaj, żeby sprawdzić, czy dobrze się czuję. Przyszedł tylko po to, żeby się upewnić, że nie ma ze mną Sama.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

COLE

Kucałem na lodowatej ziemi, sosnowe igły wbijały mi się w dłonie, a na nagich kolanach miałem rozmazaną krew. Nie mogłem sobie przypomnieć, od jak dawna jestem człowiekiem.

Byłem zawieszony w bladym błękiecie poranka. Mgła zabarwiała wszystko na pastelowo, przepływając powoli obok mnie. Powietrze cuchnęło krwią, odchodami i brudną wodą. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby poznać źródło tych zapachów. Jezioro znajdowało się zaledwie kilka metrów ode mnie, a pomiędzy mną a linią brzegu na boku leżała martwa łania. Płat skóry oderwany od jej żeber odsłaniał wnętrze, jakby były jakimś makabrycznym podarunkiem.

To jej krwią miałem ubrudzone kolana i – co dopiero teraz zauważyłem – ręce. Niewidzialne we mgle wrony, przycupnięte gdzieś pośród gałęzi nad moją głową, nawoływały się niecierpliwie, czekając, aż stracę zainteresowanie swoją ofiarą.

Rozejrzałem się za innymi wilkami, które musiały mi pomóc w zabiciu łania, ale najwyraźniej zostawiły mnie samego. Albo to raczej ja opuściłem je, niechętnie przemieniając się w człowieka.

Jakiś ruch przyciągnął moją uwagę. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z tego, co się poruszyło – łania. Jej oko. Zamrugnęła; gdy to zrobiła, zobaczyłem, że patrzy wprost na mnie. Nie była martwa, ale umierająca. To niesamowite, że te dwa stany mogą być do siebie tak podobne, a jednocześnie tak różne. Coś w wyrazie jej czarnych ślepi sprawiło, że poczułem ból w piersi. To wyglądało jak... cierpliwość. Albo przebaczenie. Podała się losowi i pogodziła z tym, że zostanie zjedzona żywcem.

– Jezu – wyszeptalem, wstając powoli, ostrożnie, żeby nie przestraszyć jej jeszcze bardziej.

Nawet nie drgnęła. Chciałem się wycofać, dać jej trochę przestrzeni, żeby mogła umknąć, ale jej odstonięte kości i wylewające się ze środka flaki uświadomiły mi, że ona już nigdzie nie ucieknie. Zdążyłem zniszczyć jej ciało.

Poczułem, jak gorzki uśmiech wykręca moje wargi. Takie były efekty mojego genialnego planu, żeby przestać być Cole'em i osunąć się w nicość. Stałem nagi, naznaczony barwami śmierci, a mój żołądek skręcał się z głodu na widok posiłku zwierzęcia, którym już nie byłem.

Łania zamrugnęła znowu. Na jej psyku malowała się taka łagodność. Poczułem szarpnięcie w brzuchu.

Nie mogłem jej tak zostawić. Wiedziałem, że nie potrafię. Raz jeszcze szybko się rozejrzałem, żeby sprawdzić, gdzie jestem – od szopy dzieliło mnie może dwadzieścia minut marszu. I kolejne dziesięć od domu, jeśli w szopie nie znalazłbym niczego, co mogłoby skrócić jej cierpienia. Czeką ją czterdzieści minut do godziny leżenia tutaj, z bebechami na wierzchu.

Mogłem po prostu odejść. W końcu i tak umierała. To było nieuniknione. I ostatecznie, ile mogło znaczyć cierpienie jednej łania?

Jej powieka zamrugnęła ponownie, w milczeniu, z pełną akceptacją chwili. Dla mnie znaczyło to wiele.

Rzuciłem się na poszukiwanie czegoś, co mogłoby posłużyć mi za broń. Żaden z kamieni przy jeziorze nie był wystarczająco duży, a zresztą i tak nie mogłem sobie wyobrazić zatłuczenia jej na śmierć. Wertowałem w myślach całą swoją wiedzę na temat anatomii, śmiertelnych wypadków samochodowych i innych katastrof. A potem spojrzałem na jej odstonięte żebra. Przełknąłem ślinę.

Tylko chwilę zajęło mi znalezienie gałęzi z odpowiednio zaostrzonym końcem.

W tym samym momencie jej sarnie czarne i bezdenne oko się przewróciło, a przednia noga wierzgnęła we wspomnieniu biegu. Było coś przerażającego w strachu uwięzionym za jej milczeniem. W utajonych emocjach, które nie mogły się wyzwolić.

– Przykro mi – szepnąłem jej. – Nie chcę być okrutny.

Dźgnąłem patykiem pomiędzy jej żebrami.

Raz.

Drugi.

Z jej gardła wydobył się wysoki krzyk nienależący ani do człowieka, ani do zwierzęcia. Był to straszliwy dźwięk, z rodzaju tych, których już nigdy nie uda się zapomnieć, niezależnie od tego, ile pięknych rzeczy usłyszy się później. Potem zamilkła, bo w jej przebitych płucach nie było już powietrza.

Ona była martwa, a ja chciałem umrzeć. Miałem zamiar zrobić wszystko, żeby się dowiedzieć, jak pozostać w ciele wilka na zawsze. Po prostu nie mogłem już dłużej tego znieść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

GRACE

Nie wiedziałam, kiedy odpułyłam. Obudziło mnie pukanie do drzwi sypialni, więc jednak musiałam przysnąć. Otworzyłam oczy; w pokoju nadal było ciemno. Według zegarka był już poranek, świecące cyfry pokazywały piątą trzydzieści.

- Grace! – zawołała matka zbyt głośno jak na taką porę. – Musimy z Toba porozmawiać, zanim pojedziemy.
- Pojedziecie dokąd? – zapytałam chrapliwym, wciąż sennym głosem.
- Do St. Paul – wyjaśniła mama ze zniecierpliwieniem, jakbym powinna była to wiedzieć. – Jesteś ubrana?
- Jak mogę być ubrana o piątej rano? – wymamrotałam, ale machnęłam zapraszająco ręką w jej kierunku, bo sypiałam w koszulce i spodniach od pidżamy.

Matka włączyła światło. Skrzywiłam się, gdy oślepiła mnie nagła jasność. Ledwie zdążyłam zarejestrować, że mama jest w swojej ulubionej wydętej jak żagiel koszuli, gdy za jej plecami pojawił się tata. Oboje weszli do mojego pokoju. Matka zaciskała usta w oszczędnym zawodowym uśmiechu, a twarz ojca wyglądała tak, jakby została wyrzeźbiona z wosku. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio oboje wyglądali na tak zażenowanych.

Popatrywali po sobie i praktycznie mogłam dostrzec niewidzialne dymki z tekstami, unoszące się nad ich głowami: „Ty zacznij. Nie, ty zacznij”.

Więc to ja zaczęłam:

- Jak się dziś czujesz, Grace? – spytałam sama siebie.

Mama machnęła ręką, jakby to było oczywiste, że mam się dobrze, skoro nie brakuje mi sił na tego typu sarkastyczne uwagi.

- Dzisiaj odbywają się targi artystyczne.

Przerwała, żeby się przekonać, czy musi wyjaśniać dalej. Nie musiała. Jeździła na nie każdego roku. Ruszała przed świtem samochodem zapakowanym obrazami aż po dach i wracała do domu dobrze po północy, wykończona, ale z opróżnionym autem. Tata zawsze jej towarzyszył, jeśli tylko nie musiał akurat pracować. Któregoś roku to ja z nią pojechałam. Cały dzień przesiedziałam w ogromnej hali pełnej ludzi takich jak ona oraz osób kupujących płótna takie jak te, które malowała. Więcej nie chciałam tam wracać.

- Okej – rzuciłam. – Więc...?

Mama spojrzała na tatę.

- Więc dalej masz szlaban – zaczął ojciec. – Nawet jeśli nas tu nie będzie.

Odrobinę podniosłam się na łokciach. Głowa zabolala mnie w proteście.

- Możemy ufać, że nie pojedziesz do Duluth, prawda? – zapytała mama. – Nie zrobisz nic głupiego?
- Czy wy... naprawdę jesteście tacy... mściwi? – mówiłam wolno i z zauważalnym wysiłkiem, hamując się, żeby nie krzyknąć. – Bo ja... - Chciałam powiedzieć, że oszczędzałam całe wieki, żeby kupić Samowi prezent urodzinowy, ale słowa uwięzły mi w gardle. Zamknęłam oczy i znowu je otworzyłam.
- Nie – zaprzeczył tata. – To jest twoja kara. Uznaliśmy, że masz szlaban do poniedziałku, nadal to podtrzymujemy. To prawdziwy pech, że nagranie Samuela wypada akurat w tym czasie. Może innym razem.

Nie wyglądał, jakby mu było przykro z tego powodu.

- Ale oni mają rezerwacje na kilka miesięcy naprzód, tato – zaprotestowałam.
- Cóż, może w takim razie zaczniesz rozsądniej planować to, co robisz – odpowiedział z krzywym uśmiechem, który wydał mi się naprawdę obrzydliwy.

Poczułam pulsujący ból w skroni. Docisnęłam pięść do głowy, a potem spojrzałam na ojca.

- Tato, to jego prezent urodzinowy. Jedyna rzecz, jaką dostał. Od kogokolwiek. To dla niego naprawdę bardzo ważne... - urwałam. Musiałam przełknąć. – Proszę, po prostu pozwólcie mi pojechać. Dajcie mi szlaban w poniedziałek. Skażcie mnie na prace społeczne. Mogę szorować toalety szczotką do zębów. Ale zgódźcie się na nasz dzisiejszy wyjazd.

Mama i tata spojrzeli na siebie i przez jeden głupi moment myślałam, że rozważają taką możliwość.

Lecz wtedy mama powiedziała:

- Nie chcemy, żebyś była z nim sama tak długo. Już mu nie ufamy.

Ani mnie. Zwyczajnie to powiedzcie.

Ale nie zrobili tego.

- Odpowiedź brzmi: „nie” – kategorycznie stwierdził tata. – Możesz zobaczyć się z nim jutro i cieszyć się, że pozwalamy ci na to.
- Pozwalacie...? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

Uderzyłam pięścią w kofdrę. Gniew we mnie narastał. Czułam, że moje policzki płoną, i nagle uświadomiłam sobie, że po prostu już nie mogę dłużej tego znieść.

- Przez większą część mojego nastoletniego życia podejmowaliście decyzje związane z moją osobą telefonicznie, a teraz jak gdyby nigdy nic wpadacie tutaj i mówicie: „Sorry, Grace, nic z tego. Nieważne, że zdołałaś jakoś ułożyć sobie życie, że wybrałaś człowieka, z którym chcesz spędzać swój czas. Powinnaś być szczęśliwa, że nie odbieramy ci również tego”.

Matka wzniosła rękę.

- Och, Grace, serio. Przestań dramatyzować. Nie potrzebujemy więcej dowodów na to, że nie jesteś wystarczająco dojrzała, żeby być w poważnym związku. Masz siedemnaście lat. Całe życie przed tobą. To nie jest koniec świata. Za pięć lat...
- Przestań – zażądałam.

Ku mojemu zaskoczeniu zamilkła.

- Nie mów mi, że za pięć lat nie będę pamiętała, jak on miał na imię, czy co tam chciałaś powiedzieć. Przestań zwracać się do mnie z takim poczuciem wyższości. – Zerwałam się, odrzucając pościel. – Nie było cię przy mnie zbyt długo, żebyś teraz mogła twierdzić, że wiesz, co się dzieje w mojej głowie. Czemu nie pójdziesz na jakieś przyjęcie albo otwarcie galerii, albo na nocny wernisaż, albo choćby na trwające cały dzień targi sztuki, mając nadzieję, że wszystko będzie ze mną dobrze, gdy wrócisz? A tak, przepraszam. Przecież ty właśnie to robisz! Zawsze tak czyniłaś. Zdecydujcie się, ludzie – jesteście rodzicami czy współlokatorami? Nie możecie być jednym, a potem nagle zamienić się w drugie!

Nastąpiła długa chwila milczenia. Mama gapiała się w kąt pokoju, jakby w jej głowie grała jakaś nieprawdopodobna piosenka. Ojciec patrzył na mnie ze ściągniętymi brwiami. W końcu pokręcił głową.

- Porozmawiamy poważnie, gdy wrócimy. To nie było *fair* z twojej strony zaczynać taką rozmowę w tym momencie, bo wiesz, że nie możemy zostać i jej dokończyć.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach. Dłonie miałam wciąż zaciśnięte w pięści. Nie uda mu się sprawić, że pożałuję tego, co powiedziałam. Nie uda mu się. Czekałam zbyt długo, żeby wreszcie to z siebie wyrzucić.

Matka spojrzała na zegarek.

Czar prysł.

- Tak, jeszcze o tym pomówimy. Teraz musimy iść – rzucił tata i wyprowadził mamę z pokoju.

- Wierzmy, że uszanujesz nasz autorytet – dodała matka już za drzwiami, jakby powtarzała coś, co kiedyś usłyszała od swojego ojca.

Ale tak naprawdę mi nie wierzyli, bo gdy po ich wyjściu poszłam do kuchni, zobaczyłam, że zabrali moje kluczyki od samochodu.

Nie przejęłam się tym. W plecaku miałam zapasowy komplet, o którym nie wiedzieli. Wewnątrz mnie budziło się coś niewidzialnego i niebezpiecznego. Miałam dość bycia grzeczną dziewczynką.

* * *

Do domu Becka dotarłam o brzasku.

- Sam?! – zawołałam, ale mi nie odpowiedział.

Na parterze najwyraźniej nikogo nie było, więc ruszyłam na piętro. Natychmiast odnalazłam jego sypialnię. Słońce wciąż znajdowało się poniżej linii drzew; przez okno wpadało tylko anemiczne szare światło poranka, ale to wystarczyło, żebym zauważyła dowody życia: zmięte prześcieradła i zwiniętą parę dżinsów, porzucona na podłodze tuż obok wyróconych na lewą stronę ciemnych skarpetek i T-shirtu.

Przez długi czas po prostu wpatrywałam się w poślanie, a potem położyłam się na łóżku. Poduszka pachniała włosami Sama.

Po paru bezsennych nocach nagle poczułam, jakbym znalazła się w niebie. Nie wiedziałam, gdzie jest Sam, ale byłam pewna, że wróci. Ja już czułam, jakbym znowu była z nim. Powieki nagle mi zaciążyły.

Zamknęłam oczy; miałam wrażenie, że ogarnia mnie plątanina odczuć i emocji. Ostatnio nieustanny ból w brzuchu. Ukłucie zazdrości, gdy pomyślałam o Olivii w ciele wilka. Gniew na rodziców. Obezważniająca dzikość tęsknoty za Samem. Dotyk warg na moim czole. Zanim się zorientowałam, zapadłam w sen i znowu się obudziłam. Byłam przekonana, że minęła zaledwie chwila, ale kiedy otworzyłam oczy, leżałam odwrócona twarzą do ściany i otulona kołdrą.

Zazwyczaj, gdy budziłam się gdzieś indziej niż we własnym łóżku – u mojej babci albo w hotelu – przez chwilę zupełnie nie wiedziałam, gdzie się znajduję; a moje ciało zastanawiało się, dlaczego światło jest inne i dlaczego pod głową mam obcą poduszkę. Ale kiedy otworzyłam oczy w pokoju Sama, poczułam się całkowicie inaczej. Byłam w pełni świadoma, że śpię w domu Becka, jakby mój umysł nie mógł zapomnieć, gdzie jestem.

Gdy przekręciłam się, żeby rozejrzeć się po pokoju, i zobaczyłam papierowe żurawie tańczące pod sufitem, wcale nie byłam zaskoczona. Raczej niezwykle zachwycona. Setki ptaków w każdym kształcie, rozmiarze i kolorze płały powoli w powietrzu napływającym z otworów wentylacyjnych.

To było jak życie w zwolnionym tempie. Jaskrawe światło, wlewające się przez wysokie okno, rzucało drgające cienie w kształcie ptaków na cały pokój: na sufit, ściany, szczyty regałów i półek z książkami, na kołdrę, na moją twarz. Te obrazy urzekały pięknem.

Zastanawiałam się, jak długo spałam. Byłam też ciekawa, gdzie jest Sam. Przeciągając się, uświadomiłam sobie, że przez otwarte drzwi słyszę monotony szum prysznic oraz niewyraźny głos Sama przebijający się przez dźwięk lejącej się wody:

*Dni idealne, ze szkła stworzone,
na półkach stoją, szczęściem barwione.
I wciąż rzucają idealne cienie
na dni najgorsze, kryjąc je w lśnieniu.*

Końcówkę prześpiewał dwa razy, zmieniając „idealne cienie” na „ulotne cienie”, a potem na „cienie wspomnienia”. Jego głos rozbrzmiewał echem w łazience.

Uśmiechnęłam się do siebie. Nagle kłótnia z rodzicami wydała mi się czymś odległym. Kopniakiem odrzuciłam koce i zerwałam się z łóżka, potrącając głową żurawia, który zaczął się huśtać na wszystkie strony. Sięgnęłam w górę, żeby go uspokoić, a potem zaczęłam się rozglądać pośród ptaków, sprawdzając, z czego są zrobione. Ten, który uderzył mnie w czoło, był złożony z gazeta. Kolejny – z błyszczącej okładki czasopisma. Jeszcze inny – z papieru przepięknie i misternie zadrukowanego w kwiaty i licie. Jeden – jakby z formularza podatkowego. Taki zniekształcony i malutki – z dwóch sklejonych banknotów jednodolarowych. Ze świadectwa ukończenia szkoły korespondencyjnej z Maryland. Tak wiele historii i wspomnień wiszących nad głową, jakby Sam chciał, żeby były blisko nawet podczas snu.

Dotknęłam żurawia, który wisiał bezpośrednio nad poduszką. Zrobiony był z nieco wymiętego kawałka kartki pokrytej pismem Sama. Słowa były niczym echo głosu, który teraz słyszałam w tle, a jedna z nabazgranych linijek mówiła coś o dziewczynie leżącej na śniegu.

Westchnęłam.

Wewnątrz czułam pustkę, choć nie było w tym nic złego. Był to raczej brak doznań, podobny do tego, jaki towarzyszy człowiekowi, który bardzo długo cierpiął, a potem nagle zdał sobie sprawę, że ból ustał. To uczucie wiązało się ze świadomością, że zaryzykowałam, żeby być tutaj z tym chłopakiem, i wiedziałam, że on jest dokładnie tym, czego pragnę.

Byłam kompletnym obrazkiem, a potem nagle odkryłam, że stanowią zaledwie element układanki – gdy już wreszcie odnalazłam ten drugi fragment idealnie do mnie pasujący.

Znowu się uśmiechnęłam, a żurawie delikatnie zatańczyły wokół mnie.

– Cześć – powiedział Sam, stając w drzwiach.

W jego głosie pobrzmiewała ostrożność, jakby nie był pewien, jak się zachować po tylu dniach rozłąki. Mokre włosy sterczały mu na wszystkie strony. Miał na sobie koszulę z kołnierzykiem, która sprawiała, że wyglądał jakoś oficjalnie, mimo że była wymięta i nie wetknął jej jeszcze w dzinsy. Mój umysł krzyczał: „Sam, Sam, nareszcie Sam!”.

– Cześć – odrzekłam; nie mogłam powstrzymać swoich śmiejących się ust.

Zagryzłam wargę, ale uśmiech nie zniknął, tylko zrobił się większy, gdy Sam go odwzajemnił. Stałam tam, pośród jego ptaków origami, kształt mojego ciała wciąż był odcisnięty na prześcieradłach, a słońce zalewało nas oboje nieprzebrany blaskiem. Wszystkie zmartwienia minionej nocy wydały mi się nic nieznaczące w obliczu piękna tej chwili.

Myśl o tym, jak niezwykła osobą jest ten stojący przede mną chłopak i że należymy do siebie nawzajem, poruszyła mnie do głębi.

– W tym momencie – odezwał się Sam; w dłoni trzymał żurawia ze skąpanymi w słońcu skrzydłami, złożonego z faktury za dzisiejszy czas studyjny – trudno sobie wyobrazić, że gdziekolwiek na świecie może padać deszcz.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

COLE

Nie mogłem się pozbyć woni sarniej krwi z nozdrzy.

Gdy dotarłem do domu, Sama już nie było. Na podjeździe brakowało jego samochodu, a dom stał pusty; po korytarzu niosło się echo moich kroków. Wpadłem do łazienki (chodnik wciąż leżał pofałdowany po mojej nocnej walce z Samem) i puściłem wodę tak gorącą, jak tylko się dało. Stałem pod kojącym strumieniem i obserwowałem, jak krew znika w odpływie, wirując wściekle. W słabym świetle tłumionym przez zastonkę prysznicowa wyglądała, jakby była czarna. Spłukując brud z ramion, starałem się zmyć z siebie również zapach łani, ale nieważne, jak mocno się szorowałem, wciąż czułem smród. Z każdym wdechem widziałem w myślach tylko jeden obraz: spoglądające na mnie ciemne oko bezbronnego zwierzęcia, które łagodnie się poddało.

Potem przypomniałem sobie, z jakim wyrzutem patrzył na mnie Victor, gdy leżał na podłodze w szopie. A następnie wilk o jego oczach. To też była moja wina.

W tym momencie dotarło do mnie, że rzeczywiście jestem przeciwieństwem ojca. Bo byłem bardzo, bardzo dobry w niszczeniu różnych rzeczy.

Odkręciłem zimną wodę. Resztki gorącej zmieszały się z nią i przez krótką chwilę strumień miał temperaturę mojego ciała. Poczułem się tak, jakbym był niewidzialny. A potem woda stała się lodowata. Przekląłem i zwalczyłem chęć wyskoczenia z wanny.

Na skórze natychmiast pojawiła mi się gęsia skórka, tak szybko, że aż poczułem ból. Pozwoliłem głowie opaść do przodu; woda pociekła mi po karku.

Przemień się. Przemień się teraz.

Ale prysznic nie był wystarczająco zimny, żeby zmusić moje ciało do transformacji; wywołał tylko ścisk we wnętrznościach i mdłości. Użyłem stopy, żeby zamknąć dopływ wody.

Dlaczego wciąż byłem człowiekiem?

To nie miało sensu. Jeśli przeistoczenie się w wilka stanowiło problem naukowy, a nie przejaw magii, to musiało się opierać na logicznych zasadach. A to, że nowe wilki zmieniały się w różnych temperaturach i o różnym czasie... to kompletny brak jakichkolwiek reguł. W głowie wirowały mi obrazy Victora przemieniającego się w te i z powrotem, białej wilczycy obserwującej mnie w milczeniu i mnie samego, krążącego po korytarzach tego domu, czekającego na transformację. Chwyciłem ręcznik i się osuszyłem; po chwili przerzucałem szafy w poszukiwaniu ubrań. Znalazłem ciemnoniebieską bluzę z napisem „NAVY” i jakieś dzinsy, które były trochę za luźne, ale nie spadały. Huczało mi w głowie od rozmyślania nad logicznymi przyczynami całej tej sytuacji.

Może Beck mylił się co do czynników wywołujących przemianę. Może gorąco i zimno tak naprawdę nie powodowały transformacji; może były tylko katalizatorami? W takim razie mogły istnieć inne sposoby, żeby zamienić się w zwierzę.

Potrzebowałem papieru. Nie mogłem jasno myśleć bez notowania tego, co przychodziło mi do głowy.

Z gabinetu Becka wziąłem trochę kartek i jego terminarz. Usiadłem przy stole w jadalni z długopisem w dłoni. Ciepłe powietrze powoli sączyło się przez kratki wentylacyjne, sprawiając, że robiłem się senny.

Odruchowo powróciłem myślami do stołu w jadalni rodziców. Siadywałem tam każdego ranka z „notesem burzy mózgów” – to był pomysł mojego ojca – i odrabiałem pracę domową albo pisałem teksty piosenek, albo zapisywałem swoje rozważania na temat tego, co usłyszałem w wiadomościach.

To było jeszcze wtedy, gdy byłem absolutnie pewien, że zmienię świat.

Pomyślałem o Victorze, o wyrazie jego twarzy, gdy odlatywał na jakimś nowym dragu. I o wyrazie twarzy swojej matki, gdy powiedziałem jej, że ona i tata mogą iść do diabła. O niezliczonych dziewczynach, które budziły się u mego boku tylko po to, żeby odkryć, że spały z duchem, bo mnie już przy nich nie było – albo fizycznie, albo dlatego, że właśnie miałem kolejny odlot dzięki zawartości jakiejś butelki lub strzykawki. O sposobie, w jaki Angie przycisnęła dłoń do mostka, gdy oznajmiłem jej, że ją zdradzałem.

Och tak, zmienianie świata szło mi świetnie.

Otworzyłem terminarz i zacząłem go przeglądać. Nie wczytywałem się, tylko przebiegałem wzrokiem kartki w poszukiwaniu wskazówek. Były tam krótkie fragmenty, same w sobie bez znaczenia, ale mnie mogły się przydać: „Znalazłem dziś martwą wilczycę; spojrzałem w jej oczy, ale była dla mnie nikim. Paul powiedział, że przestała się zmieniać jakieś czternaście lat temu. Miała krew na pysku. Cuchnęła jak diabli. (...) Derek przemienił się w wilka na dwie godziny w samym środku upalnego lata; Urlik i ja próbowaliśmy to rozgryźć przez całe popołudnie. (...) Dlaczego Sam dostał o tyle lat mniej niż reszta sfory? Przecież on jest najlepszy z nas wszystkich. Dlaczego życie musi być takie niesprawiedliwe?”.

Spojrzałem na swoją dłoń. Pod paznokciem kciuka zauważyłem jeszcze trochę krwi. Podejrzywałem, że mogła przetrwać na skórze tylko po transformacji, a to oznaczałoby, że dostała się tam już po tym, jak zmieniłem się w człowieka. W ciągu tych kilku minut, gdy znów miałem ludzkie ciało, ale jeszcze nie stałem się Cole'em.

Położyłem głowę na stole; drewno zdawało się lodowate w zetknięciu z moją skórą. Wyglądało na to, że rozgryzienie logiki wilkołactwa wymaga zdecydowanie za dużo wysiłku. Nawet gdybym... nawet gdybym odkrył, co tak naprawdę sprawia, że się przemieniamy, i gdzie znajduje się nasz umysł, kiedy nie podąża za ciałem – jaki to miałyby sens? Skoro i tak nadejdzie dzień, w którym stanę się wilkiem na zawsze... Cały ten trud tylko po to, żeby zachować życie, którego nie będę pamiętał. Moje życie niewarte, żeby je zapamiętać...

Wiedziałem, że przecież są sposoby na definitywne pozbycie się takich myśli. I znałem jeden, ostateczny, ale aż do tej pory byłem zbyt tchórzliwy, żeby go wykorzystać.

Kiedyś powiedziałem o tym Angie. To było chyba jeszcze, zanim mnie znienawidziła. Akurat wróciłem do domu z pierwszej trasy; cały świat leżał u moich stóp, jakbym był jednocześnie jego królem i zdobywcą. Angie nie wiedziała, że zdradzałem ją na wyjeździe. A może zdawała sobie z tego sprawę? Brzdąkałem na keyboardzie, a gdy wreszcie przerwałem, obwieściłem:

– Myślałem o tym, żeby popełnić samobójstwo.

Angie siedziała w starym fotelu, który trzymaliśmy w garażu. Nawet nie podniosła na mnie wzroku.

– Taa, tak sądziłam. I jak ci idzie?

– Widzę zdecydowane zalety takiego rozwiązania. Do głowy przychodzi mi tylko jedna wada.

Milczała przez dłuższą chwilę, a potem rzuciła:

– A tak w ogóle, to czemu mi o tym mówisz? Chcesz, żebym ci to wyperswadowała? Jediną osobą, która może to zrobić, jesteś ty sam. W końcu jesteś geniuszem, więc na pewno dobrze o tym wiesz.

– Bzdura! – obruszyłem się. – Naprawdę chciałem twojej rady. Ale nieważne.

– A spodziewałaś się, że co ci powiem?! „Jesteś moim chłopakiem, ale, dalej, zrób to. Śmierć to niezły sposób ucieczki”. O coś takiego ci chodziło?

Wróciłem myślami do jednego hoteli na trasie, gdzie pozwoliłem jakiejś dziewczynie o imieniu Rochelle, której już nigdy nie zobaczę, zsunąć mi spodnie tylko dlatego, że miałem taki kaprys. Zamknąłem oczy i poczułem odrazę do samego siebie.

– Nie wiem, Angie. Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Po Prost powiedziałem, co myślę, okej?

Przygryzła wargę i przez krótką chwilę wpatrywała się nieobecny wzrokiem w podłogę.

- Okej, a co powiesz na to? Zbawienie. To największy argument przeciw samobójstwu, jaki przychodzi mi do głowy. Gdy się zabijesz, to koniec, zero zbawienia. No i zostajesz zapamiętany jako totalny słabeusz, który nie udźwignął ciężaru sławy. To oraz piekło. Czy wciąż w nie wierzysz?

Zgubiłem swój krzyżyk gdzieś w trasie. Łańcuszek się zerwał i teraz pewnie leżał gdzieś, w jakiejś łazience na stacji benzynowej albo zaplątany w hotelowej pościeli, albo wziął go sobie na pamiątkę ktoś, komu wcale nie chciałbym go zostawić.

- Tak – przyznałem, bo wciąż wierzyłem w piekło; to istnienia nieba nie byłem już pewien.

Nie wspominałem jej o tym nigdy więcej. Bo miała rację: jedyną osobą, która mogłaby mnie od tego odwieść, byłem ja sam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

GRACE

Z każdą minutą oddalaliśmy się coraz bardziej od Mercy Falls i wszystkiego, co tam zostało.

Wzięliśmy samochód Sama, ponieważ mniej palił i miał mniejszy przebieg, ale Sam pozwolił mi prowadzić, bo wiedział, że to lubię. W odtwarzaczu wciąż tkwiło moje CD z Mozartem, lecz gdy tylko ruszyliśmy, przełączyłam na stację nadającą *indie rock*, której Sam często słuchał. Mój chłopak zamrugał, zaskoczony, a ja starałam się nie wyglądać na zbyt zadowoloną z siebie w związku z faktem, że uczę się jego świata. Może wolniej niż on mojego, ale wciąż robiłam postępy.

Dzień był piękny, niebo błękitne; cienka powłoka bladej mgły unoszącej się nad drogą zaczęła wyparowywać, kiedy tylko słońce znalazło się nad drzewami. Śpiew jakiegoś kolesia o aksamitnym głosie i niezłej gitarze płynął z głośników – przypominał Sama.

Sam oparł ramie o mój zagłówek, delikatnie muskał mój kark i mruczał po nosem słowa piosenki, głosem czułym i tak bardzo swojskim. Mimo że nogi zaczynały mi drętwieć, ciężko mi było oprzeć się wrażeniu pełnej harmonii ze światem.

– Czy już wiesz, co zaśpiewasz? – zapytałam.

Sam oparł policzek na wyciągniętym ramieniu i nadal rysował leniwe kółka na moim karku.

– Nie wiem. Zaskoczyło mnie, że jednak jedziemy. A przez ostatnie kilka dni bardziej martwiłem się tym, że stałem się obiektem ostracyzmu rodzicielskiego niż swoją karierą. Chyba zaśpiewam... coś. Pewnie i tak będę beznadziejny.

– Nie sądzę. Co śpiewałeś pod prysznicem?

Odpowiedział bez skrępowania, co było jednocześnie ujmujące i nietypowe dla niego. Zaczynałam sobie uświadamiać, że muzyka jest jedyną skórą, w której czułem się naprawdę komfortowo.

– Coś nowego. Może coś nowego. Cóż... może coś.

Wjechałam na autostradę międzystanową; o tej porze dnia trasa była wyludniona; mieliśmy wszystkie pasy tylko dla siebie.

– Coś jak piosenka-dziecko?

– Piosenka-dziecko. Bardziej jak piosenka-płód. Nie sądzę, żeby miała choćby nóżki. Czekaj, chyba zaczynam mylić dzieci z kijankami!

Próbowałam sobie przypomnieć etapy rozwoju ludzkiego płodu, ale trwało to za długo, i nie znalazłam wystarczająco dobrej odpowiedzi, więc tylko zapytałam:

– Piosenka o mnie?

– Wszystkie są o tobie – przyznał Sam.

– Nie ma takiej potrzeby.

– To ty jej nie odczuwasz. Po prostu płyniesz przez życie. A ja jestem poetą, który musi nadążyć za tym, jak się zmieniasz, i kreatywnie opisać ten proces. Podlegasz stałej ewolucji, wiesz?

Zmarszczyłem brwi. Zawsze uważałam swoją osobę za frustrująco przewidywalną.

– Wiem, co myślisz. Ale... mimo zakazów jesteś tutaj, prawda? – zapytał Sam. – Walczyłaś o to, żeby być ze mną, zamiast pozwolić rodzicom się uziemić. To jest poświęcenie, o którym powstają całe albumy!

Nie znał nawet połowy prawdy. Zalała mnie fala różnorodnych emocji: poczucia winy, rozżalenia, niepewności i zdenerwowania. Wszystko naraz. Nie miałam pojęcia, co byłoby gorsze: dalsze ukrywanie przed nim, że wciąż mam szlaban, uciekałam z domu i że jestem coraz bardziej chora czy przyznanie się do

wszystkiego. Ale wiedziałam jedno: cokolwiek powiem, nie będę w stanie już tego cofnąć. A nie chciałam psuć mu tego dnia. Może wieczorem... Może jutro...

Chyba rzeczywiście byłam bardziej skomplikowana, niż sądziłam, chociaż wciąż nie rozumiałam, jak to może stanowić materiał na album. Ale byłam dumna z siebie, że kupując ten czas nagraniowy, udało mi się zaimponować Samowi, który przecież znał mnie lepiej niż ja sama. Odrobinę zmieniłam temat.

- Jak nazwiesz swój album?
- Cóż, nie będę dzisiaj nagrywał albumu. Tylko demo.

Machnęłam ręką na to wyjaśnienie.

- Kiedy już nagrzesz album, jak będzie się nazywał?
- „Bez tytułu” – rzucił Sam.
- Nie cierpię tego.
- „Broken toys”.
- To brzmi raczej jak nazwa zespołu. – Przecząco pokręciłam głową.

Uszczypnęłam mnie, wystarczająco mocno, żebym zapisała i wykrzyknęła:

- Au!
- „W pogoni za Grace”.
- Absolutnie nic z moim imieniem w nazwie – oświadczyłam stanowczo.
- Jesteś niemożliwa. To może na przykład „Papierowe wspomnienia”?

Zastanowiłam się nad tym.

- Dlaczego? Ach, z powodu żurawi. To dziwne, że wcześniej nie wiedziałam o tym, że wiszą w twoim pokoju.
- Nie dodałam żadnego, od kiedy jesteś ze mną – wyjaśnił Sam. – Ostatniego z tej kolekcji złożyłem w wakacje dwa lata temu. Wszystkie nowe są w księgarni albo w twoim pokoju. Moja sypialnia jest jak muzeum.
- Już nie – powiedziałam, zerkając na niego.

Wyglądał blado w porannym świetle. Zmieniłam pas ruchu tylko po to, żeby coś zrobić.

- To prawda – przyznał, po czym odsunął się, wyciągnął rękę zza mojej głowy i przesunął palcem po plastikowej kratce nawiewu. Tak bardzo tęskniłam za tymi palcami. – Jak sądzisz, jakiego faceta chcieliby dla ciebie twoi rodzice? No, żebyś za kogo wyszła? Kogoś lepszego ode mnie? – zapytał, nie patrząc na mnie.
- A kogo obchodzi, co oni myślą?! – prychnęłam.

Zbyt późni zdałam sobie sprawę z tego, co tak naprawdę powiedział. A gdy już to do mnie dotarło, nie wiedziałam, czy powinnam coś jeszcze dodać. Nie byłam pewna, co rzeczywiście miał na myśli. To przecież nie były prawdziwe oświadczenia. To nie to samo. Nie wiedziałam, jak się z tym czuję.

Sam przetknął ślinę i zaczął się bawić przełącznikiem nawiewu. Otwierał go i zamykał, otwierał i zamykał.

- Zastanawiam się, co by było, gdybyś mnie nie spotkała. Gdybyś ukończyła liceum i dostała stypendium naukowe, i została ekspertem od matematyki, gdzieś, gdzie studiują geniusze. I gdybyś poznała jakiegoś czarującego, odnoszącego sukcesy i zabawnego naukowca.

Ze wszystkich rzeczy, które wydawały mi się w nim niezrozumiałe, ta była najbardziej zagadkowa: jego nagłe zmiany nastroju, podczas których całkowicie tracił wiarę w siebie i swoją wartość. Ale wiele razy słyszałam, jak tata wyciąga mamę z depresji, a huśtawki nastrojów Sama i jej były na tyle podobne, że rozpoznawałam ich objawy. Czy bycie artystą oznaczało nieustannego doła?

- Nie bądź niemądry – rzuciłam. – Ja nie rozmyślałam w kółko o tym, co by było, gdybyś wyciągnął ze śniegu jakąś inną dziewczynę.

- Nie? Co za ulga. – Podkreślił ogrzewanie i oparł nadgarstki o wylot nawiewu. I tak już gotowaliśmy się w słońcu grzejącym przez szyby, ale Sam był jak kot. Nigdy nie było mu za gorąco. – Ciężko przyzwyczać się do tego, że już zawsze pozostanę człowiekiem. Że dorosnę. Dlatego poważnie zastanawiam się nad poszukaniem sobie jeszcze jednej pracy.
- Jeszcze jednej? Poza księgarnią?
- Grace, ja nie do końca się orientuję, ile potrzebuję, żeby utrzymać dom... Jest trochę pieniędzy w banku i widzę, że oszczędności generują odsetki, a od czasu do czasu na konto przychodzą wpływy z jakiegoś funduszu, czy czegoś w tym stylu; część tej sumy jest potrącana na rachunki. Ale tak naprawdę nie znam szczegółów. Nie chcę roztrwonić tych pieniędzy, więc...
- Dlaczego nie porozmawiasz z jakimś bankowcem? Jestem pewna, że będą w stanie przejrzeć zestawienia i pomóc ci to wszystko rozgryźć.
- Nie chcę gadać o tym z nikim, dopóki się nie upewnię, że Beck... - Sam przerwał. Po prostu zamilkł, jak nożem uciął. Zapatrzył się w krajobraz za oknem.

Dopiero po chwili zrozumiałam, co miał zamiar powiedzieć. Beck. Nie chciał rozmawiać z nikim, dopóki nie będzie pewien, że Beck nie przemieni się już w człowieka. Sam przyciskał dłonie do deski rozdzielczej nad wylotami powietrza, aż pobiełały mu opuszki palców. Głowę schował w ramiona.

- Sam – odezwałam się, zerkając na niego, a jednocześnie starając się wciąż utrzymać wzrok na autostradzie. – Dobrze się czujesz?

Sam spokojnie położył dłonie na kolanach, po czym zacisnął je w pięści.

- Dlaczego musieliśmy stworzyć te nowe wilki? – zapytał w końcu. – Wszystko stało się przez to o tyle trudniejsze. A tak dobrze sobie radziliśmy.
- Beck nie mógł wiedzieć, że zostaniesz wyleczony – zauważyłam, bacznie obserwując go kątem oka. W zamyśleniu pocierał palcem to miejsce między nasadą nosa a czołem. Zaczęłam rozglądać się za zjazdem, gdzie mogłabym się zatrzymać. – On sądził, że... - i teraz to ja nie potrafiłam dokończyć zdania: „To był twój ostatni rok” – pomyślałam.
- Ale Cole... nie wiem, co zrobić z Cole’em – wyznał Sam. – Po prostu czuję, że jest w nim coś, co powinienem rozumieć, lecz tego nie kapuję. A gdybyś zobaczyła jego oczy, Grace. Och, Boże, gdybyś spojrzała w te jego oczy, od razu wiedziałabyś, że coś jest z nim naprawdę nie tak. Jest w nim coś zepsutego. A jeszcze ta pozostała dwójka i Olivia. A ja chcę, żebyś poszła do college’u, i potrzebuję... Ktoś musi... Pogubiłem się, nie wiem, co powinienem... I ciężar tej odpowiedzialności mnie przytłacza. Nie wiem, czego oczekiwałby ode mnie Beck, ani czego ja sam się po sobie spodziewam. Ja najzwyczajniej... - ucichł znowu, a ja nie umiałam go pocieszyć.

Jechaliśmy w milczeniu przez kilka długich minut. W tle słychać było pogodne dźwięki gitary, podczas gdy pod kołami samochodu znikwały kolejne białe pasy. Sam zacisnął usta, jakby nie mógł uwierzyć, że przyznał się do dręczących go obaw.

- „Still waking up” – powiedziałam.
- Co...?
- No, twój album: „Na granicy przebudzenia” – wyjaśniłam, zerkając na niego.

Spojrzał na mnie z napięciem. Może z zaskoczeniem, że trafiłam w dziesiątkę.

- Właśnie tak to czuję, właśnie tak. Niedługo pewnie przyzwyczaję się do myśli, że jest ranek i będę człowiekiem do końca dnia. Do końca wszystkich dni. Ale póki co wciąż potykam się – jak we śnie.

Popatrzyłam na niego i napotkałam jego wzrok.

- Ale przecież wszyscy tak mają. Wszyscy w pewnym momencie uświadamiają sobie, że nie zawsze będą dziećmi i że dorastają. Ty po prostu dotrzesz do tego momentu trochę później niż większość ludzi. Zrozumiesz to.

Na jego ustach powoli pojawił się smutny, ale szczery uśmiech.

- Ty i Beck jesteście ulepiani z tej samej gliny.
- Pewnie dlatego kochasz nas oboje – zauważyłam.

Sam ułożył palce na pasie, jakby wygrywał gitarowy akord, i tylko pokiwał głową. Kilka chwil później powiedział w zamyśleniu:

- „Still waking up”. Kiedyś napiszę piosenkę dla ciebie i tak ją zatytułuję. A potem nazwę od niej album.
- Bo jestem mądra – skwitowałam.
- Tak – potwierdził Sam.

Następnie wyjrzał przez okno i byłam zadowolona, że to zrobił, bo dzięki temu zdążyłam po kryjomu wyciągnąć z kieszeni chusteczkę. Z nosa czaiła mi lecieć krew.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ISABEL

Biegłam. Co trzeci krok płuca rozrywała mi eksplozja. Jedno stąpięcie i wciągam porcję zimnego powietrza, kolejne – powietrze krąży we mnie, a ja już robię następne i pozwalam mu się wydostać – wydech.

Nie biegałam stanowczo za długo, a takich dystansów nie robi się po przerwie. Zawsze lubiłam jogging, bo dawał mi czas na myślenie, z dala od rodziców. Ale po śmierci Jacka nie chciałam myśleć.

Teraz to się zmieniło.

Dlatego znowu zaczęłam biegać, choć było zdecydowanie za zimno, żeby mogło mi to sprawiać przyjemność, a do tego straciłam formę. Ból w łydkach mnie dobijał, mimo nowych i bardzo fajnych butów.

Podążałam do Cole'a.

Nawet gdybym nie przerwy w treningach, odległość od mojej chaty do domu Becka była za duża. Więc zaparkowałam samochód kilka kilometrów od celu, rozgrzałam się w przezroczystej mgle i wystartowałam.

Pokonywany dystans dał mi mnóstwo czasu, żeby zmienić zdanie. Ale dom Becka był już w zasięgu wzroku, więc nadal biegłam. Prawdopodobnie wyglądałam koszmarnie, ale co mnie to obchodziło? Jeśli byłam tu po to, żeby porozmawiać, nie miało to znaczenia, prawda?

Podjazd był pusty; Sam już wyjechał. Nie wiedziałam, czy odczuwam z tego powodu ulgę czy rozczarowanie. Pomyślałam, że w takim razie istnieje spora szansa na to, że w domu nie zastanę nikogo, bo Cole był teraz wilkiem. I znowu nie potrafiłam określić, czy mi ulżyło, czy jestem zawiedziona.

Kilka metrów od celu zwolniłam bieg do chodu, bo dostałam kolki. Gdy dotarłam do tylnego wejścia, zdążyłam już niemal wyrównać oddech. Chwyciłam za gałkę; drzwi się otworzyły.

Weszłam do domu i się zawahałam. Miałam zamiar krzyknąć „cześć”, ale uwiadomiłam sobie, że może nie tylko Cole przemienił się już w człowieka. Więc stałam tam, w ciemnym kącie przy wejściu, spoglądając w stronę kuchni i przypominając sobie, jak tkwiłam w tym budynku i obserwowałam, jak Jack umiera.

Grace łatwo było mówić, że to nie moja wina. Słowa takie jak te w ogóle nic nie znaczyły.

Nagły ogłuszający hałas sprawił, że aż podskoczyłam. Po jakimś czasie rozległ się kolejny łomot i trzask. To brzmiało jak pozbawiona głosu kłótnia. Przez dłuższą chwilę nawet nie drgnęłam; zastanawiałam się, czy nie powinnam po prostu się wymknąć i pobiec z powrotem do swojego samochodu.

„Już raz siedziałś w tym domu i nic nie zrobiłaś” – pomyślałam ponuro. Skierowałam się więc do kuchni i dalej przez korytarz; zawahałam się, zaglądając do salonu. Nie do końca rozumiałam, co widzę. Zobaczyłam... wodę. Jej strumienie lśniły, tworząc delikatne nierówne wzory na drewnianej podłodze. Wyglądały niemal pięknie.

Rozejrzałam się. Pokój był kompletnie zdemolowany. Lampa przekrzywiona, abażur strącony na sofę, ramki ze zdjęciami porzrucane po podłodze. Dywanik z kuchni, zarzucony na jeden z niskich stolików, ociekał wodą. Przewrócone krzesło wyglądało jak niemy świadek tych wydarzeń, zbyt zaszokowany, żeby się podnieść. Powoli weszłam do pomieszczenia, nasłuchując kolejnych dźwięków, ale w domu panowała cisza.

Zniszczenia wyglądały tak dziwnie, że musiały być celowe – książki z powyrywaniem stronami porzucone w wodzie, powgniatane puszki z jedzeniem walające się pod ścianami, pusta butelka po winie wetknięta szyjką w doniczkę, farba zdrapana ze ścian.

A potem znowu usłyszałam odgłosy szamotaniny i trzaski. Zanim zdążyłam zareagować, w korytarzu pojawił się wilk. Staniał się i objął o ściany, zmierzając w moja stronę. Zrozumiałam, w jaki sposób salon znalazł się w obecnym stanie.

- Jasna cho... - zaczęłam i wycofałam się do kuchni. Wilk raczej nie był zainteresowany atakiem. Zataczał się, a woda ściekała mu z boków. Wydawał się dziwnie mały. Przemoczone szarobrązowe futro gładko przylegało do ciała. Nie był groźniejszy od psa. W końcu stanął przede mną, a ja zobaczyłam jego bezczelne zielone oczy.
- Cole – szepnęłam, a serce забиło mi mocniej. – Ty szalony draniu.

Ku memu zaskoczeniu wzdrygnął się na dźwięk mojego głosu. To przypomniało mi, że w końcu był zwierzęciem, a ja zagradzałam mu drogę do wyjścia.

Wycofałam się, jednak zanim zdążyłam zdecydować, czy powinnam spróbować otworzyć mu drzwi, Cole zaczął się wić i skręcać na ziemi. Miał konwulsje i odruchy wymiotne. Zrobiłam kilka kroków w tył, żeby nie zarzygał mi nowych sportowych butów, i skrzyżowałam ręce na piersiach, obserwując jego przemianę.

Leżał na boku w drgawkach, wydrapując pazurami nowe ślady na ścianie – Sam nie będzie zachwycony. Potem jego ciało zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jego skóra zbulgotała i rozciągnęła się; ujrzałam, jak wilczy pysk otwiera się szeroko z bólu. Dysząc, drapieźnik przekreślił się na plecy.

Nowo uformowany człowiek leżał wyciągnięty na podłodze jak wieloryb wyrzucony na brzeg. Ramiona miał poznaczone bladoróżowymi wspomnieniami ran. Wreszcie otworzył oczy i zaczął mi się przyglądać.

Żołądek fiknął mi koziołka. Cole odzyskał swoją twarz, jednak jego oczy wciąż były dzikie, zagubione w wilczych myślach. W końcu zamrugał i już wiedziałam, że zaczął mnie widzieć naprawdę.

- Fajna sztuczka, nie? – rzucił odrobinę zachrypniętym głosem.
- Widziałam lepsze – skwitowałam chłodno. – Co ty wyprawiasz?

Cole nie poruszył się, tylko rozwarł dłonie do tej pory zaciśnięte w pięści i rozprostował palce.

- Przeprowadzam eksperymenty naukowe. Na sobie samym. Wielu przede mną wybierało tę drogę.
- Jesteś pijany?
- Możliwe – zgodził się z leniwym uśmiechem. – Nie mam pewności, czy przemiana nie metabolizuje alkoholu w mojej krwi. Ale czuję się nieźle. Dlaczego tutaj jesteś?

Zacisnęłam wargi.

- Nie jestem. To znaczy, właśnie wychodziłam.

Cole wyciągnął rękę w moim kierunku.

- Nie odchodź.
- Bo to wygląda na świetną zabawę – powiedziałam z sarkazmem.
- Pomóż mi to rozgryźć – poprosił. – Pomóż mi wykombinować, jak zostać wilkiem na zawsze.

Przypomniałam sobie, w nogach łóżka swojego brata – chłopaka, który zaryzykował wszystkim, żeby pozostać człowiekiem – i obserwowałam, jak traci czucie w kończynach i jak skamle z bólu, podczas gdy jego mózg eksploduje. Brakowało mi słów, żeby opisać obrzydzenie, jakie czułam do Cole'a w tym momencie.

- Sam to sobie rozgryź! – warknęłam.
- Nie mogę – wyznał Cole, nadal leżąc na plecach. – Potrafię się zmusić do transformacji, ale forma wilka nie chce się utrzymać. Zimno pomaga, ale nie zawsze, bo próbowałam lodowatej kąpieli i nie zadziałała. Więc się pociąłem, żeby poczuć adrenalinę, ponieważ to też może być jeden z czynników. Ale wciąż zmieniam się z powrotem w *homo sapiens*.

- Buu, chyba się rozplącę – skomentowałam. – Sam będzie wściekły, gdy zobaczy, co zrobię z jego domem – dodałam i odwróciłam się, żeby odejść.
- Isabel, proszę – głos Cole’a podążył za mną, choć on sam nie drgnął. – Jeśli nie uda mi się przeistoczyć w wilka na zawsze, to się zabiję...

Zatrzymałam się. Ale cały czas stałam tyłem do niego.

- Nie próbuję grać na twoich uczuciach, okej? Po prostu taka jest prawda – zawahał się. – Muszę się jakoś wydostać z tego ciała. I mam tylko dwie opcje. Ja już nie mogę... muszę to rozgryźć, Isabel. Ty wiesz więcej o wilkach. Proszę, pomóż mi.

Obróciłam się. Ciągłe leżał na podłodze, z jedną ręką na piersi, a drugą wyciągniętą w moja stronę.

- Właśnie mnie prosisz, żebym pomogła ci popełnić samobójstwo. Nie udawaj, że chodzi o cokolwiek innego. Bo według ciebie, co tak naprawdę będzie, kiedy już staniesz się wilkiem na zawsze?

Cole zamknął oczy.

- Więc pomóż mi się zabić.

Roześmiałam się. Mój śmiech zabrzmiał okrutnie, ale tego właśnie chciałam.

- Pozwól, że ci powiem, Cole. Siedziałam w tym domu – wskazałam na podłogę, gdy podniósł powieki – i patrzyłam, jak mój brat umiera. Nic z tym nie zrobiłam. Wiesz, jak umarł? Został ugryziony i starał się powstrzymać przed przemianą w wilkołaka. Zorganizowałam mu zastrzyk z krwi zarażonej bakteryjnym zapaleniem opon mózgowych, które wywołało wścieklą gorączkę, generalnie podpaliło mu mózg, potem zniszczyło palce u rąk i nóg, aż w końcu go zabiło. Nie zabrałam go do szpitala, ponieważ wiedziałam, że wolałby umrzeć, niż być zwierzęciem. I ostatecznie jego życzenie się spełniło.

Cole gapił się na mnie. Tym samym martwym spojrzeniem, jakim obdarzył mnie wcześniej. Spodziewałam się, że jakoś zareaguje, ale nic z tego. Jego wzrok był totalnie pusty, a wyraz twarzy tępy.

- Opowiadam ci o tym tylko dlatego, żebyś wiedział, że od tamtego czasu miałam ochotę uciec ze sto tysięcy razy. Myślałam o piciu – hej, w kocu to działa na moją mamę – albo o dragach – w końcu pomagają wielu. Rozważałam też to, żeby wziąć jedną z ośmiu milionów sztuk broni mojego ojca, przyłożyć ją sobie do głowy i odpalić. A co jest w tym najsmutniejsze...? Że chcę to zrobić nie dlatego, że tęsknię za Jackiem. To znaczy, tęsknię za nim, ale nie o to chodzi. Mam ochotę zwać, dlatego, że czuję się tak cholernie winna, bo to ja go zabiłam. Ja! I są takie dni, że po prostu nie potrafię z tym dłużej żyć. Ale ciągle żyję. O na tym to polega, Cole. Życie to ból. Po prostu musisz wytrzymać i trwać.
- Nie chcę – stwierdził, ot tak, po prostu.

Wyglądało na to, że lubił mnie zaskakiwać szczerością zawsze wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewałam. Wbrew swojej woli poczułam empatię. Nie mogłam nic na to poradzić, tak jak i na to, że go pocałowałam. Znowu skrzyżowałam ręce na piersiach; czułam, że usiłuje wyciągnąć ze mnie jakieś wyznanie. A ja nie wiedziałam, czy mam coś więcej do powiedzenia.

COLE

Leżałem zdruzgotany na podłodze. Byłem taki pewien, że nadszedł dzień, w którym zbiorę się na odwagę, żeby wreszcie to skończyć.

A potem straciłem tę pewność. Obserwowałem jej twarz, gdy mówiła o swoim bracie, i po prostu nie czułem już potrzeby pośpiechu. Byłem jak balonik, który robił się coraz większy i większy; czekałem, aż pęknie, a ona przyszła i wybuchła pierwsza. I w jakiś sposób to spuściło powietrze z nas obojga.

Odniosłem wrażenie, jakby każdy w tym domu miał powód, żeby uciec, a ja jako jedyny próbowałem to robić. Byłem taki zmęczony.

- Isabel, to do ciebie całkiem niepodobne... - zauważyłem. – Ty i prawdziwe ludzkie uczucia...
- A jednak.

Gapiałem się w sufit. Nie byłem przekonany co dalej.

- Wiesz, czego nie chcę już dłużej robić? – powiedziała wtedy. – Patrzeć na ciebie leżącego tutaj nago. – Przewróciłem oczami, a ona dodała: - Czy ty nigdy nie nosisz ubrań? Ilekroć cie widzę, jesteś goły. Czy aby na sto procent utknąłeś w ludzkiej formie?

Skinąłem głową, a wewnątrz czaszki poczułem ukłucie wściekłego bólu.

- Świetnie, w takim razie nie narobisz mi obciachu, gdy będziemy w mieście. Wskakuj w ciuchy. Jedziemy na kawę.

Rzuciłem jej spojrzenie mówiące: „Och, to na pewno pomoże”. Uśmiechnęła się swoim oszczędnym okrutnym uśmiechem i całkiem poważnie powiedziała:

- Jeśli po porządnej dawce kofeiny wciąż będziesz miał ochotę się zabić, to będziemy mieli na to jeszcze naprawdę mnóstwo czasu.
- Uch – stęknąłem, wstając z podłogi. Z zaskoczeniem rozejrzałem się po salonie, który zdemolowałem. Nie spodziewałem się, że jeszcze będę go oglądał ludzkimi oczami. Kręgosłup bolał mnie jak diabli od tyłu przemian w tak krótkim czasie. – Lepiej, żeby to była naprawdę dobra kawa.
- Nie należy do najwspanialszych – przyznała Isabel. Teraz, kiedy już stałem, na jej twarzy malował się dziwny wyraz. Ulgi? – Ale jak na takie zadupie, jest zdecydowanie lepsza, niż można by się spodziewać. Aha, i włóż coś wygodnego. Mój samochód stoi spory kawałek stąd.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

SAM

Z zewnątrz studio nagraniowe nie wyglądało imponująco, bardziej przypominało jednopiętrowy squat z piwnicą. Na podjeździe stał wysłużony niebieski minivan, a nieopodal leżał labrador retriever, który nie miał zamiaru się ruszyć z tak błahego powodu jak parkujący samochód, więc Grace zatrzymała się na poboczu. Zmierzyła wzrokiem stromy kąt jezdni, zaciągnęła hamulec ręczny i zaczęła sypać pytaniami:

- Czy ten pies w ogóle żyje? Myślisz, że to tutaj?

Wskazałem naklejki na zderzakach błękitnego auta, wszystkie z lokalnymi zespołami *indie* z Duluth: „Finding the monkey”, „The Wentz”, „Alien Life Forms”. Żadnego z nich nie puszczała w głównych stacjach, ale już pojawiały się w lokalnych, więc rozpoznawałem nazwy.

- Tak, tak sędzę.
- Jeśli zostaniemy porwani przez bandę hippisów, to będzie twoja wina – oświadczyła, wysiadając, a fala zimnego powietrza wpadła do samochodu, niosąc ze sobą zapachy miasta: spaliny, kurz i trudna do zdefiniowania woń ludzi mieszkających w wielu budynkach.
- To ty wybrałaś to miejsce.

Grace pokazała mi język i prychnęła pogardliwie. Zachwiała się odrobinę, ale szybko odzyskała równowagę; najwyraźniej nie chciała, żebym to zauważył.

- Dobrze się czujesz? – zapytałem.
- Nie mogłabym się czuć lepiej – zapewniła, otwierając bagażnik.

Gdy sięgnąłem do niego, żeby wyjąć futerał z gitarą, byłem tak zdenerwowany, że żołądek mi się ścisnął. Dziwiłem się, że stres dopadł mnie dopiero teraz. Miałem nadzieję, że z tego wszystkiego nie zapomnę akordów i będę w stanie coś zagrać.

Ruszyliśmy w stronę wejścia do studia. Pies nawet nie uniósł głowy.

- Myślę, że on jest martwy – stwierdziła Grace.
- A ja sędzę, że to jest jedna z tych figurek ogrodowych, pod którymi chowa się klucze.

Grace pociągnęła mnie za tylna kieszeń dżinsów. Miałem właśnie zapukać do drzwi, gdy zobaczyłem małą plakietkę z wypisaną markerem informacją: „Wejście do studia na tyłach”. Więc obeszliliśmy budynek, gdzie betonowe popękane schody, zbyt strome, żeby łatwo dopasować się do naszych kroków, zaprowadziły nas do sutenery opatrzonej logo: „Anarchy Recording, Inc. Wejście tutaj”. Pod tabliczką z nazwą stała doniczka z cherlawymi bratkami, które prawdopodobnie zostały wystawione na zewnątrz zbyt wcześnie i ucierpiały od mrozu.

- „Anarchy Incorporated”. To dopiero ironia – zauważyłem, uśmiechając się.

Zmiażdżyła mnie wzrokiem i zastukała do drzwi. Wytarłem wilgotną dłoń o dżinsy.

Drzwi się otworzyły, a w progu stanął kolejny labrador – zdecydowanie bardzo żywy – oraz dwudziestokilkuletnia dziewczyna z czerwoną bandaną na głowie. Była tak brzydka, że aż interesująca. Miała ogromny orli nos, sennie wyglądające ciemnobrązowe oczy w kształcie migdałów i wystające kości policzkowe; jej czarne włosy były zaplecione w sześć warkoczyków spiętych gumką na czubku głowy. W tej fryzurze wyglądała trochę ja księżniczka Leia z „Gwiezdnych wojen”.

- Sam i Grace? Zapraszam.

Miała cudowny chrapliwy głos palaczki, choć wokół unosił się zapach kawy, a nie papierosów.

Grace weszła do studia, podążając za zapachem kofeiny jak gryzoń za szczurołapem z Hameln.

Kiedy rozejrzeliśmy się po wnętrzu, okazało się, że obskurna fasada kryje nowocześnie urządzone azyły – całkiem inny świat. Stanęliśmy przed ścianą konsol miksujących i monitorów. Całe pomieszczenie było

ciemne i wyciszone przez dźwiękoszczelny materiał. Stłumione oświetlenie rzucało blask na klawiatury i sztywna czarna sofa. Jedna ze ścian była szklana i wychodziła na pograżony w ciemnościach dźwiękoszczelny pokój z pianinem i zestawem mikrofonów.

– Jestem Dmitra – przedstawiła się dziewczyna z warkoczykami, wyciągając do mnie rękę.

Nawet nie mrugnęła, choć na sto procent zorientowała się, że ledwo oderwałem wzrok od jej nosa. Poczułem, że zawarliśmy niepiany pakt: ona nie będzie się gapić na moje żółte oczy, a ja na jej nos.

– Ty jesteś Sam czy Grace? – zażartowała.

Uśmiechnąłem się. Podobało mi się, że jest taka wyluzowana; uścisnąłem jej dłoń.

– Sam Roth. Miło mi cię poznać.

Dmitra podała rękę Grace, która właśnie zaprzyjaźniała się z labradorem, i zapytała:

– No to co dzisiaj robimy, dzieciaki?

Grace spojrzała na mnie, gdy odpowiadałem:

– Demo. Tak myślę.

– Tak myślisz? A na jakim instrumencie grasz?

Uniosłem futerał z gitarą.

– Okej – powiedziała. – Robiłeś to wcześniej?

– Nie.

– A zatem prawiczek. Czasami tak jest nawet lepiej.

Odrobinę przypominała mi Becka. Mimo że uśmiechała się i żartowała, widać było, że jednocześnie obserwuje, ocenia i podejmuje decyzję, co sądzić o mnie i Grace. Beck też tak robił: tworzył wrażenie zażyłości, podczas gdy tak naprawdę rozważał, czy jesteś wart jego czasu, czy nie.

– Będziesz siedział tam – kontynuowała Dmitra. – Chcecie się napić kawy, zanim zaczniemy?

Grace poleciała jak pszczoła do miodu w kierunku aneksu kuchennego, który jej wskazała. Tymczasem dziewczyna ze studia zapytała mnie:

– Jakiej muzyki słuchasz?

Położyłem futerał na sofie i wyjąłem gitarę. Starłem się nie brzmieć zbyt pretensjonalnie.

– Dużo *indie rocka*. „The Shins”, Elliot Smith, Jose Gonzalez. Damien Rice. “The Gutter Twins”. Tego typu rzeczy.

– Elliot Smith – powtórzyła, jakbym nie wymienił niczego innego. – Rozumiem.

Grace powróciła z kawą w obrzydliwym kubku z wizerunkiem jelenia, podczas gdy Dmitra robiła coś z komputerem. W końcu posłała mnie do drugiego pomieszczenia. Wskazała na mikrofony – jeden do śpiewu, drugi dla gitary (oba pochylające się troskliwie w moją stronę) i podała mi słuchawki.

– Żebyśmy mogły z tobą rozmawiać – wyjaśniła, znikając w pokoju mikserskim.

Grace z ręką na głowie labradora się zawahała.

Moje palce wydawały mi się nędzne i nieadekwatne w obliczu zadania, które miały wykonać; słuchawki pachniały, jakby nosiło je zbyt wiele głów. Spojrzałem żałośnie na Grace, która wyglądała pięknie w stłumionym świetle, jak podenerwowana modelka z czasopisma. Uświadomiłem sobie, że nie zapytałem jej, jak się dziś czuje, czy wciąż jest chora. Przypomniałem sobie, jak zachwiała się, wysiadając z samochodu. I jak starała się, żebym tego nie zauważył.

Przełknąłem ślinę, gardło miałem wyschnięte na wiór. Całkiem nie na temat zaproponowałem:

– Może kupimy sobie psa?

– Możemy – zgodziła się Grace wspaniałomyślnie. – Ale nie będę go rano wyprowadzać. Będę spać.

– Ja nigdy nie śpię, więc będę to robił – odparłem.

Podskoczyłem, gdy niespodziewanie głos Dmitry rozbrzmiał w słuchawkach:

- Mógłbyś coś zaśpiewać i zagrać, żebyśmy mogła ustawić poziomy?

Grace pochyliła się i pocałowała mnie w czubek głowy, ostrożnie, żeby nie wylać mi kawy na kolana.

- Powodzenia.

Z jednej strony pragnąłem, żeby Grace została ze mną, kiedy będę śpiewał. Żeby przypominała mi o tym, dlaczego tu jestem. Ale z drugiej strony to nie byłoby to samo – nagrywać piosenki o tęsknocie za nią i jednocześnie na nią patrzeć – dlatego pozwoliłem jej wyjść.

GRACE

Zajęłam swoje miejsce na sofie i próbowałam udawać, że Dmitra mnie nie onieśmiela. W skupieniu ustawiała coś na stole mikserskim, a ja nie wiedziałam, czy rozmowa by jej przeszkadzała, więc po prostu w milczeniu obserwowałam ją przy pracy.

Szczerze mówiąc, byłam zadowolona z tej chwili ciszy i spokoju. W czasie znowu zaczynało mi huczeć, a gorąco rozlewało się po całym ciele. Tępy ból głowy promieniował aż do szczęki; emitował ciepło, które skumulowało się w gardle i nozdrzach. Przytknęłam chustkę do nosa, ale pozostała sucha. „Po prostu weź się w garść – powiedziałam sobie. – Dziś to nie ty jesteś najważniejsza”.

Nie miałam zamiaru popsuć Samowi tego dnia, więc tylko siedziałam na kanapie i ignorowałam gorączkę najlepiej jak umiałam.

Sam obrócił się do nas plecami, strojąc gitarę. Ramiona miał zgarbione nad instrumentem.

- Mógłbyś coś zaśpiewać i zagrać? – poprosiła Dmitra.

Zobaczyłam, jak Sam odwraca głowę na dźwięk jej głosu w słuchawkach. Zaczął gwałtownie przebierać palcami po strunach, grając kawałek, którego wcześniej nie słyszałam; następnie rozległ się jego śpiew.

Pierwsza nuta zadrżała, naznaczona śladem nerwów, ale potem niepokój zniknął, a Sam zatracił się w swoim głosie, szczerym i lekko chropawym. Była to rozdzierająca serce piosenka o utracie i pożegnaniach. Początkowo myślałam, że traktuje o Becku albo nawet o mnie, lecz później uświadomiłam sobie, że opowiada o Samie.

*Tysiąc sposobów, by powiedzieć „żegnaj”.
Tysiąc sposobów, by uronić łzę jedną.
Tysiąc sposobów, by nałożyć kapelusz,
nim po raz ostatni wyjdiesz na zewnątrz.*

*Więc wołam: - Żegnaj, żegnaj, żegnaj!
Krzyczę to tak głośno, głośno,
bo następnym razem, gdy odzyskam głos,
może być już za późno.*

Piosenka płynęła z głośników; głos Sama wydał mi się zupełnie inny, jakbym nigdy wcześniej go nie słyszała. Nie potrafiłam przestać się uśmiechać. Wydawało mi się mocno nie na miejscu to, że jestem tak dumna z czegoś, z czym nie miałam absolutnie nic wspólnego, ale nie mogłam nic na to poradzić.

Dmitra zamarła przed konsolą, z palcami na suwakach. Przechyliła głowę, nasłuchując, a potem powiedziała, nie odwracając się do mnie:

- Możliwe, że nagramy dziś coś naprawdę dobrego.

Uśmiech nie zniknął z mojej twarzy, bo wiedziałam o tym od samego początku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ISABEL

O trzeciej po południu mieliśmy bar tylko dla siebie. Wciąż cuchnęło tu tłustym śniadaniem: tanim bekonem i rozpaćkanymi ziemniakami smażonymi z cebulą, a także nikłym smrodem z papierosów, choć nie mieli tu części dla palących.

Cole garbił się po drugiej stronie stołu, jego nogi były tak długie, że ciągle przypadkowo je trącałam. Nie pasował do tej prowincjonalnej jadłodajni jeszcze bardziej niż ja. Wyglądał tak, jakby modny projektant złożył go z kilku elementów, i zdecydowanie wiedział, co robi. Wyrziste rysy twarzy Cole'a świadczyły o brutalności i stanowczości; były tak ostre, że można się było skaleczyć. Boks, w którym siedzieliśmy, zdawał się miękki i wyblakły, niemal komicznie staroświecki w zderzeniu z jego twarzą. Jakby ktoś przysłał tego chłopaka na żartobliwą sesję zdjęciową w stylu country. Byłam zafascynowana jego dłońmi – męskimi, twardymi, kanciastymi, o grzbietach poznaczonych żyłami. Obserwowałam, jak jego palce zwinnie się poruszają, gdy robił banalne rzeczy, takie jak wsypywanie cukru do kawy.

– Jesteś muzykiem? – zapytałam.

Cole nagle zmarszczył czoło; coś w tym pytaniu go zaniepokoiło, jednak za dobrze się maskował, żeby zdradzić coś więcej.

– Tak – potwierdził.

– Jakiego rodzaju?

Przybrał wyraz twarzy charakterystyczny dla prawdziwych muzyków zagadywanych o ich twórczość. W jego głosie pobrzmiwała przesadna skromność, jakby sam siebie nie doceniał:

– Gram po trochu na wszystkim. Chyba głównie na keyboardzie.

– W domu mamy fortepian – powiedziałam.

Cole spojrzał na swoje dłonie.

– Tak naprawdę już tego nie robię. – A potem znowu zamilkł, a to milczenie – ciężkie, narastające i trujące – spoczęło między nami.

Skrzywiłam się, ale tego nie zobaczył, bo nawet nie podniósł oczu. Nie byłam dobra w podtrzymywaniu rozmowy o niczym. Zastanowiłam się, czy nie zadzwonić do Grace, żeby zapytać ją, co powinnam powiedzieć małomównemu wilkołakowi o skłonnościach samobójczych, ale zostawiłam gdzieś telefon. Może w samochodzie?

– Na co tak patrzysz? – odezwałam się w końcu, nie spodziewając się reakcji.

Ku mojemu zaskoczeniu Cole wyciągnął rękę, tak że jego kciuk znalazł się najbliżej mnie. Przyglądał mu się z wyrazem zadumy i niesmaku; jego głos, kiedy mi odpowiadał, odzwierciedlał te uczucia.

– Dziś rano, gdy znowu stałem się sobą, obok leżała martwa łania. A właściwie nie martwa... Patrzyła na mnie – wyraźnie chciał zobaczyć, jak zareaguję – ale nie mogła wstać, bo jako wilk rozerwałem jej bok. I chyba, cóż... chyba jadłem ja żywcem. I chyba robiłem to jeszcze przez chwilę po tym, jak stałem się człowiekiem, bo moje ręce... były pokryte jej krwią i wnętrznościami.

Dopiero teraz dostrzegłam brązowy ślad pod jego paznokciem. Palec drżał mu delikatnie.

– Nie mogę się tego pozbyć – dodał.

Obróciłam jego dłoń wnętrzem do góry i przytrzymałam. Drugą ręką wyciągnęłam zestaw do manicure'u z torebki. Małym pilniczkiem wydobylam spod paznokcia resztki zaschniętej krwi. Zdmuchnęłam drobinki ze stołu i schowałam przybory. Mógł już zabrać swoją dłoń, ale zostawił ją na stole

między nami, z palcami rozcapierzonymi i przyciśniętymi do blatu, jakby była zwierzęciem gotującym się do lotu.

- Nie sądzę, żebyś była winna śmierci swojego brata – odezwał się.

Przewróciłam oczami.

- Dzięki, Grace.
- Hę?
- Grace. Dziewczyna Sama. Ona też tak twierdzi. Tylko że jej przy tym nie było. Próbowwała ocalić Sama w ten sam sposób i on przeżył. A więc łatwo jej przychodzi taka wspaniałomyślność. Dlaczego o tym rozmawiamy?
- Bo zmusiłaś mnie do czterokilometrowego marszu i przejażdżki po kubek starej kawy. Powiedz mi, dlaczego akurat zapalenie opon mózgowych?
- Bo ta choroba wywołuje wysoka gorączkę. – Jego zaskoczone spojrzenie uzmysłowiło mi, że zaczęłam opowieść w złym miejscu. – Grace została ugryziona jako dziecko. Ale nigdy się nie przemieniła, bo jej ojciec idiota zamknął ją w samochodzie w upalny dzień i niemal ją usmażył. Wykombinowaliśmy, że może wysoka gorączka jest lekarstwem na wilkołactwo. I nie wpadliśmy na nic lepszego niż zapalenie opon mózgowych.
- Z trzydziestopięcioprocentowym wskaźnikiem przeżycia – zauważył Cole.
- Dziesięć do trzydziestu procent – poprawiłam. – I już ci mówiłam, to wyleczyło Sama. Zabiło Jacka.
- Jack to twój brat?
- Był nim, tak.
- I to ty dałaś mu zastrzyk?
- Nie, Grace to zrobiła. Ale to ja zdobyłam zainfekowaną krew...

Cole wyglądał na zniecierpliwionego.

- W takim razie nawet nie muszę zawracać sobie głowy tłumaczeniem ci, dlaczego twoje poczucie winy jest tak naprawdę użalaniem się nad sobą.

Moja brew wystrzeliła w górę.

- Ja nie...
- Cii – rzucił, mechanicznie sięgając po kubek z kawą, zawieszając wzrok na solniczce i pieprzniczce – myślę. Więc Sam już w ogóle się nie przeistacza?
- Nie. Gorączka wygotowała z niego wilka, czy coś w tym stylu.

Cole pokręcił głową, nie podnosząc wzroku.

- To nie ma sensu. To nie powinno było zadziałać. To tak, jakby twierdzić, że skoro drzysz, kiedy jest ci zimno, wystarczy wsadzić cię do pieca na kilka minut, żeby powstrzymać cię od tego na resztę życia.
- Cóż, nie wiem co ci odpowiedzieć. To miał być ostatni rok Sama. Teraz powinien być już wilkiem. Gorączka zadziałała.

Zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Nie sądzę, że to efekt wysokiej temperatury. Raczej coś związanego z zapaleniem opon mózgowych i smażeniem się w samochodzie sprawiło, że ani Sam, ani Grace się nie przemieniają. Mamy dwa przypadki wyleczenia, ale czy to sprawka gorączki...? Isabel, przecież nie możesz tego udowodnić.
- Tylko siebie posłuchaj, panie mądralo.
- Mój ojciec...

- Szalony naukowiec – wtrąciłam.
- Tak, szalony naukowiec. Na zajęciach zawsze opowiadał jeden kawał. O żabie. Chyba o żabie. To mógł być też konik polny. Ale powiedzmy, że to była żaba. Naukowiec przeprowadzający doświadczenie mówi: „Żabo, skacz”. Żaba skacze dziesięć centymetrów. Badacz zapisuje: „Żaba skoczyła dziesięć centymetrów”. Potem naukowiec odcina żabie jedną łapę i mówi: „Żabo, skacz”, a ona skacze pięć centymetrów. Gość notuje: „Po odcięciu jednej łapy żaba skacze pięć centymetrów”. Następnie odcina płazowi kolejną łapę i wydaje komendę: „Skacz”, a ona skacze dwa centymetry. Naukowiec zapisuje: „Po odcięciu dwóch łap żaba skacze dwa centymetry”. Dalej usuwa resztę łap i mówi: „Skacz”, a zwierzak leży w bezruchu. Badacz wysnuwa wnioski z doświadczenia: „Odcięcie żabie wszystkich łap sprawia, że obiekt badania głuchnie”. – Cole spojrzał na mnie. – Łapiesz?
- Nie jestem totalną idiotką – obruszyłam się. – Uważasz, że wyciągnęliśmy złe wnioski. Ale to zadziałało. Więc jakie to ma znaczenie?
- Dla Sama chyba żadne, skoro mu pomogło – przyznał Cole. – Ale ja po prostu nie sądzę, żeby Beck miał rację. Powiedział mi, że to zimno przemienia nas w wilki, a ciepło robi z nas ludzi. Lecz gdyby to była prawda, nowe wilki takie jak ja nie byłyby niestabilne. Nie można ustalać zasad, a potem mówić, że tak naprawdę się nie liczą tylko dlatego, że twoje ciało jeszcze ich nie poznało. Nauka tak nie działa.

Rozważyłam to.

- Więc twoim zdaniem to jest raczej taka logika naukowca od żaby?
- Nie wiem – przyznał Cole. – Właśnie się nad tym zastanawiałem, gdy przyszłaś. Chciałem sprawdzić, czy wywołam transformację inaczej niż zimnem.
- Za pomocą adrenaliny. I głupoty.
- Dokładnie. Oczywiście, mogę się mylić. Ale naprawdę uważam, że to nie niska temperatura sprawia, że się przemieniamy. Według mnie chodzi raczej o sposób, w jaki mózg reaguje na zimno. I że to właśnie ten impuls każe ciału się przeistoczyć. To dwie zupełnie różne rzeczy. Jedno to realna temperatura. Drugie to temperatura, w którą wierzy twój mózg. – Palce Cole’a sięgnęły po serwetkę. – Lepiej by mi się myślało, gdybym miał kartkę papieru.
- Nie mam papieru, ale... - wyjęłam długopis z torebki i podałam mu.

Wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił. Jeszcze go takiego nie widziałam. Pochylił się nad serwetką i narysował mały schemat blokowy.

- Zobaczmy... zimno sprawia, że temperatura ciała spada. Informacja, że marzniesz, trafia do mózgu. Jego część, zwana podwzgórzem, każe cię ogrzać. To dlatego drżysz. Podwzgórze odpowiada też za mnóstwo innych zabawnych rzeczy, na przykład mówi ci, czy jesteś rannym ptaszkiem czy nocnym markiem, każe twojemu ciału wytwarzać adrenalinę i określa, jak gruba powinnaś być, i...
- Nieprawda – zaprotestowałam. – Teraz zmyślasz.
- Nie zmyślam. – Spojrzenie Cole’a było szczere. – Tam, gdzie dorastałem, tak wyglądały konwersacje przy obiedzie. – Dodał kolejne pole do swojego serwetkowego schematu. – Więc załóżmy, że tutaj mamy jeszcze jeden mały kwadrat mieszczący w sobie rzeczy, które podwzgórze robi na sygnał: „Zimno”.

Napisał: „Stać się wilkiem” w nowej ramce, którą narysował; kawałek cienkiego papieru podarł się odrobinę od nacisku długopisu.

Obróciłam go, żeby móc przeczytać notatki Cole’a – nierówne litery tłoczące się jedna obok drugiej.

- Więc jak pasuje do tego wszystkiego zapalenie opon mózgowych?

Cole pokręcił głową.

- Nie wiem. Ale jest coś, co może tłumaczyć, dlaczego ja wciąż jestem człowiekiem. – Nie obracając serwetki, drukowanymi literami napisał na kwadracie z podwzgórzem: „Metedryna”.

Spojrzałam na niego. Nie odwrócił wzroku. Jego oczy były bardzo, bardzo zielone w popołudniowym świetle.

- Wiesz co, mówią, że narkotyki niszczą mózg. Cóż, myślę, że mają rację.

Ewidentnie czekał, aż skomentuję jakoś jego narkotykową przeszłość. Zamiast tego poprosiłam:

- Opowiedz mi o swoim ojcu.

COLE

Nie wiem, dlaczego opowiedziałem jej o swoim tacie. W końcu nie należała do najbardziej życzliwej publiczności. Ale może właśnie dlatego to zrobiłem.

Pominałem tylko początek, który brzmiałby jakoś tak: „Pewnego razu był sobie chłopiec imieniem Cole St. Clair. I zanim założył zespół „NARKOTIKA”, a potem przemienił się w wilkołaka i jako wilk został związany i wrzucony do bagażnika samochodu przed klubem „Josephine”, był dzieckiem, które mogło osiągnąć wszystko. Niestety, ciężar nieskończonych możliwości stał się dla niego tak nieznośny, że chłopię zniszczyło samego siebie, zanim zdążyło cokolwiek zdobyć”.

Zamiast tego powiedziałem:

- Pewnego razu był sobie syn szalonego naukowca: człowieka-legendy, kiedyś – cudownego dziecka, potem nastoletniego geniusza, dziś naukowego półboga, genetyka, który sprawiał, że dzieci rodziły się ładniejsze.

Isabel nie powiedziała: „To brzmi niezłe”. Tylko zmarszczyła brwi.

- I to było okej – kontynuowałem.

Bo to rzeczywiście było w porządku. Pamiętałem zdjęcia, na których ojciec trzyma mnie na baranach, a spienione fale oceanu omywają mu tydki. Pamiętałem gry słowne, którymi przierzucaliśmy się nawzajem podczas jazdy samochodem. Pamiętałem pionki leżące w stosach obok szachownicy.

- Często był nieobecny, ale, hej, mi to nie przeszkadzało, ponieważ kiedy pojawiał się w domu, wszystko wyglądało wspaniale; mój brat i ja mieliśmy naprawdę dobre dzieciństwo. Tak, wszystko było super, dopóki nie zaczęliśmy dorastać.

Nie mogłem sobie dokładnie przypomnieć, kiedy mama powiedziała to po raz pierwszy, ale jestem całkiem pewien, że to był ten moment, w którym rzeczywiście zaczęło się psuć.

- Nie trzymaj mnie w napięciu – odezwała się Isabel sarkastycznie. – Co zrobił?
- Nie on – uściśliłem. – Ja. Co ja zrobiłem.

Co takiego uczyniłem? Zamyśliłem się. Chyba musiałem mądrze skomentować coś, co przeczytałem w gazecie, albo może poszło mi tak świetnie w szkole, że zostałem przeniesiony o klasę wyżej, albo może rozwiązałem jakąś łamigłówkę – za trudną na mój wiek. W każdym razie pewnego dnia moja matka powiedziała do ojca, z półuśmiechem na pociągłej twarzy, która zawsze wyglądał na zmęczoną (być może przez to, że mama tak długo była w związku z geniuszem): „Wrodził się w ciebie”.

To był początek końca.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem do swojej smutnej opowieści:

- W szkole zostawiłem brata daleko w tyle. Ojciec chciał, żebym poszedł do college’u, żebym pracował z nim w laboratorium. Żebym był nim – przerwałem, myśląc o wszystkich tych sytuacjach, kiedy go zawiodłem. Jego milczenie było zawsze, ale to zawsze gorsze od krzyku. – Ale nie byłem nim. On był wybitny. Ja nie jestem.

- Wielkie mi rzeczy.
- Ja się tym nie przejmowałem. Ale on tak. Chciał wiedzieć, dlaczego nawet nie spróbowałem. Dlaczego uciekłem w coś zupełnie innego.
- A co to było? – zapytała Isabel.

Przyglądałem się jej w milczeniu.

- Nie patrz tak na mnie! – wkurzyła się. – Nie staram się dowiedzieć, kim jesteś. Nie obchodzi mnie to. Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego jesteś taki, jaki jesteś.

Właśnie wtedy ktoś potrącił nasz stół. Podniosłem wzrok i zobaczyłem trzy rozpromienione pryszczate dziewczynki, na oko dwunastoletnie. Trzy identyczne pary oczu wytrzeszczonych w tym samym wyrazie podekscytowania. Nie znałem ich, ale doskonale rozumiałem mowę ich ciała. Od razu wiedziałem, co powiedzą.

Isabel spojrzała na nie.

- Hm, halo! Jeśli jesteście skautkami sprzedającymi ciastka, to możecie sobie darować. A właściwie, spływajcie stąd niezależnie od tego, o co chodzi.

Przywódczyni nastoletniego gangu nosząca kolczyki w kształcie dużych kół wyciągnęła w moją stronę różowutki notes.

- Nie mogę w to uwierzyć! Wiedziałaś, że nie umarłeś. Na sto procent! Dasz mi autograf? Proszę!

Dwie pozostałe cicho jęknęły: „Omójbóże”.

Chyba powinienem przestraszyć się tego, że zostałem rozpoznany. Ale patrząc na nie, potrafiłem myśleć tylko o jednym: że szlajając się po pokojach hotelowych i pisząc te brutalne, pełne niuansów piosenki, przeżywałem prawdziwe męki, a tymczasem podstawową grupę moich fanów stanowiły dziewczynki w koszulkach „High School Musical”. „NARKOTIKA” była dla przedszkolaków!

- Przepraszam...? – udałem głupiego.

Miny im zrzedły, ale tylko trochę, a dziewczynka w kolczykach nie cofnęła notesu.

- Proszę – powtórzyła błagalnym głosem. – Dasz mi autograf? Nie będziemy ci już przeszkadzać, przysięgam. Po prostu, gdy usłyszałam „Braek my face”, umarłam. Mam to ustawione jako dzwonek w komórce. To jest normalnie ja lepsza piosenka wszech czasów. Moja piosenka! Płakałam, gdy zaginąłeś. Nie jadłam całymi dniami. I podpisałam się pod petycją razem ze wszystkimi, którzy wierzyli, że nadal żyjesz. O, mój Boże, nie mogę w to uwierzyć. Ty żyjesz!

Jedna z jej koleżanek autentycznie płakała – ze szczęścia, że zobaczyła mnie z wciąż bijącym sercem.

- Och... - zająknąłem się i zacząłem kłamać jak z nut. – Myślicie, że jestem... ach, no tak! Często to słyszałem. Ale odkąd... cóż, minęło już trochę czasu... I wierzcie mi, ja to z pewnością nie on.

Poczułem na sobie wzrok Isabel.

- Co?! – Teraz mina zrzedła również dziewczynce w kolczykach. – Wyglądasz zupełnie jak on. Naprawdę słodko. – Zarumieniła się tak mocno, że chyba musiało ją zabołec.
- Dzięki – odparłem, a w myślach błagałem: „Proszę, idźcie sobie”.
- Na serio nim nie jesteś...? – Jak ciężko było im w to uwierzyć.
- Na serio. Nie macie pojęcia, jak często jestem brany za niego. – Wzruszyłem ramionami przepraszająco.
- Czy mogę przynajmniej zrobić ci zdjęcie? – zapytały „Kolczyki”. – Żebym mogła opowiedzieć o wszystkim przyjaciółkom?
- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – bąknąłem skrzępowany.
- To znaczy: wynoście się stąd! – warknęła Isabel. – I to już, natychmiast.

Dziewczynki obrzuciły ja nienawistnymi spojrzeniami, po czym odeszły kawałek dalej i zaczęły się naradzać. Wciąż wyraźnie słyszeliśmy ich głosy.

- On wygląda dokładnie tak samo – stwierdziła jedna w zadumie.
- Ja myślę, że to jest on – upierały się „Kolczyki”. – Po prostu nie chce, żeby mu przeszkadzać. Musiał uciekać przed tabletkami, i już.

Oczy Isabel przewiercały mnie na wskroś. Czekają na wyjaśnienia.

- Te dzieciaki wzięły mnie za kogoś innego – powiedziałem stanowczo.

Fanki „NARKOTIKI” wróciły na swoje miejsca, ale ta z kolczykami wyjrzała jeszcze zza ścianki ich boks.

- I tak cię kocham, Cole! – krzyknęła, po czym szybko się schowała.

Pozostałe dwie zapiszczały.

- Cole...? – głos Isabel brzmiał twardo.

Cole. I znowu wróciłem do punktu wyjścia.

Cole St. Clair.

Gdy wychodziliśmy, dziewczynki i tak zrobiły mi kilka zdjęć komórkami.

To był początek końca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

SAM

Jeszcze nigdy nie pracowałem nad swoją muzyką tak ciężko jak przez te pierwsze dwie godziny w studio – kiedy Dmitra stwierdziła, że nie jestem tylko wiernym naśladowcą Elliota Smitha, wrzuciła wyższy bieg. Śpiewałem te same zwrotki po dwa, a nawet trzy razy, czasami próbując różnych aranżacji, a czasami dogrywając dodatkowy dźwięk gitary i efekty perkusyjne. Na niektórych ścieżkach nagrałem chórki, w kilku przypadkach zdarzyło się, że więcej niż jeden, aż stałem się swoją sforą Samów, z półgłosów tworzącą polifonię.

To było wspaniałe, nierealne i... wyczerpujące. Wkrótce poczułem, jak mało spałem zeszłej nocy.

- Może zrobisz sobie parę minut przerwy? – zasugerowała Dmitra po bitych dwóch godzinach. – Popracuj nad zmiksowaniem tego, co zrobiliśmy do tej pory, a ty możesz rozprostować kości, skorzystać z toalety, napić się kawy. Zaczynasz tracić parę, a twoja dziewczyna wygląda, jakby za tobą tęskniła.

W tle usłyszałem, jak Grace woła z oburzeniem:

- Przecież ja tylko sobie siedzę!

Wyszczerzyłem zęby w uśmiechu i zsunąłem słuchawki z uszu. Przeszedłem do pokoju mikserskiego. Grace, wyciągnięta na sofie z psem u stóp, wyglądała na tak wykończoną, jak ja się czułem. Stanąłem obok niej, podczas gdy Dmitra pokazywała mi odczyt mojego głosu na ekranie komputera. Grace objęła mnie w biodrach i przytuliła policzek do mojej nogi.

- Wspaniale ci idzie.

Dmitra nacisnęła przycisk, a mój głos – skompresowany, zharmonizowany i upiększony – popłynął z głośników. Brzmiałem jak... nie ja. Nie – jak ja. Ale jakbym był w radio. Jakbym był na zewnątrz siebie. Wcisnąłem dłonie pod pachy i słuchałem. Skoro tak łatwo było sprawić, żeby człowiek zaczął śpiewać jak prawdziwy piosenkarz, to czemu wszyscy nie siedzieli w studiach nagraniowych?

- Fantastycznie – powiedziałam jej. – Cokolwiek zrobiłaś, jest genialnie.

Dmitra nie odwróciła się, nadal naciskając przyciski i przesuwając suwaki.

- To cały ty, skarbie. Tak naprawdę nie uczyniłam jeszcze zbyt wiele.

Nie uwierzyłem jej.

- Tak. Jasne. Hej, gdzie jest łazienka?

Grace wysunęła podbródek w kierunku korytarza.

- Skręć w lewo przy kuchni.

Pogładziłem ją po głowie i pociągnąłem za ucho, aż wreszcie wypuściła mnie z objęć, a wtedy ruszyłem labiryntem pomieszczeń, mijając aneks kuchenny. Dopiero tutaj, w korytarzu, którego ściany wyłożone były oprawionymi w rami okładkami albumów z autografami wykonawców, poczułem zapach papierosów. W drodze powrotnej z łazienki postanowiłem dokładniej przyjrzeć się kolekcji. Karyn wierzyła, że można powiedzieć o kimś wszystko na podstawie tego, jakie książki czyta, ale ja wiedziałem, że można dowiedzieć się o nim nawet więcej, sprawdzając rodzaj muzyki, jakiej słucha. Jeśli ściana stanowiła wiarygodne świadectwo gustu Dmitry, to dziewczyna zdawała się skłaniać ku muzyce elektronicznej i *dance*. To był imponujący zbiór, który doceniałem, nawet jeśli nie przepadałem za tymi zespołami. Zapamiętałem ich nazwy, żeby zażartować na temat budzącego podziw przeglądu szwedzkich albumów, gdy wrócę do studia.

Czasami twoje oczy widzą coś, czego mózg początkowo nie rejestruje. Podnosisz gazetę, a w twojej Głowie pojawia się zdanie, którego jeszcze nie przeczytałeś. Wchodzisz do pokoju i zdajesz sobie sprawę, że coś stoi na niewłaściwym miejscu, zanim zdążysz dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć.

Poczułem coś takiego teraz.

Zobaczyłem twarz Cole'a albo coś, co mi o niej przypomniało, choć nie wiedziałem, gdzie to ujrzałem. Wróciłem do ściany i zacząłem studiować okładki albumów. Tym razem wolniej. Analizowałem ich szatę graficzną, tytuły i zdjęcia artystów, szukając tego, co mogło przywołać ten obraz.

I znalazłem to.

Ramka była większa niż inne, bo nie zawierała opakowania albumu, tylko lśniąca okładkę czasopisma. Koleś na zdjęciu skakał z góry w obiektyw, a w tle za nim kucali wpatrzeni w niego pozostali członkowie zespołu. To było słynne zdjęcie. Widziałem je już wcześniej. Zwróciłem wtedy uwagę na to, że chłopak skacze z rękami rozrzuconymi na boki, jakby lot był wszystkim, co się liczyło. Jakby nie obchodziło go, co się stanie, gdy wyląduje. Przypomniałem też sobie nagłówek w magazynie, złożony tą samą czcionką, której zespół używał do zapisywania swej nazwy: „Lider «NARKOTIKI» opowiada o swych sukcesach przed ukończeniem 18. roku życia!”.

Ale nie pamiętałem, żeby ten koleś miał twarz Cole'a.

Na chwile zamknąłem oczy, ale obraz wciąż wypełniał mi głowę. „Proszę – pomyślałem. – Proszę, niech to będzie tylko podobieństwo. Niech się nie okaże, że Beck zaraził pieprzoną gwiazdę”. Podniosłem powieki, ale Cole nadal tam był. A za nim, mniej wyraźny, bo obiektyw skupiał się tylko na liderze, kucał Victor.

Powoli wróciłem do pokoju nagrań. Dziewczyny słuchały kolejnej z moich piosenek. Brzmiała nawet lepiej niż poprzednia, ale nagle poczułem, że to wszystko jest kompletnie oderwane od mojego życia. Od mojego prawdziwego życia – tego dyktowanego przez wzrosty i spadki temperatury – nawet teraz, gdy moja skóra była tak zdecydowanie ludzka.

- Dmitra! – zawołałem, a ona się odwróciła. Grace też podniosła wzrok, ściągając brwi, gdy usłyszała ton mojego głosu. – Jak się nazywa lider „NARKOTIKI”?

Żeby zamienić moje podejrzenia w pewność, musiałem usłyszeć, jak ktoś wypowiada to głośno.

Dmitra wyszczerzyła zęby w uśmiechu, a jej twarz błyskawicznie złagodniała.

- Och, człowieku, ich koncert to było coś! Koleś jest kompletnym świrem, ale zespół... - Pokręciła głową, jakby przypomniała sobie, jakie pytanie jej zadałem. – Cole St. Claire. Zaginął kilka miesięcy temu.

Cole.

Cole był Cole'em St. Clairem.

A ja myślałem, że to moje żółte oczy ciężko ukryć.

Tymczasem to oznaczało, że gdzieś tam w świecie były tysiące ludzi, którzy go szukali. Którzy tylko czekali, aż go rozpoznają.

A kiedy go znajdą, odkryją nas wszystkich.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

ISABEL

- Gdzie chcesz, żebym cię podrzuciła? Z powrotem do domu Becka?

Siedzieliśmy w SUV-ie zaparkowanym w najdalszym kącie parkingu przy barze, żeby żaden wsiok nie zarysował mi lakieru, otwierając drzwi swojego samochodu. Staralam się nie patrzeć na Cole'a, który tkwił obok mnie na przednim siedzeniu. Jego ego, cała jego energia życiowa zabierały znacznie więcej miejsca niż ciało.

- Nie rób tego – przerwał mi Cole.
- Czego? – Przeniosłam na niego wzrok.
- Nie udawaj, że nic się nie stało – odparł. – Proszę, zapytaj mnie...

Popołudniowe światło błyskawicznie zamierało. Wielka i ciemna chmura pędziła przez niebo na zachodzie. Nie groziła jednak deszczem. To była tylko zła pogoda w podróży do jakiegoś innego miejsca.

Westchnęłam. Nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć. Wydawało mi się, że wiedza będzie wymagała ode mnie znacznie większego wysiłku niż jej brak. Ale tak naprawdę nie mogliśmy wsadzić dzina z powrotem do butelki, skoro już się z niej wydostał, prawda?

- A czy to ma jakieś znaczenie?
- Chcę, żebyś wiedziała – upierał się Cole.

Spojrzałam na tę jego niebezpiecznie przystojną twarz, która nawet w tej chwili krzyczała do mnie melodyjnym i niepokojącym tonem: „Isabel, pocałuj mnie, zatrać się we mnie”. To było jednak smutne oblicze, kiedy już się umiało je odczytać.

- Naprawdę tego chcesz?
- Muszę się przekonać, czy moje istnienie znaczy coś dla kogoś, kto nie ma dziesięciu lat – wyjaśnił. – Inaczej naprawdę będę musiał się zabić.

Zmiażdżyłam go spojrzeniem.

- Czy mam zgadywać? – zapytałam. Pomyślałam o jego zwinnych palcach i jego naprawdę pięknej twarzy; nie czekając na odpowiedź, rzuciłam: - Grasz na keyboardzie w boysbandzie.
- Jestem liderem „NARKOTIKI” – oświadczył Cole.

Zamarłam, czekając, aż powie, że żartował.

Ale to nie był dowcip.

COLE

Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Może moją docelową publiczność naprawdę stanowiły dziesięciolatki. Co za rozczarowanie.

- No i co się gapisz?! – zawołała. – To, że nie rozpoznałam cię, nie oznacza, że nigdy nie słyszałam twojej muzyki! Wszyscy, łącznie z Jezusem i Dalajlamą, znają twoją twórczość!

Nie odezwałem się. Bo co niby miałbym powiedzieć? Cała nasza rozmowa była jak *déjà vu*; jakbym od początku wiedział, że wszystko jej wyznam. Tutaj, w jej samochodzie, pod chmurami, w to chłodne popołudnie.

- No, co? – zapytała Isabel, przechylając się, żeby spojrzeć mi prosto w oczy. – Co, myślisz, że obchodzi mnie to, że jesteś gwiazdą rocka?
- Nie o muzykę chodzi – przyznałem.

Isabel przycisnęła palec do miejsca na moim ramieniu, gdzie widniały ślady po uktuciach.

- Pozwól, że zgadnę. Narkotyki, dziewczyny, mnóstwo przeklinania. Czy jest coś, czego jeszcze nie zdążyłeś mi o sobie przekazać? Dziś rano leżałeś nagi na podłodze i zwierzałeś mi się z myśli samobójczych. Więc co? Sądzisz, że wiadomość, iż jesteś „omójboże” głównym wokalistą „NARKOTIKI” cokolwiek zmieni?
- Taa. Nie. – Nie wiedziałem, co czuję. Ulgę? Rozczarowanie? Czy chciałem, żeby coś uległo zmianie?
- Co pragniesz usłyszeć? – dopytywała Isabel. – Coś w stylu: „Nie chcę zejść na złą drogę, więc wynoś się z mojego auta”? Chłopaku, obudź się, jestem poza twoim zasięgiem!

Zaśmiałem się na te słowa i od razu pożałowałem swojej reakcji, bo wiedziałem, że Isabel się obrazi.

- Och, wierz mi, jesteś. Istnieją brudne królicze nory, tunele, w których nigdy nie byłeś, a ja owszem. Zabierałem tam ludzi, a oni nigdy już z nich nie wychodzili.

Miałem rację – poczuła się urażona. Sądziła, że uważam ją za naiwną.

- Nie próbuję cie wkurzyć. Po prostu uczciwie cię ostrzegam. Jestem zdecydowanie bardziej znany jako bywalec dziwnych miejsc niż ze swojej muzyki. – Jej twarz przybrała lodowaty wyraz, więc pomyślałem, że wreszcie coś do niej dotarło. – I całkiem możliwe, że jestem kompletnie niezdolny do podejmowania decyzji, które nie byłyby w jakiś sposób wyrachowane.

Teraz to Isabel zaczęła się śmiać. Okrutnym wysokim śmiechem, tak pewnym siebie, że aż mnie to podnieciło. Wrzuciła wsteczny.

- Cole, nadal czekam, aż powiesz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

ISABEL

Zabrałam Cole’a do siebie, chociaż dobrze wiedziałam, że to kiepski pomysł. I może postąpiłam tak właśnie dlatego, że miałam świadomość, iż popełniam błąd. Kiedy dotarliśmy do domu, właśnie zaczynał się niemal tandetny w swoim pięknie zachód słońca; całe niebo zabarwione było różem w odcieniu, jaki można zobaczyć tylko tutaj, w północnej Minnesocie.

Wróciliśmy do miejsca, gdzie się spotkaliśmy, ale teraz znaliśmy już swoje imiona. Na podjeździe stał samochód: bładoniebieskie BMW mojego ojca.

- Nie przejmuj się – powiedziałam, parkując po drugiej stronie kolistego podjazdu. – To tylko mój tato. Jest weekend, więc będzie siedział w piwnicy w towarzystwie butelki mocnego alkoholu. Nawet się nie zorientuje, że jesteśmy w domu.

Cole nie skomentował, tylko wyslizgnął się z auta prosto w zimne powietrze. Potarł ramiona i spojrzał na mnie. W cieniu jego oczy były puste i mroczne.

- Pośpiesz się – wydusił.

Poczułam ukąszenie wiatru i od razu zrozumiałam, co miał na myśli. Nie chciałam, żeby stał się wilkiem, więc złapałam go za rękę i pociągnęłam do tylnego wejścia, do drzwi, które prowadziły bezpośrednio do zapasowej klatki schodowej.

- Tam.

Znaleźliśmy się u podnóża schodów, w przestrzeni rozmiarów szafy. Cole cały się trząsł. Przykucnął z jedną ręką opartą o ścianę i kulił się tak przez jakiś dziesięć sekund, podczas gdy ja stałam za nim z ręką na klamce na wypadek, gdybym znów musiała otworzyć drzwi, jeśli zmieni się w zwierzę.

W końcu wstał. Pachniał wilkiem, ale wciąż miał twarz.

- To był pierwszy raz, kiedy się starałem nie przeistoczyć – wyznał mi, po czym odwrócił się i poszedł na górę, nie czekając, aż powiem mu, gdzie iść.

Podążyłam za nim wąskimi schodami. W mroku widziałam tylko jego białą dłoń na poręczy. Czułam się tak, jakbyśmy brali właśnie udział w wypadku samochodowym, a ja zamiast hamować, wciskałam gaz do dechy.

U szczytu schodów Cole się zawahał, ale ja nie. Wzięłam go za rękę, wyminęłam i poprowadziłam na następną kondygnację, prosto do mojego pokoju na poddaszu. Schylił głowę, żeby nie uderzyć o spadzisty sufit, a ja odwróciłam się i położyłam mu dłoń na karku, zanim zdążył się wyprostować.

Niesamowicie pachniał sforą, co odczytałam jako dziwna kombinację Sama i Jacka, i Grace, i domu Becka, ale nie obchodziło mnie to, bo jego usta były jak narkotyk. Całując się z nim, myślałam tylko o tym, że pragnę bez końca czuć jego dolną wargę między swoimi i jego dłonie przyciągające moje ciało. Drżałam. Nie mogłam się skupić na niczym poza tym, jak ten gość odwzajemniał moje pocałunki.

Na dole rozległ się jakiś hałas. Tata przy pracy. Ale my z Cole'em znajdowaliśmy się na zupełnie innej planecie. Skoro jego usta przeniosły mnie tak daleko od mojego normalnego życia, to dokąd zabierze mnie reszta jego ciała? Sięgnęłam do jego dzinsów, majstrując palcami przy pasku, po czym rozpięłam mu guzik. Cole zamknął oczy i głośno wciągnął powietrze.

Oderwałam się od niego i wycofałam na swoje łóżko. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy patrzyłam na niego i wyobrażałam sobie jego ciężar wciskający mnie w materac.

Ale nie podążył za mną.

- Isabel – wyszeptał z lekko uniesionymi dłońmi, jakby się poddawał.
- Tak? – zapytałam.

Znowu brakowało mi tchu, ale on wyglądał, jakby w ogóle nie oddychał. Pomyślałam, że po joggingu nie miałam jeszcze okazji poprawić makijażu i włosów. Czy o to chodziło? Podniosłam się na łokciach, czując dreszcz przeszywający całe moje ciało. Narastało we mnie coś, czego nie potrafiłam zdefiniować.

- No co? Cole, wyduś to z siebie.

Obserwował mnie w milczeniu, stojąc w rozpiętych dzinsach.

- Nie mogę tego zrobić – powiedział w końcu.
- Nie wygląda na to – zadrwiłam.
- Chodzi mi o to, że nie mogę dłużej tak robić. – Zapiął spodnie, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Wolałabym, żeby na mnie nie patrzył. Odwróciłam głowę, żeby nie wiedzieć wyrazu jego twarzy, który wydawał mi się strasznie protekcyjny niezależnie od tego, czy to było zamierzone z jego strony czy nie. Wiedziałam, że cokolwiek teraz powie, także zabrzmiałoby wyniośle i tak jakby traktował mnie lekceważąco.

- Isabel – ciągnął dalej – nie dąsaj się. Pragnę cię. Naprawdę cię chcę.

Milczałam. Wpatrywałam się w piórko, które uciekło z jednej z poduszek i leżało na bladej lawendowej narzucie na łóżku.

- Boże, Isabel, nie utrudniaj mi tego, okej? Próbuję sobie przypomnieć, jak to jest być przyzwoitym człowiekiem, rozumiesz? Usiłuję sobie przypomnieć, kim byłem, zanim doszedłem do etapu, gdy nie mogłem znieść samego siebie.
- A co, wtedy nie rznąłeś panienek?! – warknęłam.

Ciężka łza spłynęła mi po policzku.

Usłyszałam jakiś ruch, to Cole odwrócił się i wyglądał przez okno z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Czy nie mówiłaś mi, że chcesz z tym poczekać do ślubu?
- A jakie to ma znaczenie?
- Bo wcale nie masz ochoty się ze mną przespać. Nie chcesz stracić dziewictwa z jakimś popieprzonym muzykiem. To sprawi, że znenawidzisz siebie do końca życia. Seks ma taka

moc. To dość niesamowite – wyjaśnił z goryczą w głosie. – Ty po prostu nie chcesz niczego czuć. I seks rzeczywiście pomoże ci się zatracić. Na jakąś godzinę. Ale potem będzie gorzej. Wierz mi.

– Cóż, to ty jesteś ekspertem! – rzuciłam, a kolejna łza spłynęła mi po twarzy.

Nie płakałam od tamtego tygodnia, kiedy umarł Jack. Pragnęłam, żeby Cole już sobie poszedł. Cole St. Clair, król świata, zdecydowanie nie należał do grona osób, które powinny oglądać moje załamanie.

Wsparł dłonie na dwóch krańcach parapetu; resztki światła przebijały się przez chmury, ledwie oświetlając jego twarz. I wtedy wyznał:

– Zdradzałem swoją pierwszą dziewczynę. Często. W trasie. A kiedy wróciłem, pokłóciliśmy się o coś innego, więc przy okazji powiedziałem jej, że spałem z tak wieloma kobietami, że nawet nie pamiętam ich imion. I że widziałem już wystarczająco dużo, żeby przekonać się, że wcale nie jest taka wyjątkowa. Zerwaliśmy. Chyba to ja zerwałem z nią. Była siostrą mojego najlepszego przyjaciela, więc generalnie zmusiłem ich do tego, żeby wybierali między mną a sobą nawzajem. – Roześmiał się straszonym, pozbawionym radości śmiechem. – A teraz Victor jest gdzieś w lesie, uwięziony w ciele wilka. Uwięziony w ciele faceta przemieniającego się w wilka... Jestem świetnym przyjacielem, czyż nie?

Nie odezwałam się. Nie obchodziły mnie jego etyczne rozterki, jego krzysy.

– Ona też była dziewicą, Isabel – powiedział, wreszcie znowu na mnie patrząc. – Teraz mnie nienawidzi. Nienawidzi siebie samej. Nie chcę ci tego zrobić.

Gapiałam się na niego.

– Nie prosiłam cię o pomoc, prawda? Czy zaprosiłam cię tutaj na sesję terapeutyczną? Nie potrzebuję, żebyś chronił mnie przede mną samą. Albo przed tobą. Myślisz, że jestem taka słaba?! – Nie sądziłam, że to padnie z moich ust, ale zrobiłam to: - Powinna pozwolić ci popełnić to cholerne samobójstwo.

I znowu ta jego twarz. Powinna coś wyrażać, przecież go zraniłam, ale... na niej nie było nic.

Łzy paliły mnie i szczypały, spływając po policzkach i spotykając się pod podbródkiem. Nawet nie wiedziałam, dlaczego płaczę.

– Nie jesteś taką dziewczyną – powiedział Cole, a w jego głosie słychać było zmęczenie. – Wierz mi, poznałem ich wystarczająco dużo, żeby mieć pewność. No, nie płacz. Taką dziewczyną też nie jesteś.

– Ach, tak? A jaka jestem?

– Dam ci znać, gdy już się dowiem. Po prostu nie płacz.

Podkreślił wagę tego, że ryczę, a ja nie potrafiłam dłużej znieść faktu, że jest świadkiem moich fatalnych łez. Zacisnęłam powieki.

– Wyjdź. Wynos się z mojego pokoju.

Gdy otworzyłam oczy, już go nie było.

COLE

Kiedy opuściłem pokój Isabel i zacząłem schodzić na parter, kusiło mnie, żeby od razu wyjść na zewnątrz i przekonać się, czy szarpanie we wnętrznościach, które czułem po przebywaniu na zimnie, przyniesie mi przemianę. Ale pozostałem w ciepłym domu. Czułem się tak, jakbym dowiedział się o sobie czegoś nowego, lecz ten ułamek wiedzy był tak kruchy i ulotny, że gdybym teraz stał się wilkiem, pewnie zapomniałbym o tym na zawsze.

Powędrowałem na dół, pamiętając, że pan Culpeper chowa się gdzieś w podziemiach, podczas gdy Isabel tkwi sama w swojej wieży.

Jakby to było dorastać w domu takim jak ten? Gdybym odetchnął zbyt głęboko, z pewnością jakaś dekoracyjna misa spadłaby ze ściany, a perfekcyjnie ułożone suszone kwiaty straciłyby płatki. Jasne, moja rodzina też była zamożna – odnoszący sukcesy szaleni naukowcy zazwyczaj są dość bogaci – jednak to nigdy nie wyglądało aż tak. Miejsca, w których my żyliśmy, wyglądały po prostu na... zamieszkałe.

Źle skręciłem, szukając kuchni; w zamian znalazłem się w „Muzeum Historii Naturalnej Minnesoty” – ogromnym pomieszczeniu o wysokim suficie, zasiedlonym przez zastępy wypchanych zwierząt. Było ich tyle, że zwątpiłbym w ich prawdziwość, gdyby nie zateęły odór, który wypełniał salę. Czyżby w tym stanie nie obowiązywały żadne prawa dotyczące ochrony wymierających zwierząt? Bo niektóre z tych eksponatów wyglądały na cholernie zagrożone gatunki; w każdym razie nigdy nie widziałem ich w północnej części stanu Nowy Jork. Spojrzałem na jakiegoś egzotycznie ubarwionego żbika, który odwzajemnił moje spojrzenie. Przypomniałem sobie urywek mojej wcześniejszej rozmowy z Isabel – coś o tym, że jej ojciec ma słabość do strzelania.

I faktycznie, przy jednej ze ścian czał się wilk; jego szklane oczy błyszczały w mroku pomieszczenia. Słowa Sama chyba zaczęły w końcu do mnie docierać, ponieważ nagle zrozumiałem, jak straszna musi być śmierć nie w swoim prawdziwym ciele. Trochę jak astronauta umierający w kosmosie.

Rozejrzałem się wokół – granica między moim człowieczeństwem a tymi zwierzętami wydawała się bardzo cienka – i popchnąłem drzwi znajdujące się na drugim końcu pomieszczenia. Miałem nadzieję, że poprowadzą mnie do kuchni, ale znowu się pomyliłem. To był luksusowy okrągły pokój, elegancko oświetlony przez blask zamierającego słońca, który wpadał przez zajmujące połowę ściany okna. Na środku stał przepiękny fortepian – i nic poza tym. Tylko ten instrument i ściany w kolorze burgunda. Pokój stworzony wyłącznie dla muzyki.

Zdałem sobie sprawę z tego, że nie pamiętam, kiedy ostatni raz śpiewałem.

Nie pamiętałem też, kiedy ostatnio za tym tęskniłem.

Dotknąłem fortepianu; gładkie wykończenie pod opuszkami moich palców sprawiało wrażenie chłodnego. Z jakiegoś powodu właśnie teraz, gdy zimno wieczoru napierało na szyby, a ja czekałem na przemianę, czułem się człowiekiem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

ISABEL

Leżałam na łóżku jeszcze przez jakiś czas, pogrążona w myślach, aż w końcu zerwałam się i poszłam ogarnąć do mojej łazienki. Poprawiłam makijaż, a potem stanęłam przy oknie, przez które wcześniej wyglądał Cole. Byłam ciekawa, jak daleko stąd jest. Wypatrzyłam błysk latarki przecinający intensywnie granatowy mrok i zagłębiający się w las, w kierunku polany z mozaikami. Czy to był Cole? Chyba nie mógł pozostać człowiekiem w taka pogodę, skoro nawet wcześniej trząśnięcie i o mało nie przeistoczył. Więc kto? Mój ojciec?

Obserwowałam zagadkowe światło, zastanawiając się, czy to oznacza kłopoty.

I wtedy usłyszałam dźwięk fortepianu. Od razu wiedziałam, że to nie może być tato, bo on nawet nie słuchał muzyki. Minęło wiele miesięcy, odkąd moja matka zasiadła przy instrumencie po raz ostatni. Poza tym to nie była jej delikatna, precyzyjna gra. Do moich uszu docierała wzbudzająca niepokój melodia, która powtarzała się wciąż i wciąż w górnej tonacji: oszczędne uderzenia w klawisze kogoś, kto spodziewa się, że inne instrumenty dopełnią kompozycję.

Ta muzyka tak bardzo nie pasowała do moich wyobrażeń na temat Cole'a, że po prostu musiałam zobaczyć go podczas gry. Skradałam się do saloniku. Zawahałam się pod drzwiami – były otwarte, więc tylko przez nie zajrzałam, żeby nie zostać zauważoną.

To był on. Cole. Nawet nie usiadł porządnie na ławeczce, tylko przyklęknął na niej jednym kolaniem, jakby nie planował, że pozostanie przy instrumencie zbyt długo. Jego zwinne palce, na które zwróciłam

uwagę wcześniej, głaskały klawiaturę. Nie widziałam ich ze swego miejsca, ale nie miało to znaczenia, bo i tak chciałam patrzeć tylko na jego twarz – nieświadomą publiczności, zatraconą w powtarzalnym rytmie fortepianowego akordu, oświetlona światłem księżycy, wpadającym przez okna. Wyglądał tak, jakby opadła z niego jakaś zbroja. To nie był już ten agresywnie przystojny i pewny siebie koleś, którego poznałam kilka dni temu. To był po prostu chłopak zanurzony w melodii. Młody, niepewny i ujmujący. Poczułam się zdradzona, że on zbierał się jakoś do kupy, podczas gdy ja nie potrafiłam.

W jakimś sensie znowu był ze mną szczery i odsłaniał przede mną kolejny sekret, a ja nie miałam nic, co mogłabym mu zaoferować w zamian. Ten jeden raz zobaczyłam coś w jego oczach. Dostrzegłam, że ponownie czuje i że go to boli.

Ja nie byłam gotowa na cierpienie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

SAM

Droga powrotna z Duluth stanowiła kolaż czerwonych świateł pozycyjnych, lamp ostrzegawczych na autostradzie – nagle wyłaniających się z ciemności i znikających w niej równie szybko, jak się pojawiły, mojego głosu płynącego z głośników i twarzy Grace oświetlonej przez nadjeżdżające samochody.

Grace była senna; oczy miała na wpół przymknięte, a ja z kolei czułem się tak, jakbym już nigdy nie miał zasnąć; jakbym musiał zachować przytomność umysłu, bo jest to ostatni dzień życia na ziemi. Opowiedziałem już Grace o Cole’u, ale miałem wrażenie, że zapomniałem o czymś jeszcze. Pewnie ją irytowałem, ale była tak miła, że nie zdradzała tego po sobie.

- Od razu wyglądał znajomo – powtórzyłem po raz kolejny. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego Beck to zrobił.

Grace wsunęła dłonie głębiej w rękawy, przytrzymując od środka ściągacze. W świetle odtwarzacza jej skóra miała błękitnawy odcień.

- Może Beck nie wiedział, kim on jest? To znaczy... ja tylko mniej więcej kojarzę ten zespół. I znam wyłącznie jedną ich piosenkę. Tę o sprzedawaniu kawałków twarzy, czy cos w tym stylu.
- Ale Beck musiał wiedzieć. Znalazł go w Kanadzie. Cole był wtedy w trasie koncertowej. Ile czasu minie, zanim ktoś w Mercy Falls go zobaczy i rozpozna...? A jeśli przyjadą, żeby zabrać go do domu, a on zamieni się w wilka? A kiedy nadejdzie lato, a on utrwali się w formie człowieka, to co? Będzie przez cały czas chował się w nadziei, że nikt go nie zidentyfikuje?
- Może. – Grace wydmuchała nos, a potem zwinęła chusteczkę w kulkę i wcisnęła do kieszeni. – A może on chce pozostać zaginiony i to nie będzie żaden problem? Chyba powinieneś go o to zapytać. Albo ja mogę, skoro ty go nie lubisz.
- Po prostu mu nie ufam.

Kątem oka zobaczyłem, jak Grace opiera głowę o szybę i wzdycha. Nie była dziś sobą.

Natychmiast zalało mnie poczucie winy. Tak się napracowała, żeby zorganizować mi idealny dzień, a ja to psułem głupim gadaniem.

- Och, przepraszam cię, Grace. Jestem niewdzięczny. Już nie będę się tym martwił, okej? Pomyślę o tym jutro.
- Kłamczuch.
- Nie bądź zła.
- Nie jestem zła. Tylko śpiąca. I bardzo chcę, żebyś był szczęśliwy.

Dotknąłem jej dłoni. Była rozpalona.

- Jestem szczęśliwy – zapewniłem.

Byłem rozdarty między chęcią powąchania jej palców i sprawdzenia, czy pachnie wilkiem, a pragnieniem udawania, że na pewno nie dzieje się nic złego.

- To moja ulubiona – wyszeptła.

Nie rozumiałem, co miała na myśli, dopóki nie cofnęła do początku utworu, który właśnie dobiegł końca. Na płycie Sam – teraz już na zawsze młody – śpiewał:

*Zakochałem się w niej latem,
w mej uroczej letniej dziewczynie...*

W tle słycać było głos jeszcze jednego, także wiecznie młodego Sama, nakładający się na ten pierwszy.

Serce podskoczyło mi do gardła, gdy blask reflektorów samochodu z naprzeciwka przeciął wnętrze naszego auta. Nic nie mogłem poradzić na to, że przed oczyma stanął mi ostatni raz, gdy śpiewałem tę piosenkę. Nie dzisiaj w studio, ale kilka miesięcy wcześniej, zimą – wtedy też kuliłem się na przednim siedzeniu, w kompletnych ciemnościach, z ręką we włosach Grace, zanim przednia szyba eksplodowała i zamieniła noc w pożeganie.

To miał być wesoły utwór. Żałowałem, że już na zawsze pozostanie zatruty przez to wspomnienie, nieważne, że wszystko dobrze się skończyło.

Grace oparła policzek o fotel. Wyglądała na zmęczoną. Jakby była gdzieś daleko.

- Zaśniesz, jeśli nie będę cię zabawiać rozmową? – zapytała z uśmiechem.
- Dam radę – obiecałem.

Uśmiechnęła się do mnie i naciągnęła kurtkę, przykrywając się nią jak kocem. Posłała mi całusa i zamknęła oczy. W tle mój głos śpiewał:

*To lato szczęście dało mi,
nawet jeśli się nie powtórzy.*

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

SAM

Dom był zdemolowany.

Pierwsze, co zobaczyłem, gdy wszedłem do salonu, to Cole z szufelką i zmiotką – absurdalne zestawienie – a potem potłuczone szkło i przewracane meble.

Stojąca za mną Grace aż jęknęła; Cole odwrócił się na dźwięk jej zmartwionego głosu. Na całe szczęście miał wystarczająco dużo przyzwoitości, żeby okazać zaskoczenie, ale już nie skruchę.

Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. Za każdym razem, gdy już myślałem, że uda mi się wykrzesać odrobinę empatii i życzliwości dla tego gościa, on wyskakiwał z czymś nowym. Czy reszta pomieszczeń wyglądała tak samo? Czy tylko każdy centymetr kwadratowy salonu zniknął z powierzchni ziemi?

Ale Grace z dłońmi w kieszeniach spojrzała na Cole'a i spytała po prostu:

- Problemy?

W bardzo lekki sposób. Z uśmiechem.

Ku mojemu zdziwieniu smętnie odwzajemnił uśmiech i nagle stał się czarujący i pełen skruchy.

- Stado kotów – wyjaśnił. – Już się tym zajmuję.

Ta ostatnia informacja była przeznaczona dla mnie, bo zerknął w moim kierunku. Grace dała mi znak, że powinienem być dla niego miłszy. Spróbowałem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek okazałem mu sympatię. Byłem tego pewien – jakoś na początku.

Popatrzyłem na Grace. W jasnym świetle żarówek znów wyglądała na bladą i zmęczoną. Na jej twarzy, delikatnej niczym płatek kwiatu, pojawiły się cienie. Powinna już leżeć w łóżku. Powinna już być w domu. Zastanawiałem się, kiedy mają wrócić jej rodzice i co sobie pomyślą, jeśli jej nie zastaną.

- Pójdę po odkurzacz – szepnąłem jej, czy w rzeczywistości oznaczało: „Czy mogę cię z nim zostawić?”.
- Dobry pomysł. – Pokiwała głową.

GRACE

Więc to był Cole St. Claire. Nigdy wcześniej nie spotkałam gwiazdy rocka. I nie byłam zawiedziona. Nawet gdy trzymał szufelkę i zmiotkę, wyglądał jak gwiazdor. Nierealny, pełen niepokoju i niebezpieczny. Ale nie zgadzałam się z Samem co do tego, że oczy Cole'a były puste. Nie żebym miała jakieś specjalne doświadczenie w odczytywaniu intencji, ale jak dla mnie było w nich wystarczająco dużo treści.

- Więc ty jesteś Cole – stwierdziłam.
- A ty jesteś Grace – odpowiedział; bystry gość.
- Tak – przytaknęłam i ruszyłam w stronę jednego z foteli w salonie. Zagłębiłam się w nim z wdzięcznością. Zaczynałam czuć się tak, jakby moje ciało było bombardowane od środka.

Znowu spojrzałam na Cole'a. Więc to tego chłopaka Beck wybrał na zastępcę Sama. Miał nosa do ludzi; byłam gotowa dać Cole'owi kredyt zaufania. Zerknęłam na schody, żeby upewnić się, że Sam jeszcze nie wraca z odkurzaczem, i zapytałam:

- No i jak? Czy właśnie tego się spodziewałeś?

COLE

Polubiłem dziewczynę Sama nawet zanim otworzyła usta; gdy przemówiła, poczułem do niej jeszcze większą sympatię. Chyba spodziewałem się, że będzie inna. Ale Grace była ładna w pozbawiony dramatyzmu sposób i miała świetny głos: bardzo spokojny i rzeczowy, nie do podrobienia.

Początkowo nie zrozumiałem jej pytania. Gdy nie odpowiedziałem od razu, dodała wyjaśniająco:

- Po byciu wilkiem.

Strasznie spodobało mi się to, że Grace jest taka bezpośrednia.

- Jest nawet lepiej, niż sądziłem – przyznałem szczerze, nim pomyślałem o cenzurowaniu prawdy. Jednak ona nie wyglądała na tak zniesmaczoną moimi słowami jak Isabel, więc brnąłem dalej: - Zostałem wilkiem, żeby utracić siebie, i właśnie to dostałem. Gdy jestem zwierzęciem, myślę tylko o byciu z resztą sfory. Nie zastanawiam się nad przeszłością ani przyszłością, ani nad tym, kim byłem. To nie ma znaczenia. Wszystko, co się liczy, to chwila. I bycie z innymi wilkołakami. I ciało, które jest po prostu kłębkim wyostrzonych zmysłów. Żadnych terminów. Żadnych oczekiwań. To niesamowite. Najlepszy narkotyk wszechczasów.

Grace uśmiechnęła się do mnie, jakbym podarował jej prezent. To był porozumiewawczy uśmiech, szczerzy. Pomyślałem, że zrobiłbym wszystko, żeby zostać jej przyjacielem i znowu na niego zasłużyć.

Przypomniałem sobie, co Isabel mówiła o dziewczynie Sama. O tym, że została ugryziona, ale nigdy się nie przemieniła. Zastanawiałem się, czy Grace się z tego cieszy, czy też czuje się oszukana.

Więc ją o to zapytałem.

Spojrzała na swoją dłoń, a potem ponownie na mnie.

- Zawsze próbowałam sobie wyobrazić, jakby to było. Zawsze czułam się nie na miejscu. Jakoś pomiędzy. Zawsze chciałam... nie wiem – przerwała. – Bierzesz ten odkurzacz na spacer, Sam?

Sam właśnie wtaszczył odkurzacz przemysłowy do salonu. Nie było go tylko przez chwilę, ale gdy znaleźli się z Grace w tym samym pomieszczeniu, w pokoju od razu zrobiło się jaśniej. Jakby byli dwoma elektronami, które w bliskiej odległości zaczynają iskrzyć. Grace uśmiechnęła się, widząc niezdarny taniec Sama z odkurzaczem. Uśmiechem, który zapewne był zarezerwowany tylko dla niego. A on rzucił jej spojrzenie pełne podtekstów, które rodzi się podczas setek rozmów po zmroku.

To sprawiło, że pomyślałem o Isabel. Nas nie łączyło to samo, co ich. Nie zbliżyliśmy się nawet odrobinę do osiągnięcia takiego stanu. Nie liczyłem na to, żeby nasza pokręcona znajomość mogła prowadzić do czegoś podobnego, nawet gdybyśmy żyli tysiąc lat.

Byłem zadowolony, że zostawiłem Isabel w spokoju. Myśl o tym, że stanowiłem truciznę dla każdego, kto miał ze mną do czynienia, naprawdę bolała, ale cieszyłem się, że chociaż raz byłem świadomy tego, co robię. Nie mogłem powstrzymać eksplozji, ale mogłem przynajmniej nauczyć się kontrolować i minimalizować starty.

GRACE

Było mi głupio, że siedzę beczynnym w fotelu, podczas gdy chłopaki sprzątają. Gdybym czuła się tak jak zwykle, od razu rzuciłabym się do pomocy. Sprzątanie miejsc, które są w tak opłakanym stanie, zawsze daje satysfakcję, bo pod koniec naprawdę widać efekty.

Ale dziś wieczorem nie mogłam. Ledwie widziałam na oczy. Miałam wrażenie, jakbym przez cały dzień walczyła z czymś niewidzialnym, co teraz w końcu mnie dopadło. Mój brzuch wydawał się ciepły i pełny; wyobraziłam sobie krew rozlewającą się w nim na wszystkie strony. Moja skóra była taka gorąca, gorąca, gorąca...

W końcu pokoju widziałam Sama i Cole'a współpracujących w milczącej harmonii. Cole kucnął z szufelką, podczas gdy Sam zamiatał na nią odłamki za duże dla odkurzacza. Z jakiegoś powodu byłam

zadowolona, że widzę ich razem. I znowu pomyślałam, że Beck musiał zobaczyć coś w Cole'u. To nie mógł być zbieg okoliczności, że sprowadził tu innego muzyka. Nie zrobiłby czegoś tak ryzykownego, jak zarażenie gwiazdy rocka, gdyby nie uważał, że jest ku temu dobry powód. Może przypuszczał, że jeśli Sam będzie wciąż człowiekiem, on i Cole się zaprzyjaźnią.

Byłoby dobrze, żeby Sam miał przyjaciela, jeśli ja...

Przypomniałam sobie wyraz twarzy Cole'a, gdy zapytał: „Czy czujesz się oszukana, że się nie przemieniła?”.

Kiedy byłam młodsza, wyobrażałam sobie, że jestem wilkiem. Uciekałam z Samem-wilkiem do złotego lasu, daleko od moich wiecznie nieobecnych rodziców i zgiełku życia. A gdy myślałam, że utraciłam Sama na zawsze, marzyłam o podążeniu za nim. Sam był tym potwornie przerażony. Dopiero teraz w końcu ktoś pokazał mi drugą stronę monety. Wszystko, co się liczy, to ta chwila. I bycie z innymi wilkami. I ciało, które jest po prostu kłębkim wyostrzonych zmysłów.

Tak. To nie byłoby takie złe. Plusy bycia częścią sfory to: czuć ściółkę leśną pod łapami, doświadczać wszystkiego zupełnie nowymi zmysłami, doznać wspólnoty, być częścią natury. Jeśli przegram tę walkę, może nie będzie aż tak strasznie? Czy to byłoby wielkie poświęcenie – żyć w lasach, które kochałam?

Irracjonalnie pomyślałam o stercie niedokończonych kryminałów leżących na półce w mojej sypialni. O wylegiwaniu się w łóżku, o nogach splecionych z nogami Sama, o nim pogrążonym w lekturze, podczas gdy ja odrabiam prace domową. O podróżowaniu samochodem ze spuszczoneymi szybami. O nas trzymających się za ręce na kampusie college'u. O mieszkaniu pełnym naszych rupieci, o pierścionku spoczywającym we wnętrzu jego dłoni, o życiu po szkole, o życiu jako Grace.

Zamknęłam oczy.

Tak bardzo cierpiałam. Wszystko mnie bolało i nie mogłam nic z tym zrobić.

Obietnica życia w lasach zdawała się oznaczać coś zupełnie innego, kiedy to nie ja miałam wybór.

SAM

Myślałem, że jest zmęczona. Uznałem, że to był długi dzień dla niej. Nie reagowałem, dopóki Cole nie zwrócił mi uwagi:

- Przespała odkurzenie? – zapytał, jakby była małym dzieckiem albo psem, dla którego spanie podczas hałasu jest tylko kolejnym z nawyków.

Gdy spojrzałem na jej zamknięte oczy i zarumienione policzki, gdy usłyszałem jej powolny oddech, poczułem ukłucie niepokoju. Potem Grace uniosła głowę i moje serce znowu zaczęło bić.

Zerknąłem na zegar. Jej rodzice pewnie niedługo wrócą. Musiałem zawieźć ją do domu.

- Grace – powiedziałem, bo wyglądała tak, jakby miała znowu zasnąć.
- Hm...? – Wciąż leżała w fotelu, z głową opartą na podłokietniku, zwinięta w kłębek.
- Mówiłaś, że o której twoi rodzice chcą, żebyś wróciła? – zapytałem.

Grace odpowiedziała mi spojrzeniem, nagle całkiem rozbudzona; wyraz jej twarzy zdradził, że nie była ze mną do końca szczerą. Coś ścisnęło mnie w piersiach.

- Czy oni wiedzą, że jesteś ze mną?

Grace odwróciła wzrok, a jej policzki zarumieniły się jeszcze bardziej. Nigdy nie widziałem jej zawstydzonej. To w jakiś sposób sprawiło, że wyglądała jeszcze gorzej.

- Powinam być w domu, zanim wrócę z pokazu. O północy.
- A więc już – zauważył Cole.

Miałem wrażenie, że przez jedną chwilę Grace i ja pomyśleliśmy o tym samym; że nie chcemy, żeby ten dzień dobiegł końca. Że nie mamy ochoty się rozdzielać i kłaść do dwóch zimnych łóżek, daleko od siebie. Ale mówienie tego na głos nie miało sensu, więc tylko stwierdziłem:

- Wyglądasz na strasznie zmęczoną; powinnaś się położyć wygodnie i wyspać.

Ale przecież chciałem jej powiedzieć coś innego. Pragnąłem wziąć ją za rękę i zaprowadzić na górę do sypialni, i wyszeptać: „Zostań. Po prostu zostań ze mną”.

Wtedy jednak byłbym tym, za kogo uważał mnie jej ojciec, prawda?

- Nie chcę... - westchnęła.

Ukląknęłam przed nią, tak że nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości; nadal przyciskała policzki do podłokietnika fotela. Była tak młoda i bezbronna; nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo przyzwyczałem się zwykłego ostatnio na jej twarzy wyrazu napięcia, dopóki jej rysy nie złagodniały.

- Ja też nie chcę – szepnąłem. – Ale nie mogę wpakować nas w tarapaty. Jesteś w stanie... prowadzić?
- Nie mam wyjścia – stwierdziła Grace – potrzebuję samochodu na jutro. A nie. Jutro nie ma szkoły, nauczyciele mają dzień organizacyjny. No to na pojutrze.

Wstała powoli, niepewnie. Byłem świadomy tego, że zarówno Cole, jak i ja bacznie ją obserwujemy. Odnalazła kluczyki i trzymała je w ręku, tak jakby nie wiedziała, do czego służą.

Nie chciałem, żeby wychodziła, ale jeszcze bardziej nie chciałem, żeby prowadziła.

- Ja pojadę jej autem – zaproponował Cole.

Zamrugąłem, zdziwiony.

Wzruszył ramionami.

- Poprowadzę jej samochód, a ona może pojechać z tobą. Później wrócimy razem albo... -
Znowu wzruszył ramionami.

Grace patrzyła na mnie prosząco. Więc się zgodziłem.

- Dzięki – powiedziała do Cole'a.
- Nie ma sprawy.

Trudno mi było uwierzyć, że Cole nagle się przemienił w miłego faceta. Ale jeśli tylko nie rozbije jej samochodu, to byłem szczęśliwy, że spędzę kilka dodatkowych chwil z Grace i będę mieć pewność, że dotarła bezpiecznie do swojego domu.

Ruszyliśmy w drogę. W lusterku wstecznym widziałem samotną postać Cole'a za kierownicą. Jechaliśmy, a ja ścisnąłem rękę Grace spoczywającą na moim kolanie. Kiedy dotarliśmy do celu, Cole zwinnie wprowadził jej auto na podjazd, podczas gdy Grace mnie pocałowała. To zaczęło się jak niewinny pocałunek; potem moje wargi się rozchyliły, a Grace chwyciła mnie za koszulkę... Chciałem tu zostać, och, Boże, chciałem tu z nią zostać...

Cole zastukał w okno. Trząśnięty z zimna, kiedy, zmieszany, opuściłem szybę.

- Może lepiej nie wkładaj jej języka do ust, bo jej ojciec patrzy przez okno. A ty lepiej się pośpiesz – rzucił, obserwując Grace. – Poza tym za dwie sekundy będę potrzebował kogoś – spojrzał na mnie – kto pozbiera moje ubrania. A nie sądzę, żebyś miał ochotę to robić na oczach jej rodziców.
- Już wrócili? – spytała Grace z niepokojem w głosie.

Cole kiwnął podbródkiem w stronę drugiego samochodu stojącego na podjeździe. Grace gapiła się na auto, co tylko potwierdziło moje wcześniejsze podejrzenia, że nasze spotkanie nie zostało zatwierdzone.

- Powiedzieli, że wrócą późno. Te targi zawsze kończą się po północy.
- Wejdę z tobą – zaoferowałem, choć pomyślałem, że chyba wolałbym się powiesić.

Cole patrzył na mnie, jakby czytał mi w myślach.

- Nie. Będzie mi łatwiej bez ciebie. Nie chcę, żeby na ciebie krzyczeli. – Pokręciła głową.
- Grace... - zacząłem.
- Nie – uparła się. – Nie zmienię zdania. Dam sobie radę. To się musi wydarzyć.

I tak wyglądało moje życie w wielkim skrócie. Pośpiesznie pocałowałem Grace na pożegnanie, życzyłem jej dobrej nocy i pozwoliłem odejść, a potem otworzyłem drzwi od swojej strony, żeby ostłonić Cole'a przed wścibskimi oczami.

Przykucnął, trzęsąc się.

– Dlaczego ma szlaban? – spytał.

Zerknąłem na niego, po czym przeniósłem wzrok na dom, upewniając się, że nikt nas nie obserwuje.

– Bo jej wiecznie nieobecni rodzice zdecydowali, że mnie nienawidzą. Prawdopodobnie dlatego, że spędzałem noce w jej łóżku.

Cole uniósł brwi bez komentarza. Zastanawiał się. Wcisnął głowę pomiędzy drżące barki.

– Czy to prawda, że zostawili ją w samochodzie i prawie się ugotowała?

– Taa. Tamten moment jest znakomitą egzemplifikacją całej ich relacji.

– Nieźle – rzucił Cole, a po chwili dodał: - Czemu to trwa tak długo? Może się myliłem...?

Już pachniał wilkiem. Pokręciłem głową.

– To dlatego, że rozmawiasz ze mną i się rozpraszasz. Przestań z tym walczyć.

Kucał teraz jak biegacz, z palcami rozcapierzonymi na asfalcie i jednym kolanem zgiętym, jakby gotował się do startu.

– Zeszłej nocy... ja... nie pomyślałem... - zaczął.

Przerwałem mu. I powiedziałem to, co powinienem był wydusić z siebie już dawno.

– Cole, kiedy Beck mnie tu sprowadził, byłem nikim. Miałem tak popaprane życie, że nie mogłem normalnie funkcjonować. Ledwie jadłem; krzyczałem na odgłos bieżącej wody. W ogóle tego nie pamiętam. Mam gigantyczne luki w pamięci. Wciąż nie doszedłem do siebie, chociaż nie jest ze mną tak kiepsko jak kiedyś. Kim ja jestem, żeby kwestionować to, że Beck cię wybrał? Nikim.

Cole obdarzył mnie dziwnym spojrzeniem, a potem zwymiotował. W spazmach wycofał się ze swojej ludzkiej formy; rozdarł T-shirt, gdy uderzył o bok samochodu. Cole-wilk drżał jeszcze długo, nim udało mi się go przekonać, żeby ruszył w stronę lasu za domem Grace.

Po tym, jak zniknął, zwlekałem z odjazdem. Patrzyłem na budynek i czekałem, aż w sypialni Grace zapali się światło; wyobrażałem sobie, że tam jestem. Tęskniłem za szelestem kartek jej podręczników, gdy odrabiała pracę domową, a ja słuchałem muzyki. Tęskniłem za jej zimnymi stopami dotykającymi moich nóg, gdy kładła się do łóżka. Tęskniłem za kształtem jej cienia padającego na strony czytanej przeze mnie książki. Tęskniłem za zapachem jej włosów i odgłosem oddechu, i tomikiem Rilkego na stoliku nocnym, i za jej mokrym ręcznikiem rzuconym na oparcie krzesła przy biurku. Powinienem czuć się nasycony po spędzeniu z nią całego dnia, ale paradoksalnie brakowało mi jej jeszcze bardziej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

GRACE

To było dziwnie wyzwalające uczucie: pewność, że znalazłam się w tarapatach. Uświadomiłam sobie, że cały dzień zastanawiałam się, czy zostanę przyłapaną, albo co się stanie, jeśli dowiedzą się o wszystkim później. A teraz już nie musiałam dłużej się tym martwić.

Wiedzieli.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi i weszłam do przedpokoju. Zobaczyłam ojca czekającego na mnie z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Matka stała w głębi – w aureoli światła z kuchni; przybrała identyczną pozę. Milczeli, więc ja też się nie odezwałam.

Chciałam, żeby zaczęli krzyczeć. Byłam przygotowana na ich wrzaski. Cała aż się trzęsłam w środku.

– No i...? – w końcu zapytał tato.

To było to. Żadnych scen. Tylko „no i”, jakby oczekiwał, że z płaczem wyznam mu dowolną liczbę grzechów.

– Więc jak się udały targi? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

Ojciec wpatrywał się we mnie uporczywie.

Mama pękła pierwsza:

– Nie udawaj, że nic się nie stało, Grace!

– Nie udaję – odparłam. – Ja nawet to potwierdzę: wy zabroniliście mi wychodzić, a ja nie posłuchałam.

Ręce trzymała teraz opuszczone przy bokach, mocno zaciśnięte w pięści.

– Zachowujesz się tak, jakbyś nie zrobiła nic złego.

Poczułam, jak ogrania mnie absolutny spokój. Dobrze, że zabroniłam Samowi wejść ze mną ośrodką; gdyby był tutaj, nie potrafiłabym się opanować.

– Bo nie zrobiłam. Pojechałam do studia nagraniowego w Duluth z moim chłopakiem, zjadłam kolację i wróciłam do domu przed północą.

– Przecież ci zakazaliśmy – przypomniał mi ojciec. – Właśnie dlatego to, co uczyniłaś, jest naganne. Masz szlaban, a wyszłaś. Nie mogę uwierzyć, że tak bardzo zawiodłaś nasze zaufanie.

– Przesadzacie – skwitowałam ostro, choć mój głos zabrzmiał ciszej, niż chciałam – energia, która odzyskałam podczas jazdy z Samem, zniknęła. Poczułam gorące i mdlące pulsowanie w brzuchu, w gardle. Stłumiłam je i powstrzymałam drżenie głosu. – Nie używam narkotyków, nie olewam szkoły, nie przekłuwam sobie żadnych części ciała...

– A co z... - nawet nie potrafił tego wymówić.

– Uprawianiem seksu – dokończyła za niego matka – w naszym domu? A co z zadziwiającym brakiem szacunku dla rodziców? Daliśmy ci dach nad głową, a ty...

Teraz odzyskałam wigor:

– Dach nad głową?! Daliście mi całą planetę! Latami siedziałam w tym domu sama, noc po nocy, czekając, aż wrócicie. Miliony razy odbierałam telefony tylko po to, żeby usłyszeć: „Och, spóźnimy się, kochanie”. Tysiące razy wracałam sama ze szkoły, nawet kiedy jeszcze byłam na to za mała. Dach nad głową... Hipokryci! Wreszcie jestem z kimś, kogo sobie wybrałam, a wy po prostu nie możecie tego znieść. Wy...

– Jesteś nastolatką – rzucił tata lekceważąco, jakbym w ogóle nie podniosła głosu.

Wiedziałam, że zdobyłam się na to tylko dlatego, że krew dudniła mi w uszach boleśnie.

Tymczasem ojciec kontynuował:

- Co ty wiesz o prawdziwym związku? To dopiero twój pierwszy chłopak. Jak mamy Wierzyć w to, że jesteś odpowiedzialna? Odpowiedzialność to nie seks przed ukończeniem pełnoletniości i ignorowanie poleceń rodziców. A właśnie to wszystko zaliczyłaś!
- Tak – zgodziłam się. – I nie żałuję.

Jego twarz poczerwieniała, a rumieniec rozlał się od kołnierzyka aż po linię włosów. W świetle kuchni wyglądał na bardzo, bardzo opalonego.

- W takim razie co powiesz na to, że już go więcej nie zobaczysz? Czy teraz żałujesz?
- Och, daj spokój. – Machnęłam ręką.

Jego złe słowa zaczynały być takie odległe, takie nieistotne. Potrzebowałam usiąść, położyć się, zamknąć oczy, zasnąć... cokolwiek.

Groźby taty były jak gwoździe, raz za razem wbijające się w moje skronie.

- Nie, to ty daj spokój. Ja nie żartuję. Nie podoba mi się osoba, jaką się stajesz, gdy jesteś z nim. On najwyraźniej nie szanuje nas jako twoich rodziców. Nie pozwolę, żebyś przez niego zrujnowała swoje życie.

Zacisnęłam pięści, żeby ukryć drżenie rąk. Stałam tutaj i odbywałam tę żenującą konwersację; jednocześnie przerażona myślałam: „Co się ze mną dzieje?”

Kości policzkowe mnie piekły, były gorące. W końcu odzyskałam głos.

- Nie możesz tego zrobić. Nie możesz mnie powstrzymać od widywania się z Samem.
- A właśnie że mogę – oznajmił ojciec. – Masz siedemnaście lat i żyjesz pod moim dachem. I tak długo, jak dwie te rzeczy są prawdą, absolutnie mogę to uczynić. Kiedy będziesz miała osiemnaście lat i skończysz liceum, nie będę miał prawa ci mówić, co masz robić, ale w tej chwili cały stan Minnesota jest po mojej stronie.

W brzuchu poczułam coś dziwnego. Wnętrznosci skręciły mi się, chyba z nerwów; w tym samym momencie skóra na czole zaczęła mrowić. Przytknęłam palec do nosa – zostały na nim smugi krwi. Nie chciałam, żeby zauważyli, że dostałam krwotoku. Miałam dość ich nagłego zainteresowania. Przycisnęłam chusteczkę do nosa, mówiąc:

- To nie jest po prostu j a k i ś chłopak.

Mama odwróciła się; machnęła ręką, jakby była już zmęczona całą tą sprawą.

- Jasne.

Nienawidziłam jej tej chwili.

A tato obwieścił:

- Cóż, przez następne cztery miesiące jest. Nie spotkasz się z nim tak długo, jak ja mam cokolwiek do powiedzenia. Nie będzie więcej nocy takich jak ta. Koniec dyskusji.

Nie mogłam już znieść przebywania z nimi w tym samym pomieszczeniu. Nie mogłam znieść tego, w jaki sposób matka patrzyła na mnie przez ramię, jakby prowokowała mój następny krok. I nie mogłam już dłużej znieść potwornego bólu.

Wpadłam do swojego pokoju i trzasnęłam drzwiami tak mocno, że poczułam, jak wszystko we mnie drży.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

GRACE

*Umieranie to dzika noc i nowa droga**.

To zdanie utkwiło mi w głowie niczym tekst piosenki. Nie mogłam sobie przypomnieć, kto je napisał. Pamiętałam tylko, że kiedyś Sam przeczytał ten wers na głos, podnosząc wzrok znad książki i wypróbując brzmienie słów. Przypomniałam sobie nawet tamtą chwilę: siedzieliśmy w gabinecie ojca, ja przerzucałam notatki do prezentacji, a Sam był pogrążony w lekturze.

W ciepłym przytulnym pokoju, kiedy lodowaty deszcz sływał po szybach i dudnił w dach, ten cytat wymówiony cichym głosem Sama brzmiał wręcz niewinnie, a najwyżej mądrze.

Teraz, w ciemnościach, w milczącej pustce mojego pokoju zdanie to szamotało się gorączkowo w mojej głowie i wydawało się przerażające.

Ignorowanie choroby trawiącej mnie od wewnątrz stało się już niemożliwe. Nie mogłam zatamować krwawienia z nosa – zużyłam wszystkie chusteczki i rolkę papieru toaletowego. Wydawało mi się, że krew nigdy nie przestanie płynąć. Mój żołądek był skręcony w supeł, a skóra parzyła.

Wszystko, czego chciałam, to zrozumieć, co tak naprawdę jest ze mną nie tak. I jak długo to jeszcze potrwa. I co się stanie na koniec. Gdybym wiedziała te rzeczy, gdybym знаła jakieś konkrety, gdyby było coś poza bólem, mogłabym się z tym pogodzić.

Ale nie otrzymałam żadnych odpowiedzi.

Dlatego nie mogłam zasnąć. Nie mogłam się ruszać.

Mocno zaciskałam oczy. Przestrzeń łóżka, puste miejsce obok mnie, gdzie powinien leżeć Sam, wydawały mi się ogromne. Zanim to wszystko się stało, gdy jeszcze miałam go przy sobie, kiedy budziłam się w nocy wystarczyło po prostu przekręcić się na bok i przytulić twarz do jego pleców; odgłos jego równego oddechu kołysał mnie z powrotem do snu. Ale dziś Sama tu nie było, a zaśnięcie zdawało się nieosiągalne i nieistotne w obliczu żaru czającego się w moich trzewiach.

W głowie znów usłyszałam słowa ojca zabraniającego mi widywać się z Samem. Na to wspomnienie wprost zabrakło mi tchu. Zmieni zdanie. To niemożliwe, żeby naprawdę tak uważał.

Zmusiłam się do myślenia o czymś innym. Czerwony ekspres do kawy. Nie wiedziałam, czy coś takiego istnieje, ale jeśli tak, zamierzałam go sobie kupić. Natychmiast. Wydawało mi się ogromnie ważne, żeby uczynić z tego cel. Zdobyć trochę pieniędzy, nabyć to urządzenie i wyprowadzić się. Znaleźć nowe miejsce, żeby je podłączyć.

Z trudem przekręciłam się na plecy; położyłam sobie rękę na brzuchu, sprawdzając, czy jestem w stanie wyczuć palcami, jak żołądek się skręca. Znowu miałam straszną gorączkę; moja głowa zdawała się unosić w oderwaniu od reszty ciała.

W ustach poczułam smak miedzi. Niezależnie od tego, jak często przeżykałam ślinę, nie mogłam się go pozbyć.

Było mi tak źle.

Co się ze mną dzieje?

Nie było nikogo, kogo mogłabym o to zapytać, więc sama zaczęłam kojarzyć wskazówki. Ból brzucha. Gorączka. Krwotok z nosa. Znużenie. Zapach wilka. To, jak patrzyły na mnie wilkołaki. I to, jak przyglądała mi się Isabel. Dłoń Sama na moim ramieniu, gdy odchodziłam. Ostatni uścisk. Tak wiele pożegnań.

W końcu przestałam zaprzeczać faktom.

* Cytat z Emily Dickinson [przyp. tłum.]

To mógł być jakiś wirus. To mogło być coś poważnego, lecz wyleczalnego. Naprawdę nie mogłam mieć pewności, jednak...

Wiedziałam.

Cierpienie, którego doświadczałam, to była moja przyszłość. Zmiana, której nie byłam w stanie kontrolować. Mogłam marzyć o czerwonych ekspresach, ile dusza zapagnie. Ale to moje ciało będzie miało ostatnie słowo.

Skopując koce, usiadłam w ciemnościach. Walczyłam z wilkiem rodzącym się wewnątrz mnie. Chciałam być z Samem. Chłodne powietrze kąsało mi policzki i nagie ramiona. Pragnęłam znowu znaleźć się w domu Becka, w łóżku Sama, pod jego niebem pełnym żurawi. Przełknęłam ból. Stłumiłam go siłą. Gdybym teraz z nim była, otoczyłby mnie ramionami i powiedział, że wszystko będzie dobrze. I wszystko byłoby w porządku, przynajmniej dziś w nocy.

Wyobraziłam sobie, że jadę do niego. Widziałam jego minę, kiedy zjawiam się w progu.

Potałam nagimi stopami jedną o drugą. To oczywiście byłoby głupie. Miałam tysiąc powodów, żeby zostać, ale...

Zwalczyłam szum wypełniający moją głowę. Skupiłam się. W myślach ułożyłam listę potrzebnych rzeczy.

Wezmę zapasowe dżinsy z komody, naciągnę sweter i jakieś skarpetki. Rodzice nie usłyszą. Podłoga nie skrzypiała za bardzo. To mogło mi się udać. Nie słyszałam żadnego ruchu na górze już od dłuższego czasu. Jeśli nie włączę świateł w samochodzie, może nawet nie zauważą, jak ruszam z podjazdu.

Serce waliło mi na myśl o ucieczce.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że nie warto pakować się w dalsze kłopoty. Nie teraz, kiedy rodzice byli tak wściekli. Wiedziałam, że nie będzie mi łatwo prowadzić auto, bo krew huczała mi w uszach, a gorączka rozlewała się po całym ciele.

Ale tak naprawdę nie mogło być gorzej. Przecież już zabronili mi się z nim widywać. Co gorszego mogliby jeszcze zrobić?

Poza tym nie wiedziałam, ile jeszcze nocy mi zostało.

Wróciłam myślami do swojej matki, drwiącej z różnicy między miłością a pożądaniem. Do mojego spaceru w lesie po tej rozmowie, do prób wywołania w sobie poczucia winy, że na nią nawrzeszczałam. Pomyślałam o ojcu, otwierającym drzwi do mojej sypialni i sprawdzającym, czy nie ma tam Sama. Zastanawiałam się, kiedy ostatnio zapytali mnie, gdzie byłam, co u mnie słychać, czy czegoś potrzebuję.

Widziałam ich razem; niby byli rodziną, niby wciąż obchodzili ich szczegóły życia tego drugiego. Ale przyjrzałam się też Beckowi i temu, jak dobrze znał Sama. Jak bardzo go kochał. I patrzyłam, jak Sam wciąż krąży we wspomnieniach wokół Becka niczym zagubiony satelita. To była prawdziwa rodzina. Moi rodzice i ja... my tylko czasami mieszkaliśmy razem.

Czy to możliwe, żeby dziecko było bardziej dojrzałe, odpowiedzialne i mądrzejsze niż jego rodzice?

Przypomniałam sobie, jak wilki mnie obserwowały. Znów zaczęłam się zastanawiać, ile jeszcze czasu mi pozostało. Ile nocy mogłam spędzić z Samem, a ile marnowałam w samotności.

Wciąż czułam w ustach posmak miedzi. Choroba wewnątrz mnie nieuchronnie narastała. Pustoszyła moje ciało, lecz ja wciąż jeszcze byłam od niej silniejsza. Ciągle miałam nad nią kontrolę.

Wstałam z łóżka.

Krążyłam po pokoju, zbierając dżinsy, bieliznę, koszulki i skarpetki, aż wypełnił mnie absolutny spokój. Jakbym się znalazła w oku cyklonu, ale pozostawała bezpieczna. Wepchnęłam do plecaka ubrania, zeszyty, podręczniki i ukochany egzemplarz Rilkego należący do Sama. Stanęłam przy oknie, gdzie kiedyś obserwowałam wilki, tuląc do siebie poduszkę. Serce mi waliło. Spodziewałam się, że w każdej chwili moja

matka czy ojciec otworzą drzwi i nakryją mnie w trakcie przygotowań. Przecież ktoś musiał wyczuć powagę tego, co robiłam.

Ale nic się nie stało. Zabrałam szczoteczkę do zębów i szczotkę do włosów z łazienki. Przeszłam korytarzem, a dom był nadal cichy. Zawahałam się przy drzwiach frontowych, z butami w dłoni, nasłuchiwałam.

Nic.

Czy ja naprawdę to robiłam?

– Żegnajcie – wyszeptałam.

Ręce mi się trzęsły z niepokoju. Drzwi zaszurały na wycieraczkę, gdy zamykałam je za sobą.

Nie wiedziałam, kiedy wrócę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

SAM

Bez Grace zamieniłem się w zwierzę nocne. Spędzałem czas, obserwując mrówki wędrujące przez kuchnię i czatując na nie ze szklanką i kawałkiem papieru, przy słabym świetle wpuszczonych w sufit żarówek, aż uda mi się je złapać i przetransportować na zewnątrz. Wziąłem zakurzoną gitarę Paula z jej miejsca przy kominku i nastroiłem. Najpierw klasycznie, potem na „drop D”, następnie na DADGAD, a potem znowu klasycznie. W piwnicy przerzucałem dokumenty Becka. Znalazłem książkę o podatkach. Potem natrafiłem na inną, o zdobywaniu przyjaciół i wpływaniu na ludzi, i jeszcze jedną o medytacji. Położyłem je na stercie tomów, których nigdy nie zamierzałem przeczytać. Na górze, w swojej łazience, usiadłem na podłodze i zacząłem eksperymentować z właściwym sposobem przycinania paznokci u nóg. Gdy podstawiłem pod palce dłoń ułożoną w łódeczkę, udawało mi się złapać tylko połowę obcinanych paznokci; jeśli pozwoliłem im upaść byle gdzie, to mogłem odnaleźć zaledwie połowę z nich na białych płytkach. Z założenia była to przegrana wojna, w której tak czy siak ginęło pięćdziesiąt procent walczących.

Podczas tego pasjonującego zajęcia usłyszałem wycie wilków. Dobiegało z oddali. Pieśni sfory brzmiały dla mnie inaczej w zależności od tego, jak się czułem. Jak kompozycje niebiańskiego chóru, odzianego w ciężkie pachnące lasem futra. Albo jak upiorna symfonia samotności, z nutami potykającymi się o siebie w środku nocy.

Dziś docierała do mnie kakofonia jęków. Wilki wyły jakby rywalizując o uwagę, a ich zawodzenie przeplatane było niespokojnymi warknięciami i ujadaniem. To było stado nieharmonijne, rozproszone. Zazwyczaj wilkołaki śpiewały tak w te noce, kiedy Beck lub Paul byli ludźmi, ale dziś miały obu swoich liderów. Tylko mnie brakowało.

Wstałem, czując chłód kafelków pod ludzkimi stopami, i ruszyłem do pokoju Becka. Podeszedłem do okna, zawahałem się przez moment, po czym je otworzyłem. Lodowate powietrze wpadło do środka, ale moje ciało nie zareagowało. Byłem człowiekiem. Po prostu sobą.

Wycie wilków też wlało się do pokoju i otoczyło mnie kaskadą dźwięków.

Tęsknicie za mną?

Chaotyczne zawodzenie trwało dalej. Brzmiało bardziej jak protest niż pieśń.

Tęsknię za wami.

I nagle z zaskoczeniem uświadomiłem sobie, że o to właśnie chodziło. Tęskniłem za sforą. Ale nie za byciem z wilkami w wilczej skórze.

Opierałem się o parapet, głowę wypełniały mi ludzkie wspomnienia, lęki i nadzieje, wiedziałem, że się zestarzeję jako człowiek – i tylko to się liczyło. Nie chciałem znów być częścią sfory, po prostu brakowało mi moich towarzyszy; wycie nie mogło się równać dotykowi palców na strunach gitary. Przejmująca wilcza pieśń nigdy nie mogłaby zabrzmieć tak triumfalnie, jak dźwięk mojego głosu wypowiadającego imię Grace.

– Niektórzy próbują usnąć! – wrzasnąłem w ciemność, a krzyk stłumił kłamstwo.

Wilki zamilkły. Ciemność zamarła w milczeniu. Nie było słychać ani śpiewu ptaków, ani nawet szelestu liści w tej cichej i spokojnej nocy. Wyłącznie odległy turkot opon na drodze.

– Auuu! – zawyłem w przestrzeń, czując się jak błazen.

Pauza. Wystarczająco długa, bym uświadomił sobie, jak bardzo pragnąłem, żeby wilkołaki mnie potrzebowały.

Wtedy zaczęły zawodzić znowu tak samo głośno jak wcześniej, lecz teraz miały nowy cel.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

Nagle podskoczyłem ze strachu.

- Myślałam, że potrafisz usłyszeć nawet szpilkę upuszczoną kilometr dalej. Gdzie się podziały twoje zwierzęce instynkty?

Grace. To była Grace.

Kiedy się odwróciłem, stała w drzwiach, z plecakiem zarzuconym na ramię. Uśmiechnęła się... nieśmiało.

- Pozwoliłeś, żebym podkraźła się do ciebie, podczas gdy ty... no właśnie. Co właściwie robiłeś?

Zamknąłem okno i obróciłem się do niej, mrugając z niedowierzaniem. Grace znajdowała się tutaj, choć powinna być w swoim łóżku. Dziewczyna, która nawiedzała moje myśli, kiedy nie mogłem spać. W jakimś sensie nie byłem tym zaskoczony. Czyż nie wiedziałem od początku, że się tu pojawi? Czy po prostu nie czekałem, aż przyjedzie do mojego domu?

W końcu odzyskałem kontrolę nad mięśniami i podszedłem do niej. Byłem wystarczająco blisko, żeby ją pocałować, ale zamiast tego dotknąłem dyndającej luźno szelki jej plecaka. Ten bagaż odpowiedział na jedno z moich niewypowiedzianych pytań. Na kolejne odpowiedź kryła się w zapachu wilka, wciąż czającym się w jej oddechu. A na masę innych, które chciałem jej zadać: „Czy wiesz, co się stanie, kiedy się dowiedzą? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że to zmieni wszystko? Czy nie przeszkadza ci to, jak będą cię postrzegać? Jak będą patrzeć na mnie?” – Grace odpowiedziała mi samą swoją obecnością. Nie zrobiłaby kroku poza próg swojej sypialni, gdyby wszystkiego gruntownie nie przemyślała.

A to oznaczało, że musiałem spytać tylko o jedno:

- Jesteś pewna?

Grace pokiwała głową.

I tak po prostu wszystko się zmieniło.

Delikatnie zabrałem od niej plecak i westchnąłem:

- Och, Grace...
- Jesteś zły?

Wziąłem ją za rękę i zakołysałem nimi – taniec bez podnoszenia stóp. W głowie miałem słowa Rilkego:

Ty zawczasu utracona kochanko.

Ty, która nigdy nie przyszłaś.

I głos jej ojca: „Naprawdę bardzo się staram, żeby nie powiedzieć czegoś, czego później będę żałował”. I moja tęsknota, nagle ucieleśniona jej obecność tutaj, w moich spragnionych dłoniach. Nareszcie.

- Boję się – wyznałem.

Ale mimo strachu się uśmiechnąłem. Gdy Grace zobaczyła moją minę, chmura niepokoju, która zasnuwała jej twarz, odpłynęła, pozostawiając za sobą tylko czyste niebo radości i ulgi.

- Cześć – powiedziałem i przytuliłem ją.

Teraz, kiedy naprawdę miałem ją w ramionach. Tęskniłem za nią jeszcze bardziej.

GRACE

Czułam się niepewnie, jakbym poruszała się we śnie.

To życie należało do kogoś innego, do jakiejś innej dziewczyny, która uciekła z domu do swojego chłopaka. To nie była ta odpowiedzialna Grace, która nigdy nie zalegała z pracą domową, nie imprezowała i nie wychodziła za linię podczas kolorowania.

A jednak to byłam ja – w ciele tej niespodziewanie zbuntowanej kobiety; ostrożnie kładłam swoją szczoteczkę do zębów obok nowiutkiej czerwonej szczoteczki Sama, jakbym była u siebie. Jakbym miała tu

pozostać przez dłuższy czas. Oczy bolały mnie ze zmęczenia, ale mój mózg wciąż działał na najwyższych obrotach, całkowicie przytomny.

Ból przycichł, uspiony. Wiedziałam, że raczej tylko się ukrywa, stłumiony przez obecność Sama. Byłam zadowolona z tej chwili wytchnienia.

Zobaczyłam mały półksiężyc obciętego paznokcia, zawieruszony na płytce obok sedesu. Całkowicie normalna rzecz, która uświadomiła mi ostatecznie, że stoję w łazience Sama, w domu Sama i planuję spędzić noc w sypialni Sama. Z nim.

Moi rodzice mnie zabijają.

Co zrobią najpierw, z samego rana? Zadzwonią na moją komórkę? I usłyszą, jak dzwoni tam, gdzie ja ukryli? Mogą zgłosić się na policję. Jak powiedział mój ojciec, nadal byłam niepełnoletnia. Zamknęłam oczy, wyobrażając sobie oficera Koeniga, walącego w imieniu prawa do drzwi, oraz moich rodziców stojących za nim i czekających, żeby zaciągnąć mnie z powrotem do domu. Poczułam potworny ścisk w żołądku.

Sam delikatnie zapukał w otwarte drzwi łazienki.

– Dobrze się czujesz?

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Przebrał się w spodnie od dresu i T-shirt z wizerunkiem ośmiornicy. Może to jednak był dobry pomysł.

– Wszystko w porządku.

– Wyglądasz słodko w tej piżamie – oświadczył z wahaniem, jakby wyznał mi coś, czego nie chciał mówić.

Położyłam dłoń na jego klatce piersiowej, przez cienki materiał czułam, jak unosi się i opada.

– Ty też.

Usta Sama na sekundę przybrały dziwny wyraz, a potem oderwał moją rękę od swojej piersi, wyłączył światło w łazience i poprowadził mnie korytarzem. Jego gołe stopy cicho kłapały na deskach.

Sypialnię rozjaśniało tylko światło z korytarza oraz słaby blask lampy nad gankiem wpadający przez okno; ledwie widziałam jaśniejszy kształt koca schludnie ułożonego na łóżku. Puszcżając moją dłoń, Sam powiedział:

– Zgaszę światło, jak już się położysz. Żebyś się o nic nie potknęła.

Nieśmiało odwrócił twarz; w pewnym sensie wiedziałam, jak się czuje. To było tak, jakbyśmy poznawali się od nowa. Jakbyśmy spotkali się po raz pierwszy. Jakbyśmy nigdy się nie całowali ani nie spędzili razem nocy. Wszystko wydawało się zupełnie nowe i przerażające.

Wpełzłam do łóżka i poczułam świeży chłód prześcieradeł. Przesunęłam się do ściany. Sam wyłączył światło; usłyszałam, jak wzdycha – był to ciężki, drżący jęk – po czym podłoga znów zatrzeszczała pod jego stopami. Z trudem mogłam dostrzec zarys jego ramion, gdy się położył obok mnie.

Przez chwile leżeliśmy tak, nie dotykając się, jak dwoje obcych. Potem Sam przekreślił się w moją stronę, jego głowa spoczęła na mojej poduszce.

Kiedy mnie pocałował, poczułam miękkość i delikatność jego warg. Przeniknął mnie dreszcz, jak podczas naszego pierwszego pocałunku, a jednocześnie wróciło znajome uczucie związane ze wspomnieniem wszystkich tych dotychczasowych. Słyszałam bicie jego serca – gwałtowne uderzenia, które przyspieszyły, gdy splotłam swoje nogi z jego nogami.

– Nie wiem, co się wydarzy – szepnął cicho, z twarzą przy mojej szyi.

– Ja też nie – odparłam, a żołądek aż skręcił mi się ze zdenerwowania.

Na zewnątrz wilki ponownie zawodziły, ich wycie wznosiło się i opadało tak, że trudno go było słuchać. Sam leżał nieruchomo obok mnie.

– Tęsknisz za tym? – zapytałam.

- Nie – odpowiedział zbyt szybko, bym mogła uwierzyć, że rzeczywiście zastanowił się nad moim pytaniem. Ale po chwili dodał, jękając się, jakby z wahaniem. – Właśnie tego chcę. Chcę być sobą. Chcę wiedzieć, co robię. Chcę pamiętać. Chcę, żeby moje życie miało znaczenie.

Tu się mylił. Jego życie zawsze miało sens, nawet gdy był wilkiem w lesie za moim domem.

Szybko odwróciłam twarz, żeby wytrzeć nos chustką, którą przyniosłam z łazienki. Nie musiałam na nią patrzeć, żeby wiedzieć, że będzie poznaczona czerwienią.

Sam odetchnął głęboko i mocno otoczył mnie ramionami. Schował głowę w zagłębieniu między moją szyją a barkiem, zacisnął palce na górze mojej piżamy i wdychał mój zapach.

- Zostań ze mną, Grace – wyszeptał, a ja przycisnęłam drżące pięści do jego piersi. – Proszę, zostań ze mną.

Czułam woń swojej skóry. Mdławo-słodki, migdałowy zapach wilka. I wiedziałam, że Sam nie mówi tylko o dzisiejszej nocy.

SAM

*Leżysz dziś w moich objęciach,
lecz motyl w poczwarkę się zmienia.
Tracisz przepiękne swe skrzydła,
mą klątwę dziedziczysz i w cieniu
już znikasz,
odchodzisz ode mnie,
odchodzisz.*

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

SAM

Najdłuższy dzień mojego życia rozpoczął się i zakończył widokiem Grace zamykającej oczy.

Gdy obudziłem się następnego ranka, Grace leżała rozciągnięta w pościeli, w nienasyconiu przyspilażąc mnie do łóżka. Słońce oświetlało nas oboje; prostokąt wlewający się przez okno idealnie obramowywał nasze ciała. Było już dość późno, przespaliśmy cały poranek. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio spałem tak dobrze – jak zabity, nie zważając na promienie słońca świecące mi w twarz. Podniosłem się na łokciu, a kiedy spojrzałem na Grace, miałem dziwne wrażenie spadania; poczułem ciężar tysięcy nieprzeżytych dni nakładających się na siebie.

Wymruczała coś, budząc się. Gdy odwróciła do mnie głowę, zobaczyłem ślad czerwieni, zanim przeciągnęła ręką po twarzy.

- Ble – jęknęła, otwierając powieki i patrząc na swój nadgarstek.
- Potrzebujesz chusteczki?
- Sama sobie przyniosę – skrzywiła się.
- Dla mnie to drobnostka, Grace – powiedziałem. – I tak już wstałem.
- Wcale nie.
- A właśnie, że tak. Opieram się na łokciu. To znaczy, że wstałem tysiąc razy bardziej niż ty.

Normalnie w takim momencie pochylałbym się, żeby ją pocałować albo połaskotać, albo przesunąć dłonią po jej udzie, albo położyć głowę na jej brzuchu. Ale dziś bałem się, że przypadkiem zrobię jej krzywdę.

Grace spojrzała na mnie, jakby zauważyła, że unikam dotykania jej.

- Mogłabym po prostu wytrzeć nos o twoją koszulkę.
- Słuszna uwaga! – zawołałem i wymknąłem się z łóżka po chusteczki.

Gdy wróciłem, zmierzwiłone włosy wokół twarzy ukrywały jej minę. Bez słowa wytarła nos i palce, po czym szybko zgmiotła chusteczkę w kulkę. Jednak niewystarczająco prędko, żebym nie zauważył śladów krwi. Poczułem, jak dławi mnie strach.

- Myślę, że powinniśmy wybrać się do lekarza – oznajmiłem, podając jej pudełko chusteczek.
- Doktorzy są bezużyteczni – zaprotestowała Grace.

Dotknęła nosa, ale już nic w nim nie było, więc raz jeszcze – na wszelki wypadek – wytarła palce.

- Chcę iść mimo wszystko – upierałem się, bo potrzebowałem czegoś, co stłumi niepokój w mojej piersi.
- Nienawidzę lekarzy.
- Wiem.

To była prawda. Grace rozwodziła się na ten temat regularnie. Osobiście uważałem, że miało to więcej wspólnego z jej awersją do marnowania czasu niż ze strachem przed służbą zdrowia czy pogardą dla niej. Sądziłem, że tak naprawdę po prostu nie znosi poczekalni.

- Pójdziemy do przychodni prywatnej. Oni są szybcy.

Grace skrzywiła się, ale potem wzruszyła ramionami na zgodę:

- Okej.
- Dziękuję – westchnąłem z ulgą, gdy Grace opadła na poduszkę.
- Nie wydaje mi się, żeby coś znaleźli – powiedziała, zamykając oczy.

Pomyślałem, że prawdopodobnie ma rację. Lecz co innego mogłem zrobić?

GRACE

Z jednej strony chciałam pójść do lekarza, na wypadek gdyby to rzeczywiście miało mi pomóc. Z drugiej jednak bałam się, że specjaliści nie będą w stanie nic zrobić. Jeśli to się nie uda, to jaka opcja mi pozostanie?

Ta wizyta tylko spotęgowała wrażenie, że nic w dniu dzisiejszym nie dzieje się naprawdę. Nigdy nie byłam w przychodni prywatnej, choć wyglądało na to, że Samowi jest ona dość znana. Ściany miały odcień morskiej zieleni, a w gabinecie ktoś wymalował mural: cztery pokraczne orki igrające w turkusowych falach. Pielęgniarka i lekarz przepytывali mnie, a tymczasem Sam na przemian wkładał ręce do kieszeni i je wyjmował. Gdy skarciłam go wzrokiem, przestał na kilka minut, a potem dla odmiany zaczął wyłamywać sobie palce.

Bolała mnie głowa, o czym powiedziałam lekarzowi, a mój nos uprzejmię zademonstrował krwawienie pielęgniarce. Ból brzucha mogłam tylko opisać. Oboje wyglądali na mocno zmieszanych, gdy próbowałam ich skłonić, żeby powąchali moją skórę (doktor w końcu przezwyciężył odrazę i to zrobił).

Dziewięćdziesiąt minut później opuściłam klinikę z receptą na lek na alergię sezonową, rekomendacją, żeby zażywać dostępny bez recepty suplement żelaza i stosować spray z roztworu soli fizjologicznej do nosa, oraz ze wspomnieniem wykładu na temat nastolatków i braku snu. No i Sam był o sześćdziesiąt dolarów biedniejszy.

– Lepiej ci...? – zapytałam go z przekąsem, kiedy otworzył mi drzwi do volkswagena.

W tej wiosennej aurze wyglądał jak skulony z zimna ptak, surowy i czarny na tle szarych chmur. Na podstawie zasnutego ołowiem nieba nie dałoby się określić, czy to początek, czy koniec dnia.

– Tak – zapewnił.

Nadal był fatalnym kłamcą.

– To dobrze – ucieszyłam się.

Ja nadal świetnie łągałam. Coś w moich mięśniach jęknęło i przeciągnęło się, i zabolęło.

Sam zabrał mnie na kawę, której nie wypitałam. Jego komórka zadzwoniła, gdy siedzieliśmy w barze „Kenny’s”. Przechylił telefon w moją stronę, żebym mogła zobaczyć, że to Rachel.

Rozparł się na siedzeniu i podał mi aparat. Rękę zarzucił mi na kark. Było to bardzo niewygodne, ale też niezwykle urocze, więc nie mogłam się ruszyć. Oparłam policzek o jego ramię i otworzyłam klapkę telefonu.

– Halo?

– Grace, o Boże, czyś ty kompletnie oszalała?!

Coś mnie ścisnęło w żołądku.

– Rozmawiałaś z moimi rodzicami.

– Zadzwonili do mnie do domu. Prawdopodobnie do papieża też. Chcieli wiedzieć, czy jesteś ze mną, bo najwyraźniej nie spędziłaś ostatniej nocy w swoim łóżku, i nie masz ze sobą komórki, a oni coraz bardziej się niepokoją. A to znaczy, że Rachel też się martwi. I nie chce być w to zamieszana!

Wsparłam czoło na dłoni, a Sam grzecznie udawał, że nie podsłuchuje, choć i tak było słychać, co ona mówi.

– Przepraszam, Rachel. Co im powiedziałaś?

– Wiesz, że nie potrafię oszukiwać, Grace! Nie mogłam im wmawiać, że jesteś u mnie!

– Wiem.

– Więc powiedziałaś, że na pewno jesteś u Isabel – wypaliła.

Zamrugałam.

– Naprawdę?

- A co innego miałam zrobić? Oznajmić im, że jesteś u Chłopaka, i pozwolić, żeby zabili was oboje?

Mój głos brzmiał odrobinę bardziej wojowniczo, niż chciałam:

- Prędzej czy później i tak się dowiedzą.
- Co masz na myśli? Grace Brisbane, czy ty mi właśnie mówisz, że nie zamierzasz wrócić do domu?! No dobra, wal jak na spowiedzi. Chcesz ich ukarać, że dali ci szlaban. Albo nie, nie wytrzymasz kolejnej nocy bez olśniewających klejnotów Chłopaka. Cokolwiek, tylko nie mów mi, że uważasz, że to jest na zawsze!

Sam zrobił dziwną minę na wzmiankę o jego klejnotach. Odrzekłam Rachel:

- Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałam. Ale nie, naprawdę nie mam ochoty tam wracać w najbliższej przyszłości. Mama uznała, że łączy nas tylko przelotny romans i że muszę się nauczyć odróżniać miłość od pożądania. A ojciec zdecydował, że nie wolno mi widywać się z Samem, dopóki nie skończę osiemnastu lat.

Sam był w szoku. O tym mu nie wspomniałam.

- Aha! Ograniczone zdolności rozumowania naszych rodziców zaskakują mnie po raz kolejny. Zwłaszcza że Chłopak jest... cóż, Chłopak jest w oczywisty sposób niesamowity, więc w czym mają problem? Dobra, w takim razie, co ja powinnam zrobić? Czy zamierzasz...? Hm. Jakoś musisz to załatwić, Grace!
- Kiedyś w końcu znudzi mi się noszenie na zmianę tych samych dwóch koszulek i będę musiała zajrzeć do domu, żeby się z nimi zmierzyć – przyznałam. – Ale póki co... ja chyba... chyba po prostu z nimi nie rozmawiam.

Poczułam się dziwnie, stwierdzając to publicznie. Byłam na nich tak wściekła za to, co powiedzieli. Lecz nawet ja wiedziałam, że rzeczywiście to nie było warte tego, żeby uciekać z domu. To był zaledwie czubek góry lodowej, a ja nie tyle uciekałam, co oficjalnie ogłaszałam, że dzieli nas emocjonalny dystans. Nie widzieli mnie dzisiaj mniej, niż widywali przez większość innych dni mojego nastoletniego życia.

- No, no – rzuciła Rachel.

Była w stanie wydusić z siebie tylko tyle, a to znaczyło, że jest kompletnie zaskoczona.

- Po prostu mam dość – wyjaśniłam, tylko nie rozumiałam, dlaczego mój głos drży. Miałam nadzieję, że Sam tego nie wyłapał. Już pewniej oznajmiłam: - Nie zamierzam dłużej udawać, że stanowimy szczęśliwą rodzinę. Ten jeden raz mam zamiar wreszcie pomyśleć o sobie.

Ten moment wydał mi się niezwykle doniosły. Siedziałam w wyblakłym boksie w barze, serwetnik na stole odbijał twarz Sama, a ja czułam się jak statek odpływający coraz dalej od brzegu. Mój mózg zrobił pamiątkowe zdjęcie tej sceny: wyszczerbione brzegi schodków, kubek wciąż pełen kawy, neutralny kolor T-shirtu Sama.

- No, no – powtórzyła Rachel, a potem zamilkła na dłuższą chwilę. – Grace, jeśli mówisz serio... bądź ostrożna, okej? To znaczy... nie zrań Chłopaka. Wygląda na to, że to jest swego rodzaju wojna, z którą wiąże się wiele trupów; całe okoliczne wioski zostają splądrowane.
- Wierz mi – zapewniłam – Sam jest jedyną rzeczą, której będę bronić z absolutną determinacją.
- Okej – westchnęła Rach. – Wiesz, że jakby co, zrobię dla ciebie wszystko. A teraz powinnaś skontaktować się z panią na mega wysokich obcasach i się upewnić, czy zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje.
- Dzięki – powiedziałam, a Sam oparł głowę na moim ramieniu, jakby nagle poczuł się równie wykończony jak ja. – Widzimy się jutro w szkole, tak?

Rachel przytaknęła i rozłączyła się. Wsunęłam telefon z powrotem do kieszeni bojówek Sama, po czym oparłam swoją głowę o jego. Zamknęłam oczy i tylko przez chwilę pozwoliłam sobie wdychać zapach

jego włosów i udawać, że już jesteśmy z powrotem w domu Becka. Chciałam po prostu zwinąć się w kłębek u boku Sama i zasnąć, nie martwiąc się konfrontacją z moimi rodzicami albo z Cole'em, ani odorem migdałów i wilka, który znowu zaczął rozkwitać na mojej skórze.

- Obudź się – szepnął Sam.
- Nie śpię.
- Nie wypiąś ani odrobiny swojego napoju energetycznego, Grace. – Spojrzał na mnie i na kawę, po czym nie czekając na odpowiedź, wyjął kilka banknotów z portfela i wsunął je pod swój pusty kubek.

Wyglądał na zmęczonego i starszego, pod oczami miał ciemne kręgi. Nagle wypełniło mnie poczucie winy. Tak bardzo utrudniałam mu życie.

Poczułam dziwne mrowienie na skórze i smak miedzi w ustach.

- Wracajmy do domu – poprosiłam.

Sam nie zapytał mnie, który dom mam na myśli. To słowo oznaczało teraz tylko jedno miejsce.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

SAM

Powinienem się domyślić, że do tego dojdzie. I pewnie nawet wiedziałem, bo nie byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem niebieskiego SUV-a na podjeździe. To był jeden z tych lśniących i ogromnych wozów, rozmiarem przypominających mały sklep spożywczy. Tablica rejestracyjna miała napis „CULPEPER”, a obok auta stał Tom Culpeper i gestykulował dziko, krzycząc coś do Cole’a, który wyglądał na kompletnie niewzruszonego.

Nie żywiłem żadnej urazy do ojca Isabel, no, może poza tym, że organizował polowania na wilki i postrzelił mnie w szyję. Jednak coś ścisnęło mnie w żołądku, gdy sobie to uświadomiłem.

- Czy to jest Tom Culpeper? – zapytała Grace, a jej głos wyrażał ten sam brak entuzjazmu, który ja odczuwałem. – Myślisz, że jest tu w związku z Isabel?

Kiedy parkowałem, przeszły mnie ciarki.

- Nie – powiedziałem. – Nie sądzę.
- To dobrze – wyszeptła z ulgą.

COLE

Tom Culpeper był dupkiem.

Mogłem tak o nim pomyśleć, ponieważ sam byłem draniem. Próbował wydobyć ode mnie informacje na temat miejsca pobytu Becka przez jakieś pięć minut, aż wreszcie volkswagen Sama zatrzymał się przy krawężniku. Sam wysiadł z auta, zaciskając usta. Najwyraźniej znał tego palanta. Facet zamknął jadaczkę, gdy Sam ruszył przez trawnik, najwyraźniej pojął, że ja mu i tak nic nie powiem.

- W czym mogę panu pomóc? – zapytał Sam.

Culpeper zatknął kciuki o kieszenie swoich spodni koloru khaki i zmierzył go wzrokiem.

- Ty jesteś dzieciakiem Geoffrey’a Becka? Tym adoptowanym? – Nagle stał się jowialny i pewny siebie.
- Zgadza się. – Uśmiech Sama był nikły.
- Nie wiesz, czy jest gdzieś w pobliżu?
- Obawiam się, że nie – odpowiedział Sam.

Grace dołączyła do nas. Lekko zmarszczyła czoło, jakby słyszała muzykę, której nikt inny nie słyszy, i jakby nie podobały jej się te dźwięki. Uprzejmy wyraz twarzy ojca Isabel wyostrzył się na jej widok.

- Powiem mu, że pan wpadł – dodał Sam.
- Nie wróci dziś? – Culpeper domagał się odpowiedzi.
- Nie, proszę pana – głos Sama był jednocześnie uprzejmy i bezczelny. Być może niespecjalnie.
- To niedobrze. Bo mam dla niego coś, co chciałem mu wręczyć osobiście. Chociaż tak sobie myślę, że ty też możesz mu to przekazać. – Skinął podbródkiem w stronę tyłu SUV-a.

Twarz Sama była szara jak niebo, gdy on i ja ruszyliśmy za nim; Grace trzymała się z tyłu.

- Czy sądzisz, że to mogłoby choć trochę zainteresować pana Becka? – zapytał Culpeper, a następnie podniósł tylną klapę.

Są takie chwile, które zmieniają człowieka na zawsze; a to był ten moment, który zmienił mnie.

W bagażniku SUV-a, pośród plastikowych reklamówek i kanistrów na paliwo, leżał martwy wilk – na boku, ze skrzyżowanymi łapami, wepchnięty brutalnie, żeby się zmieścił. Krew plamiła jego futro na szyi i brzuchu. Szczękę miał zwiotczałą, język wywalony...

Victor.

Sam odruchowo przytknął pięść do ust, a potem opuścił. Ja gapiłem się na bladoszary pysk z ciemną pręgą i na ciemnobrązowe oczy Victora, wpatrujące się ślepo w wyłożoną wykładziną ścianę SUV-a.

Skrzyżowałem ręce na piersiach i zacisnąłem dłonie, żeby powstrzymać je od drżenia. Serce waliło mi jak oszalałe. Chciałem odwrócić wzrok, ale nie mogłem.

– Co to jest? – zapytał Sam chłodno.

Culpeper złapał za tylne łapy wilka i jednym szarpnięciem wyrwał ciało z bagażnika. Gdy walnęło o podjazd, wydało przyprawiający o mdłości odgłos. Grace krzyknęła, a jej głos był pełen przerażenia, które właśnie zaczęło wzbierać i we mnie. Musiałem się odwrócić. Żołądek odmawiał mi posłuszeństwa.

– Powiedz swojemu ojcu – warknął Culpeper – powiedz mu, żeby przestał dokarmiać te cholerne zwierzęta. Jeśli zobaczę jeszcze jednego wilka na moim terenie, też go zastrzelę. Zabiję każdego sierściucha, który znajdzie się w zasięgu mojego wzroku. To jest Mercy Falls, a nie „National Geographic”! – Popatrzył na Grace, która wyglądała na tak chorą, jak ja się czułem, i zwrócił się do niej: - Sądziłem, że będziesz się obracała w lepszym towarzystwie, biorąc pod uwagę to, kim jest twój ojciec.

– W lepszym niż towarzystwo pańskiej córki? – zdołała zripostować Grace.

Culpeper wykrzywił usta.

Sam trwał oniemiały.

– Panie Culpeper, niewątpliwie jest pan świadomy tego, jaki zawód wykonuje mój ojciec – głos Grace przywrócił go do życia.

– To jedna z niewielu rzeczy, które nas łączą.

– Jestem pewien, że istnieją prawne konsekwencje dla takich zachowań, jak zwożenie martwych dzikich zwierząt na teren prywatny – Sam był niepokojąco opanowany. – Poza tym minął sezon łowiecki dla praktycznie każdego zwierzęcia, a na pewno dla wilków. I domyślam się, że jeśli ktoś wie, jaki z tego zrobić użytek, to właśnie on.

Ojciec Isabel tylko pokręcił głową i ruszył do swojego samochodu.

– Jasne. Życzę mu powodzenia. Trzeba spędzać więcej niż tylko pół roku w Mercy Falls, jeśli chce się mieć sędziego po swojej stronie.

Miałem ochotę go uderzyć i to tak bardzo, że aż bolało. Chciałem zetrzeć z jego ust ten uśmieszek, który zdradzał zadowolenie z siebie. Co mogłoby mnie powstrzymać?

Poczułem dotyk na ramieniu i spojrzałem w dół, na palce Grace otaczające mój nadgarstek tuż ponad zaciśniętą pięścią. Z napięcia jej barków wyczytałem, że też ma ochotę mu przyłożyć i właśnie to mnie pohamowało.

– Lepiej zabierzcie to ścierwo, jeśli nie chcecie, żebym je rozjechał! – zawołał Culpeper, zatraskując drzwi auta; nasza trójka się rzuciła i odciągnęła ciało Victora na trawę, zanim ojciec Isabel wyjechał tyłem na drogę.

Minęły wieki, od kiedy ostatnio czułem się tak cholernie młody, tak absolutnie bezsilny w kontakcie z kimś dorosłym.

Gdy tylko błękitny SUV zniknął z naszego pola widzenia, Grace powiedziała:

– Odjechał. Sukinsyn.

Padłem na kolana tuż obok wilka i uniosłem jego pysk. Oczy Victora spoglądały na mnie, matowe i pozbawione życia, z każdą sekundą tracąc coraz bardziej na znaczeniu w obliczu śmierci.

I wtedy powiedziałem mu to, co powinienem był powiedzieć już dawno temu:

– Przepraszam, Victor. Tak mi przykro.

Błagałem o wybaczenie ostatnią osobę, jaką miałem jeszcze kiedykolwiek zniszczyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

SAM

Czułem się tak, jakbym przygotował już zbyt wiele grobów w tym roku.

Razem z Cole'em wzięliśmy łopatę z garażu i kopaliśmy na zmianę wciąż jeszcze zamrożoną ziemię. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. W głowie tłoczyły mi się słowa, którymi powinienem był uraczyć Toma Culpepera, ale gdy spróbowałem znaleźć jakieś dla Cole'a, okazało się, że zapas się wyczerpał.

Chciałem, żeby Grace poczekała w środku, ale ona uparła się, żeby nam towarzyszyć. Obserwowała nas spomiędzy drzew, mocno obejmując się rękoma; oczy miała czerwone od płaczu.

Wybrałem ustronne miejsce na wzgórzu, które pięknie wyglądało latem, gdy padał deszcz, a wiatr sprawiał, że liście tańczyły wśród gałęzi, odślaniając jarzące się bielą spody. Dziś po raz pierwszy byłem tu wiosną w ludzkiej formie i odkryłem jego urok również o tej porze roku. Kopaliśmy, a zachód słońca odmienił las. Wstęgi ciepłego światła przecinały ziemię i malowały błękitnych cieni na naszych sylwetkach. Wszystko było skąpane w odcieniach żółci i indygo – impresjonistyczny obraz przedstawiający trójkę nastolatków na pogrzebie.

Cole znowu pokazał mi odmienne oblicze. Gdy przekazałem mu łopatę, wymieniliśmy spojrzenia. I po raz pierwszy, od kiedy go poznałem, na jego twarzy nie było pustki. Kiedy nasze oczy się spotkały, zobaczyłem ból, poczucie winy... i Cole'a.

Prawdziwego Cole'a.

Ciało Victora leżało kawałek od nas, częściowo zawinięte w prześcieradło, a ja układałem w głowie słowa piosenki na jego cześć:

*Ku wyspie nieznanej żeglujesz,
droga do domu zagubiona.
I morskim dnem spacerujesz –
śmierć cię już wzięła w ramiona.*

Grace spojrzała na mnie, jakby wiedziała, co robię. Tekst mógł być równie dobrze o niej, więc odrzuciłem go. Kopalem, a następnie czekałem na swoją kolej. Tylko o tym myślałem, gdy słońce chowało się za horyzont.

Kiedy dół był już wystarczająco głęboki, obaj się zawahaliśmy. Widziałem brzuch Victora i ranę postrzałową, która go zabiła. Ostatecznie umarł jako zwierzę.

Zdawałem sobie sprawę, że Culpeper mógł wyciągnąć z bagażnika ciało Becka albo Paula. A w zeszłym roku to mogłem być ja. To prawie byłem ja.

GRACE

Cole nie potrafił tego zrobić.

Kiedy dół był już wykopany, a on stał obok Sama i patrzył na ciało leżące obok, zorientowałam się, że nie jest w stanie tego zrobić. Zauważyłam, jak próbuje zachować pozory opanowania. Oddychał ciężko, urywanie, i drżał na wietrze.

Znałam to uczucie.

- Cole – zaczęłam; obaj skierowali głowy w moja stronę. Już od dłuższego czasu siedziałam na ziemi, bo byłam zbyt zmęczona, żeby stać. Z mojego miejsca pomiędzy zimnymi suchymi liśćmi, skinęłam w kierunku Victora. – Może coś powiesz? To znaczy, o Victorze.

Sam zamrugał i spojrzał na mnie zaskoczony. Pewnie zapomniał, że już raz musiałam się z nim żegnać. Wiedziałam, jakie to uczucie.

Cole nie patrzył na żadne z nas. Najwyraźniej próbował się skupić. W końcu przełknął.

– Nie mogę, hm... - przerwał, bo głos mu się załamał.

Zobaczyłam, jak znowu przełyka ślinę. Utrudnialiśmy mu to. Nasza obecność sprawiała, że walczył zarówno z żalem jak i łzami. Sam to rozumiał i powiedział:

– Możemy odejść, jeśli chcesz trochę prywatności.

– Proszę, nie – wyszeptał Cole.

Jego twarz wciąż była sucha, ale mnie popłynęła łza, zimna w zetknięciu z gorącym policzkiem.

Sam czekał dłuższą chwilę, aż Cole przemówi, a gdy ten się nie odezwał, wyrecytował wiersz. Jego głos był cichy i oficjalny.

*W stronę dźwięku podąży śmierć
jak but bez nogi, suknia bez człowieka*.*

Obserwowałam, jak Cole zastyga podczas przemowy Sama. Nie ruszał się. Nie oddychał. Jakby paraliż ogarnął go całego. Sam zrobił krok w jego kierunku, a potem ostrożnie położył mu dłoń na ramieniu.

– To już nie jest Victor. To jest tylko coś, co Victor nosił na sobie. Przez jakiś czas.

Obaj spojrzeli na ciało wilka, sztywne i małe. Wyglądało na pokonane w obliczu śmierci.

Cole opadł na ziemię.

COLE

Musiałem spojrzeć mu w oczy.

Odśloniłem ciało, żeby nic nie odgradzało mnie od Victora i jego ciemnobrązowych tęczywek. Były puste i odległe – jak cienie prawdziwych oczu.

Chłód zatrząsł mną niczym cicha groźba tego, co miało nadejść, ale odepchnąłem ją, wyrzuciłem z głowy. Zjrzałem mu w oczy i próbowałem udawać, że nie tkwią w wilczym ciele.

Przypomniałem sobie dzień, gdy zapytałem Victora, czy chce założyć ze mną zespół. Siedzieliśmy w jego pokoju, którego jedną czwartą zajmowało łóżko, a trzy czwarte perkusja, a on właśnie wygrywał solówkę. W tym małym pomieszczeniu było takie echo, że miało się wrażenie, że ćwiczy tu co najmniej trzech perkusistów. Ramki plakatów podskakiwały rytmicznie na ścianach, budzik tak samo, stopniowo zbliżając się do krawędzi stolika nocnego. Oczy Victora lśniły w dzikim ferworze; za każdym razem, gdy kopał w bęben basowy, robił minę szalonego maniaka.

Ledwie słyszałem wrzask Angie z pokoju obok:

– Vic, uszy mi krwawią! Cole, zamknij te głupie drzwi!

Zamknąłem za sobą drzwi do sypialni Victora.

– Brzmi zajebiście – powiedziałem.

Victor rzucił mi jedną z pałeczek. Przecięła łukiem powietrze obok mojej głowy; musiałem podskoczyć, żeby ją złapać. Grzmotnąłem w talerze.

– Victor! – zawyła Angie.

– To są magiczne dłonie! – ryknął jej w odpowiedzi.

– Pewnego dnia ludzie będą płacić za przywilej słuchania tego! – odkrzyknąłem.

Victor wyszczerzył zęby w uśmiechu i zrobił szybką serię, używając tylko jednej pałeczki i bębna basowego.

* Pablo Neruda, „Poezje”, przeł. M. Bieszczadowski, PIW, Warszawa 1975, s. 68

A ja znowu walnąłem w talerz, żeby wkurzyć Angie, po czym zwróciłem wzrok na Victora.

- Co tam? – rzucił i znowu zadudnił w perkusję, a następnie uderzył swoją pałeczką o tę, którą ja trzymałem.
- Więc jesteś gotowy? Robimy to? – zapytałem.

Victor opuścił rękę w nagłym zamyśleniu.

- Co...?
- „NARKOTIKA” – powiedziałem.

* * *

Teraz, w tym lodowato zimnym wietrze, przy znikającym słońcu, wyciągnąłem dłoń i dotknąłem sztywnego futra na barku Victora.

- Przybyłem tutaj, żeby uciec. Przybyłem tutaj, żeby zapomnieć o wszystkim. Myślałem... myślałem, że nie mam nic do stracenia – wydusiłem, a mój głos był zgrzytliwy i nierówny.

Wilk leżał szary i mały w zamierającym świetle. Śmierć. Musiałem wciąż patrzeć mu w oczy. Nie mogłem zapomnieć, że to nie był wilk. To był Victor.

- I to naprawdę działało, Victor. – Pokręciłem głową. – Wiesz to, prawda? Wszystko znika, kiedy jesteś wilkiem. Właśnie tego chciałem. To jest takie dobre. Absolutna nicość. Gdybym był teraz zwierzęciem, nie musiałbym zapamiętać tej chwili. Taby było tak, jakby twoja śmierć nigdy się nie wydarzyła. Nie obchodziłoby mnie, że nie żyjesz, bo nie pamiętałbym nawet, kim jesteś...

Kątem oka zobaczyłem, jak Sam odwraca ode mnie wzrok. Byłem dojmująco świadomy tego, że nie patrzy na mnie ani na Grace.

Przymknąłem powieki.

- Cały ten... ból... - głos znowu mnie zawodził, nagle niebezpiecznie drżący, ale nie pozwoliłem sobie przerwać. Otworzyłem oczy. – Poczucie winy. Z powodu tego, co ci zrobiłem. Z powodu tego, co zawsze ci robiłem. To wszystko... to wszystko by zniknęło... - zamilkłem, potarłem twarz dłonią. – Ale to jest właśnie to, co jest moją specjalnością, prawda Vic? Pieprzę wszystko, a potem znikam – dodałem niemal niesłyszalnie.

Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem łapy wilka; futro było szorstkie i zimne pod opuszkami moich palców.

- Ach, Vic – zacząłem znowu, a głos uwiązał mi w gardle – byłeś taki dobry. Magiczne ręce. Już nigdy więcej nie będziesz miał dłoni.

Reszty nie powiedziałem na głos. „Już nigdy więcej, Victor. Mam dość uciekania. Przykro mi, że trzeba było twojej śmierci, żebym zrozumiał”.

Kątem oka zobaczyłem coś, jakiś ruch w mroku.

Wilki.

Jako człowiek nigdy nie widziałem ich tak wielu naraz, ale teraz prześwity między drzewami wprost roily się od nich. Dziesięć...? Dwanaście...? Były na tyle daleko, że zastanowiłem się, czy wręcz nie wyobrażam sobie ich niewyraźnych kształtów.

Ale Grace też na nie patrzyła.

- Sam – wyszeptała. – To Beck.
- Wiem – powiedział.

Wszyscy zamarliśmy w oczekiwaniu, żeby przekonać się, jak długo zwierzęta zostaną i czy podejną bliżej. Kucając obok Victora, byłem świadomy tego, że te oczy lśniące w mroku dla każdego z nas oznaczają coś innego. Przeszłość Sama. Moją teraźniejszość. Przyszłość Grace.

- Czy przyszedł tu dla Victora? – zapytał Sam cicho.

Nikt mu nie odpowiedział.

Zdałem sobie sprawę z tego, że jestem jedynym, który opłakuje Victora takiego, jakim naprawdę był. Wilki pozostały na swoich miejscach, niczym zjawy w nadciągającej nocy. W końcu Sam zwrócił się do mnie:

– Jesteś gotowy?

Nie sądziłem, że będę kiedykolwiek na to gotowy, ale zakryłem pysk martwego zwierzęcia prześcieradłem. Razem podnieśliśmy jego ciało – zdawało się lekkie jak piórko – i delikatnie opuściliśmy do grobu, na oczach Grace i sfory.

W lesie panowała absolutna cisza.

Wtedy Grace wstała. Podniosła się niepewnie, przyciskając dłoń do brzucha.

Sam wzdrygnął się, gdy jeden z wilków zaczął wyć. To był niski i smutny dźwięk, przypominający ludzki głos znacznie bardziej, niż myślałem, że to możliwe.

Jeden po drugim pozostałe drapieżniki dołączyły do niego; w miarę jak zapadał zmrok, pieśń wzbierała, wypełniając każdą szczelinę i każdy parów w lesie. To obudziło jakieś wilcze wspomnienie, pogrzebane głęboko w moim umyśle. Ja, podrywający pysk do nieba, wzywający wiosnę.

Pieśń samotności podkreśliła to, że zimne ciało Victora nieodwołalnie leżało w grobie. Uświadomiłem sobie, że moje policzki są mokre od łez.

Zobaczyłem, jak Sam podchodzi do słaniającej się na nogach Grace i przytula ją. Trzymał ją mocno, jakby chciał zaprzeczyć faktowi, że w końcu wszyscy będziemy musieli odejść.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

SAM

Gdy wróciliśmy do domu, trudno było powiedzieć, kto wygląda gorzej – udręczony żalem Cole czy Grace z ogromnymi oczami w bladej, strasznie bladej twarzy. Obserwowanie ich bolało.

Cole padł na jedno z krzesel przy stole. Ja poprowadziłem Grace do kanapy i usiadłem obok niej. Chciałem włączyć radio, porozmawiać z nią, zrobić cokolwiek, ale byłem całkiem wykończony. Więc po prostu siedzieliśmy w ciszy, zagubieni w naszych myślach.

Godzinę później wszyscy podskoczyliśmy na dźwięk otwieranych tylnych drzwi. Widok Isabel, okutanej w lamowaną futrem białą kurtkę, uspokoił nas tylko odrobinę. Spojrzała na Cole'a siedzącego przy stole z podbródkiem opartym na skrzyżowanych rękach, następnie przeniosła wzrok na mnie, a potem na Grace, która leżała z głową na mojej piersi.

- Twój ojciec tu był – powiedziałem głupio, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.
- Wiem. Zobaczyłam, co się stało, gdy było już za późno. Ale nie miałam pojęcia, że zamierza go tu przywieźć. – Isabel była spięta. – Powinniście słyszeć, jak się chwalił, kiedy wrócił. Udało mi się wyrwać z domu dopiero po kolacji. Powiedziałam mu, że idę do biblioteki, bo jeśli jest jakaś rzecz, której ten człowiek nie wie, to z pewnością są to godziny otwarcia czytelnicy – przerwała, częściowo odwracając głowę w stronę nieruchomej sylwetki Cole'a, a potem w moją. – Kto to był? To znaczy ten upolowany przez ojca wilk.

Zerknąłem w kierunku stolika, ledwie widocznego z miejsca, gdzie siedzieliśmy na kanapie. Wiedziałem, że Cole nas słyszy.

- Victor. Przyjaciół Cole'a.

Isabel odruchowo znów spojrzała na Cole'a.

- Nie wiedziałam, że miał jakichś przyjaciół... - najwyraźniej zdała sobie sprawę z tego, jak strasznie to zabrzmiało, bo dodała szybko: - tutaj.
- Tak – rzuciłem wymownie.

Wyglądała niepewnie, zerkając raz na Cole'a, a raz na nas. W końcu powiedziała:

- Przyszłam, żeby dowiedzieć się, jaki mamy plan.
- Plan? – zapytałam. – W związku z czym?

Isabel znowu przeniosła wzrok na Cole'a, a potem na Grace – na niej zatrzymała go dłużej – aż w końcu wskazała na mnie palcem. Uśmiechnęła się jakoś sztucznie.

- Mogę cię prosić na moment, Sam? Do kuchni?

Grace ospale uniosła głowę i ściągnęła brwi, patrząc na Isabel, ale odsunęła się ode mnie, żebym mógł wstać.

Ledwie przekroczyłem próg kuchni, Isabel zaczęła zjadliwym głosem:

- Mówiłam ci, że wilki krążą w pobliżu mojego domu, a ojciec nie jest ich największym fanem. Sam, na co ty czekałeś?!

Zdziwiłem się, słysząc to oskarżenie.

- Co? Chodzi o to, co zrobił dziś twój ojciec? Że niby ja miałem temu zapobiec?
- Ty tu dowodzisz. Teraz to jest twoja sfera. Nie możesz po prostu siedzieć...
- Naprawdę nie przypuszczałem, że twój tato pójdzie i zacznie...

Isabel przerwała mi:

- Każdy wie, że mój ojciec strzela do wszystkiego, co nie może się bronić. Spodziewałam się, że coś zrobisz!

- A niby jak miałbym utrzymać wilki z dala od twojej posiadłości?! Krążą wokół jeziora, bo tam się dobrze poluje. To twój rąbnięty tatuś lekceważy przepisy o polowaniach i broni palnej, żeby dowieść swoich racji! – mój głos zabrzmiał oskarżycielsko, choć wiedziałem, że to nie *fair*.

Isabel zaśmiała się; to zabrzmiało jak szczeknięcie, krótkie i pozbawione humoru.

- Sam, ze wszystkich ludzi to właśnie ty powinieneś wiedzieć, do czego on jest zdolny! A poza tym jak długo masz jeszcze zamiar udawać, że z Grace nie dzieje się nic złego?

Zamrugalem, gapiąc się na nią.

- Nie patrz na mnie jak ostatnia ofiara losu. Siedzisz sobie na sofie z dziewczyną, która zachowuje się jak chora na raka, czy coś. Wygląda fatalnie! I cuchnie dokładnie jak ten martwy wilk. Więc co się dzieje?
- Nie wiem, Isabel – przyznałem, a w moim głosie nawet ja słyszałem zmęczenie. – Byliśmy dziś w przychodni, i nic.
- W takim razie zabierz ją do szpitala.
- A myślisz, że co tam zrobią? Może nawet zbadają jej krew i co znajdą...?! Domyślam się, że „wilkołak” nie figuruje w zestawie standardowych diagnoz i nie leczą tam ludzi „śmierdzących jak wilk”!

Nie chciałem brzmieć tak gniewnie; nie byłem zły na Isabel. Byłem wściekły na siebie.

- Więc ci zamierzasz? Czekać, aż stanie się coś złego?
- A co powinienem zrobić? Zażądać od lekarzy, żeby rozwiązali problem, który tak naprawdę jeszcze się nie pojawił? Tego nie znajdziesz w „Encyklopedii Zdrowia”! I jak sądzisz, czy zamartwiałem się przez cały dzień?! Przez cały tydzień?! Bądź łaskawa zauważyć, że mnie to dobija, bo nie wiem, co się dzieje. Zero pewności. Nie ma precedensu. Nigdy z nikim nie działo się nic takiego jak z Grace. Błądzą w ciemnościach, Isabel!

Isabel spiorunowała mnie wzrokiem; dostrzegłem, że jej oczy są odrobinę zaczerwienione pod bardzo ciemnym makijażem.

- Kombinuj. Bądź kreatywny. Powinieneś zastanowić się nad tym, co tak naprawdę zabiło tego wilka, zamiast tylko gapić się na Grace cielejącym wzrokiem. I co ty sobie myślałeś, pozwalając jej tutaj zostać? Brisbane’owie zostawili mi paskudne wiadomości. Co się stanie, jeśli się dowiedzą, gdzie mieszkasz, i pojawią podczas przemiany Cole’a? to będzie znakomity temat do pogawędki. A mówiąc o Cole’u – czy ty wiesz, kim on jest?! Co ty wyprawiasz, Sam?! Na co ty, do cholery, czekasz?!

Odwróciłem się od niej i założyłem ręce za głowę.

- Boże, Isabel. Czego ty ode mnie chcesz? No, czego ty ode mnie chcesz?
- Chcę, żebyś dorósł – nie wytrzymała. – Co ty sobie myślałeś? Że będziesz mógł po prostu pracować w księgarni na zawsze i żyć w świecie marzeń razem z Grace? Beck odszedł. Teraz to ty jesteś przy sterach. Zaczynaj się zachowywać jak dorosły albo stracisz wszystko. Spodziewasz się, że mój ojciec naprawdę poprzestanie na zabiciu jednego wilka? Mogę ci od razu powiedzieć, że on się dopiero rozkręca. A co będzie, gdy ludzie przyjdą tutaj po Cole’a? gdy to, co stało się Victorowi, przydarzy się również Grace? Naprawdę byłeś wczoraj w studiu nagraniowym? Niewiarygodne!

Odwróciłem się, żeby spojrzeć jej w twarz. Zaciśnięte pięści wepchnęła sobie pod pachy, szczękę miała zaciśniętą. Chciałem ją zapytać, czy jest tu dlatego, że Jack umarł, a ona nie może znieść, że to się dzieje także komuś innemu. A może atakuje mnie, bo ja przeżyłem, a Jack nie? Albo po prostu dlatego, że stała się częścią naszej grupy, już nierozdzielnie związana ze mną, z Grace, z Cole’em i całą resztą...?

Ostatecznie nie miało znaczenia, dlaczego tutaj była albo dlaczego mówiła to, co mówiła. Bo wiedziałem, że ma święta rację.

COLE

Podniosłem wzrok, gdy usłyszałem ostre głosy dobiegające z kuchni; Grace i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wstała i usiadła naprzeciwko mnie, trzymając szklanek wody i kilka tabletek w dłoni. Połknęła pigułki, popiła je i odstawiła naczynie. Wszystkie te czynności z pewnością wymagały od niej mnóstwa wysiłku, ale nie powiedziałem nic, bo i ona milczała. Miała ciemne kręgi pod oczami, a jej policzki były niezdrowo zaczerwienione od rosnącej gorączki. Wyglądała na wykończoną.

W drugim pomieszczeniu Sam i Isabel się kłócili. Poczułem napięcie w powietrzu, wiszące pomiędzy nami wszystkimi, jakby łączyły nas mocne, lecz i naprężone do granic wytrzymałości liny.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – odezwałem się w końcu.
- Cole, czy wiesz, co się stanie, gdy ludzie się dowiedzą, że tu jesteś? – rzuciła na to Grace. – Nie masz nic przeciwko, że o to pytam? – Postawiła problem w szczerym i prostym sposób, bez osądzania mojej sławnej gęby.

Pokręciłem głową.

- Nie wiem. Mojej rodziny nie będzie to obchodzić. Skreślili mnie już dawno temu. Ale media na pewno się mną zainteresują. – Pomyślałem o tych dziewczynkach robiących mi zdjęcia komórkami. – Dziennikarze będą zachwyceni. Mercy Falls znajdzie się w centrum uwagi.

Grace wypuściła powietrze i położyła rękę na brzuchu, ostrożnie, jakby obawiała się, że rozerwie sobie skórę. Czy wcześniej też tak wyglądała?

- Chcesz, żeby cię odnaleźli? – drążyła.

Nie odpowiedziałem.

- Ach tak – szepnęła w zamyśleniu i zmieniła temat. – Beck chyba sądził, że dłużej będziesz wilkiem.
- Beck myślał, że zamierzam popełnić samobójstwo. Nie wydaje mi się, żeby zastanawiał się nad innymi kwestiami. Próbował mnie uratować, i tyle.

W drugim pomieszczeniu Sam powiedział coś, na co Isabel odpowiedziała:

- Rozmawiacie z Grace o wszystkim, więc dlaczego nie o tym?

Sposób, w jaki to powiedziała – jakby ta wiedza była dla niej bolesna... Pomyślałem, że Isabel może coś czuć do Sama. Ta możliwość sprawiła, że wpadłem w dziwne odrętwienie. Grace też musiała to usłyszeć. Ale zachowała swoje myśli dla siebie.

Wtedy Sam i Isabel weszli do salonu. On miał minę winowajcy, a ona wyglądała na sfrustrowaną. Sam podszedł do Grace, stanął za jej krzesłem i położył jej dłoń na ramieniu. Ten prosty gest mówił nie tyle o posiadaniu, ile o połączeniu. Isabel chyba myślała to samo, co ja.

Przymknąłem powieki, ale natychmiast je otworzyłem. Zobaczyłem Victora. I po prostu nie mogłem już dłużej tego znieść. Nie mogłem wytrzymać bycia świadomym.

- Idę spać – oznajmiłem.

Isabel i Sam znowu popatrzyli po sobie. Wciąż toczyła się między nimi niema walka. Potem ona oświadczyła:

- Wychodzę. Grace, Rachel powiedziała twoim rodzicom, że nocujesz u mnie. Potwierdziłam jej wersję, ale wiem, że mi nie uwierzyli. Naprawdę zamierzasz zostać tutaj na noc?

Grace tylko wyciągnęła rękę i mocno złapała nadgarstek Sama.

- Aha, wygląda na to, że jestem tu jedynym głosem rozsądku – wybuchła Isabel. – Głosem, którego nikt nie słucha! Co za ironia.

Wypadła z domu. Po sekundzie wyszedłem za nią w ciemną noc, dogoniłem ją przy jej białym SUV-ie. Nocne powietrze było wystarczająco zimne, żeby palić mnie w gardle.

– Co?! – warknęła. – No co, Cole?!

Chyba wciąż miałem w pamięci ton jej głosu, gdy rozmawiała z Samem.

– Dlaczego mu to robisz?

– Samowi? Bo tego potrzebuje. Nikt inny z pewnością nie powie mu prawdy.

Stała tam wściekła, a ponieważ już wcześniej widziałem, jak płakała, łatwo było mi zauważyć, że te same emocje zżerają ją w tym momencie, tylko że nie pozwala im się wydostać.

Chyba dobiłem ją, gdy zapytałem:

– A kto wali prawdę prosto w oczy tobie?

Isabel popatrzyła na mnie.

– Wierz mi, robie to sobie przez cały czas.

– Wierze ci – odparłem.

Przez sekundę znowu wyglądała, jakby miała się rozplakać, a potem siadła za kierownicą i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nawet nie spojrzała na mnie, gdy cofała.

Stałem tam, wpatrując się w punkt, w którym zniknęła. Zimny wiatr szarpał mną, ale nie miał wystarczającej mocy, żebym się przemienił.

Wszystko było zrujnowane. I wszystko było nie tak. A to, że nie mogłem się stać wilkiem, powinno Stanowić dla mnie koniec świata. Tymczasem po raz pierwszy w życiu nie przeszkadzało mi, że nie mogę uciec.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

SAM

I znowu nadszedł czas pożegnań.

Grace leżała na moim łóżku na plecach, z nogami zgiętymi w kolanach. Jej T-shirt podciągnął się odrobinę, odsłaniając nieco bladego brzucha; blond włosy miała rozsypane po jednej stronie głowy, jakby leciała w powietrzu albo nurkowała w oceanie. Stałem przy włączniku światła, patrząc na nią i po prostu... pragnąc jej.

- Nie wyłączaj jeszcze – poprosiła Grace. Jej głos brzmiał odrobinę dziwnie. – Po prostu chodź i usiądź ze mną na trochę. Nie chcę jeszcze spać.

I tak wyłączyłem światło – w nagłej ciemności Grace wydała z siebie poirytowany dźwięk – a potem włączyłem sznur choinkowych lampek przyczepionych do sufitu. Migotały pośród wolno obracających się żurawi i rzucały ruchome cienie na twarz Grace, jakby siedziała w blasku kominka.

Jej gniew zamienił się w zachwyt.

- To jest jak... - zaczęła, ale nie dokończyła.

Dołączyłem do niej na łóżku, ale zamiast się kłaść, usiadłem po turecku.

- Jak co...? – zapytałem, przesuwając palcami po jej nagim brzuchu.
- Hm... - wymruczała, przymykając oczy.
- Jak co? – powtórzyłem pytanie.
- Jak patrzeć w gwiazdy albo na gigantyczne stado ptaków przelatujące na ich tle – wyszeptwała.

Westchnąłem.

- Sam, ja naprawdę chcę kupić czerwony ekspres do kawy, jeśli takie istnieją – powiedziała nagle Grace.
- Znajdę ci taki – obiecałem; jej skóra była szokująco gorąco w zetknięciu z moją dłonią.

Isabel powiedziała mi, żebym zapytał Grace, jak się czuje. Żebym nie czekał, aż ona mi powie, bo na pewno tego nie zrobi, a potem będzie za późno. Bo nie chce sprawić mi bólu.

- Grace...? – zacząłem, zabierając dłoń, przerażony.

Oderwała wzrok od ptaków wirujących powoli nad naszymi głowami i przeniosła spojrzenie na moją twarz. Chwyciła mnie za rękę w taki sposób, że nasze ręce otaczały się nawzajem. Opuszki jej palców muskały moja linię życia, a ja dotykałem jej linii swoimi palcami.

- Co? – gdy się odezwała, w jej oddechu poczułem zapach miedzi i lekarstw, i krwi.

Wiedziałem, że powinienem ja zapytać, co się dzieje, ale po prostu chciałem jeszcze jednej minuty spokoju. Jeszcze jednej chwili, zanim zmierzmy się z prawdą. Więc zadałem pytanie, na które teraz nie było właściwej odpowiedzi. Pytanie, które należało do innej pary, z inną przyszłością.

- Gdy będziemy już po ślubie, czy możemy pojechać na ocean? Nigdy go nie widziałem.
- Po ślubie – powtórzyła za mną, a to nie brzmiało jak kłamstwo, choć jej głos był cichy i smutny – możemy pojechać nad wszystkie oceany. Tylko po to, żeby móc powiedzieć, że to zrobiliśmy.

Położyłem się obok niej, nasze dłonie wciąż spoczywały splecione w węzeł i razem, ramię przy ramieniu, gapiliśmy się na stado szczęśliwych wspomnień latających nad nami, zamkniętych w tym pokoju. Choinkowe lampki mrugały do nas, a kiedy kołyszące się skrzydła zasłaniały żaróweczki, czułem, jakbyśmy się huścili na gigantycznej łodzi, wpatrzeni w nieznanym konstelacje.

Nadeszła pora.

Zamknąłem oczy.

- Grace, co się z tobą dzieje?

Milczała tak długo, że zacząłem wątpić, czy wypowiedziałem swoje pytanie na głos. Lecz wtedy szepnęła:

- Nie chcę iść spać. Boję się zasypiać.

Moje serce nie tyle zamarło, co zwolniło bieg do żółtego tempa.

- Co czujesz?

- Boli, gdy mówię – wyszeptała. – A mój brzuch... naprawdę... - Położyła sobie moja rękę w okolicy żołądka, a potem przykryła ją swoją dłonią. – Sam, boję się.

Jej wyznanie sprawiło mi ogromne cierpienie. Nie mogłem wydusić słowa.

- Zaraziłaś się...? – zapytałem w końcu cicho, bo tylko na tyle potrafiłem się zdobyć. – Wtedy... gdy znalazłyście z Isabel martwego wilka...? Jak to się stało...?
- Ja myślę, że wilk j e s t we mnie – poważnie stwierdziła Grace. – Myślę, że to jest wilk, którym nigdy nie byłem. Właśnie tak się czuję. Jakbym chciała się przemienić, ale nie mogła.

W myślach gorączkowo wertowałem wszystkie wiadomości na temat wilkołaków, szukałem choroby, która atakowała nas, gdy byliśmy zwierzętami, jednak nigdy nie słyszałem o czymś takim. Czyżby Grace była jedyna w swoim rodzaju?

- Powiedz mi – zaczęła – czy ty nadal to czujesz? Wilka wewnątrz siebie? Czy może już zniknął?

Westchnąłem i pochyliłem się, żeby oprzeć czoło o jej policzek. Oczywiście, że wciąż we mnie był, on nie znika. Oczywiście, że tak.

- Grace, zabiorę cię do szpitala. Zmusimy ich, żeby sprawdzili, co jest nie tak. Nie obchodzi mnie, co będziemy musieli im powiedzieć, żeby nam uwierzyli.
- Nie chcę umierać w szpitalu – jęknęła Grace.
- Nie umrzesz – zapewniłem ją. – Jeszcze nie skończyłem pisać piosenek o tobie.

Uśmiechnęła się kącikiem ust, a potem po prostu oparła głowę na mojej piersi. Zamknęła oczy.

Ja nie zamknąłem swoich. Obserwowałem ją i cienie żurawi drgające na jej twarzy i... pragnąłem. Pragnąłem więcej szczęśliwych wspomnień, które mógłbym potem zawiesić pod sufitem, tak wiele radosnych chwil z tą dziewczyną, żeby wypełniły mój pokój i poszybowały na korytarz, i zaczęły wylatywać z domu wszystkimi oknami.

Godzinę później Grace zaczęła wymiotować krwią.

Nie mogłem dzwonić pod 911 i pomagać jej w tym samym czasie, więc zostawiłem ją skuloną przy ścianie w korytarzu. Smuga jej krwi znaczyła drogę z sypialni; stałem w drzwiach z telefonem, nie odrywając od niej oczu.

Cole – nie pamiętałem, że bym go wołał – pojawił się u szczytu schodów; w milczeniu niósł ręczniki.

- Sam – jęknęła Grace głosem ciekim i nieszczęśliwym – moje włosy.

To była najmniej znacząca drobnostka na świecie – krew na końcówkach jej włosów. Jednak dla niej stanowiło to największy problem – Grace pozbawiona kontroli.

Cole pomógł jej docisnąć ręcznik do nosa i ust, ja niezdarnie zebrałem jej włosy w kucyk, żeby nie przeszkadzały. Potem usłyszeliśmy, jak karetka wjeżdża na podjazd, pomogliśmy jej wstać i spróbowaliśmy sprowadzić ją na dół tak, żeby nie zaczęła znowu wymiotować. Żurawie drżały i trzepotały wokół nas, jakby chciały polecieć za nami. Ale ich sznurki były za krótkie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

GRACE

Pewnego razu była sobie dziewczyna o imieniu Grace. Nie wyróżniała się niczym wyjątkowym, poza tym że świetnie radziła sobie z matematyką i doskonale kłamała, i znalazła dom pomiędzy kartkami książek. Kochała wszystkie wilki żyjące w lesie za jej domem, ale jednego z nich kochała nade wszystko.

A on odwzajemniał jej miłość. Kochał ją tak mocno, że nawet te rzeczy, które nie były w niej wyjątkowe, stały się dla niego niezwykle: to, w jaki sposób stuknęła ołówkiem o zęby, to, że śpiewała piosenki pod prysznicem, fałszując potwornie, i to, że gdy go całowała, on wiedział, że to znaczy „na zawsze”.

Towarzyszyły jej wspomnienia złożone z migawek: jej ciało ciągnięte po śniegu przez sforę wilków, pierwszy pocałunek o smaku pomarańczy, pożegnanie za rozbitą szybą samochodu...

Życie stworzone z obietnic tego, co mogło być: możliwości zawartych w stosie podań do college'u, dreszczyku związanego ze spaniem pod nieznanym dachem, przyszłości, która leżała w uśmiechu Sama.

To było życie, którego nie chciałam porzucać.

To było życie, którego nie chciałam zapomnieć.

Jeszcze nie miałam dość.

Jeszcze było tak wiele do powiedzenia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

SAM

*Drgające światła
i obce drzwi;
me serce ucieka, kropla po kropli.
Nadal się budzę,
lecz ona wciąż śpi.
To miejsce to
hotel dla martwych...*

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

COLE

Nie wiem, dlaczego pojechałem z Samem do szpitala. Wiedziałem, że mogę zostać rozpoznany – choć zarost i podkrążone oczy dobrze mnie maskowały. Zdawałem też sobie sprawę z tego, że mogę się nagle przeistoczyć, jeśli moje ciało postanowi ulec kaprysom zimna. Ale nie mogłem stać bezczynnie, gdy widziałem Sama bez powodzenia próbującego wetknąć kluczyki do zamka auta, żeby pojechać za karetką. Dotąd trzymałem się z tyłu, gotowy, żeby zniknąć, jeśli poczuję, że chłód nadchodzącego poranka zaczyna zmieniać mnie w wilka. Lecz Sam był taki bezradny; tylko patrzył na swoją zakrwawioną rękę, więc podszedłem do niego i zabrałem mu kluczyki.

– Wsiadaj – powiedziałem.

I wsiadł.

Oto byłem tutaj, w pokoju szpitalnym dziewczyny, której prawie nie znałem, z gościem, którego znałem tylko odrobinę lepiej, i wciąż nie miałem pewności, dlaczego mnie to wszystko obchodzi.

Sala była pełna ludzi – dwóch lekarzy, facet, który chyba był chirurgiem, i cała armia pielęgniarek. Mówili ściszym głosem i używali medycznego żargonu, ale rozumiałem istotę problemu: nie mieli pojęcia, co się dzieje, a Grace umierała.

Nie pozwolili Samowi stać tuż obok niej, więc usiadł na krześle w rogu, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Ja też nie wiedziałem, co robić, więc stałem przy nim, zastanawiając się, czy wcześniej – zanim zostałem ugryziony – potrafiłbym wyczuć cały ten zapach śmierci, który unosił się na oddziale intensywnej terapii.

Usłyszałem dzwonek komórki, energiczny, i uświadomiłem sobie, że dźwięk dochodzi z kieszeni Sama. Powoli wyjął telefon i spojrzał na ekran.

– To Isabel – powiedział ochryple. – Nie dam rady z nią rozmawiać.

Wziąłem aparat z jego uległych dłoni.

– Isabel – odezwałem się.

– Cole? – zapytała Isabel. – To ty, Cole?

– Tak.

I wtedy usłyszałem najbardziej szczerze słowa, jakie kiedykolwiek popłynęły z jej ust:

– Och, nie.

Nie odezwałem się. Ale hałas za mną musiał zdradzić jej wszystko.

– Jesteś w szpitalu?

– Tak.

– Co mówią?

– Nie mają pojęcia, co się dzieje.

Isabel przeklinała cicho, raz za razem.

– Jak bardzo jest źle, Cole? Możesz mi powiedzieć?

– Sam jest tutaj.

– Świetnie – warknęła szorstko Isabel. – Po prostu rewelacyjnie.

Nagle jedna z pielęgniarek krzyknęła:

– Uwaga...!

Grace uniosła się na posłaniu i wymiotowała jeszcze więcej krwi prosto na pielęgniarkę, która właśnie coś mówiła. Kobieta spokojnie odstaąpiła do tyłu, żeby wyszorować rękę, a inna pielęgniarka zajęła jej miejsce, przynosząc Grace ręcznik.

Dziewczyna opadła z powrotem na łóżko. Wyjęczała coś, czego pielęgniarki nie mogły wyłapać.

- Co, skarbie?
- Sam – zaskomliła Grace.

Był to straszny dźwięk, jednocześnie ludzki i zwierzęcy, ohydnie przypominający krzyk tamtej łani.

Sam zerwał się z krzesła dokładnie w tym samym momencie, gdy jacyś mężczyzna i kobieta wepchnęli się do już i tak zatłoczonego pokoju.

Zobaczyłem, jak jedna z pielęgniarek otwiera usta w proteście, gdy para ruszyła prosto na nas, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo mężczyzna zawołał:

- Ty sukinsynu!

I walnął Sama prosto w twarz.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

SAM

Cios Lewisa Brisbane'a zaczął boleć dopiero po kilku sekundach, jakby moje ciało nie mogło uwierzyć w to, co właśnie się stało. Gdy ból w końcu do mnie dotarł, w lewym uchu usłyszałem brzęczenie i trzaski i musiałem przytrzymać się ściany, żeby znów nie upaść na krzesło. Wciąż było mi niedobrze na myśl o krzyku Grace.

Przez jedną małą chwilę miałem przed oczami perfekcyjnie wyraźny obraz jej matki, obserwującej to wszystko z twarzą wypraną z jakichkolwiek emocji. Nie zrobiła nic, podczas gdy ojciec Grace znowu się na mnie zamachnął.

– Zabiję cię – groził.

Po prostu gapiłem się na jego pięść, a w uszach nadal mi syczało po pierwszym uderzeniu. Myślami wciąż trwałem przy Grace, a jednocześnie nie byłem w stanie przyjąć takiej opcji, że Lewis Brisbane zamierza walnąć mnie raz jeszcze. Nawet się nie wzdrygnąłem.

Zanim jego pięść po raz kolejny wylądowała na mojej twarzy, ojciec Grace zatoczył się do tyłu, walcząc o to, żeby zachować równowagę. Wzrok i słuch wróciły mi natychmiast; zobaczyłem, jak Cole odciąga go, jakby był workiem kartofli.

– Spokojnie, wielkoludzie! – rzucił Cole, a potem warknął na pielęgniarki: - Na co się tak gapicie? Pomóżcie chłopakowi, którego właśnie pobili!

Pokręciłem głową, odrzucając propozycję pielęgniarek, które zaoferowały, że przyniosą mi lodu, ale przyjąłem ręcznik i przytknąłem go do swojej rozbitej skroni. Usłyszałem, jak Cole mówi do pana Brisbane'a:

– Puszczę cię. I nie zmuszaj mnie, żebym sprawił, że wyrzucą nas obu z tego szpitala.

Stałem, gapiąc się, jak rodzice Grace przepychają się do jej łóżka, i nie miałem pojęcia, co robić. Wszystko, co było stałe w moim życiu, waliło się właśnie w gruzy i już nie wiedziałem, gdzie jest moje miejsce.

Poczułem, że Cole patrzy na mnie; jego wzrok przypominał mi o krwi płynącej z rany. Uniostłem ręcznik. Przed oczami zatańczyły mi wirujące kolorowe cętki. A wtedy pielęgniarka rzuciła:

– Przepraszam... Sam? Skoro nie jesteś bezpośrednim krewnym, nie możesz tutaj zostać. Jej rodzice poprosili, żebyśmy kazali ci wyjść.

Patrzyłem na nią w milczeniu, czując kompletną pustkę. Może powinienem ją błagać...? „Moje życie leży na tamtym łóżku. Proszę, pozwólcie mi zostać”.

Kobieta skrzywiła się.

– Naprawdę mi przykro. – Zerknęła na Brisbane'ów. – Dobrze zrobiłeś, przywożąc ją tutaj.

Zamknąłem oczy; wciąż widziałem płasające chaotycznie płatki. Wiedziałem, że jeśli zaraz nie usiądę, moje ciało odmówi mi posłuszeństwa.

– Czy mogę jej tylko powiedzieć, że wychodzę?

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – rzuciła jedna z pozostałych pielęgniarek, przemykając obok z czymś w dłoniach. – Pozwólmy jej myśleć, że on nadal tu jest. Będzie mógł wrócić, jeśli... - przerwała, po czym dodała: - Niech trzyma się w pobliżu.

Na moment zapomniałem, jak się odдыcha.

– Chodź – odezwał się Cole.

Spojrzał przez ramię na pana Brisbane'a, który patrzył na mnie z wrogim wyrazem twarzy, wyciągnął w jego stronę palec i warknął:

– Jesteś skurwysynem. On ma większe prawo, żeby tutaj być, niż ty.
Ale moja miłość do Grace nie była potwierdzona na papierze, więc to ja musiałem wyjść.

COLE

Gdy Isabel dotarła do szpitala, świt właśnie zaczynał się sączyć przez okna kafeterii.
Grace umierała.

Tylko tyle udało mi się wydobyć z pielęgniarek, zanim wyszedłem. Wymiotowała krwią, a oni dawali jej witaminy i robili transfuzje, żeby to spowolnić, ale koniec końców miała umrzeć.

Jeszcze nie przekazałem tego Samowi, ale myślę, że i tak wiedział.

Isabel rzuciła serwetkę na stół przede mną, tuż obok poplamionego ręcznika Sama. Dopiero po pewnej chwili rozpoznałem swój nabazgrany schemat blokowy. Wielkimi literami było na nim napisane: „METADRYNA”, co przypomniało mi, jak dużo powiedziałem o sobie Isabel. Opadła na plastikowe krzesło naprzeciwko mnie; wszystko w niej krzychało: „GNIEW, GNIEW, GNIEW”. Nie miała żadnego makijażu, tylko rozmazane smugi maskary wokół oczu.

– Gdzie jest Sam?

Skinąłem na okna restauracji. Sam odcinał się ciemniejszą plamą na tle ołowianego nieba. Ręce założył za głowę i wpatrywał się w pustkę. Czas mijał i wszystko się zmieniało – światło poranka błędzące po cudacznie pomarańczowych ścianach, krzesła przesuwane w tę i z powrotem, podczas gdy pracownicy szpitala przychodzili i odchodzili ze swoimi śniadaniem, sprzętacz z mopem i znakiem ostrzegającym przed śliską podłogą.

Tylko Sam tkwił nieruchomo na swoim miejscu. Był filarem, wokół którego wszyscy krążyli.

* * *

– Dlaczego tutaj jesteś? – chciała wiedzieć Isabel.

Ale ja nie miałem pojęcia. Wzruszyłem ramionami.

– Żeby pomóc.

– Więc pomagaj – rzuciła i popchnęła serwetkę w moją stronę, a głośniejszym głosem zawołała: - Sam!
Opuścił ręce, ale się nie odwrócił. Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, że w ogóle drgnął.

– Sam! – Tym razem zwróciła jego uwagę.

Szybkim ruchem ręki wskazała na bar samoobsługowy i kasjera po drugiej stronie pomieszczenia. –
Przynieś nam jakąś kawę, dobrze?

Nie wiedziałem, co było bardziej zdumiewające: to, że ona właśnie kazała mu pójść po kawę, czy to, że on rzeczywiście jej posłuchał, choć jego twarz nadal była pozbawiona wyrazu. Przeniósłem wzrok z powrotem na Isabel.

– Au! A już sądziłem, że nie możesz być jeszcze bardziej okrutna.

– Za to ty jesteś miły jak zwykle – zaprotestowała ostro Isabel. – Co dobrego robi, stercząc jak zombie?

– Nie wiem. Przypomina sobie wszystkie wspaniałe dni, które spędził ze swą dziewczyną, zanim ona umrze?

Isabel spojrzała mi prosto w oczy.

– Czy uważasz, że rozpamiętywanie przyjaźni z Victorem pomoże w uporaniu się z poczuciem winy? Bo mnie myślenie o Jacku jakoś nie ratuje. – Wskazała serwetkę. – Lepiej pomówmy o tym.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z Grace.

Sam postawił dwa kubki na stole, jeden przede mną i jeden przed Isabel. Nie wziął nic dla siebie.

- To, co dolega Grace, to to samo, co zabiło tamtego wilka, którego znalazłyście nad jeziorem – odezwał się w końcu. Jego głos był ochrypły, jakby od dawna go nie używał. – Ten odór jest zbyt charakterystyczny, żebym mógł się mylić. To to samo świństwo.

Stał obok nas, zamiast się przysiąść, jakby opadnięcie na krzesło miało oznaczać akceptację czegoś, na co nie chciał się zgodzić.

Zwróciłem się do Isabel:

- Dlaczego wydaje ci się, że ja mogę coś z tym zrobić, skoro lekarze nie potrafią?
- Bo jesteś pieprzonym geniuszem – odpowiedziała.
- To ci ludzie są geniuszami – zaprzeczyłem.
- Bo ty wiesz – oświadczył krótko Sam.

Isabel znowu popchnęła serwetkę w moją stronę. I ponownie poczułem się tak, jakbym siedział przy stole w jadalni z ojcem prezentującym mi jakiś problem. Albo jakbym brał udział w jego zajęciach w college'u, gdy miałem szesnaście lat. Albo w jakiejś uroczystości rozdania nagród, otoczony ludźmi w wyprasowanych koszulach, ze staromodnymi krawatami, słuchając, jak tato mówi głosem nieznoszącym sprzeciwu, że będę wspinały. Na nowo doświadczyłem tego, jak szuka we mnie potwierdzenia, że pójdę w jego ślady.

Pomyślałem o tamtym prostym gościu, gdy Sam położył dłoń na ramieniu Grace. Pomyślałem o Victorze.

Wziąłem serwetkę.

- Będę potrzebował więcej papieru – oznajmiłem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

SAM

Nie było dłuższej nocy niż ta: Cole i ja w kafeterii, omawiający każdy szczegół życia wilków, dopóki jego mózg nie napełnił się danymi. Wtedy odesłał mnie i Isabel, żeby mógł posiedzieć w samotności, wpatrzony w kartkę. Wydawało mi się zdumiewające, że moja przyszłość – wszystko, czego kiedykolwiek chciałem – spoczywała teraz na barkach Cole'a St. Claira. Chłopaka siedzącego przy plastikowym stoliku, z pobazgrana serwetką przed oczami. Ale co innego mi pozostało?

Uciekłem z baru i usiadłem pod jej pokojem, opierając się plecami o ścianę, z głową w dłoniach. Wbrew swojej woli zapamiętywałem wszystkie szczegóły dotyczące tych ścian, tego miejsca, tej nocy.

Nie miałem nadziei, że mnie wpuszczą, że będę mógł ją zobaczyć.

Więc modliłem się tylko o to, żeby nie wyszli, żeby mi powiedzieć, że odeszła. Modliłem się, żeby drzwi się nie otworzyły. „Grace, po prostu pozostań przy życiu”.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

SAM

Isabel przyszła po mnie; zaciągnęła mnie przez ruchliwe korytarze na pustą klatkę schodową, gdzie czekał na nas Cole. Przepętniała go niespokojna energia, dłonie zacisnął w pięści i nieustannie uderzał jedną o drugą.

- Okej, nie mogę niczego obiecać – zaczął. – Ja tylko zgaduję. Ale mam... teorię. Chodzi o to, że nawet jeśli mam rację, nie da się tego udowodnić. Może się też okazać, że się myliłem. – Gdy się nie odezwałem, kontynuował: - Co przede wszystkim łączy Grace z tamtym wilkiem? – Czekał, aż mu odpowiem.
- Zapach.
- Ja też tak myślałam – skomentowała Isabel. – Sądziłam, że to dość oczywiste, dopóki Cole nie zauważył czegoś jeszcze.
- Transformacja – oznajmił Cole. – Zarówno ten wilk, jak i Grace nie przemienili się przez jakieś... dziesięć lat, może więcej? To magiczna liczba dla wilków, które już się nie przeistaczają. Wtedy umierają, zgadza się? Wiem, że powiedziałaś, że to jest naturalna długość życia tego zwierzęcia, ale nie wydaje mi się, żeby to było to. Myślę, że każdy wilk, który zakończył swój żywot po tylu latach bez przemieniania się, umarł jak tamten wilk – od czegoś. Nie ze starości. I uważam, że właśnie to zabija Grace.
- Wilk, którym nigdy nie była – odezwałem się, nagle przypominając sobie coś, co powiedziała mi poprzedniej nocy.
- Tak właśnie – potwierdził Cole. – Według mnie, te drapieżniki umierają, bo już się nie przeistaczają. Nie sądzę, żeby transformacja stanowiła przekleństwo. Uważam, że to coś, co mówi naszym ciałom, żeby się przemieniały, jest tutaj winowajcą.

Zamrugałem.

- To nie jest to samo – wyjaśnił Cole. – Jeśli zmianę formy traktujesz jako chorobę, to jedna sprawa. Ale jeśli przechodzisz transformację z powodu choroby, to coś zupełnie innego. Więc to jest moja teoria, tak marna w sensie naukowym, że nawet nie muszę wam tego mówić. Nauka bez mikroskopów, testów krwi czy badań. W każdym razie Grace została ugryziona. A gdy to się stało, wilcza toksyna (nazwę ją tak z braku lepszego terminu) została wprowadzona do jej organizmu. Cokolwiek zawiera ślina wilkołaków, jest to naprawdę złe dla człowieka. Powiedzmy, że przemiana to coś dobrego. Obecność wilczej toksyny inicjuje reakcję obronną w twoim ciele – każe ci się przemienić, żeby oczyścić organizm z trujących związków. Za każdym razem, kiedy się przeistaczasz, to powstrzymuje toksynę przed rozprzestrzenianiem się. I z jakiejś przyczyny te transformacje zbiegają się w czasie z pogodą. No, chyba że, oczywiście...
- Przeszujesz się przemieniać – dokończyła Isabel.
- Tak. – Cole zerknął w górę, w stronę piętra, na którym leżała Grace. – Jeśli w jakiś sposób zniszczysz możliwości obronne organizmu i ciepło oraz zimno przestaną powodować przemiany, to wyglądasz na wyleczonego, ale wcale nie jesteś zdrowy. Gniesz od środka.

Byłem wykończony i nie znałem się na nauce. Cole mógłby mi powiedzieć, że wilcza toksyna sprawia, że człowiek zaczyna znosić jajka – w tym momencie też uznałbym, że to brzmi rozsądnie.

- Okej. Ma to sens, nawet jeśli jest trochę mętne. Jaka jest pointa? Co sugerujesz?
- Myślę, że ona musi się zmienić – stwierdził Cole.

Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co on mówi.

- Stać się wilkiem?
- Jeśli mam rację. – Cole wzruszył ramionami.
- A masz rację?
- Nie wiem.

Zacisnąłem powieki.

- I domyślam się, że masz też teorie dotyczącą tego, jak skłonić ja do transformacji.

Och, Grace. Nie mogłem uwierzyć w to, co mówię.

- Najprostsze rozwiązania są najlepsze – oświadczył zdecydowanym głosem Cole.

W mojej głowie pojawił się nagle obraz brązowych oczu Grace spoglądających z wilczej twarzy. Mocno objąłem się rękoma.

- Musi zostać raz jeszcze ugryziona.

Uniosłem powieki i gapiłem się na Cole'a.

- Ugryziona...
- To tylko hipoteza. – Cole skrzywił się. – Coś popsuło się w jej mechanizmie przemiany i jeśli ponownie wprowadzi się pierwotny bodziec, wszystko może się zacząć od zera. Tylko tym razem nie ugotuj jej w samochodzie.

Wszystko we mnie buntowało się przeciw temu pomysłowi. Protestowało na myśl o utracie Grace, o utracie tego, co czyniło ją Grace. O zaatakowaniu jej, gdy umierała. O podejmowaniu decyzji takich jak ta, w pośpiechu, bo nie było czasu.

- Ale mijają dni, a czasem tygodnie, zanim człowiek przemieni się po ugryzieniu.
- Myślę, że tak długo trwa kumulowanie się wilczej toksyny w organizmie na samym początku – zasugerował Cole. – Ale ona najwyraźniej już jest w ciele Grace. Jeśli mam rację, transformacja nastąpi natychmiast.

Założyłem ręce za głowę i odwróciłem się od Cole'a i Isabel, gapiąc się na betonową bladoniebieską ścianę.

- A jeśli się mylisz?
- Będzie mieć wilczą ślinę w otwartej ranie... - Cole przerwał, a potem dodał – i prawdopodobnie szybko się wykrwawi, bo wygląda na to, że toksyna upośledziła jej krzepliwość krwi.

Pozwolili mi krążyć po klatce schodowej przez kilka długich chwil, a potem Isabel przerwała milczenie i cichym głosem powiedziała:

- Jeśli masz rację, to Sam też umrze.
- Tak – potwierdził Cole tak bezbarwnym głosem, że było oczywiste, że już to rozważył. – Jeśli moje przypuszczenie potwierdzą się, za jakieś dziesięć czy trzynaście lat lekarstwo Sama też przestanie działać.

Czy mogłem wierzyć w teorię obmyśloną w szpitalnej kafeterii nad letnią kawą i pomiętymi serwetkami?

To było wszystko, co miałem.

Obróciłem się w końcu i spojrzałem na Isabel.

Z rozmazanymi resztkami makijażu, potarganymi włosami i ramionami zgarbionymi w niepewności wyglądała jak zupełnie inna dziewczyna, usilnie się starająca upodobnić do Isabel – w przebraniu.

- Jak dostaniemy się do jej pokoju? – zapytałem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

ISABEL

To mnie przypadło zadanie wywabienia rodziców Grace z jej pokoju. Nienawidzili Sama, więc on odpadał, a Cole miał do spełnienia inne zadanie. Gdy szłam korytarzem, dotarło do mnie, że wszyscy liczyliśmy na to, że Cole się myli. Bo jeśli miał rację, to znajdziemy się w niezłych tarapatach.

Poczekaliśmy, aż pielęgniarka wyjdzie z sali; potem odrobinę uchylałam drzwi. Miałam szczęście; przy łóżku Grace siedziała tylko jej matka, jednak zamiast skupić się na córce, wyglądała sobie przez okno. Starłam się nie zerkać na Grace, która leżała cicha i blada, z głową odrzucona bezwładnie na bok.

– Pani Brisbane? – To był głos wzorowej uczennicy.

Spojrzała na mnie i zauważyłam z pewną satysfakcją, że oczy miała zaczerwienione.

– Isabel?

– Przyjechałam, gdy tylko się dowiedziałam – oznajmiłam. – Czy mogłabym... porozmawiać z panią?

Gapiała się na mnie przez chwilę, a potem najwyraźniej uświadomiła sobie, o co zapytałam.

– Oczywiście.

Zawahałam się. No, dalej, Isabel.

– Yyy... nie przy Grace. Wie pani, żeby nie mogła... - Wskazałam swoje ucho.

– Och – zrozumiała jej matka. – Jasne.

Prawdopodobnie była bardzo ciekawa tego, co chciałam jej powiedzieć. Szczerze mówiąc, ja też. Aż dłonie miałam lepkie od potu.

Poklepała Grace po nodze i ruszyła w stronę drzwi. Gdy wyszliśmy na korytarz, wskazałam ręką na Sama, który stał, tak jak mu kazaliśmy, dwa kroki dalej. Wyglądał, jakby miał zwymiotować, ale to ja się tak czułam.

– I nie przy nim – wyszeptałam porozumiewawczo.

Przypomniałam sobie nagle, jak kiedyś oznajmiłam Samowi, że niektórzy ludzie nie potrafią się odnaleźć w takich sytuacjach. Że nie potrafią kłamać. Mój żołądek fikał koziołki, a ja na chybcika planowałam, co wyznam matce Grace. Pomyślałam, że karma to straszna rzecz.

COLE

Gdy tylko Isabel wywabiła panią Brisbane z sali, nadeszła moja kolej. Sam stał na czatach, pilnując, żeby do środka nie weszła żadna pielęgniarka, a ja wślizgnąłem się do pokoju. Cuchnął krwią, zgnilizną i strachem; moje wilcze instynkty krzyczały, żebym się stąd wynosił.

Zignorowałem je i podszedłem prosto do Grace. Wyglądała, jakby była stworzona z oddzielnych części, które zostały przyniesione do łóżka i poskładane pod złym kątem. Wiedziałem, że mam mało czasu.

Byłem zaskoczony, kiedy ukląknęłam przy jej twarzy i zauważyłem, że ma otwarte oczy, choć powieki jej ciążyły.

– Cole... - powiedziała cicho, jak wybudzona ze snu dziewczynka. A jednocześnie jak ktoś, kto już po prostu nie może dłużej zachować przytomności. – Gdzie jest Sam...?

– Tutaj – skłamałem. – Ale postaraj się nie odwracać głowy.

– Ja umieram, prawda? – wyszeptała.

– Nie bój się – uspokoiłem ją, ale nie chodziło mi o to, co powiedziała. Zacząłem wyciągać szufladki z wózka stojącego przy łóżku, aż w końcu znalazłem to, czego szukałem: zestaw

lśniących narzędzi chirurgicznych. Wybrałem jedno, które wyglądało na odpowiednie, i wziąłem Grace za rękę.

- Co robisz? – Ale odpłynęła już za bardzo, żeby naprawdę się tym przejmować.
- Zamieniam cie w wilka – oznajmiłem.

Nie wzdygnęła się, nawet nie zaciekawiała. Nabrałem powietrza, naciągnąłem jej skórę i zrobiłem małe nacięcie tuż nad nadgarstkiem. Nawet się nie poruszyła. Rana krwawiła jak diabli.

- Przepraszam – wyszeptalem – to będzie obrzydliwe. Ale, niestety, jestem jedynym gościem, który może odwalić tę robotę.

Oczy Grace rozszerzyły się tylko odrobinę, gdy zbierałem w ustach jak najwięcej śliny. Nie wiedziałem, jak dużo trzeba, żeby ponownie ją zainfekować. To Beck doprowadził cały proces do perfekcji. Miał malutką strzykawkę, którą trzymał w lodówce turystycznej.

- Wierz mi, ten sposób jest mniej straszny – wyjaśnił.

Usta mi wysychały, gdy zastanawiałem się nad tym, jak długo jeszcze Isabel uda się przetrzymać panią Brisbane z dala od pokoju córki. Krew tryskała z małego nacięcia, jakbym przeciął żyłę. Powieki Grace opadały powoli, choć widziałem, że walczy, żeby zachować otwarte oczy. Krew zbierała się w kałużę pod jej ręką.

Jeśli się myliłem, to właśnie ja zabijałem.

SAM

Cole uchylił drzwi, dotknął mojego łokcia i wciągnął mnie do środka. Zamknął drzwi na zasuwkę i zastawił je wózkami z narzędziami chirurgicznymi, jakby to mogło kogokolwiek powstrzymać.

- Nadeszła chwila prawdy – powiedział drżącym głosem. – Jeśli to nie zadziała, to koniec, ale możesz jeszcze spędzić z nią kilka chwil. A jeśli się udało, to będziemy... będziemy musieli ją stąd zabrać i to szybko. A teraz chcę, żebyś się przygotował, bo...

Minąłem go, a przed oczami mi pociemniało. Widziałem już wcześniej tyle krwi, gdy wilki upolowały ofiarę, a czerwień barwiła śnieg wokół niej na szkarłat, tworząc ogromną plamę. I widziałem już wcześniej tyle krwi Grace, lata temu, gdy byłem wilkiem, a ona była tylko małą dziewczynką i umierała. Ale naprawdę nie byłem gotowy, żeby oglądać to znowu.

- Grace – powiedziałem, ale to nie był nawet szept. To było słowo zamknięte w ułożeniu warg. Byłem tak blisko niej, a jednocześnie tysiące kilometrów stąd.

Trzęsa się i kasłała, kurczowo przytrzymując barierek szpitalnego łóżka.

Po drugiej stronie pokoju Cole wpatrywał się w podłogę. Klamka się poruszała.

- Okno – rozkazał mi.

Gapiałem się na niego.

- Sam, ona nie umiera – jego głos brzmiał uspokajająco. – Ona się przemienia.

Skupiłem wzrok na dziewczynie leżącej na łóżku, a ona odwzajemniła moje spojrzenie.

- Sam – jęknęła.

Trzęsa się, kuliła... Nie mogłem na nią patrzeć.

Grace przechodząca przez agonię przemiany. Grace stająca się wilkiem. Grace znikająca w lesie – tak jak Beck i Urlik, i każdy inny wilk przed nią.

Traciłem ją.

Cole pobiegł do okna i szarpnął zasuwkę.

- Wybaczcie, żaluzje! – zawołał i kopniakiem wypchnął je na zewnątrz. Nie byłem w stanie się poruszyć. – Sam, chcesz, żeby znaleźli ja w takim stanie?!

Razem podnieśliśmy Grace z łóżka.

Słyszałem łomot do drzwi; ludzie wrzeszczących coraz głośniejsze po drugiej stronie.

Wyjrzałem przez okno. Od ziemi dzieliło nas jakieś półtora metra. Był olśniewający, słoneczny, czysty poranek, z pozoru całkowicie zwyczajny. Cole wyskoczył pierwszy, przeklinając, gdy wylądował w niskich krzakach, podczas gdy ja podtrzymywałem Grace, pomagając jej wspiąć się na parapet. Z każdą chwilą stawała się coraz mniej sobą. Gdy Cole opuścił ją na ziemię, niemal zwymiotowała na trawę.

- Grace! – zawołałem, chociaż robiło mi się słabo z powodu jej krwi rozmazanej na moich policzkach. – Słyszysz mnie?

Pokiwała głową, a potem zatoczyła się, padając na kolana. Ukląknęłam obok niej; jej oczy były ogromne i przerażone; serce mi się krajało na ten widok.

- Odnajdę cię – wyszeptałem. – Obiecuję, że cię odnajdę. Nie zapomnij o mnie. Nie... nie utracić siebie.

Grace sięgnęła po moją dłoń i nie trafiła. Ostatkiem sił powstrzymała się przed upadkiem na ziemię. A potem krzyknęła i dziewczyna, którą znałem, zniknęła. Został tylko wilk z brązowymi oczami.

Nie mogłem zmusić się do wstania. Klęczałem osamotniony, a jasnoszary wilk powoli krążył między mną a Cole'em, wzdrygając się przed naszym człowieczeństwem. Nie mogłem oddychać.

Grace.

- Sam – odezwał się Cole – mogę cię posłać razem z nią. Ciebie też mogę znowu zarazić.

Przez krótką chwilę widziałem to. Widziałem, jak znowu drzę i się przemieniam w wilka, wspominałem wiosny, gdy znów stawałem się człowiekiem, a potem ukrywanie się przed przeciągami; usłyszałem dźwięk, który wydawałem, gdy traciłem siebie. Przypomniałem sobie moment, gdy zrozumiałem, że to mój ostatni rok i że przez resztę życia będę uwięziony w wilczym ciele.

Przypomniałem sobie, jak stoję pośrodku ulicy przed „Krzywą półką”, tak pewien swojej przyszłości. Słyszałem wilki wyjące za domem i przypomniałem sobie, jak zadowolony byłem, że jestem człowiekiem.

Nie mogłem. Grace musiała to zrozumieć. Po prostu nie mogłem.

- Cole – wyjąkałem – uciekaj stąd. Lepiej, żeby nikt nie zobaczył twojej twarzy. Proszę...
- Zabiorę ją do lasu, Sam – powiedział, czytając mi w myślach.

Powoli podniosłem się, wszedłem z powrotem do budynku przez przesuwające się cicho szklane drzwi i umazany krwią mojej dziewczyny, skłamałem idealnie po raz pierwszy w życiu.

- Próbowałem ją powstrzymać.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

SAM

Więc wszystko sprowadza się do tego: i tak bym ją stracił.

Gdyby Cole nie zaraził jej ponownie, zmarłaby w szpitalu. A teraz wilcza toksyna rozprzestrzeniła się w jej żyłach i straciłem ją – dla lasu, dla sfory – tak jak traciłem wszystko, co kiedykolwiek kochałem.

Więc oto jestem.

Obserwowany przez podejrzliwe oczy jej rodziców, którzy nie mogą udowodnić, że ją porwałem, ale i tak mi nie wierzą.

Obserwujący, bo rozgoryczenie Toma Culpepera sięga zenitu i podburza całe małe miasteczko, a ja nie zamierzam pochować w ziemi również Grace.

Więc czekam – na ciepło i lato, żeby się przekonać, kto przyjdzie do mnie z lasu. Czekam na moją uroczą letnią dziewczynę.

Gdzieś tam przeznaczenie śmieje się z nas, bo teraz to ja jestem człowiekiem i to ja będę tracił Grace bezustannie, *immer wieder*, zawsze tak samo, każdej zimy.

I będę ją tracił z każdym rokiem coraz bardziej, chyba że znajdę lekarstwo. Prawdziwe remedium, a nie jakąś sztuczkę.

Oczywiście, to nie będzie lekarstwo tylko dla niej. Za piętnaście lat przyda się również mnie i Cole'owi, i Olivii. A Beckowi nawet natychmiast – czy jego ludzki umysł nadal drzemie w wilczej skórze?

Obserwuję ją bez przerwy, tak jak zawsze to robiłem, a ona śledzi wzrokiem mnie. Swymi brązowymi oczami, osadzonymi w wilczej twarzy.

Jest to opowieść o chłopaku, który kiedyś był wilkiem, i o dziewczynie, która zmieniła się w wilka.

Nie pozwolę, żeby to było pożegnanie. Złożyłem tysiąc papierowych żurawi ze wspomnień o nas i wypowiedziałem życzenie.

Odnajdę lekarstwo. A potem odnajdę Grace.